MIŁOŚĆ
NAMIĘTNOŚĆ
I ZDRADA
MILIONY
SPRZEDANYCH
EGZEMPLARZY
ROMANTYCZNE KLIMATY DAWNEJ ANGLII
Uległa i posłuszna
SHIRLEE BUSBEE
BELLONA

# Shirlee Busbee

# Uległa i posłuszna

Tytuł oryginalny
*Surrender Becomes Her*

Okładka
Anna Damasiewicz

Redaktor prowadzący
Bartłomiej Zborski

Redakcja i korekta
Hanna Śmierzyńska

Redaktor techniczny
Elżbieta Bryś

Copyright © 2009 by Shirlee Busbee. All rights reserved.
Copyright © for the Polish edition and translation by Bellona SA, Warszawa 2012
Zdjęcie na okładce: Copyright © Konrad Bąk | Depositphotos.com,
Copyright © Anna Kucherova | Depositphotos.com

Nasz adres: Bellona Spółka Akcyjna
ul. Bema 87, 01-233 Warszawa
e-mail: biuro@bellona.pl,
www.bellona.pl

ISBN 9788311128576

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.

*Moim najdroższym przyjaciołom amerykańskiego konika szetlandzkiego: PAT MICHIELSSEN za jej poczucie humoru i opowieści o kucykach, którymi raczyła mnie przez całe lata, JIMOWI CURRY'EMU za to samo, a także za rady i wspólne ZWYCIĘSTWA. Niech żyje amerykański kucyk szetlandzki!*
*A także*
*HOWARDOWI, po prostu za wszystko!*

# Prolog

*Dewon, Anglia,*
*wiosna 1795*

– Oddaj mi je! – zażądała Isabel, wsparłszy się rękoma o szczupłe biodra w sposób absolutnie nieprzystający młodej damie. – Nie ma co rozprawiać o tym, czy mi się należą. Są moje! Nie masz prawa chować ich przede mną!

Promień późnego popołudniowego słońca wpadł przez wysokie okna biblioteki, przemieniając rude włosy dziewczęcia w płomienną aureolę. Marcus po raz kolejny pomyślał z zaskoczeniem, jak często jego siedemnastoletnia podopieczna przywodzi mu na myśl ogień. Czasami przypominała jedynie uroczy, radosny płomyczek, a kiedy indziej, tak jak teraz, mimo dość nikłej postury, niebezpieczną grzywę ognia, gotową wybuchnąć płomieniem, który przepali go do kości. Już czując, jakby miał przypieczoną skórę, lękał się niezmiernie, że dzisiejszy dzień skończy się pożogą.

Ich dysputa, jeśli można jej nadać to miano, odbywała się w przestronnej bibliotece dworu w Sherbrook, posiadłości Marcusa w Dewonie, i zaczęła się jakieś dziesięć minut wcześniej, gdy Isabel wpadła do domu, żądając widzenia się z opiekunem. Natychmiast! Ponieważ panna Isabel przez całe życie we dworze w Sherbrook czuła się jak u siebie, kamerdyner Thompson z niewzruszonym spokojem wprowadził młodą damę do biblioteki i ruszył na poszukiwanie pana domu. Z chwilą gdy Marcus przestąpił próg pokoju, Isabel ruszyła do ataku, a Marcus, bez większego powodzenia, usiłował stłumić kolejną burzę, którą rozpętała jego temperamentna podopieczna.

– Mam pełne prawo – odparł cierpliwie. – Jestem twoim opiekunem i winienem dopilnować, byś nie roztrwoniła majątku, zanim nie dojdziesz do pełnoletności albo nie wyjdziesz za mąż.

Isabel tupnęła nogą. – Wiesz doskonale – rzekła z żarem – że ojciec

nigdy nie zamierzał ustanowić ciebie moim opiekunem! Miał nim zostać wujek James, nie ty.

Co było prawdą, musiał przyznać w duchu Marcus. Ojciec Isabel, sir George, zbliżał się już do siedemdziesiątki, gdy wprawił w osłupienie całą okolicę, pojmując za żonę kobietę, która mogła być jego wnuczką, po czym niebawem spłodził dziecko. Ku radości sir George'a, Isabel przyszła na świat ledwie dziesięć miesięcy później. Jego śmierć w wieku siedemdziesięciu lat nikogo nie zaskoczyła. Natomiast zgon ojca Marcusa, zmarłego przed czterema laty, był gromem z jasnego nieba. Starszy pan Sherbrook, pięćdziesięciodziewięciolatek ciesząc się znakomitym zdrowiem, pewnego wieczoru położył się spać i już się nie obudził. Po paru tygodniach Marcus, odrętwiały z bólu, wciąż nie mogąc uwierzyć w swą stratę, dowiedział się od adwokata, że prócz majątku i posiadłości ojca odziedziczył też kuratelę nad jedynaczką sir George'a, trzynastoletnią Isabel. Marcus nie posiadał się ze zdziwienia, zakładał bowiem, jak wszyscy, że prawnym opiekunem Isabel zostanie młodszy brat sir George'a, James. Ale tak się nie stało. Gdy spisywano umowę, sir George był zdania, że James, zaprzysięgły stary kawaler na stałe mieszkający w Londynie, nie będzie dobrym opiekunem jego córki. Za znacznie lepszego kandydata uznał bliskiego przyjaciela i sąsiada, pana Sherbrooka. Niestety, sir George nie dokonał rozróżnienia między młodszym i starszym panem Sherbrookiem, nie wziął też pod uwagę możliwości śmierci tego ostatniego. A zatem, choć wszyscy wiedzieli, że sir George absolutnie nie zamierzał ustanowić syna swego najlepszego przyjaciela prawnym opiekunem córki, to właśnie się stało. Nawet teraz Marcus czuł ogarniającą go falę niedowierzania. Liczył sobie wówczas zaledwie dwadzieścia trzy lata. Co wiedział o sprawowaniu opieki nad ledwie rozkwitającą kobietą? Niewiele więcej niż teraz, pomyślał cierpko.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię – naciskała Isabel, zniecierpliwiona przeciągającym się milczeniem. – Nie ty miałeś być moim opiekunem.

– Przyznaję – odparł Marcus. – Ale ponieważ twój ojciec przed śmiercią nie zabezpieczył twoich interesów w żaden inny sposób, a nikt się nie spodziewał, że mój ojciec umrze tak nagle, obawiam się, że jesteśmy, hm, na siebie skazani.

Isabel wzruszyła ramionami. – Wiem o tym i ogólnie – przyznała niechętnie, gdy jej złość nieco opadła – nie jesteś taki zły. Po prostu nie rozumiem, dlaczego w tym jednym względzie tak strasznie się upierasz. Przecież nie proszę cię o jakąś wielką sumę. Twoja nowa kariolka i para ślicznych karych koni kosztowały więcej, niż to, o co cię proszę. – Oczy

jej się zwęziły. – A do tego to są moje pieniądze. Nie twoje. – A gdy Marcus nie odpowiadał, wymamrotała: – I nie roztrwonię ich.

– To sprawa dyskusyjna – rzekł. Spojrzała nań gniewnie, a on się uśmiechnął. – Moja droga – rzekł przymilnie, z rozbawieniem w szarych oczach – wiesz, że jako twój opiekun mało czego ci odmawiam, ale dopuściłbym się zaniedbania, gdybym pozwolił ci wydać fortunę na konia. – Potrząsnął głową. – Zwłaszcza na tego konia.

Znowu porwał ją gniew, a oczy barwy topazu się zwęziły.

– Więc zechciej mnie objaśnić, co masz do zarzucenia Gromowi?

– Nic mu nie mam do zarzucenia. Cena, której żąda za niego Leggett, choć wysoka, nie jest wygórowana. I przyznaję, że to piękny ogier. Szczyci się nieskazitelnym rodowodem, a każdy, kto zna się na koniach, byłby dumny, mając go w swej stadninie.

Natychmiast się rozchmurzyła, a jej drobne, żywe rysy rozjaśnił zniewalający uśmiech.

– Och, Marcusie, przyznajesz więc, że to cudowny ogier!

Marcus mimo woli skinął głową, zdeprymowany tym uśmiechem. – Owszem. – Ale nie dla ciebie – dodał, napominając się w myśli.

Uśmiech zniknął niczym słońce przesłonięte gradową chmurą.

– A to dlaczego?

– Dlatego – wypalił bez ogródek – że brak ci siły i doświadczenia, by zapanować nad zwierzęciem tak dużym i narowistym. – Uśmiechnął się słabo. – Jesteś młoda, brak ci wprawy i najprawdopodobniej zabilibyście się oboje przed upływem tygodnia. – Uniósł rękę, słysząc okrzyk oburzenia Isabel. – Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego nie sfinansuję tej twojej najnowszej zachcianki. Ileż to razy obmyślałaś jakieś fantastyczne plany, jeden po drugim, by je następnie po dwóch tygodniach porzucić? Pamiętasz, jak miałaś hodować kozy? Albo byłaś pewna, że chcesz zająć się chowem kurcząt? Jeśli dobrze pamiętam, kozy wyjadły prawie do cna różany ogród twojej ciotki Agathy, zanim urosły na tyle, by zawieźć je na targ, a co do kurcząt... Czy jakiś kogut przypadkiem nie wleciał na słupek z drzewa różanego poręczy głównych schodów we dworze w Denham? – Nie bacząc na wzbierające w jej oczach wzburzenie, ciągnął dalej: – Teraz powiadasz, że chcesz hodować konie, ale co będzie za miesiąc czy za rok? A weź pod uwagę jeszcze jedno: co się stanie z twymi końmi, gdy w przyszłym roku pojedziesz do Londynu na sezon towarzyski? – Potrząsnął głową, uśmiechając się do dziewczyny. – Znam cię. Do lata w głowie będziesz miała wyłącznie suknie balowe, najrozmaitsze ozdóbki, przyjęcia i bale, na których będziesz bywać przyszłej wiosny, a także młodzieńców ścielących ci się do stóp. Kiedy

zaś wyjdziesz za mąż, a wyjdziesz na pewno, smarkata, nie będziesz miała czasu ani głowy do hodowli koni. Wydatek na Groma pójdzie na marne.

Jej złość wróciła natychmiast, drobne ręce zacisnęły się w piąstki. – To niesprawiedliwe! – zaprotestowała wściekle. – Gdy chciałam hodować kurczaki, miałam jedenaście lat, i to nie moja wina, że kogut wleciał do domu; zagonił go tam stary pies papy, Lucy. Prawda, że zeszłej jesieni kozy oskubały róże ciotki Agathy, ale to im tylko dobrze zrobiło. Dziś nikt by nie przypuszczał, że kozy je zniszczyły, bo rozkwitły cudownie. Nawet ciotka Agatha to potwierdza. – Rzuciła mu spojrzenie pełne niechęci. – I nie wszystkie róże zmarniały, a tylko niektóre.

Nie zważając na jej wybuch, Marcus wykładał dalej swoją myśl: – Chodzi mi o to, że niezbyt konsekwentnie wprowadzasz w życie swoje zamysły. Skąd mam wiedzieć, czy Grom i zamiar założenia stadniny nie będzie miał takiego dalszego ciągu jak kozy w różach i koguty w domu?

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie, gniew i uraza walczyły o lepsze w jej sercu. Czy on nie może pojąć, że Grom i wielka stadnina, którą sobie wymarzyła, nie mają nic wspólnego z kozami i kogutami? Jej wstrętny opiekun wie doskonale, że Isabel kocha konie, kochała je przez całe życie i, pomyślała z urazą, świetnie umie koło nich chodzić, wszyscy to mówią. Nawet Marcus – gdy nie upierał się jak osioł – przyznawał, że Isabel ma do nich dobrą rękę. Wypominając jej prosto w oczy fiasko poczynań z kozami i kurczętami, zachował się niesprawiedliwie i nieuprzejmie. To były dziecinne igraszki. Teraz jest dorosła i podejmuje dorosłe decyzje. Czyż on tego nie widzi? Dlaczego ciągle patrzy na nią jak na małą dziewczynkę? Nadal uważa ją za dziecko, które należy pogłaskać po główce, dać mu cukierka i odesłać do pokoju, gdy dorosłym znudzi się już jego towarzystwo.

Isabel pomyślała ze smutkiem, że jedno spojrzenie w duże lustro w jej pokoju starczy za odpowiedź na to pytanie. Dalej wygląda jak dziecko. Szczuplutka i wiotka niczym duszek z bajki, ma zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu i ku swemu wielkiemu rozczarowaniu, praktycznie nie ma biustu. Zapewne dziesiątki lat muszą minąć, nim rodzina i przyjaciele przestaną uważać ją za smarkulę. Na domiar złego los obdarzył ją grzywą niesfornych rudych włosów i – o Boże! – upstrzył jej nos piegami, których nie zdołała wybielić żadna ilość maślanki czy ogórków. Samemu nosowi niczego nie można zarzucić, przed paroma miesiącami uznała, że jest dość zgrabny i zalotnie zadarty na czubku. Powszechnie uważano, że najpiękniejsze w jej twarzy są duże, promienne oczy, okolone zadziwiająco długimi, gęstymi rzęsami. Lecz mimo owych

cudownych oczu, nic, nawet fakt, że szkołę pożegnała już całe tygodnie temu, nie skłoni nikogo, by spojrzał na nią inaczej, póki będzie miała wzrost i kształty dziesięcioletniego chłopaczka! A zwłaszcza nie Marcus Sherbrook. Z drgnieniem serca uświadomiła sobie, że chce, by spojrzał na nią jak na młodą niewiastę. Ale nigdy do tego nie dojdzie – przynajmniej póki jest uwięziona w tym dziecinnym, chłopaczkowatym ciele, pomyślała z goryczą. Przygniotła ją fala nieszczęścia. Nigdy nie stanie się wysoką, majestatyczną pięknością, do końca życia będzie niska, płaska jak deska i piegowata! Co za pech!

Z najwyższym wysiłkiem powstrzymując łzy, uniosła podbródek i rzekła z podziwu godnym spokojem: – Masz wszelkie prawo sądzić, że Grom jest tylko moim chwilowym kaprysem, ale, jak sam powiedziałeś, każdy byłby dumny z posiadania takiego zwierzęcia, więc nie ma powodu, by go nie kupować. Jeśli twoim zdaniem znudzę się nim za parę miesięcy, można go będzie odsprzedać za cenę kupna. Nie stracę na tej transakcji.

Marcus przez parę chwil wpatrywał się w nią bacznie. Zawsze trudno mu było oprzeć się Isabel, a w miarę upływu lat, gdy rozkwitła, stając się pociągającą młodą kobietą, najchętniej spełniałby każde jej życzenie. I przeklinał tę diabelską kuratelę, przez którą raz po raz byli na noże. Sytuacja nie zawsze tak się przedstawiała. Niegdyś Isabel dreptała obok jego nogi jak małe kocię, a on czuł się taki szczęśliwy. Nie potrafił tego wytłumaczyć, lecz od chwili, gdy ją ujrzał, dziecko na rękach, o rudych włosach, tak jasnych i płomiennych, że prawie się lękał, by się nie poparzyć, odkąd dotknął tych jedwabistych loków, zajmowała w jego sercu szczególne miejsce.

Choć Isabel urodziła się w rodzinie bogatej i wysoko postawionej, Marcus doskonale zdawał sobie sprawę, że życie nie szczędziło jej zgryzot. Jej matka zmarła tragicznie, nim dziewczynka skończyła dwa lata, i mimo starań kochającego ojca niełatwo jej było dorastać bez matczynej opieki. Uwielbiała ojca; o dziwo, ta dwójka radośnie spędzała czas we dworze w Denham, w pełni zadowalając się własnym towarzystwem. Śmierć ojca Isabel bardzo przeżyła. Wuj dziewczęcia, sir James, był miły, ale w jej sercu nie mógł zastąpić sir George’a, a jego żona, Agatha... Marcus zacisnął szczęki. Jak tu nie mówić, że historia lubi się powtarzać! Sir James pod niejednym względem poszedł w ślady brata. Po raz kolejny zadziwiając całą okolicę, przed dwoma laty porzucił stan kawalerski i poślubił kobietę młodszą odeń o połowę – Agathę Paley, guwernantkę Isabel!

Marcus nigdy nie czuł sympatii do panny Paley, nawet gdy jego matka

zapewniała go, że to wyjątkowa guwernantka, w sam raz odpowiednia dla Isabel. Kiedy ją zatrudniono, uznał, że jest zbyt surowa, zimna i nieczuła dla takiego podlotka jak Isabel, ale dał się matce przekonać, czego potem żałował. Nie stanowiły dobrej pary – Isabel była porywcza i pełna werwy, panna Paley zaś zimna i sztywna. Wiedział, że Isabel jest nieszczęśliwa, ale zanim zdążył doprowadzić do zmiany sytuacji, panna Paley ubiegła go i poślubiła sir Jamesa. Nadal zastanawiał się, jak jej się to udało, lecz owe dociekania nie miały większego znaczenia, ważne było to, że dawna panna Paley została teraz lady Agathą, ciotką Isabel, a była guwernantka już przypilnowała, by wszyscy wiedzieli, kto rządzi dworem w Denham. Spojrzał teraz na Isabel łagodniej. Biedna kruszynka. Życie w domu kierowanym lodowatą ręką Agathy nie może być przyjemne.

Skrzywił się. Dlaczego właściwie miałby odmawiać Isabel czegoś, co sprawiłoby jej przyjemność? Jak powiedziała, gdyby straciła zainteresowanie koniem, zawsze można go sprzedać. Niepokoiło go jednak możliwe niebezpieczeństwo. Grom w pełni zasługiwał na swoją nazwę, był wielkim, potężnym, dwuletnim ogierem. Marcus o tym wiedział. Obejrzał go już. Gdy tylko doszło do niego, że Isabel ma chrapkę na tego konia, uznał za swój obowiązek rozpatrzeć się w sprawie. Mimo woli gapił się jak urzeczony, gdy Leggett, znany ze swej wspaniałej stadniny, wyprowadził imponującego kasztana o prawie białej grzywie i ogonie oraz czterech białych skarpetach. Gdyby Isabel nie wypatrzyła konia wcześniej, kupiłby go od ręki. Jakość zwierzęcia, rodowód czy cena były bezdyskusyjne i Isabel miała rację – zawsze można go sprzedać, gdyby straciła nim zainteresowanie. Zdecydowany ulec, wziął głęboki oddech, mając nadzieję, że nie popełnia błędu.

Utkwiwszy niespokojny wzrok w ciemnej twarzy Marcusa, Isabel czuła, że ogarnia ją rozpacz. Odmówi jej. Odgadła to. Nie lubiła porażek, a cierpliwości nie można było zaliczyć do jej cnót; jedyną bronią, po którą mogła sięgnąć, był jej wybuchowy temperament. – Mam prawo wyrzucić je na tego cholernego konia, jeśli mi się tak podoba – oznajmiła z furią. – I dowiedz się też, że jesteś podłą bestią i nienawidzę cię! Słyszysz? Nienawidzę cię! O, kiedyż wreszcie wyjdę spod opieki tego nieużytego skąpiradła!

Słowa, które właśnie miał wypowiedzieć, uwięzły mu w gardle. Jego też poniosły nerwy. – Uwierz mi, ty mała diablico, że nie mogę się doczekać chwili, kiedy przestaniesz, jak albatros, wisieć mi u szyi! Tak samo jak ty chcę się pozbyć tej uprzykrzonej kurateli – warknął Marcus. Po czym dodał z ponurym uśmiechem: – Ale póki nie osiągniesz pełnoletności albo nie wyjdziesz za mąż, jestem twoim opiekunem

i muszę dbać o twój majątek.

– No to trzeba o tym pomyśleć – odpaliła drwiąco, na skraju wybuchu. – Będziesz się miał z pyszna, jak wyjdę za mąż za pierwszego lepszego, tobie na złość.

– Jeśli znajdzie się ktoś tak szalony, by wziąć sobie na głowę taką jędzę o kąśliwym języku, uścisnę mu dłoń i pogratuluję – wypalił bez namysłu. Ledwo wypowiedział te słowa, zapragnął je cofnąć, ale szkoda już się stała.

– O kąśliwym języku? Jak śmiesz! – Otarła łzy urazy i furii. – Jeszcze pożałujesz – obiecała z zawziętością w głosie, ruszając do wyjścia. – Zobaczysz. Jeszcze pożałujesz.

Otworzywszy gwałtownie drzwi, wypadła z biblioteki.

Na pokój z siłą gromu spadła cisza i Marcus w oszołomieniu wpatrywał się w otwarte drzwi, w których zniknęła Isabel. Pragnął za nią pobiec i powiedzieć jej, że może sobie mieć tego przeklętego konia. Z drugiej strony nie chciał, by się zorientowała, jak łatwo może nim manipulować. Rozdarty między tymi dwoma emocjami, tkwił w miejscu jak zamurowany.

Głęboko zaczerpnął oddechu i potrząsnął głową. Isabel bywa wybuchowa, lecz czasami, tak jak teraz, borykanie się z nią przypomina zmagania z tornado. Wpada bez ostrzeżenia, rozbija wszystko, co stanie jej na drodze, po czym – bach! – wypada jak burza, by narobić zamieszania gdzie indziej.

Gdy Marcus tak stał, wpatrując się przed siebie niewidzącym wzrokiem, do pokoju weszła wysoka, uderzająco piękna kobieta, ubrana w wąską suknię z muślinu w gołębim kolorze przybraną jedwabiem w prążki. Przyprószone srebrem czarne włosy wytwornej damy zebrane były w nisko upięty kok, a szyję zdobił naszyjnik z gagatów.

Widząc konsternację, oszołomienie i gniew malujące się na twarzy syna, uśmiechnęła się. Jej promienne, zielone oczy spojrzały na niego z rozbawieniem. W lot pojęła sytuację. – Isabel? – zapytała.

Marcus błysnął zębami w uśmiechu. – A któżby inny? Uparła się na tego konia. Uważam, że to niemądre. – Potrząsnął głową. – Właśnie miałem jej powiedzieć, że może go sobie kupić, gdy zbeształa mnie jak najgorszego szubrawca, po czym wypadła z pokoju. – Rzucił matce bezradne spojrzenie. – Co mam z nią zrobić? Nie potrafię być opiekunem prawnym kogoś takiego jak Isabel.

Pani Sherbrook usadowiła się na kanapie przed czarnym, marmurowym kominkiem i ułożyła fałdy muślinowej spódnicy. – Zaczekaj trochę, niech się wyzłości, a jeśli potem z nią porozmawiasz, na

pewno się pogodzicie. Wiesz przecież, że jej napady złości nigdy nie trwają długo, a potem zawsze okazuje skruchę.

Marcus miał niewyraźną minę.

– Sam nie wiem. Była bardzo zła.

– Może i tak, ale ponieważ to taki słodki dzieciak... – Słysząc prychnięcie syna, zaraz się poprawiła. – Zazwyczaj to taki słodki dzieciak, więc gdy ją zobaczysz następnym razem, przekonasz się, że to burza w szklance wody, o której oboje szybko zapomnicie.

* * *

Gdyby pani Sherbrook wiedziała, jak urażona i wściekła poczuła się Isabel, nie tchnęłaby takim optymizmem. Ocierając łzy gniewu, dziewczę śmignęło z szerokich schodów dworu w Sherbrook i wyrwało wodze z rąk stajennego, który przytrzymywał jej konia. Jednym susem Isabel wskoczyła na wierzchowca i ścisnąwszy mocno kolanami boki konia, zmusiła przestraszonego wałacha do szalonego galopu. Nie zważając na nic, co nieszczęśliwym zrządzeniem losu mogłoby stanąć jej na drodze, mocno pochylona przemknęła długim podjazdem wiodącym od dworu, po czym wypadła na główną drogę. Gdy dotarła do szerszego traktu, rozsądek wziął górę i w gasnącym świetle kwietniowego dnia spokojnym kłusem ruszyła w stronę posiadłości w Denham.

A więc jestem złośnicą o kąśliwym języku, tak? – rozmyślała gniewnie. – I żaden mężczyzna nie będzie chciał się ze mną ożenić? – Zacisnęła usta. – To się jeszcze zobaczy.

Przez całą drogę w głowie kłębiły się jej najprzeróżniejsze pomysły mające wykazać, jak niesprawiedliwie ocenia ją pan Marcus Sherbrook. Dojechawszy na miejsce, rzuciła wodze stajennemu i zeskoczyła z konia. Rozżalona, nie chciała natknąć się na ciotkę Agathę ani wuja, sir Jamesa, toteż ruszyła do jeziora oddzielającego posiadłość Denhamów od sąsiedniej, będącej własnością lorda Manninga.

Często chodziła nad jezioro, gdy była zła albo dręczył ją jakiś problem; coś w tych spokojnych, błękitnych wodach, zielonym lesie, który tu i ówdzie porastały przemyślnie zasadzone kwiaty i krzewy, wijące się wzdłuż krętej linii brzegowej, przynosiło jej ukojenie i łagodziło szalejące emocje.

Wynurzywszy się z lasu, zauważyła na jeziorze małą łódkę, lecz, zbyt nieszczęśliwa, by mogła stanowić miłe towarzystwo, już miała wycofać się z powrotem między drzewa, gdy donośny męski głos zawołał ją po imieniu.

Ujrzawszy przy wiosłach Hugh Manninga, najmłodszego syna lorda Manninga, pomachała doń bez przekonania i patrzała, jak wiosłuje na wody po stronie Denhamów. Poznała go lepiej dopiero zeszłej zimy, gdyż opuścił dom jeszcze przed śmiercią jej ojca i popłynął do Indii, gdzie zatrudnił się w Kompanii Handlowej Indii Wschodnich. Wrócił do domu na dłuższy czas, po czym miał z powrotem popłynąć do Bombaju. Jego pobyt we dworze wywołał zamieszanie w całej okolicy. Przez całe tygodnie wydawano na jego cześć przyjęcia i uroczyste kolacje, wszyscy bowiem z niecierpliwością wyczekiwali opowieści o tej dalekiej, tajemniczej krainie – Indiach. Isabel polubiła towarzystwo Hugh, a biorąc pod uwagę, że jej wuj i lord Manning przyjaźnili się, między młodymi szybko zawiązała się zażyłość. Choć Hugh dobiegał już trzydziestki, nie umknęło jej uwadze, że jest przystojny i czarujący i rozumiała doskonale, dlaczego ten mocno opalony mężczyzna o jasnych włosach i błękitnych oczach tak bardzo przypadł do gustu córce sędziego.

Od stycznia Hugh podróżował po Anglii, powrócił ledwie przed tygodniem i za parę dni miał odpłynąć na swoją placówkę w Bombaju. Isabel wiedziała, że lord Manning z najwyższą niechęcią myśli o jego odjeździe. Hugh nie zawita teraz do kraju przez całe lata i lord Manning żywił obawy, że może już nigdy nie ujrzeć najmłodszego syna. Zdradził to pewnego wieczoru w zeszłym tygodniu, będąc na obiedzie we dworze w Denham.

Dopłynąwszy do brzegu, Hugh zwinnie wyskoczył na błotnisty grunt. Wyciągnął łódkę na tyle, by nie odpłynęła, obrócił się i uśmiechnął do Isabel.

– To był piękny dzień, nieprawdaż? – powiedział. Spojrzał na błękitne niebo i dodał ze smutkiem: – Nie ma nic piękniejszego nad angielskie niebo w kwietniu. Chyba najbardziej brakowało mi w Indiach tego szczególnego odcienia błękitu. Głęboko zaczerpnął powietrza. – I zapachów angielskiej wiosny, żonkili, róż i kwitnących bzów.

Poturbowana i poraniona wymianą zdań z Marcusem nie pragnęła towarzystwa, lecz gdy Hugh zaproponował, by usiedli na pobliskiej kamiennej ławce, zgodziła się.

Po markotnej minie Hugh i rzucanych przezeń uwagach Isabel niebawem poznała, że jest niemal równie nieszczęśliwy jak ona. Zmarszczywszy brwi, spytała:

– Nie chcesz wracać do Indii? Myślałam, że nie możesz się już doczekać.

– Wolałbym wstąpić do jakiegoś pułku i walczyć z Francuzami – odparł ze wzrokiem utkwionym w jeziorze. – Sytuacja w Europie marnie

wygląda, Anglia potrzebuje każdego człowieka zdolnego do noszenia broni.

Isabel spojrzała nań z osłupieniem.

– Nie wiedziałam, że chcesz wstąpić do wojska.

– Do wojska, do marynarki, wszystko mi jedno – rzucił niedbale. – Szczerze mówiąc, Izzy, za nic w świecie nie chcę wracać do Bombaju – wyznał ponuro. – W wojsku przeżyłbym przynajmniej jakąś przygodę. Co ja bym dał, żeby być teraz z flotą Hooda na Morzu Śródziemnym! – Spojrzał na nią ze smutkiem. – Nie masz pojęcia, jak nudne jest życie w Indiach, gdy przeminie urok egzotyki. Dzień za dniem upływa tak samo. Pragnę dreszczyku emocji.

– Myślałam, że życie w kraju, gdzie można jeździć na słoniach, oglądać małpy i tygrysy na swobodzie, jest wystarczająco podniecające.

Wzruszył ramionami. – Pewnie, że można tam przeżyć emocjonujące chwile i ogólnie biorąc, nie narzekam na los, ale miałem nadzieję... – Głęboko wciągnął powietrze do płuc. – Miałem nadzieję, że przywiozę ze sobą żonę. W Bombaju dobrze mi się powodzi, zebrałem środki na dostatnie i wygodne życie dla żony i rodziny. – Zaśmiał się gorzko. – Wszystko miałem zaplanowane: przyjeżdżam do domu, znajduję damę swego serca i wracam do Bombaju z żoną u boku, gotów do powiększenia rodziny. A tymczasem za trzy dni wypływam do Indii sam.

Słysząc te słowa, Isabel o mało co nie wyskoczyła ze skóry. Wpatrzyła się w Hugh dużymi, zadziwionymi oczami. Czy to opatrzność zsyła jej taką szansę? Szansę nie tylko, by pokazać Marcusowi, jak dalece się myli, ale by uciec raz na zawsze z tego domu, którego już nie uważała za swój, od tej kobiety, która myśli chyba tylko o tym, jak ją unieszczęśliwić. – Czy... czy... nikt nie wpadł ci w oko? – wykrztusiła.

– Była pewna młoda dama... – wymamrotał, nie odrywając wzroku od jeziora. – Dlatego nie było mnie tak długo. Oświadczyłem się o nią, ale jej ojciec mi odmówił.

– Ale dlaczego? – krzyknęła Isabel, zmartwiona jego porażką. – Przecież przedstawiłeś mu swoją sytuację? I powiedziałeś, że jesteś synem barona Manninga?

– Och tak, oczywiście – odparł – ale pan Halford nie chciał, by jego córka pogrzebała się za życia w Indiach. Ma dla niej miłego miejscowego kandydata, który odziedziczy tytuł.

– A ona? Czego ona chce?

– A co to za różnica? – warknął. – Ojciec mi odmówił, a Roseanne mu się nie sprzeciwi.

Te słowa napełniły bólem jej czułe serduszko i współczując jego

cierpieniu, wsunęła mu drobną rękę w dłoń. – Bardzo mi przykro, Hugh – rzekła cicho.

Ścisnął jej palce i spojrzał na nią. – Dzięki, Izzy. Tylko tobie powiedziałem o Roseanne. – Odgarnął kosmyk jej niesfornych loków. – Wiesz, że ona też ma rude włosy? Jaśniejsze niż twoje i oczy niebieskie... niebieskie jak angielskie niebo.

Zmarszczył brwi, po raz pierwszy dostrzegając ślady łez na jej policzkach. – Co się stało? – zapytał. – Płakałaś? Kto cię skrzywdził? Przebiję go szpadą, jeśli chcesz.

Potrząsnęła głową.

– To nie ma znaczenia.

– Ależ ma – nalegał łagodnie Hugh. – Nie chcę, żeby moja mała przyjaciółka była smutna. Co mogę zrobić, byś znowu była szczęśliwa?

Słowa wypsnęły się jej z ust, zanim zdążyła się zastanowić, co mówi.

– Możesz się ze mną ożenić i zabrać mnie ze sobą do Indii.

Hugh wybałuszył oczy.

– Ożenić się z tobą? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Mniejsza z tym. Nie powinnam była tego mówić – rzekła sztywno, odwracając twarz.

– Ale powiedziałaś. Dlaczego? – nastawał, patrząc na nią, jakby ujrzał ją po raz pierwszy w życiu.

– Bo chcesz mieć żonę, a ja nie zniosę dłużej ciotki Agathy, która traktuje mnie jak dziecko. Ani Marcusa! – Cierpienie i porywczość splotły się w jej sercu, aż wykrzyknęła: – Chciałabym być o tysiące mil stąd! – Utkwiwszy spojrzenie w jego oczach, rzekła z rozpaczą: – Gdybyśmy się pobrali, każde otrzymałoby to, czego pragnie.

Długo się w siebie wpatrywali; Hugh myślał o samotnych latach w Indiach, bez wszystkich tych dobrodziejstw, jakie daje obecność żony u boku; Isabel starała się zagłuszyć cichy wewnętrzny głosik, który skrzeczał jej do ucha, że zachowuje się głupio i lekkomyślnie – co zawsze wytykał jej Marcus. No i cóż z tego? – pomyślała z bólem. Nic jej w Anglii nie trzyma.

– Jesteś pewna? – zapytał Hugh, wiedząc, że powinien natychmiast zakończyć tę rozmowę, ale nie mógł się powstrzymać. To szaleństwo. Z wielu powodów należało podnieść się i odejść, ale nie ruszał się z miejsca. Isabel nie będzie żoną z jego marzeń, ale okaże jej serce i kto wie? Może z czasem się pokochają, a jeśli nie, związek oparty na sympatii i szacunku też może być udany. I nie czekałyby go w Indiach dziesiątki samotnych lat.

Zrobił zatroskaną minę. – A co z twoją ciotką i wujem? – zapytał. –

Co oni powiedzą?

Spojrzała na niego bacznie.

– Powiedzą, że jestem za młoda. Że sama nie wiem, czego chcę.

– W takim razie – rzekł ze zniechęceniem – nic z tego nie wyjdzie.

– Ależ owszem, wyjdzie – krzyknęła Isabel. – Nie ma znaczenia, co oni myślą. Gdy się pobierzemy, Marc... nikt nie będzie mógł nic zrobić. – Utkwiła w nim błagalne spojrzenie. – Proszę, Hugh. Obiecuję, że będę dobrą żoną. Proszę.

Tonąc wzrokiem w jej wielkich, złotych oczach, Hugh zaczął się wahać. Jest uroczym stworzonkiem... Lubi ją... Oczyma duszy ujrzał swój pusty bungalow w Indiach i mijające puste lata, wypełnione tylko ciężką harówką. Isabel mogłaby to odmienić... Pojawią się dzieci...

Powziąwszy decyzję, Hugh podniósł się i stanął przed nią. – Jeśli twoja ciotka i wuj nie wyrażą zgody, będziemy musieli uciec. Pobierzemy się w Londynie za specjalnym zezwoleniem, zanim wypłynie mój statek. – Spojrzał na nią niespokojnie. – Nie wiem, czy zdołam załatwić ci miejsce na tym statku, a ja muszę się na niego zabrać, bo Kompania oczekuje mnie z powrotem określonego dnia – nie mogę się spóźnić. Niewykluczone – ostrzegł – że będziesz musiała zostać przez parę tygodni w Londynie ze swoją pokojówką, do czasu gdy kolejny statek wyruszy do Indii. Możesz zatrzymać się w miejskim domu mojego ojca, jest tam parę osób służby, które zadbają o twoje potrzeby. – Urwał. – Może to i nie najgorszy pomysł. Podpiszę odpowiednie dokumenty i zostawię polecenia mojemu adwokatowi, żeby uporządkował twoje sprawy. A ty będziesz miała czas na zakupy. Przygotuję dla ciebie spis. – Spojrzał na nią błękitnymi oczyma, w których kryły się jeszcze pewne wątpliwości. – Zamierzam wyjechać jutro o świcie. Jeśli naprawdę tego chcesz, spakuj swoje rzeczy i wymknij się z domu, będę na ciebie czekał przy bramie do dworu Denham. Nim ktokolwiek się zorientuje, że cię nie ma, będziemy już daleko w drodze do Londynu.

Urzeczona świadomością, że za jednym zamachem ucieknie od wszystkiego, co ją unieszczęśliwiało, Isabel przytaknęła. Nagła wizja podróży do dalekich Indii, widoku żywych tygrysów, słoni i najprzeróżniejszych innych czarodziejskich stworów, która przemknęła jej przez głowę, zaparła Isabel dech w piersiach. Skoczyła na równe nogi i zarzuciła Hugh ręce na szyję. – Obiecuję, że będę dobrą żoną i nigdy nie pożałujesz tej chwili – przysięgała żarliwie. Machnęła ręką na drobne ukłucie w okolicy serca, gdy mignęła jej przed oczyma przystojna twarz Marcusa. Jeszcze mocniej przycisnęła Hugh, odpędzając od siebie natrętny obraz. – Obiecuję.

Hugh głęboko zaczerpnął oddechu.

– W takim razie, moja droga, wygląda na to, że już niebawem będziemy małżeństwem i znajdziemy się w drodze do Indii!

# Rozdział 1

*Dewon, Anglia,*
*wiosna 1808*

— Ta kobieta! – warknął Marcus Sherbrook ze źle skrywaną złością, przemierzając bibliotekę we dworze Sherbrook.

Jego matka uniosła głowę znad tamburka. Na jej wargach igrał słaby uśmieszek. – Mówisz zapewne o Isabel Manning? – Gdy szybko skinął głową, zapytała: – A cóż takiego zrobiła ta nieszczęsna Isabel, że wytrąciła cię z równowagi?

Przerwał spacer, stając przed jednym z wysokich okien biblioteki, i wyjrzał na rozciągającą się przed jego oczyma przestrzeń – nieskazitelny ogród i las. Kwiecień jest w Anglii uroczym miesiącem, a ten nie zapowiadał się gorzej niż poprzednie. Róże były w pąkach, niektóre zdążyły już rozkwitnąć, rzędy jaskrawych fioletowych, żółtych, niebieskich i białych bratków zwracały swe słodkie twarzyczki ku słońcu, a w oddali Marcus widział białe i różowe obłoki kwiecia okalającego jabłonie w sadzie.

Był to kojący widok, godny posiadłości zamożnego dziedzica; starannie zaplanowany ogród i tereny leśne ciągnęły się łagodnie aż do falujących wzgórz Dewonu zieleniących się wiosenną trawą. Pejzaż ten zazwyczaj napełniał go dumą i zadowoleniem, ale dzisiaj tak nie było. Dziś po raz kolejny Isabel zdołała zakłócić jego uporządkowane życie, a skoro już przed trzynastoma laty uciekła z Hugh Manningiem i beztrosko popłynęła do Indii, Marcus po raz kolejny pożałował, że nie miała dość rozumu, żeby tam pozostać.

Zacisnął pięści opuszczonych po bokach rąk, gdy słabym echem powróciło wspomnienie przeszywającego niepokoju. Nie chciał już więcej doświadczać przenikliwego bólu, którego doznał, gdy uświadomił sobie, że to prawda – Isabel uciekła i poślubiła Hugh Manninga. Jakby w niego strzelił piorun, po prostu nie mógł uwierzyć wieści, którą

przekazał mu jej poruszony do głębi wuj, sir James. Lecz gdy ta prawda do niego dotarła, coś w głębi jego istoty, kruche uczucie, z którego nie zdawał sobie sprawy, uwiędło i zgasło. Wściekłość przyszła później; przez kilka miesięcy po ślubie Isabel nienawidził jej i posyłał do diabła. W końcu zwyciężył zdrowy rozsądek. Odzyskawszy w pełni panowanie nad sobą, wspominał już spokojnie, jak bardzo nie znosił sprawowania opieki nad Isabel, i z czasem doszedł do przekonania, że jest całkiem zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Jego męcząca podopieczna szczęśliwie poślubiła godnego jej mężczyznę, należącym do niej majątkiem umiejętnie zarządzał Hugh i oboje znajdowali się na drugiej półkuli. Gdzie, na miłość boską, powinna była zostać, pomyślał z goryczą.

Marcus skrzywił się. Wiedział doskonale, że jest niesprawiedliwy. Można by pomyśleć, że przez te dziesięć lat, które upłynęły od śmierci Hugh, po powrocie Isabel do Anglii z dwuletnim synem drepczącym u jej boku, Marcus zdoła się przyzwyczaić do widoku byłej podopiecznej mieszkającej pod samym jego nosem. Ale tak się nie stało i niemal natychmiast stwierdził, że jeśli chce, by obecność Isabel nie zatruwała mu życia, najlepiej będzie nie zwracać na nią uwagi. Nie było to trudne do osiągnięcia. Przy każdej okazji towarzyskiej, w której oboje uczestniczyli, Marcus wygłaszał uprzejmościowe formułki – a uprzejmy był zawsze – po czym znikał w pokoju przeznaczonym do gry w karty. Wyłaniał się z niego, gdy nadchodziła pora pożegnania, a jeśli towarzyszyła mu matka, co często się zdarzało, odwoził ją do domu. Wprawnie unikał też małych zebrań, gdzie musiałby znaleźć się twarzą w twarz z wdową po Hugh. Sam nie rozumiał tych gierek, ale zdawał sobie sprawę, że mają one coś wspólnego z otwartą raną, którą zadało mu jej małżeństwo. Oszołomiony głębią bólu, jaki wówczas odczuwał, postanowił, że nigdy nie będzie już tak dotkliwie cierpieć, co znaczy, że musi trzymać Isabel jak najdalej od swego ściśle uporządkowanego życia.

Unikanie Isabel Manning weszło mu w zwyczaj, a było to tym łatwiejsze, że często wyjeżdżał, czasami na całe tygodnie bądź miesiące. W przeciwieństwie do Isabel, której możliwości podróżowania były ograniczone, po pierwsze dlatego, że była kobietą, a po wtóre, bo potrzebował jej syn, Marcus miał pełną swobodę ruchu. Najlepiej się czuł we własnym domu, ale często udawał się w odwiedziny do krewnych i przyjaciół, a od czasu do czasu, gdy naszła go chęć, odbywał także krótkie wypady do Londynu.

Bardzo chętnie składał wizyty w domu swego kuzyna Juliana, hrabiego Wyndham, jego uroczej żony, Nell, i powiększającej się

gromadki dzieci. Inny jego kuzyn, Charles Weston, mieszkał obok Juliana i choć przed laty Charles i Marcus nie byli ze sobą szczególnie związani, ostatnio Marcus bardzo polubił jego towarzystwo. W istocie niedawno wrócił z jego ślubu z uroczą młodą damą z Kornwalii. Wszyscy jego znajomi przyznawali, że małżeństwo Charlesa z Daphne Beaumont będzie początkiem jego kariery. Po uroczystości, kiedy większość gości odjechała, Marcus, Julian i Nell zostali we dworze w Beaumont na dłuższy pobyt u nowożeńców. Na myśl o tej wizycie i o tym, co odkryli w czeluściach starodawnego domu, niegdyś normańskiej siedziby, Marcus poczuł się nieswojo. Doszło tam do paru okropnych zdarzeń, których nigdy nie zapomni, a co do duchów... Wstrząsnął się. Tu, w domu, w atmosferze spokojnej i znajomej – normalnej, Marcus, wspominając wydarzenia z ostatnich dni swej wizyty, zastanawiał się, czy aby pamięć nie płata mu figli. Mieszkając we dworze w Beaumont, nietrudno było uwierzyć, że domostwo to nawiedzają duchy, o czym gorliwie zapewniali Charles i Daphne, lecz gdy patrzał na rozciągający się przed nim skąpany w słońcu krajobraz, ogarniały go wątpliwości. Czy naprawdę uwierzył w takie rzeczy? Duchy zmarłych hasające po komnatach? Duchy mgliście unoszące się w powietrzu? Przed wizytą we dworze w Beaumont przysiągłby, że to niemożliwe, ale...

Nagle przed oczyma stanęła mu pełna życia twarzyczka Isabel. Ona bez chwili wahania uwierzyłaby, że dwór w Beaumont jest nawiedzony. Z niezmierną radością zmagałaby się z duchami i takimi tam. Na jego twarz omal nie wypłynął uśmiech, gdy wyobraził sobie podniecenie, jakie rozbłysłoby w jej oczach, ale potem przypomniał sobie, że czuje urazę do pani Manning i zachmurzył się. Dlaczego, do diabła, nie mogła się trzymać z dala od jego życia?

Nie znosiła jego kurateli, a i dla niego to zajęcie nie było czystą rozkoszą. Ale, napomniał się, odkąd wróciła do Anglii i dziesięć lat temu zeszła z pokładu statku z Indii, nie jest już za nią odpowiedzialny. Obecnie na lordzie Manningu spoczywa ciężki obowiązek znoszenia jej napadów złości, za co Bogu niech będą dzięki, pomyślał z podejrzaną pobożnością.

Naturalnie Manning nie uważał Isabel ani jej pałętającego się pod nogami synka za ciężar. Marcus przyznawał, że gdyby nie ich towarzystwo, baron prawdopodobnie umarłby z żalu. W wyniku szeregu straszliwych zdarzeń lord Manning utracił najstarszego syna, Roberta, oraz jego brzemienną żonę, którzy utonęli, płynąc łódką, a potem, niespełna cztery miesiące później, dosięgła go wieść o śmierci Hugh w Indiach. Listy zawierające informacje o tych tragicznych wypadkach

najprawdopodobniej skrzyżowały się nad oceanem. Starzec był zdruzgotany i Marcus obawiał się, że wraz z dwoma synami zgasła jego wola życia.

Wraz z powrotem Isabel i Edmunda do Anglii w lordzie Manningu dokonała się zadziwiająca zmiana. Choć rozpaczał nad śmiercią Roberta oraz zgonem Hugh, który zmarł z powodu ukąszenia kobry, gdy w głębi Indii nadzorował wysyłkę towarów do składów Kompanii Handlowej Indii Wschodnich w Bombaju, stary baron z najwyższą radością powitał w swoim domu wdowę po nim i jego jedynego syna. Majątek Isabel pozwalał jej zamieszkać w każdym miejscu wedle uznania, ale było rzeczą oczywistą, że wprowadzi się do dworu w Manning, siedziby ojca swego zmarłego męża. Pragnęła powrócić do krainy młodości, jej syn Edmund zaś był jedynym dziedzicem sędziwego barona i łącznikiem z jego zmarłym synem, a baron uwielbiał chłopca. Malec był żywym obrazem ojca w tym wieku. Rysy Marcusa złagodniały, usta mu drgnęły. I pomyślał z czułością, że nie widział jeszcze równie uroczego blondynka o niebieskich oczach.

Pominąwszy tragiczną utratę męża, kiedy Isabel nie zakłócała uporządkowanego życia Marcusa, uważał on jej powrót w sąsiedztwo przed dziesięcioma laty za wydarzenie szczęśliwe w życiu starego barona. Niby wiosenny wietrzyk wpadła z Edmundem do dworu w Manning, wymiatając przytłaczający smutek i ciężkie cienie, które bez wątpienia wpędziłyby lorda Manninga do grobu. W parę tygodni po jej przybyciu milord znowu stąpał sprężystym krokiem, a jego wyblakłe niebieskie oczy ponownie rozbłysły, za co Marcus żywił wdzięczność wobec Isabel. Zmarszczył brwi z niezadowoleniem. Ale z pewnością nie był wdzięczny za to, że bez uzasadnienia wtargnęła w jego starannie urządzone życie!

– Więc powiesz mi, co takiego zrobiła Isabel? – zagadnęła go matka, przerywając tok jego myśli. – Czy też będziesz tak stał, patrząc wściekle w okno?

– Nie patrzę wściekle – odparł krótko Marcus. – Po prostu podziwiam widok.

– Naturalnie – z uśmiechem przytaknęła matka. – Ale powiedz – co takiego zrobiła Isabel, że cały się trzęsiesz?

Westchnął, gniew zaczął mu już przechodzić.

– Chodzi o tego jej konia, Groma. Przeskakuje ogrodzenia, choć mówiłem jej, że powinna je podwyższyć, jeśli nadal chce trzymać ogiera na wygonie, a dziś rano zastałem to bydlę, jak zadawało się z kilkoma naszymi klaczami. Co gorsza Jasmine, kasztanka z szeroką strzałką, którą dzisiaj po południu miał pokryć Prymus, już uległa wdziękom Groma.

Być może pokrył on jeszcze parę klaczy, w tym momencie trudno to stwierdzić.

Matka nie odrywała wzroku od igły.

– Pamiętam, że, jeszcze przed laty, chciałeś, by Grom pokrywał twoje klacze, zanim sprzedałeś go Isabel po jej powrocie z Indii.

Wzruszył ramionami.

– Owszem, ale gdy wróciła do Anglii, nie miałem wyboru, musiałem go jej przekazać, i to zaraz.

– Zrobiłeś jedynie słuszną rzecz, w końcu to ona go odkryła.

– Wiem o tym, mamo – powiedział sucho. – Sam zaproponowałbym jej, by go ode mnie odkupiła, kiedy osiadła we dworze w Manning, ale nie dała mi okazji.

Z ust pani Sherbrook wyrwało się coś podejrzanie przypominającego chichot.

– Gdybyś mógł zobaczyć swoją minę, gdy dowiedziawszy się, że jesteś jego właścicielem, wpadła tu, oskarżając cię, że go ukradłeś za jej plecami.

Marcus uśmiechnął się.

– Wtargnęła tu jak furia, co? Musiałem potem pomacać się po głowie, żeby sprawdzić, czy jeszcze mam włosy, czy mi ich nie spaliła.

Matka wyciągnęła bladozieloną nitkę i ponownie nawlokła igłę.

– Co powiedziała, kiedy się poskarżyłeś, że Grom, hm, figluje z twoimi klaczami?

Zacisnął usta.

– Wcale nie było jej przykro i nie okazała ani odrobiny skruchy! Patrząc na mnie z góry, oznajmiła łaskawie, że jeśli którakolwiek z klaczy okaże się źrebna, chętnie albo odkupi klacz, którą zapłodnił Grom, albo źrebię, i to pozostawiła do mego uznania.

– A ty, co jej powiedziałeś?

Rzucił matce spojrzenie, a ona tym razem zachichotała już całkiem jawnie.

– Och, Marcusie, jakże jestem rada, gdy choć na chwilę przestajesz być taki sztywny.

– Sztywny! – wykrzyknął, zbity z tropu. – Czy dlatego, że nie afiszuję się co tydzień z inną baletniczką, nie wpadam pod stół z przepicia, nie przepuszczam majątku ani nie wjeżdżam konno po stopniach kaplicy, wszyscy muszą uważać mnie za nudziarza? Cóż złego w tym, że wolę spokojne, uregulowane życie? Czy jest coś nienormalnego w upodobaniu do ciszy i ładu oraz niechęci do wiecznego rozgardiaszu?

Tak dalece niczego nie pojmował, że pani Sherbrook z rozpaczą

potrząsnęła głową. Jej wysoki, przystojny syn dobiegał czterdziestki i nawet ona uważała za nienaturalne, że nigdy nie przysporzył jej cienia troski. Nawet w młodości nie pakował się w najmniejsze tarapaty, nie było mowy o żadnych szaleństwach z jego strony. Zawsze był czuły, uprzejmy, obowiązkowy i nawet w najtrudniejszych sytuacjach niezawodnie postępował właściwie, zachowując trzeźwy umysł, za co żywiła głęboką wdzięczność... zazwyczaj. Taki syn stanowił przedmiot dumy i ona czuła tę dumę. Niezmierną. Uważała wszakże, iż powinien choć raz w życiu zaryzykować i rzucić się w jakąś skandaliczną eskapadę. Nie bardzo skandaliczną, napomniała się ostrożnie, tyle tylko, by dodała nieco dreszczyku do jego życia, wytrąciła ze statecznego, flegmatycznego bytowania, które najwyraźniej było mu przeznaczone. Gdy nadal wpatrywał się w nią z niezmiernie zdumioną miną, przyznała: – Nie, nie ma nic złego w stałości obyczajów. I poczytuję sobie za prawdziwe szczęście, że nigdy z twojego powodu nie musiałam chować twarzy ze wstydu. Przeciwnie, zawsze byłam z ciebie niezmiernie dumna, ale, Marcusie, nie jesteś zramolałym starcem. A tymczasem, odkąd pamiętam, zachowujesz się i postępujesz, jakbyś miał nie wiadomo ile lat. – Niemal ze smutkiem zapytała: – Czy nigdy nie chciałeś uciec od monotonii wiejskiego życia? Nigdy nie zatęskniłeś za przygodą, nie chciałeś wyrwać się spod kurateli, porzucić codzienności i ustalonego porządku?

– Czy to ma znaczyć, że chcesz, bym został szaławiłą? – zapytał z niedowierzaniem. – Czy mam dać sąsiadom pożywkę do plotek, ryzykując zdrowie i życie w wyścigu mojej kariolki z dyliżansem pocztowym, spraszając do domu rozpustników i karciarzy, a także piszczące tancereczki, podczas gdy ty musiałabyś się kryć na piętrze, by nikt cię nie nagabywał we własnym domu? Toż wtedy byłby ze mnie kawał nicponia.

– Och nie, nie! – zakrzyknęła pani Sherbrook, przerażona nakreślonym przezeń obrazem. – Oczywiście, że nie – dodała spokojnie po chwili. – Rzecz w tym, że zawsze byłeś takim dobrym synem, nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego, lecz śmierć twojego ojca, gdy byłeś tak młody, i obowiązki, które na ciebie z tego powodu spadły...

– Miałem dwadzieścia trzy lata, mamo, nie byłem uczniakiem. – Uśmiechnął się do niej. – Mężczyzna w tym wieku już wie, czego chce. Gdybym pożądał uroków Londynu, mógłbym z nich korzystać bez przeszkód. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Co czynię od czasu do czasu. Czerpię z nich pełnymi garściami. – Usiadł obok niej na kanapie. Ujął jej rękę i pocałował ją. – Mamo, dlaczego ani ty, ani nikt inny, włączając w to Juliana i Charlesa, nie możecie uwierzyć, że jestem

całkiem zadowolony ze swojego życia? – zapytał zdumiony. – Zrozum, gdybym nie był, odmieniłbym je. Uwierz mi, kiedy przysięgam, że lubię mieszkać na wsi. Lubię nawet towarzyszyć ci podczas corocznego sezonu towarzyskiego w Londynie i...

– Po czym ochoczo ruszasz z powrotem do dworu w Sherbrook, gdy tylko pozwala ci na to przyzwoitość – dorzuciła pod nosem matka.

– Tu mnie masz! Ale wir przyjęć i balów, który tak uwielbiasz, śmiertelnie mnie nudzi. A co do uganiania się za baletniczkami, zgrania się w karty w jakiejś spelunce na Pall Mall czy spicia się do nieprzytomności... – Prychnął. – Te rozpustne rozrywki nigdy mnie nie pociągały. – Tu kpiarski uśmiech zagościł na jego twarzy. – Sama widzisz, jestem zadowolony ze swego życia.

Spojrzała na niego z namysłem.

– Nie wiem, czy gdybym była tobą, wystarczyłoby mi ledwie zadowolenie.

– A co, wolałabyś, żebym był nieszczęśliwy? – przekomarzał się z nią. – Niezadowolony? Żebym nie mógł znaleźć sobie miejsca?

Westchnęła w duchu. Żadna matka nie mogłaby sobie wymarzyć lepszego syna: Marcus był człowiekiem czułym, hojnym, honorowym, niezwykle wartościowym, ale... Można być zbyt wartościowym. Gdy tak nań patrzała, serce wezbrało jej miłością i dumą. Był wysoki, barczysty, lecz smukłej budowy i wiedziała, że wszędzie, gdzie się pojawiał, przykuwał uwagę. Kobiety go podziwiały, widziała, jak posyłały mu wyczekujące spojrzenia, spojrzenia, których w ogóle nie zauważał, co skonstatowała z przygnębieniem. Ale choć zwracał powszechną uwagę, nie był przystojny w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Rysy miał zbyt wyraziste, niezwykle wydatną szczękę i brodę, jednak zmysłowy zarys pełnej dolnej wargi kazał kobietom zapominać o tych niedoskonałościach i skupiać się na rozkoszach, które obiecywały tak kuszące usta. Matka często żałowała, że nie odziedziczył po niej szmaragdowych tęczówek, lecz z przyjemnością patrzała w inteligentne, szare po ojcu oczy syna – w ciemnej twarzy sprawiały uderzające wrażenie. Ale mimo całej kryjącej się w nich inteligencji nie dostrzegał, że przystojny, męski mężczyzna, który zagrzebał się na wsi, gdzie prowadził życie mnicha, nie powinien być z tego stanu rzeczy zadowolony! Oczy jej się zwęziły. Naturalnie może się mylić co do mnisich obyczajów syna, mimo wszystkich swych cnót, gdyby miał kochankę w mieście, matce raczej by się z tego nie zwierzył.

– Och, co za niemądra rozmowa – rzekła, odkładając robótkę.

– A kto ją zaczął, jeśli wolno spytać? – rzekł Marcus z figlarnym

błyskiem w oku.

Uśmiechnęła się. – Teraz ja muszę przyznać się do winy. – Podniosła się, strzepując sute fałdy sukni. – Czy wszystko jest przygotowane na nasz wyjazd do Londynu w przyszłym tygodniu? – zapytała. – Otrzymałam wczoraj list od lady Bullard. Pisze mi, że odbywa się sesja parlamentu i że sezon już się zaczął. Nie chcę zbyt długo zwlekać z wyjazdem.

– Wszystko jest załatwione – odparł Marcus, odprowadzając ją do drzwi. – Jeśli tylko masz spakowane swoje liczne suknie i pogoda się utrzyma, wyjedziemy we wtorek.

Sprawy potoczyły się zgodnie z planem Marcusa. W następny wtorek odwiózł do Londynu matkę, panią Shelby, która była jej panią do towarzystwa, oraz kilkoro dworskiej służby, a także ulokował ich wygodnie w miejskiej rezydencji Sherbrooków. Przy okazji corocznej podróży matki do miasta odwiedzał krawca i szewca, zaopatrywał się w artykuły możliwe do dostania tylko w Londynie, jak również pokazywał się u White'a i w paru innych klubach, do których należał. Nie kłamał, mówiąc, że chętnie towarzyszy matce do Londynu. Naprawdę sprawiało mu to radość, podobnie jak miejski zgiełk, koloryt i zamęt, lubił spotykać się ze starymi przyjaciółmi i słuchać najnowszych ploteczek, a nawet z uwagą oglądać krąg dobrze urodzonych niewiast, które świeżo pojawiły się na małżeńskim targowisku. Ale w mieście wytrzymywał najwyżej dwa tygodnie i koniec kwietnia znowu zastawał go we dworze w Sherbrook.

Jasmine, kasztanka ze strzałką na czole, oraz klacz o lśniącej, karej sierści, pełnej krwi angielskiej, nie dopuściły do siebie miejscowego ogiera i Marcus pogodził się z myślą, że następnego marca w jego majątku urodzą się źrebięta po Gromie. Choć zamierzał pokryć klacze własnym rozpłodowcem, Prymusem, nie był z tego obrotu rzeczy niezadowolony, ale czuł się nieswojo. Nie można przewidzieć, na czym sprawy staną, gdy ma się do czynienia z Isabel.

Tego ciepłego kwietniowego ranka, wracając ze stajni do głównego budynku, rozważał możliwości, jakie miał do wyboru. Mógł nie informować Isabel o niczym do czasu urodzin źrebiąt albo przesłać jej bilecik z wiadomością, że w przyszłym roku przyjdą na świat dwa dodatkowe źrebięta po Gromie. Chyba że pojedzie do dworu w Manning i powie jej to osobiście. Bilecik, pomyślał tchórzliwie. Najłatwiej będzie wysłać bilecik.

A jednak gdy zasiadł w gabinecie, mając przed sobą czystą kartę

papieru i gęsie pióro w ręce, uznał, że nie będzie skrywać się za byle bilecikiem. Odłożył pióro na bok, odepchnął się od biurka z wiśniowego drewna i wstał.

Powiedział sobie, że dzień jest przyjemny, idealny do jazdy. Najlepiej będzie, jeśli pocwałuje do dworu w Manning i osobiście podzieli się wieściami z Isabel. Kąciki ust uniosły mu się w uśmieszku. Jakież błazeństwa wyczynia droga Izzy, by okpić mnie na dwóch klaczach! – pomyślał.

Pogwizdując wesoło, wyszedł z gabinetu i skierował się ku stajniom. Niebawem na zgrabnym czarnym wałachu przemierzał pagórkowatą okolicę, radując się śpiewem ptaków i cienistymi dębami, przez które przeświecały promyki słońca.

Posiadłości Manningów i Denhamów przylegały do ziem Sherbrooków, a te trzy rodziny zawsze przyjaźniły się ze sobą i łączyły je dobre sąsiedzkie stosunki. Lord Manning był sąsiadem Marcusa od północy, a sir James, wujek Isabel, od wschodu i prócz drogi publicznej między owymi trzema posiadłościami przechodziło kilka ścieżek prywatnych. Jadąc na skróty przez las, Marcus niebawem znalazł się na terenach należących do Manningów.

Nadal znajdował się w pewnej odległości od głównego domu, gdy doszły go podniesione głosy. Natychmiast rozpoznał głos Isabel, choć nie bardzo rozróżniał słowa. Sądząc z tonu, była zagniewana i gromko beształa jakiegoś nieszczęśnika, lecz Marcus posłyszał w jej głosie coś, co kazało mu zmusić wałacha do truchtu.

Gdy podjechał bliżej, wyraźnie usłyszał słowa Isabel:

– Dość tego! Nie waż się pan więcej do mnie zbliżać! Następnym razem poszczuję was psami i niech was diabli wezmą!

Mężczyzna mruknął coś gardłowo, a Isabel krzyknęła:

– Jak śmiesz! Zabierz łapska, łajdaku!

Marcus zawrócił na wąskiej, pokrytej liśćmi ścieżce i znalazł się na wprost Isabel oraz krzepkiego, nieznanego mu draba, stojących z boku polanki. Marcus znał wszakże ten typ ludzi: były wojskowy, sądząc z fryzury, kroju kurtki i sposobu zawiązania fulara. Do pobliskiego drzewa przywiązana była para koni.

Marcus natychmiast powziął przekonanie, że nie było to przypadkowe spotkanie. Para przeciwników uwagę skupiła na sobie nawzajem i przez chwilę żadne nie zdawało sobie sprawy z obecności Marcusa. Mężczyzna jedną ręką mocno przyciskał ramię Isabel, która usiłowała się wyswobodzić. Rzuciwszy okiem na twarz kobiety, Marcus zorientował się, że jest bardziej wściekła niż wystraszona, a coś w jej rysach

spowodowało, że poczuł ucisk w dołku i odnowiony instynkt opiekuńczy skłonił go do natychmiastowego działania.

Jego spokojne zachowanie stało w sprzeczności z przypływem wściekłego gniewu, który przeszył go na widok ręki nieznajomego zaciśniętej na ramieniu Isabel. – Pani o coś prosiła – rzucił szorstko. – Należy jej usłuchać. I to już.

Spojrzenie Isabel pobiegło w jego kierunku, a jej oczy rozszerzyły się, gdy dojrzała go w odległości zaledwie paru jardów, siedzącego na wielkim, karym koniu. Na jej twarzy pojawił się wyraz zażenowania połączonego z obawą, nim zdołała się opanować i przybrać maskę uprzejmości. Marcus rozumiał zażenowanie. Ale obawa? Wielki Boże! Przecież nie ma powodu, by obawiała się jego.

Nieznajomy zmierzył wzrokiem Marcusa i to, co dojrzał w jego twarzy, kazało mu puścić ramię Isabel i odsunąć się od niej o krok. – Nie ma powodu rzucać mi takich morderczych spojrzeń – rzekł z uśmiechem. – To po prostu nieporozumienie między starymi przyjaciółmi. – Spojrzał na Isabel, po czym dorzucił aksamitnym tonem, który jeszcze bardziej rozwścieczył Marcusa: – Czyż nie tak, droga pani Manning?

Isabel skinęła głową, unikając wzroku Marcusa. – T... tak. Major Whitley b... był przyjacielem Hugh w Indiach. Przez parę lat stacjonował koło nas w Bombaju. – Z rumieńcem na licu dodała pospiesznie: – Niedawno odszedł z wojska i odwiedza znajomych z sąsiedztwa. Gdy się dowiedział, że mieszkam w pobliżu, przybył z wizytą.

Isabel nigdy nie umiała dobrze kłamać, lecz Marcus wysoko ocenił jej starania. Nie wątpił, że część z tego, co mówiła, jest prawdą, może nawet wszystko, lecz wiele pozostało niedopowiedziane, co podnieciło jego ciekawość – przede wszystkim, że major Whitley najwyraźniej jej groził. Marcus uznał natychmiast, że on sam może jej grozić do woli, lecz komu innemu wara. Zeskoczył z konia, lekko uchwycił wodze okrytą rękawiczką dłonią i zbliżył się do skłóconej pary.

– Ach, więc znał pan państwa Manningów w Indiach, czy tak? – wycedził, zatrzymując się parę kroków od Whitleya.

Ten przechylił głowę, czujnie wpatrując się w Marcusa ciemnymi oczami. – Tak. Poznałem Hugh, gdy stacjonowałem w Indiach. – Posłał Marcusowi szelmowski uśmiech. – W tamtych czasach byliśmy wesołymi kawalerami i niegdyś uważałem Hugh za serdecznego przyjaciela. Jego małżeństwo nie osłabiło naszej przyjaźni, a gdy pani Manning zawitała do Bombaju, często zapraszała mnie na obiady. – Rzucił spojrzenie Isabel. – Za co winienem jej wdzięczność do końca życia. Pani Manning była uroczą gospodynią dla biednego, samotnego oficera. Ona i Manning

często podejmowali paru stacjonujących tam wojskowych.

Whitley prezentował się krzepko i okazale, a jego ciemne włosy były lekko przyprószone siwizną. Nad czarnymi oczami sterczały krzaczaste brwi i kiedyś mógł uchodzić za przystojnego mężczyznę, lecz ślady rozpusty zatarły i zniekształciły jego niegdyś wyraziste rysy. Marcus z miejsca poczuł do niego wrogość.

– Oficer – zauważył uprzejmie. – Wystąpił z wojska. Niedawno. – Zrobił zdumioną minę. – To bardzo dziwne. Skoro Castlereagh znowu objął ministerstwo wojny i po całym kraju gruchnęła wieść, że sir Wellesley planuje latem inwazję na kontynent, można by założyć, że wojsko będzie chciało wykorzystać tak doświadczonego oficera jak pan. Znajomy oficer wspominał niedawno, że w czasie wojny z Francją łatwiej jest awansować i że dla człowieka chcącego zrobić karierę, to kapitalny czas do służby.

Whitley nie podjął aluzji, że obrał niestosowny moment do przejścia na emeryturę, i wzruszył tylko ramionami.

– Szkoda, że nie będę w armii, która w końcu pokona Napoleona, ale po dwudziestu latach w wojsku zapragnąłem odmiany.

– Aha. I ta, hm, chęć odmiany przywiodła pana do Dewonu? – Gdy Whitley skinął potwierdzająco, Marcus zapytał: – Długo zamierza pan tu zabawić?

Wzrok Whitleya pobiegł w kierunku Isabel. Wróciwszy spojrzeniem do Marcusa, odparł z uśmiechem:

– Nie mam jeszcze ustalonych planów. Znalazłem w tej okolicy, hm, uroki, których próżno szukać gdzie indziej.

– Doprawdy? – mruknął pod nosem Marcus, tak dalece nie kryjąc sceptycyzmu, że można by to poczytać za zniewagę. – To doprawdy bardzo dziwne! Nie mamy tu w okolicy żadnych atrakcji geograficznych, a choć wybrzeże Dewonu obfituje w piękne miejsca, od tych widoków dzieli nas parę kilometrów. – Wyraz jego oczu był nie do odczytania, lecz ton głosu ocierał się o sarkazm. – Da pan wiarę, że mieszkałem tu całe życie i nie mogę w tej chwili przypomnieć sobie żadnego z owych, hm, pewnych uroków, które przyciągnęłyby uwagę tak doświadczonego podróżnika jak pan. Może zechciałby pan mi je wskazać? Zwłaszcza że najwyraźniej je przeoczyłem.

Whitleyowi nie podobał się ani ton Marcusa, ani jego uporczywe wypytywanie, jednak postanowił zachować zimną krew. Szukając wskazówek, jak winien odnosić się do tego wysokiego mężczyzny, który go onieśmielał, rzucił spojrzenie Isabel. Ale z tej strony nie mógł liczyć na ratunek, Isabel gapiła się na Marcusa z rozchylonymi ślicznymi

usteczkami, jakby widziała go pierwszy raz w życiu, a w jej szeroko otwartych oczach malował się strach.

Myślała z niedowierzaniem, że gdyby nie znała Marcusa, przysięgłaby, że ten stateczny, trzeźwo myślący, nieznośnie uprzejmy dżentelmen chce sprowokować zupełnie obcego mu człowieka do bójki! Z niepokojem wpatrywała się w jego wydatną szczękę i chłodne, szare oczy, zastanawiając się, gdzie podział się ten serdeczny, sympatyczny, och, i czasami doprowadzający do szału Marcus, którego znała przez całe życie.

Ponieważ Whitley nie mógł liczyć na pomoc Isabel, rzekł niedbale:

– Obcy w okolicy często wszędzie dostrzegają skarby... które umykają uwadze ludzi mijających je codziennie.

– Może to być prawdą – zgodził się Marcus. – Ale mimo wszystko chciałbym wiedzieć, o jakich to skarbach mowa.

Whitley zacisnął wargi. Czy ten człowiek jest tak tępy? Nie będąc w nastroju do dalszej wymiany zawoalowanych uwag z irytującym nieznajomym, Whitley zastanawiał się nad następnym krokiem. Zazwyczaj w obliczu otwartej wrogości bijącej od obcego intruza wycofałby się i powrócił o dogodniejszej porze, lecz Isabel pokazała charakterek, a tego nie można było tak zostawić. Jeśli sądzi, że pozbędzie się go tak łatwo, niebawem się dowie, że jest w błędzie, i drogo za to zapłaci. Po raz kolejny oszacował nieznajomego wzrokiem i zmełł przekleństwo. Na jego oko ten gość tak łatwo nie ustąpi. I kim, do diaska, jest ten chłopek roztropek? Uświadamiając sobie, że nieznajomy w ogóle się nie przedstawił, Whitley rzekł:

– Przepraszam, ale nie usłyszałem pańskiego nazwiska.

– Nazywam się Marcus Sherbrook – odparł Marcus, bez śladu zwykłej u niego przyjacielskości w głosie.

– Nie jest pan przypadkiem tym opiekunem prawnym, tym despotycznym potworem, który wypędził naszą kochaną panią Manning z Anglii? – zakrzyknął Whitley, a po jego twarzy przemknął wyraz zdumienia.

Bez uśmiechu Marcus spojrzał na Isabel, która spuściła wzrok i miała na tyle przyzwoitości, że oblała się rumieńcem. Zwracając wzrok z powrotem ku Whitleyowi, skłonił się i rzekł chłodno:

– Tym samym. Choć sądzę, że w obecnej dobie stosowniejszym tytułem byłby „dawny opiekun prawny i despotyczny potwór”.

– Doprawdy – powiedział Whitley – niezwykle miło mi pana poznać. Ponieważ moja kochana pani Manning tak często o panu wspominała, mam wrażenie, jakbym już pana znał.

Z szyderczym błyskiem w oku Marcus mruknął pod nosem: – Miło mi, że jestem tak znany. – I pomyślał, jeśli ten czarnooki łotr jeszcze raz powie o Isabel „moja kochana pani Manning" tym swoim lizusowskim głosem... Ręka zwinęła mu się w potężną pięść, a przez głowę przemknął miły sercu obraz tej pięści walącej Whitleya w gębę.

Nieświadom, jak niewiele brakowało, by miał twarz rozbitą na miazgę, Whitley się zaśmiał.

– Poznawszy pana, widzę teraz, że pański obraz jako absolutnego potwora, który nakreśliła Isabel, był zwodniczy.

– Proszę pamiętać, że w czasie, gdy wygłaszałam te uwagi, byłam bardzo młoda – włączyła się do rozmowy Isabel, w której głosie brzmiało zdenerwowanie.

– To prawda – przyznał Whitley – ale obstawała pani przy nich bardzo konsekwentnie. Pamiętam, że wielokrotnie się pani skarżyła na nierozsądne zachowanie swego okropnego opiekuna, który ciągle utrącał pani plany.

Zebrawszy się na odwagę, Isabel skruszonym wzrokiem spojrzała Marcusowi w twarz. – To było dawno temu i nie ma po co do tego wracać – rzekła surowo.

– Ależ to taki smakowity kąsek, moja droga – rzekł Whitley, wpatrując się w Isabel z wrednym uśmieszkiem. – Sądząc z pani uwag, spodziewałem się spotkać prawdziwego potwora, a tymczasem widzę rozsądnego dżentelmena.

– Jak stwierdziła pani Manning, było to dawno temu – oznajmił kategorycznie Marcus, któremu nie podobała się złośliwa radość Whitleya z zakłopotania Isabel, a jeszcze bardziej niepokoiły go ukradkowe, pełne lęku spojrzenia, które młoda kobieta rzucała w stronę majora, gdy tylko sądziła, że nikt na nią nie patrzy. Boi się go, uznał złowróżbnie Marcus. Ale dlaczego? Uświadomił sobie, że nieważne dlaczego, liczy się to, że Isabel obawia się tego „przyjaciela" z przeszłości i że w jego Marcusa mocy leży uchronienie jej przed wszelkim złem, jakie Whitley mógłby na nią ściągnąć. Ni z tego, ni z owego rzekł: – Poznanie pana było niezwykle, hm, kształcącym przeżyciem, ale proszę nam teraz wybaczyć, gdyż mamy z panią Manning do pomówienia.

Whitley zesztywniał.

– Nie chciałbym panu w niczym uchybić, ale zdaje mi się, że to pan przerwał mi rozmowę z panią Manning.

W szarych oczach pojawił się błysk. – Zapewne źle mnie pan zrozumiał – rzekł lodowato Marcus. – Poprosiłem uprzejmie, by zechciał pan odejść. Proponuję zatem, by pan to uczynił, zanim zapomnę

o dobrym wychowaniu.

Major Whitley nie przeżyłby dwudziestu lat w wojsku, gdyby nie wiedział, kiedy należy dokonać strategicznego odwrotu. Nie miał pojęcia, na ile groźny jest Sherbrook, ale zaświtało mu, że mądry człowiek w tym momencie ustąpiłby pola. Spojrzał na Isabel. Będą inne spotkania. Spotkania bez apodyktycznego pana Sherbrooka.

Wbrew swej naturze pan Whitley uśmiechnął się i rzekł cicho: – Rzeczywiście, widocznie coś źle zrozumiałem. Proszę o wybaczenie. – Napotykając chłodne spojrzenie Marcusa, dodał: – Do następnego spotkania, panie Sherbrook.

Zwracając się do Isabel, ujął jej rękę z ukłonem. Gdy dopełnił tej ceremonii, stanął przed Isabel i uśmiechnął się. Nie był to sympatyczny uśmiech. – Miło było odnowić naszą znajomość – rzekł. – Z niecierpliwością wyglądam następnego spotkania. Mamy wiele do pomówienia o dawnych czasach w Bombaju, nieprawdaż, droga pani?

Marcus przyglądał się im ze zmarszczonymi brwiami. Ten łotr chyba jej nie grozi? Ale więcej powiedziało mu mimowolne wzdrygnięcie się Isabel, gdy dłoń Whitleya dotknęła jej ręki, a także błysk strachu w oczach, szybko schowany za powiekami. Jego źrenice się zwęziły. Najwyraźniej będzie musiał zrobić zdecydowany krok, a przyszedł mu do głowy tylko jeden sposób, który pozwoliłby pozbyć się tego hultaja i zapewnić Isabel ochronę przed kolejnymi umizgami.

Marcus podszedł do nich, wyjął rękę Isabel z dłoni Whitleya, objął jej zimne palce i rzekł:

– Wraz z panią Manning damy panu znać, kiedy będziemy oczekiwać następnej wizyty.

– Pani Manning chyba może sama wysłać mi zaproszenie – warknął Whitley. – Nie musi pytać pana o pozwolenie.

– A, i tu się pan myli – rzekł Marcus. – Uśmiechając się ciepło do Isabel, podniósł jej rękę do ust i wycisnął pocałunek na kłykciach. Zwracając wzrok na Whitleya, dodał: – Widzi pan, pani Manning uczyniła mi ten zaszczyt, że przyjęła moje oświadczyny. Jako swego przyszłego męża, pani Manning będzie musiała mnie prosić o pozwolenie w wielu sprawach.

# Rozdział 2

– Zechce mi pan wyjaśnić – powiedziała sarkastycznie Isabel – co też strzeliło panu do głowy? Jak pan śmiał powiedzieć Whitleyowi, że jesteśmy zaręczeni? Co za bzdura! – Całe jej ciało drżało od tłumionych emocji, obrzucała Marcusa wściekłym spojrzeniem, a on prawidłowo wywnioskował, że to nie radość wywołała w niej taką burzę uczuć.

Gdy Whitley opuścił już pospiesznie świeżo zaręczoną parę, jechali do dworu w Manning w kłopotliwym milczeniu. Niebawem znaleźli się w eleganckim gabinecie znajdującym się w głównym skrzydle imponujących stajni dziedzica Manning. Mocno zamknęły się za nimi ciężkie, mahoniowe drzwi. Żółte światło wlewało się do pomieszczenia przez szereg wąskich okien wychodzących na kilka wygonów, gdzie długonogie klacze i źrebięta pełnej krwi brykały na soczystej, zielonej trawie.

Marcus skrzyżował ręce na piersi i oparłszy się plecami o framugę drzwi, w zamyśleniu przyglądał się Isabel. Dlaczego właściwie, zastanawiał się, choć przez chwilę uważałem, że będzie rada z tego, że się wtrąciłem? Skrzywił się. Jak mógł zapomnieć o jej upartym dążeniu do niezależności? W przeszłości doprowadziło ono do wielu zatargów między nimi i wygląda na to, że nic się nie zmieniło. Wedle jego mniemania zachował się odpowiedzialnie, wręcz honorowo, a Isabel jest na niego wściekła. Dlaczego go to nie zdziwiło?

Z zachwytem mierzył wzrokiem jej zgrabną, drobną sylwetkę, gdy sztywnym krokiem krążyła po pokoju. W bursztynowym stroju do konnej jazdy, przybranym jedwabnym galonem, z rudymi włosami związanymi zielono-brązową kokardą w szkocką kratę, z których wymykało się kilka kosmyków, rzucając cień na jej policzki, wyglądała czarująco.
A właściwie wyglądałaby, gdyby się tak strasznie nie naburmuszyła.

Isabel opadła gwałtownie na grubo wyścielany skórzany fotel stojący za masywnym dębowym biurkiem i, opierając łokcie na blacie, skryła

głowę w dłoniach. – Jak mógł pan zrobić coś tak lekkomyślnego i nieodpowiedzialnego? – spytała stłumionym głosem. – Wielki Boże! O czym pan myślał?

Marcus przyznał, że było to bardzo dobre pytanie. Nie miał pojęcia, o czym myślał, wygłaszając to śmiałe oświadczenie. A nieprawda, wyszeptał cichy wewnętrzny głosik, wiedział doskonale, o czym myślał. Od pierwszej chwili nie ulegało dla niego wątpliwości, że Isabel boi się Whitleya i potrzebuje ochrony przed niebezpieczeństwem, jakie ten człowiek dla niej stanowi, wieść o jej zaręczynach z Marcusem dawała jej taką osłonę. Bezsprzecznie major na tę wieść aż zachwiał się na nogach, czując, że ziemia usuwa mu się spod stóp, myślał z zadowoleniem Marcus, przypominając sobie minę starego wiarusa. Zazwyczaj nie cieszyły go niepowodzenia bliźnich, lecz musiał przyznać, że oszołomienie na twarzy majora i jego szybki odwrót sprawiły mu ogromną przyjemność. Uznał, że większej przyjemności zaznałby tylko doprowadzając majora do wybuchu wściekłości i miał nadzieję, że wojskowy da mu jeszcze do tego okazję.

Whitley może się i wycofał, ale Marcus nie miał złudzeń – jeszcze się pojawi. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Whitley ma jakąś władzę nad Isabel, sądząc nie z tego, co podsłuchał, choć to samo w sobie było obciążające, lecz na podstawie całego zachowania młodej kobiety. Niewątpliwie dojrzał strach w jej oczach, a zaskakująca reakcja na jego pomysł zaręczyn również dawała do myślenia.

Isabel nie odezwała się słowem, rzuciła mu tylko rozgorączkowane spojrzenie, w którym zdumienie mieszało się z poczuciem ulgi, zaskoczenia i zakłopotania, po czym znowu spuściła wzrok. Wiedziała równie dobrze jak Marcus, że kłamie on w żywe oczy, ale nie wyjaśniła Whitleyowi, że o żadnych zaręczynach nie ma mowy, i to było dziwne. Pamiętał przecież, że Isabel potrafiła go obsztorcować, z góry na dół, jeśli czuła taką potrzebę. Krzywiąc się, przypomniał sobie ich dawne utarczki, gdy byli o wiele młodsi, lecz teraz z kamiennym spokojem, milcząco potwierdziła prawdziwość jego słów. Nie krzyknęła, nie wściekła się, nie zaprzeczyła gwałtownie – a on w zasadzie spodziewał się, że z miejsca wygarnie mu kłamstwo. Ale nie odezwała się słowem, nawet z jej miny niczego nie można było wyczytać, a jednak pamięta wyraźnie, jak jej palce zacisnęły się na jego dłoni, a ciało niemal niepostrzeżenie zbliżyło się ku niemu. Cokolwiek by teraz powiedziała, wtedy była mu wdzięczna za interwencję. A teraz jest pewnie zła na siebie za to uczucie, pomyślał cierpko.

Oderwawszy się od framugi, Marcus obszedł gabinet. – Nie

przejmowałbym się tym zbytnio – odezwał się wreszcie. – Przecież nie wysłałem zawiadomienia do „Timesa".

Uniosła gwałtownie głowę, wbijając weń gniewny wzrok. – Ponieważ to Whitleyowi oznajmił pan tę nieprawdopodobną nowinę, nie trzeba już wysyłać notki do „Timesa". Whitley jest jedną wielką chodzącą plotką. Bez obaw, przed wieczorem dowie się o tym pół Dewonu. – Spuściła wzrok i rzekła z goryczą: – Whitley był tak chętnie zapraszany w Bombaju między innymi dlatego, że znał wszystkie wieści i pogłoski. Posiadał osobliwy talent do wywęszenia każdej sensacji w chwili, gdy się wydarzyła.

– A czy on coś wie o pani? – zapytał cicho Marcus.

– Skądże!

Powiedziała to tak żarliwie, że prawie go przekonała. Prawie. Zmarszczył brwi. Nie dość, że bała się Whitleya, to jeszcze nie chciała o tym mówić. Jakże może jej pomóc, zastanawiał się zgryźliwie Marcus, skoro nie chce mu zdradzić, co Whitley chowa w zanadrzu?

Wpatrywał się w jej delikatny profil rysujący się na tle okien, przez które wyglądała Isabel. Trzynaście lat minęło, odkąd starli się ze sobą w ów pamiętny poranek we dworze w Sherbrook, lecz na twarzy Isabel niemal nie było widać oznak upływającego czasu. To prawda, że nie wyglądała już jak dziecko, którym wówczas była, została żoną, matką i wdową. Te wydarzenia nie minęły bez śladu, lecz te ważne w jej życiu sprawy jedynie wyrobiły i udoskonaliły charakter i stalową wolę kryjącą się pod powłoką łagodnej młodzieńczości. Jej twarz wyrażała teraz dojrzałe piękno, którego nie było w niej przed trzynastoma laty, a choć odwróciła spojrzenie od Marcusa, widział on, że w jej oczach, niegdyś tak niewinnych, teraz zawiera się znajomość świata, dojrzałość... i ściśle strzeżone sekrety.

Znali się niby dobrze, lecz czasami myślał, że właściwie wcale. Choć, prócz czasu spędzonego w Indiach, całe trzydzieści lat życia mieszkała w odległości zaledwie paru mil od Marcusa, ostatnio rzadko się widywali, z wyjątkiem paru okazji towarzyskich, w których oboje uczestniczyli. Lepiej niż samą Isabel poznał jej syna podczas corocznych wypraw wędkarskich do Szkocji, na które od pięciu lat wyjeżdżał w towarzystwie starego barona i Edmunda. W czasie owych tygodni wakacji, gdzie Edmund go nie odstępował, bardzo polubił tego sympatycznego chłopaka. Choć widywał się głównie z synem i teściem Isabel, od czasu do czasu dowiadywał się o jej poczynaniach od swej matki i innych znajomych z okolicy, a lord Manning często opowiadał, co się dzieje we dworze, wspominając przy tym o synowej. Lecz choć Marcus sporo wiedział

o życiu Isabel w Manning, nie znał jej tak, jak tą znacznie młodszą Isabel i nagle zrobiło mu się z tego powodu przykro.

I oto stała przed nim ta kobieta, przeżywająca swe niewieście zmartwienia i troski, a on nie miał najmniejszego pojęcia, co dzieje się w tej ślicznej główce. Marcus westchnął. Był święcie przekonany, że Isabel ma poważny kłopot w postaci krzepkiego majora Whitleya, ale było jasne, że nie chce dzielić się swymi frasunkami z Marcusem. Przynajmniej jeszcze nie teraz...

Podchodząc do okien, wyjrzał na pasące się przed nim na wygonie klacze i źrebięta. – Whitley jest tu obcy – rzekł – a choć nadmienił, że zabawi jeszcze w okolicy, podejrzewam, że po moim oświadczeniu ruszy w swoją drogę. – Rzucił jej długie spojrzenie przez ramię. – Myślę, że major Whitley nie będzie już pani przysparzał kłopotów.

– Whitley nie przysparzał mi kłopotów – odparła spokojnie – ale pańskie dzisiejsze działania bez wątpienia narobią kłopotów nam obojgu.

Marcus odwrócił się od okna i podszedł do biurka. – Wątpię – odezwał się, patrząc na Isabel. – Tylko my troje wiemy, co powiedziałem.

– I spodziewa się pan, że Whitley będzie trzymał gębę na kłódkę? – zapytała z niedowierzaniem Isabel. Prychnęła. – Mówiłam panu, że to wielka chodząca plotka. Nawet jeśli nie uwierzył w pańskie oświadczenie, natychmiast przekaże je pierwszej napotkanej osobie – chociażby tylko po to, by narobić zamieszania. Musi mi pan uwierzyć – on uwielbia napuszczać ludzi na siebie.

Marcus wzruszył ramionami.

– Nie przejmowałbym się tym, co ma do powiedzenia jakiś obcy przejeżdżający przez nasze strony. Zaprzeczymy jego słowom i oświadczymy krewnym i znajomym, że coś źle zrozumiał. Skoro my stwierdzimy, że jest niewiarygodny, inni pójdą naszym śladem.

Przez chwilę na twarzy Isabel malowała się nadzieja, potem mina jej zrzedła, jej oblicze znów się zachmurzyło.

– Nic z tego. Niech pan pomyśli o plotkach.

– Plotki ucichną. Jakoś przez to przebrniemy. – Denerwowało go jej zachowanie – w końcu usiłował jej tylko pomóc. – Nie wiem, czemu robi pani z tego taką tragedię.

– Może dlatego, że nie lubię być przedmiotem domysłów i plotek.

Było tu coś na rzeczy i Marcus zaczynał żałować, że po prostu nie napisał do niej tego cholernego liściku na temat Groma i źrebiąt. Gdyby to zrobił, siedziałby sobie teraz wygodnie w domu i nie natknąłby się na tę nieprzyjemną scenę między Whitleyem i Isabel, do której po prostu musiał się wtrącić. A właściwie dlaczego się wtrącił – i to w tak teatralny

sposób? Dostał już nauczkę, że nie należy mieszać się w sprawy Isabel. Ale nie oglądając się na skutki, chcąc nie chcąc wskoczył w sam środek tej awantury i, co jeszcze dziwniejsze, wcale tego nie żałował. Powód tak niesłychanego zachowania był prosty – Isabel potrzebowała ratunku i on stanął w jej obronie.

Nie dostrzegał żadnego większego problemu. Nawet jeśli Whitley będzie paplać, wszyscy znajomi uznają wieści o ich wspólnych zaręczynach za przedni żart. Czyż Isabel nie widzi, że nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy w ich przyszły ślub? Wielki Boże! Przez lata prawie nie zamienili ze sobą słowa. Cóż za niedorzeczny pomysł.

– Skoro nie chce pani temu zaprzeczyć, ogłośmy, że to prawda, a za parę tygodni wszystko pani odwoła. Powie, że do siebie nie pasujemy czy coś w tym guście – zaproponował cierpko.

– Co? Mam wyjść na pustą kokietkę? – zapytała z oburzeniem.

– Ja przecież nie mogę się wycofać – dowodził. – To byłoby w złym tonie. Uznano by mnie za łajdaka.

– W tej chwili – warknęła – uważam, że jest pan łajdakiem!

– Serdeczne dzięki – rzekł z goryczą. – Wyświadczyłem pani przysługę i taką wdzięczność zyskuję za moje wysiłki.

– Zechce pan sobie przypomnieć – wycedziła przez zaciśnięte zęby – że nie prosiłam pana o żadne przysługi.

Marcus z trudem powściągnął wybuch gniewu. Patrząc z perspektywy czasu, przyznawał, że sposób, w jaki bronił ją przed Whitleyem, był niefortunny, bezsprzecznie oburzający i sam się dziwił, że działał tak nierozważnie. Choć nie pokazywał tego po sobie, był nieco oszołomiony swym zupełnie bezprzykładnie głupim zachowaniem. W ogóle nie myślał o małżeństwie, póki nie wypowiedział tych brzemiennych w skutki słów, a małżeństwo z Isabel w ogóle nie mieściło mu się w głowie. Do diabła! Z żadną kobietą, skoro już o tym mowa, pomyślał, będąc ze sobą zupełnie szczery, a zwłaszcza z Isabel! Najbardziej denerwujące było jednak to, że w ogóle nie zastanawiał się nad skutkami swego postępowania.
W niejasnej sytuacji po prostu zaczął działać. I do czego go to doprowadziło?

Rozważając ich położenie, Marcus dostrzegł... pewne trudności, nawet kłopoty, wynikłe z jego pochopnych i nieprzemyślanych działań, ale był przekonany, że wyjdą z tej sprawy obronną ręką. Jeśli nie stracą głowy i nie narobią głupstw, niebawem wszystko będzie po staremu.

Nagle przed Marcusem rozwarła się otchłań, gdy uprzytomnił sobie, że jeśli major jest znajomym którejś z serdecznych przyjaciółek jego matki, takich jak lady Carver, onieśmielającej małżonki wicehrabiego

Carvera, czy też mości Bassetta i jego żony, nie wywiną się z tego bez szwanku. Zaświtała mu też inna, równie nieprzyjemna myśl. A jeśli Whitley jest znajomkiem Garretta Manninga, siostrzeńca lorda Manninga? Jeżeli Garrett dowie się o zaręczynach, niebawem wieść ta dojdzie uszu lorda Manninga. Przerażająca możliwość małżeństwa z Isabel zamajaczyła mu w głowie, a gdy waga jego postępku dotarła doń z siłą kuli armatniej, na urodziwej twarzy Marcusa pojawił się grymas cierpienia.

– U których to znajomych zatrzymał się Whitley? – zapytał słabym głosem. Przełknął ślinę i powiedział już dźwięczniej: – Wszystko będzie zależało od tego, kim są i od ich znaczenia w okolicy – a także od ich wiarygodności.

Isabel zawahała się przez chwilę, po czym powiedziała cicho:

– Zatrzymał się w gospodzie Pod Rogiem Jelenia.

Marcus zmarszczył brwi.

– Przecież mówiła pani, że przybył w odwiedziny do przyjaciół?

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Wtedy wydawało mi się to najprostszym wyjaśnieniem. Nie wiedziałam jeszcze, że zamierza pan ogłosić nasze zaręczyny.

Marcus nie zwrócił uwagi na ostatnie zdanie. – Więc nie zna nikogo z sąsiedztwa? – zapytał z nadzieją.

– Nie. Ale zanim uzna pan, że wymigaliśmy się od skandalu, pragnę panu przypomnieć, że najmłodszy syn Keatinga, Sam, to serdeczny przyjaciel Edmunda, najstarszy zaś, Will, służy jako lokaj u mojego wujka we dworze w Denham. I proszę pamiętać – żona Keatinga jest bliską przyjaciółką kucharki lorda Carvera. Jeśli ktokolwiek z rodziny Carvera usłyszy o zaręczynach...

Jej słowa zgasiły wątłą iskierkę nadziei, którą wznieciła wieść, że Whitley jest obcy w okolicy. Marcus dobrze znał Keatinga, gadatliwego karczmarza spod Rogu Jelenia, i tę plotkarę, jego żonę. Jeśli dowiedzą się o zaręczynach od Whitleya...

Isabel przyglądała mu się bacznie, na jej ustach igrał złośliwy uśmieszek.

– Właśnie. Wystarczy jedno słowo Whitleya i wszystko się rozniesie.

Otwierając oczy, Marcus wzdrygnął się i skinął głową.

– I naturalnie Whitley, będąc wścibskim typem, bez wątpienia zacznie się rozpytywać, a przynajmniej napomknie coś o zaręczynach. Nawet w tej chwili, gdy sobie rozmawiamy, służba pewnie już o tym szepcze.

– A za parę godzin wieść przejdzie od pokojów dla służby do komnat dziedzica i dziedziczki – rzekła ze znużeniem Isabel.

Spojrzeli na siebie ponuro. Isabel pierwsza spuściła wzrok. Była na Marcusa wściekła, jednak gdy ich oczy się spotykały, serce mocniej jej biło i krew żywiej krążyła w żyłach. Choć budził w niej złość, nie mogła zaprzeczyć, że nigdy w życiu nie spotkała tak przystojnego mężczyzny. Nie mogła też udawać, że, przynajmniej na początku, nie była wdzięczna, kiedy wkroczył do akcji. Przez ułamek sekundy po wygłoszeniu jego zdumiewającego oświadczenia poczuła się bezpieczna pod opieką męskiego ramienia – a tego uczucia nie było jej dane przeżywać od bardzo dawna.

Spod spuszczonych rzęs z sentymentem przypatrywała się tej ciemnej, tak dobrze znajomej twarzy. Serce wezbrało w niej żalem na myśl, że niegdyś kuratelę Marcusa uważała za tak uciążliwą. Mogła teraz przyznać, że Marcus zawsze obchodził się z nią sprawiedliwie i miło się do niej odnosił, ona zaś była zbyt zapatrzona w siebie, zbyt uparta, po prostu zbyt młoda, by to docenić. W tamtych, dawno minionych dniach wystarczyło, by Marcus zaproponował jedno, a Isabel natychmiast pragnęła czegoś wręcz przeciwnego. Za każdym razem z niezmierną lubością przeciwstawiała mu się, wykłócała się z nim, obrażając go i obrzucając słowami pełnymi pogardy. Nic dziwnego, że przez całe dziesięć lat po jej powrocie do Anglii Marcus unikał swej byłej podopiecznej jak zarazy. Dała mu po temu wszelkie powody, myślała z żalem. A teraz...

Tok jej myśli przerwały słowa Marcusa. – Naprawdę bardzo mi przykro – powiedział łagodnie. – Chciałem tylko pani pomóc, a nie narobić takiego zamieszania.

– Zamieszania? – rzekła Isabel, nie wiedząc, czy wybuchnąć gniewem, czy płaczem. Czy ten człowiek niczego nie rozumie? Bez względu na to, czym się kierował, wywrócił jej życie do góry nogami. – Zamieszanie powstaje wtedy – wyjaśniła cierpko – gdy przyjmuje się dwa różne zaproszenia na obiad! A nie kiedy szykuje się do ślubu z kobietą, której się nie cierpi!

– To nieprawda, że pani nie cierpię – zaprzeczył ostro Marcus. – Czasami, mała złośnico, doprowadzała mnie pani do szału, ale zawsze panią lubiłem.

– To dość słaba podstawa małżeństwa – stwierdziła żałośnie, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w swe dłonie, którymi wspierała się o biurko.

Marcus stanął u boku Isabel i przykrył jej ręce swym wielkim łapskiem. – Ale też i nie taka zła, skarbie. – Uniosła ku niemu wzrok, jej złotobrązowe oczy zaszkliły się łzami. Nagle zabrakło mu tchu, na widok

tych łez przeszył go spazm bólu. Nigdy nie mógł znieść smutku Isabel, nawet gdy wyprowadzała go z równowagi. Odgarniając z jej policzka błyszczący, niesforny lok, rzekł głosem pełnym otuchy: – Hola! Rozchmurz się! Mądre głowy powiedzą ci, że małżeństwo, nawet między obcymi, to nie koniec świata. A nie jesteśmy sobie obcy. – Uśmiechnął się do niej. – Znamy się całe życie, to winno obrócić się na naszą korzyść, nieprawdaż? A nasze małżeństwo to nic pewnego, Whitley może powściągnie język.

Isabel potrząsnęła głową. – To do niego niepodobne. Uwierz mi, będzie węszył po okolicy i nie spocznie, póki nie dowie się wszystkiego, czego chce. W tym jest najlepszy – dodała łamiącym się głosem.

– Isabel, czy nie uważasz, że przyszła pora, by mi powiedzieć, co tu się naprawdę dzieje? – zapytał Marcus, marszcząc brwi.

Usiłowała wyrwać mu rękę, ale ją przytrzymał. – Nie – oznajmił – nigdzie nie uciekniesz i nie dostaniesz napadu złości. Czym Whitley trzyma cię w garści?

– N... niczym! Źle oceniłeś sytuację.

– Ale dobrze widziałem, że się go boisz i że go nie lubisz. Jeśli nie masz wobec niego zobowiązań, dlaczego spotkałaś się z nim dziś rano? Dlaczego go nie złajałaś? I nie próbuj mnie okłamywać – rzucił ostro.

– Źle to oceniasz – powtórzyła z uporem.

– Więc nie przytrzymywał cię wbrew twej woli? – zapytał cierpko. – A może zechcesz mi łaskawie powiedzieć, czy dobrze słyszałem, jak groziłaś, że poszczujesz go psami, jeśli nie zostawi cię w spokoju?

Uwalniając wreszcie rękę, Isabel zerwała się na równe nogi. Przeszedłszy na drugą stronę pokoju, odezwała się: – Major Whitley był bezczelny. Uważał naszą znajomość w Indiach za bliższą, niż to było w istocie. Gdy przekroczył granice, dałam mu dobrze zasłużoną odprawę. To wszystko.

Kłamała w żywe oczy, ale z poprzednich z nią utarczek Marcus wiedział, że przypieranie jej do muru nic nie da. Skoro nie chce powiedzieć mu prawdy, nie powie za diabła, a im mocniej będzie ją przyciskał, tym bardziej młoda kobieta będzie kręcić. – Zatem rób jak uważasz – zakonkludował z westchnieniem. Oparł się biodrem o róg biurka i wpatrując się w czubek wysokiego buta, oznajmił: – Można by powiedzieć, że niepotrzebnie się wtrącałem, za co winien jestem przeprosiny, ale to nie rozwiązuje naszego problemu.

– A nie mielibyśmy problemu – przypomniała mu z udawaną słodyczą – gdybyś nie wtrącał się w nie swoje sprawy.

– To prawda, ale się wtrąciłem i teraz, na swoje nieszczęście, muszę

ponosić tego skutki. – Nadal wpatrując się w swój lśniący but, ciągnął dalej: – Mamy parę możliwości, choć żadna nie jest niezawodna. Możemy założyć, że Whitley będzie trzymał gębę na kłódkę i problem po prostu zniknie, albo z chwilą, gdy będziemy musieli się z nim zmierzyć, wyśmiejemy wszelkie pomysły o naszych zaręczynach z nadzieją, że przekonamy rodzinę i znajomych, albo...

– Albo sami ogłosimy zaręczyny, a potem się pobierzemy – beznamiętnie zaproponowała Isabel.

– Chyba że skorzystasz z mojej wcześniejszej propozycji i wycofasz się za parę tygodni.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Już ci mówiłam – nie chcę, by okrzyknięto mnie płochą uwodzicielką.

– Więc co chcesz zrobić? – zapytał cierpliwie. – Ponieważ to wszystko moja wina, jestem gotów cię usłuchać.

– W całej tej aferze zachowujesz się aż nazbyt ujmująco – rzekła podejrzliwym tonem. – Czy nie zdajesz sobie sprawy, że możemy skończyć jako małżonkowie?

Marcus ze wszystkich sił starał się nie brać pod uwagę tej możliwości, lecz w miarę jak mijały minuty, uznał, że niebawem okaże się, iż naprawdę jest zaręczony z Isabel... a kiedyś, w przyszłości, zostanie jej małżonkiem. Zamknął oczy i wzdrygnął się, zamajaczył mu bowiem dogłębny wstrząs, jakiego w jego życiu dokonałoby małżeństwo. Wielki Boże! Co on narobił? Gdyby doszło do tego małżeństwa, Isabel i jej syn zamieszkaliby we dworze w Sherbrook, a jego uporządkowane, wygodne życie stałoby się pieśnią przeszłości. Za parę miesięcy przestanie być beztroskim kawalerem, układającym swoje sprawy wedle własnego widzimisię, zostanie mężem obarczonym pasierbem! Mężem, pomyślał przerażony. I to mężem Isabel.

Marcus nie potrafi ł tego wytłumaczyć, lecz zdawał sobie sprawę, że prócz strachu i bezsprzecznej paniki wzbiera w nim też dziwne uczucie podniecenia i niecierpliwej tęsknoty. Gdyby miał wybór, być może chciałby, żeby znalazł się jakiś inny sposób wybrnięcia z tej sytuacji, ale nawet tego nie był pewny. Przebiegł wzrokiem po szczupłej sylwetce Isabel i po raz pierwszy zobaczył ją, naprawdę ją zobaczył. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że jest fascynującą kobietą... kobietą, którą z przyjemnością wziąłby do łóżka. W tym momencie zniknęły wszelkie wspomnienia o niegdyś denerwującej podopiecznej oraz wdowie po Hugh Manningu, której należy za wszelką cenę unikać. Jak piorunem rażony, spojrzał na nią oniemiały z wrażenia, świadom, że jest niewiastą

niesłychanie powabną, niezmiernie pociągającą, a jej urocze krągłości kryją w sobie sekrety, które pragnie – nie, musi – poznać. Gdy jego oczy spoczęły na małym, jędrnym biuście Isabel, zapragnął poczuć miękkość i ciężar jej piersi w dłoniach, a ich smak na języku i zapłonął pożądaniem. W tej sekundzie chciał tylko podejść do niej, wziąć ją w ramiona, ucałować te zuchwałe usteczka i pieścić kuszące łono. Oddychał szybciej i zdając sobie sprawę z nieprzyzwoitej wypukłości w spodniach, podniósł się i wycofał do okna.

Odwrócony plecami do Isabel, usiłował opanować niesforne ciało, lecz świadomość jej kobiecości nadal miała nad nim władzę. Jego ciało było jednym wielkim bólem pożądania, toteż uparcie wpatrywał się w źrebaki i klacze, całym wysiłkiem woli powściągając chęć poznania jedwabistego ciała skrytego pod modną amazonką.

– Musimy się pobrać, musimy się pobrać – powiedział głosem ostrzejszym niż zamierzał.

Usłyszał za sobą jej szybkie kroki, gdy się doń zbliżała. – Nie rozumiesz, ty wielki tępaku? – zapytała wściekle. – Nie chcę wychodzić za mąż! Ani za ciebie, ani za nikogo innego!

Zmarszczywszy brwi, obrócił się nieco w jej stronę.

– Tak bardzo go kochałaś?

Prychnęła z irytacją.

– Nic ci do tego, co było między Hugh i mną. Po prostu nie chcę ponownie wychodzić za mąż.

– W takim razie – powiedział z wolna Marcus – musisz zdecydować, która z tych niezbyt atrakcyjnych możliwości najlepiej ci odpowiada.

Isabel obrzuciła go wściekłym wzrokiem.

– A nie musiałabym, gdybyś pilnował własnego nosa.

– Już cię za to przeprosiłem – przypomniał jej. – Nic więcej nie mogę zrobić.

Obróciwszy się na pięcie, Isabel podeszła do biurka i ponownie zapadła się w stojący przy nim fotel. Z łokciami na blacie znowu schowała głowę w dłoniach i powiedziała cicho: – Nie chodzi tylko o to, co mi najbardziej odpowiada, ale co spowoduje najmniejsze kłopoty i wywoła najmniej plotek. Muszę myśleć o synu i o moim teściu, a obaj byliby zachwyceni, gdybym za ciebie wyszła.

– Doprawdy? – zapytał niezmiernie z siebie rad Marcus, uśmiechając się głupawo.

Uniosła głowę na tyle, by rzucić mu wymowne spojrzenie, po czym znowu skryła ją w dłoniach.

– Tak, Edmund uważa, że z ciebie jest kapitalny gość, a teść

wspomniał niedawno, że jakże fortunnie by się złożyło, gdy bym ponownie wyszła za mąż... powiedzmy za sąsiada albo kogoś, kto mieszka w niezbyt wielkiej odległości, by mógł widywać wnuka, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota.

Omal nie powtórzył „doprawdy", ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Zamiast tego oznajmił: – Nie miałem pojęcia, że Manning chce, byś ponownie wyszła za mąż. – Zmarszczywszy brwi, dodał: – Można by pomyśleć, że to ostatnia rzecz, jakiej dla ciebie pragnie.

– Może umknęło to twojej uwadze, ale mniej więcej przez ostatni rok – zaczęła zgryźliwie – mój teść i pani Appleton zaczęli nieśmiało wokół siebie krążyć. Zauważyłbyś to, gdybyś nie uciekał zawsze do karcianego stolika.

Marcus znał Clarę Appleton. Ta pulchna dama o miłym obejściu, w wieku jego rodzicielki, należała też do kręgu przyjaciół pani Sherbrook i często bywała u nich we dworze. Jej małżonek, emerytowany admirał, który zmarł przed pięcioma laty, zapewnił jej dostatnie życie i Marcus nie miał pojęcia, że zamierzała ponownie wyjść za mąż. W każdym razie jego matka nigdy o tym nie wspominała, ani też, że baron myślał o ponownym ożenku. Ale ponieważ nie była to jego sprawa, wzruszył tylko ramionami i rzekł: – Skoro chce się z nią ożenić, nic nie stoi na przeszkodzie. Twoje małżeństwo nie ma tu nic do rzeczy.

– Nie rozmawiał ze mną o tym – wyjaśniła Isabel – ale przypuszczam, że niezręcznie jest mu prosić ją o rękę, póki ja z Edmundem mieszkamy we dworze w Manning. Nie chce sprawiać wrażenia, że wypycha mnie z domu, ale też wolałby, żeby jego nowa żona nie mieszkała pod jednym dachem z inną kobietą. Gdybym za ciebie wyszła, pozbyłby się wszystkich kłopotów. Ożeniłby się z panią Appleton, a Edmund i ja mieszkalibyśmy nieopodal.

Coś zaświtało Marcusowi.

– Czy moja matka o tym wszystkim wie?

– Przypuszczam, że tak. Bardzo się przyjaźnią z panią Appleton, a twoja matka i mój teść, oprócz tego, że ze sobą sąsiadują, są dobrymi znajomymi. Zdziwiłabym się, gdyby nie wiedziała.

– Mm, czy sądzisz, że twój teść wspomniał jej o swych nadziejach co do naszej wspólnej przyszłości?

– Najprawdopodobniej – przyznała ze słabym uśmieszkiem. – Często zastaję ich, jak się naradzają, ale z chwilą, gdy do nich podchodzę, przerywają rozmowę. – Spojrzała na niego z zaciekawieniem. – A dlaczego pytasz?

Marcus potarł szczękę.

– Przed wyjazdem do Londynu matka bardzo niepokoiła się moim trybem życia. Teraz wiem dlaczego.

– Powiedziała ci coś na ten temat? – spytała zdumiona Isabel.

Marcus potrząsnął głową. – Nie. Wbiła sobie do głowy, że nie mogę być szczęśliwy, żyjąc, jak mi się podoba – dodał z uśmiechem. – Uważa, że potrzeba mi w życiu silniejszych wrażeń.

– A więc dlatego zachowałeś się w tak niedopuszczalny sposób – krzyknęła Isabel, której oczy pociemniały z gniewu. – Uznałeś, że dodasz barw swemu życiu, rujnując moje?

– W żadnym razie! – zaprzeczył Marcus, choć teraz, gdy się nad tym zastanowił, nie mógł wykluczyć, że było coś na rzeczy. Czy nurtowały go słowa matki? Pomyślawszy chwilę, odrzucił to przypuszczenie. Jego postępek nie miał nic wspólnego z podchodami matki, Marcus chciał jedynie pokrzyżować szyki Whitleyowi i ochronić Isabel.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym młoda kobieta zapytała smętnie:

– I co teraz zrobimy?

Marcus wzruszył ramionami:

– Przedstawiłem ci możliwości, choć przyznaję, że niezbyt kuszące.

Z powagą wychyliła się do przodu. – Rozumiesz przecież, że małżeństwo między nami nie wchodzi w rachubę – powiedziała. Opuściła wzrok, po czym dorzuciła ochrypłym głosem: – Po śmierci Hugh... – Przełknęła ślinę. – Po śmierci Hugh przysięgłam, że nigdy ponownie nie wyjdę za mąż. To nie ma nic wspólnego z tobą. Po prostu... są powody, dla których małżeństwo z tobą czy z kimkolwiek innym nie wchodzi w grę. Więcej nie wyjdę już za mąż.

Wpatrując się w czubek jej pochylonej głowy, Marcus zmarszczył brwi. Czyżby nad grobem Hugh Isabel złożyła śluby czystości? Nie, to głupota. Jest śliczną, młodą kobietą. Mogłaby dać szczęście każdemu mężczyźnie i nie ma najmniejszego powodu, by odgradzała się od świata niczym nowicjuszka w klasztorze. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większy odczuwał niepokój. Hugh Manning był wspaniałym mężczyzną, lecz nie mógł uwierzyć, że obdarzył Isabel taką miłością, iż nie mogła nawet znieść myśli o poślubieniu innego. Uznał to za osobistą obelgę. Mógł żonie zaofiarować nie mniej niż Manning. Skąd, do licha, Isabel wie, że Marcus nie okaże się nawet lepszym mężem niż Hugh?

Pospiesznie przypomniał sobie, że nie chodzi tu o porównanie jego małżeńskich cnót z zaletami zmarłego mężczyzny. Odchrząknąwszy, rzekł więc: – Skoro zdecydowanie nie chcesz mnie poślubić, mamy tylko dwie możliwości do wyboru. – Odliczył je na palcach. – Po pierwsze, jeśli

wieść o naszych zaręczynach się rozejdzie, odmalujemy Whitleya jako złośliwego plotkarza, albo, po drugie, potwierdzimy ją i jakiś czas później wycofasz się. Ponieważ nie chcesz za mnie wyjść, obawiam się, że uznają cię za trzpiotkę – dodał cierpko. – I pamiętaj, że to twoja decyzja. W końcu ja ci się oświadczyłem.

– Owszem, zdaję sobie z tego sprawę i doceniam twoją szlachetność – powiedziała cicho. – A jeśli przyjdzie do najgorszego i uznają mnie za wiarołomczynię... – Zacisnęła szczęki. – Przez parę tygodni czy miesięcy będzie nieprzyjemnie i mam tylko nadzieję, że mój teść i Edmund nie ucierpią od plotek i domysłów.

– Więc co proponujesz? – zapytał Marcus. – Zaprzeczamy czy potwierdzamy, jeśli przyjdzie co do czego?

Omawiali tę kwestię jeszcze przez parę minut, po czym Isabel stwierdziła: – Nie możemy nic zrobić, póki się nie przekonamy, co z tą wieścią zrobi Whitley. – Przygryzła dolną wargę. – Może, choć w to wątpię, nie powiedzieć nic, ale to do niego niepodobne. Musimy zaczekać i przekonać się, czy puści to dalej... – Skrzywiła się. – Jeśli zacznie paplać, potwierdzimy nasze zaręczyny, po czym za parę tygodni odwołam je.

Marcus niechętnie na to przystał i po krótkim czasie pożegnał się i pojechał w kierunku dworu w Sherbrook. W głowie kłębiły mu się różne myśli. Whitley ma jakąś władzę nad Isabel. O cokolwiek tu chodzi, a Marcus nie miał wątpliwości, że sprawa jest poważna, Isabel nie chce mu o tym powiedzieć ani skorzystać z jego pomocy. Chyba powinien się czuć urażony, że młoda kobieta woli towarzyską kompromitację i kampanię plotek od poślubienia go. Uśmiechnął się nieznacznie. Czyż po Isabel mógłby spodziewać się innego zachowania? W konfuzję wprawiała go od urodzenia.

Ale historia z Whitleyem to nie żarty i na myśl o nim Marcus spochmurniał. Sam będzie musiał się z nim rozmówić. Isabel może odmówić Marcusowi swojej ręki, ale w sprawach między nim i majorem Whitleyem nie ma nic do powiedzenia. Marcus musi się dowiedzieć, na czym polega władza Whitleya nad Isabel, czy też, jaki łączy ich sekret, po czym niezwłocznie uwolni młodą kobietę z jego sideł. A Marcus był akurat odpowiednim człowiekiem do wykonania tego zadania. W jego oczach pojawił się śmiertelnie niebezpieczny błysk. Julian czy Charles natychmiast by go dostrzegli i powitali z ulgą i zapałem. Obaj kuzyni wiedzieli, że w ostrożnym i sympatycznym Marcusie Sherbrooku czai się tygrys, który wreszcie się przebudził.

# Rozdział 3

Isabel błędnie oceniła Whitleya. Choć w uszach dźwięczało mu zadziwiające oświadczenie Sherbrooka, nie ruszył natychmiast do gospody Pod Rogiem Jelenia i nie zaczął szperać w poszukiwaniu informacji. Natomiast pognał konia do galopu i skierował się w stronę wybrzeża. Choć jego zamysły dotyczące Isabel nie powiodły się, następny ruch obmyśli w bardziej odpowiedniej porze. Później zacznie zastanawiać się i knuć intrygę, teraz skupił się na innym przedsięwzięciu, drogim jego sercu – takim, które z pewnością przyniesie mu znacznie większe zyski.

Parę kilometrów dalej krajobraz zmienił się gwałtownie, bliżej wybrzeża schludne gospodarstwa i porosłe lasem łagodne wzgórza ustąpiły miejsca nagim, smaganym wiatrem, mocno pofałdowanym terenom. Gdy Whitley dotarł do rozstajów, sięgnął głęboko do kieszonki kamizelki i wyciągnął skrawek papieru. Rzuciwszy okiem na wypisane na nim wskazówki, sprowadził konia z głównej drogi i skierował na ścieżkę, która wyglądała na wydeptaną przez zwierzęta. Po kilku zakrętach ukazał się niespokojny kanał, powietrze wypełnił silny zapach morza, a coraz bardziej jałową ziemię owiewał rześki wiatr. Gdy w wąskim, opustoszałym żlebie na dole dostrzegł skromne domostwo, a za nim rozpadające się zabudowania gospodarcze, ostrożnie poprowadził wierzchowca krętą ścieżką.

Dotarłszy wreszcie do celu, zatrzymał konia i zsiadł. Ledwo dotknął stopami ziemi, gdy brzydki, czarno-brązowy kundel o wyraźnych cechach mastifa wypadł warcząc zza rogu domu.

– Borsuk! Siad! – ryknął niedbale odziany przysadzisty mężczyzna biegnący tuż za psem. – Siad, ty parszywy kundlu, siad! Siad, powiadam!

Pies, nadal warcząc wściekle, opadł na ziemię, nie spuszczając żółtych ślepiów z Whitleya.

Widząc pistolet, który jakimś cudem pojawił się w dłoni przybysza, drugi mężczyzna rzekł:

– Schowaj to. Borsuk cię nie pogryzie... tym razem.

Z wolna chowając broń, Whitley powiedział:

– Miłe powitanie. Jestem doprawdy zachwycony.

Drugi mężczyzna uśmiechnął się ponuro.

– Nie lubimy tu obcych. Ciesz się, że wiedziałem o twoim przyjeździe i zauważyłem cię na szlaku; właśnie wiązałem pozostałe psy.

Kiwając głową w kierunku targanego wiatrem drzewa nieopodal, dodał:

– Uwiąż konia tutaj. Pogadamy w środku.

Rad, że może schronić się przed porywistym wichrem, Whitley uwiązał konia i wszedł za gospodarzem do domu. Na palenisku tlił się ogień. Powietrze w środku było gęste i parne, woń zwierząt, niemytych ciał i niezliczonych posiłków gotowanych na ogniu, uderzyła w jego nozdrza.

Ochoczo zasiadł na topornym drewnianym zydlu, który wskazał mu gospodarz, i z pewną niechęcią przyjął od niego cynowy, wypełniony bursztynowym płynem kubek.

Pociągnąwszy łyk stwierdził, że to wyborny francuski koniak. – Doskonały – rzekł, obracając napój i lekko wąchając. – Czegoś takiego się nie spodziewałem.

Drugi mężczyzna zaśmiał się. – Przekonasz się, że tu, na zachodzie, doceniamy dary zza kanału. – Jego jowialny sposób bycia zaraz zniknął. – Czegóż może potrzebować major od takiego biedaka jak ja? – wyrąbał prosto z mostu.

Whitley zdawał sobie sprawę, że całe południowe i wschodnie wybrzeże Anglii aż roi się od przemytników i był zdziwiony, że mieszkańcy hrabstwa Dewon tak otwarcie mówią o kręcących się wokół ludziach, którzy trudnią się tym procederem. Ale niebawem zdał sobie sprawę, że w okolicy niemal wszyscy maczają palce w kontrabandzie. Od farmera, który udawał, że nie zauważył zniknięcia wołów czy koni w nocy ze stodoły; parobków, którzy za nocną robotę brali gotówkę, aż po posiadaczy ziemskich odkrywających bukłak z dwudziestoma litrami koniaku albo belę jedwabiu, jakie im dyskretnie zostawiano. Na szmuglu korzystali wszyscy. Większość mieszkańców terenów nadbrzeżnych miała przyjaciół bądź krewnych, którzy albo sami brali udział w tych praktykach, albo pomagali przemytnikom. I wszyscy zgodnie występowali przeciw poborcom podatków.

Dyskretne zainteresowanie Whitleya kontrabandą początkowo napotykało na mur milczenia, lecz gdy przestano podejrzewać, że jest tajnym agentem rządowym, niebawem dowiedział się wszystkiego, czego

potrzebował. Peter Collard, miejscowy rybak, gotów był ewentualnie pomóc, gdyby ktoś chciał zrobić jakiś interes na własną rękę. Whitley i Collard spotkali się po raz pierwszy poprzedniego wieczoru Pod Rogiem Jelenia i, oszacowawszy możliwego partnera, Collard zgodził się na ponowne spotkanie.

– Ktoś mi mówił, że jest pan bardzo wprawnym kapitanem statku handlowego i że pańska jednostka „Tygrys morski" jest większa i lepiej uzbrojona, niż jakikolwiek kuter służb podatkowych. – Whitley ponownie wziął łyk koniaku i rzekł ostrożnie: – Słyszałem, hm, pogłoski, że jeśli ktoś chce umknąć oczom władz i popłynąć do francuskiego portu, może pan załatwić mu podróż.

Collar wpatrzył się w swój kubek.

– Ludzie mówią różne rzeczy. Co nie znaczy, że są prawdziwe.

Whitley zmełł w ustach przekleństwo, zirytowany tą szermierką słowną. – Udawajmy, że są – powiedział ostro. – A jeśli tak, to ile trzeba by zapłacić za dostarczenie wiadomości pewnej osobie w Cherbourgu i poczekanie paru dni na odpowiedź?

Collard przestał kontemplować zawartość kubka i wpatrzył się bacznie w Whitleya.

– To pan byłby zleceniodawcą tego przedsięwzięcia?

– Ja.

Collard przyglądał mu się jeszcze przez parę minut, po czym wymienił sumę. Była wyższa, niż Whitley się spodziewał, ale ponieważ Collarda uważano za najlepszego do takich zadań, uznał, że warto ją zapłacić. Za nic w świecie nie chciał, by jego wiadomość dla Charbonneau dostała się do rąk służb podatkowych albo wylądowała na dnie kanału.

Nie chcąc zdradzać, jak bardzo mu na tym zależy, Whitley targował się jeszcze, aż w końcu ubito interes. Przy drugim kubku koniaku dogadali szczegóły i gdy Whitley odjeżdżał, był rad, że choć jeden projekt rozwijał się zgodnie z planem.

Załatwiwszy sprawę z Collardem, Whitley wrócił myślami do porannego, fatalnego spotkania z Isabel. Nic nie poszło tak jak zakładał i podczas długiej drogi powrotnej do gospody narastało w nim poczucie gniewu i niechęci.

Pod Róg Jelenia dotarł w podłym nastroju, a o Isabel Manning i panu Sherbrooku nie myślał z sympatią. Gdy dostrzegł karczmarza Keatinga za troskliwie wypolerowanym dębowym szynkwasem w głównym pomieszczeniu, oczy mu się zwęziły i zaczął się zastanawiać, jak by tu wywiedzieć się więcej o irytującym panu Sherbrooku i – co najważniejsze

– o zaręczynach między panią Manning i Sherbrookiem.

Wieść o zaręczynach Isabel to prawdziwy cios, przyznał w duchu z goryczą Whitley, choć z uśmiechem na twarzy patrzał, jak Keating nalewa mu kufel ciemnego piwa. Zabrał je ze sobą do stolika w rogu, by w pienistym napoju topić swe smutki. Gorzej sobie radził z Isabel, niż się początkowo spodziewał, a ponieważ ma nad nią dość problematyczną władzę, musi postępować ostrożnie. Był przekonany, że młoda kobieta wpadnie w panikę i zgodzi się na wszystko, czego on chce, byle tylko nikomu nie wspomniał o swych podejrzeniach. Jej upór pokrzyżował mu plany. Bez słowa mu zapłaciła, gdy po raz pierwszy ją nagabnął, toteż założył, że będzie płacić dalej, nie chcąc, by coś pisnął na temat tego, do czego mogło dojść w Indiach. Z wypchanymi kieszeniami chętnie by odjechał... na jakiś czas.

Whitley uważał szantaż za inwestycję, która, jeśli będzie postępował roztropnie i powściągnie swą pazerność, pozwoli mu na wygodne życie przez lata. Jego kłopot w wypadku Isabel polegał na tym, że nie miał konkretnego dowodu, a tylko stwarzał pozory, w czym był mistrzem. Zacisnął usta. Niestety, najwyraźniej pani Manning jest równie biegła w tej sztuce, niech ją szlag!

Aż do dzisiejszego ranka był pewien, że wystraszona Isabel zapłaci mu znacznie więcej za obietnicę milczenia, ale zjawienie się narzeczonego krańcowo zmieniło sytuację. Powstrzymując przekleństwo, pociągnął długi łyk piwa. Przeklęty Sherbrook!

Przybywszy w te strony przed trzema dniami, zatrzymał się w gospodzie i zawarł znajomość z Keatingiem, jego żoną oraz paroma stałymi bywalcami. Pozyskawszy nazwisko Collarda, skupił się na wyciąganiu od wszystkich kolejnych informacji, pozornie na temat okolicy, dając do zrozumienia, że choć jest tu obcy, nosi się z zamiarem zamieszkania w pobliżu. Ale naprawdę interesowało go wszystko, co robiła pani Manning przez te dziesięć lat od wyjazdu z Indii. Nie mając dostępu do kręgu znajomych czy krewnych Isabel, zmuszony był zasięgać języka u Keatinga i jemu podobnych. Uznał, że to zadziwiające, jak wiele prosty lud wie o poczynaniach kogoś takiego jak pani Manning czy osoby z jej sfery. Z zadowoleniem dowiedział się, że mieszka spokojnie z synkiem w posiadłości jej teścia, a w okolicy jest lubiana i cieszy się dobrą opinią. Nie było mowy o zaręczynach czy kimś starającym się o jej rękę.

Do hrabstwa Dewon i siedziby Isabel Whitley trafił czystym zrządzeniem losu. Świeżo wyszedł z wojska, a nie mając innych środków utrzymania prócz emerytury, natychmiast zaczął wcielać w życie plany

zapewnienia sobie bardzo, ale to bardzo przyzwoitych dochodów. Będąc w Londynie, odwiedził kilku starych przyjaciół, którzy służyli teraz w Gwardii Konnej. Uśmiechnął się. Odnowienie dawnych znajomości przyniosło owoce. Osiągnąwszy swe cele w Londynie, zwrócił uwagę na te osoby, znane mu w przeszłości, które mógłby uczynić ofiarami szantażu. Ponieważ potrzebował kogoś takiego jak Collard i pragnął oddalić się od Londynu, by uniknąć ewentualnych przykrych skutków swoich działań, na miejsce dalszych knowań obrał hrabstwo Dewon. Czystym przypadkiem okazało się, że Isabel mieszka w pobliżu, lecz przez to stała się pierwszą spośród dawnych znajomych, którą Whitley postanowił odwiedzić.

Stwierdziwszy, że nadal nie wyszła za mąż, uznał, iż małżeństwo z kobietą zamożną nie jest złym wyjściem. Jej syn ma zostać baronem, obecny posiadacz tego tytułu niedługo już pociągnie, a dwór w Manning to piękna posiadłość, w której dałoby się wygodnie mieszkać. Dzięki małżeństwu z Isabel nie musiałby kupować ani urządzać własnej siedziby, a nawet gdyby jego liczne plany zdobycia fortuny powiodły się, raczej nie będzie go stać na kupno takiego majątku ziemskiego jak dwór w Manning. A nawet jeśli jakimś cudem mógłby pozwolić sobie na nabycie tak wspaniałej posiadłości, koszty jej utrzymania byłyby astronomiczne. A poza tym, po co wydawać własne pieniądze, skoro można wykorzystać cudze?

Pojawienie się Sherbrooka na horyzoncie naturalnie przekreśliło wszelkie rachuby na małżeństwo z Isabel i uszczknięcie jej majątku. Sącząc piwo, rozmyślał o niesprawiedliwości losu. Isabel nie była w jego guście – trochę za chuda, jędzowata i waląca prawdę bez ogródek, lecz by położyć rękę na jej majątku, machnąłby ręką na te mankamenty. Na małżeństwo z Isabel nigdy nie mógł liczyć niezawodnie, a sposób, w jaki odmówiła mu zapłaty za milczenie i zniknięcie z okolicy, jeszcze bardziej oddalał szansę na doprowadzenie jej do ołtarza. Niemniej poczuł się urażony, że ktoś go uprzedził.

Odtwarzając sobie w pamięci poranne spotkanie z Sherbrookiem, zmarszczył brwi. Miał nosa do skandali i plotek, toteż założyłby się o sakiewkę pełną złotych dukatów, że w tych zaręczynach było coś podejrzanego. W zachowaniu narzeczonych nie wyczuwał tej otaczającej zwykle zakochanych aury romansu, a im dłużej się nad tym zastanawiał, tym głębszego nabierał przekonania, że jeśli Isabel i Sherbrook są zaręczeni, kryje się za tym jakaś zagadka. Czy zdoła ją obrócić na swoją korzyść?

Myślał nad tym jeszcze parę chwil, po czym postanowił dać sobie

spokój. Nie widział żadnego sposobu, przynajmniej na razie, by z tych zaręczyn coś dla siebie wyciągnąć, ale zamierzał nadal węszyć, póki czegoś się nie dowie.

Wróciwszy do lady z pustym kuflem, pozwolił, by Keating nalał mu następny. Oparty o bar, powoli wysączył drugi kufel, gawędząc z Keatingiem i szukając okazji, by niby niechcący wtrącić nazwisko Sherbrooka.

Szczęście uśmiechnęło się do niego niebawem, gdy do gospody weszło dwóch chłopaczków. Poszturchując się nawzajem, jak to młokosy, podeszli do szynkwasu. Z zawadiackimi uśmieszkami na wysmotruchanych obliczach zażądali lemoniady.

Keating obsłużył wyrostków z uśmiechem. W chłopaczku o ciemnych, prostych włosach Whitley rozpoznał jednego z licznych potomków Keatinga. Drugi, blondyn, był wyższy i szczuplejszy, a choć ubranie, podobnie jak jego towarzysz, miał w opłakanym stanie, materiał i krój jego stroju świadczyły o zamożności. Whitley bystro wpatrzył się w przybysza. Uderzyło go podobieństwo do Hugh Manninga. A więc to syn Hugh. Cóż za szczęśliwy traf.

Obsłużywszy nowo przybyłych, stojący przy barze Keating wytarł szklankę białą ściereczką, po czym zapytał: – Co też wyście wyprawiali, diabły wcielone? Niech zgadnę, mocowaliście się w błocie? – Zatrzymał drwiące spojrzenie na wyższym chłopcu. – Założę się, że gdy lord Manning i twoja matka pozwolili ci opuścić semestr w Eton po tym, jak złamałeś nogę w Boże Narodzenie, nie spodziewali się, że cały czas będziesz hasał z tym nicponiem. Coście zmalowali, że doprowadziliście się do takiego stanu?

Obaj chłopcy wybuchnęli śmiechem, a młodzian o kasztanowych włosach rzekł: – Maciora farmera Fostera oprosiła się zeszłej nocy, tato, i połowa prosiąt przecisnęła się do sąsiedniej zagrody. Obiecał nam po pensie za sztukę, jeśli je wyłapiemy i odstawimy na miejsce. Rany! To była brudna robota. Wszędzie kwiczące prosięta, a śliskie jak diabli w tym błocie, i ta stara maciora... Trochę się baliśmy, że przedrze się przez ściany zagrody i nas zeżre.

Keating zmarszczył nos. – Cuchnie, jakbyście wynieśli na sobie połowę farmy Fostera. – Spoglądając na wyższego chłopca, rzekł: – Dla mnie to nic nowego, że Sam wraca do domu wyglądając jak zbój, ale założę się, że pańska matka, paniczu Edmundzie, nie będzie zadowolona, gdy panicza zobaczy.

Edmund uśmiechnął się, jego niebieskie oczy błyszczały. – Mama powiada, że chłopcy muszą się czasem ubrudzić i gdy dorosnę, będę miał

dość czasu, by zachowywać się jak przystoi dżentelmenowi. Prosi tylko, bym nie siadał do stołu ubłocony i bym nie trzymał jaszczurek w swoim pokoju.

Whitley odchrząknął i zapytał: – Czyżbym usłyszał nazwisko Manning? Jest pan może krewnym pani Manning?

Edmund spojrzał na niego. – Tak, proszę pana. Pani Manning jest moją matką.

Whitley uśmiechnął się ujmująco.

– Co za traf! Odwiedziłem pańską matkę dziś rano. Jesteśmy starymi przyjaciółmi, jeszcze z Indii.

Niezmiernie błękitne oczy Edmunda zabłysły. – Zna pan mamę z Indii? Czy może poznał pan też mojego ojca? – dodał żywo.

– A tak, owszem – odparł swobodnie Whitley. – Pański ojciec był moim serdecznym przyjacielem. Znałem go jeszcze, zanim ożenił się z pańską matką.

– Wielki Boże! – zakrzyknął Edmund, rumieniąc się z podniecenia. – To cudownie! Czy mama zaprosiła pana w gościnę do dworu? Wiem, że dziadek z najwyższą radością pozna przyjaciela ojca z Indii. Chyba nie uzna pan, że pozwalam sobie na zbyt wiele – dodał nieśmiało – ale mój ojciec umarł tak dawno, a ja wiem o nim bardzo mało. Matka i dziadek opowiadali mi o tacie, ile się dało, ale mama nie lubi rozmawiać o Indiach, jest to dla niej chyba zbyt bolesne i przypomina o jego śmierci. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybym mógł dowiedzieć się więcej o ojcu od kogoś, kto znał go w tamtych czasach.

Whitley zdawał sobie sprawę, że Keating bacznie mu się przygląda. Wcześniej Whitley ani słowem nie wspomniał, że zna Isabel – w istocie, stwierdził, że jest obcy w tej okolicy, toteż obawiał się, iż jego opowieść o bliskich stosunkach z panią Manning przed laty może budzić podejrzenia. Jowialne obejście Keatinga nie zmyliło go – karczmarz dużo wiedział, a Whitley był przekonany, że on lub jego żona byli wtajemniczeni w niemal wszystko, co dzieje się w okolicznych posiadłościach.

– Rzeczywiście, co za traf – powtórzył wolno Keating, wlepiając w Whitleya łagodne, niebieskie oczy – że jest pan zaprzyjaźniony z panią Manning.

Whitley zrobił minę niewiniątka.

– Zaparło mi dech, gdy przypadkiem natknąłem się na nią dziś rano. Odciągnąłem konia na bok, by przepuścić damę mijającą mnie na ścieżce, którą jechałem, i wtedy uświadomiłem sobie, że ją znam. Rozpoznaliśmy się w jednej chwili. Trudno powiedzieć, które z nas było bardziej

zdumione.

– Założę się, że mama była uszczęśliwiona pańskim widokiem – rzekł Edmund – i nie może się doczekać, by przekazać dziadkowi dobrą nowinę. Czy zaprosiła pana na dzisiejszy obiad?

Czerpiąc złośliwą przyjemność z kłopotów, jakie spadną na Isabel, gdy tylko jej syn wróci do domu, Whitley uśmiechnął się. – Nie, nie zaprosiła – odparł – ale chyba dlatego, że jej myśli zajął dżentelmen, który dołączył do nas parę minut po naszym spotkaniu. Niejaki pan Sherbrook? Wysoki, imponujący mężczyzna? To chyba sąsiad?

Edmund uśmiechnął się.

– Pan Sherbrook jest moim serdecznym przyjacielem, lecz on i mama zazwyczaj unikają swego towarzystwa. Przypuszczam, że mama myślała wyłącznie o tym, jak mu umknąć, i dlatego zapomniała pana zaprosić.

– Ach, paniczu Edmundzie, chyba zabrał pan już dość czasu majorowi Whitleyowi – wtrącił się Keating.

Whitley ukrył niepokój, wiedząc doskonale, do czego ten zmierza. Karczmarz najwyraźniej uznał, że Edmund dość już powiedział, i usiłował odwrócić jego uwagę, a choć denerwowało to Whitleya, był całkiem zadowolony z wyników tej krótkiej wymiany zdań. Jego zadowolenie wszak jeszcze urośnie, gdy przekaże im ostatnią wiadomość.

– Czegoś tu nie pojmuję – rzekł ze zdumioną miną. – Nie powiedziałbym, że dziś rano pańska matka unikała towarzystwa pana Sherbrooka. Było wręcz przeciwnie. Pan Sherbrook oświadczył, że są zaręczeni.

Wszystkim odebrało mowę ze zdziwienia. Z niezmierną frajdą Whitley przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą.

– Chyba go pan źle zrozumiał – rzekł Keating, marszcząc brwi. – Nigdy nie było mowy o ich zaręczynach.

– Mama i pan Sherbrook? To niemożliwe – wyrwało się Edmundowi, któremu oczy omal nie wyszły z orbit.

– Pan Sherbrook nabrał pana – wypalił Sam Keating prosto z mostu. – Wszyscy wiedzą, że się nie znoszą.

Whitley wzruszył ramionami.

– Przykro mi, panowie, ale pan Sherbrook wyraźnie stwierdził, że on i pani Manning są zaręczeni.

– A mama nie zaprotestowała? – zapytał Edmund.

– Nie. W istocie, jak sobie przypominam, niezwykle wdzięcznie pozwoliła mu ucałować swą dłoń i patrzała na niego, jakby był ósmym cudem świata. – Whitley odchrząknął. – Wyglądało to doprawdy wzruszająco.

Trzej pozostali popatrzyli na siebie, a potem znowu na Whitleya.

– To jakaś bujda – oświadczył stanowczo Keating. – Nigdy nie słyszałem takich bzdur!

– Jakich bzdur? – zapytała jego żona, która weszła do sali z tacą zastawioną czystymi kuflami i szklankami.

Keating, Edmund i Sam zaczęli mówić jednocześnie. Po chwili słuchania ich gadaniny, pani Keating postawiła tacę na ladzie i podnosząc rękę, rzekła:

– Po kolei proszę.

Posyłając Whitleyowi surowe spojrzenie, Keating rzekł:

– Niech on ci powie. To od niego wyszło.

Patrząc przyjaźnie na majora, pani Keating zagadnęła go:

– I cóż, majorze? Czym wprawił pan tych trzech w takie podniecenie?

– Przekazałem im jedynie wiadomość, że pani Manning i pan Sherbrook zaręczyli się – wymruczał pod nosem. – Pan Sherbrook sam mi to powiedział dziś rano. Pani Manning stała u jego boku, gdy mówił, że są po słowie.

Pani Keating wyglądała na zaskoczoną. Z wyrazem zdumienia na pulchnej, okrągłej twarzy, wymamrotała pod nosem: – Niemożliwe! Nigdy nie było o tym mowy! Choć po prawdzie pan Sherbrook zawsze był bardzo skryty, a pani Manning nigdy publicznie nie opowiada o swoich sprawach – dodała z namysłem. Jej usta wygięły się w uśmiechu. – Zawsze uważałam, że zadają sobie wiele trudu, by uniknąć swego towarzystwa. Ale może chcieli chodzić w zaloty z dala od ludzkich oczu.

Zerknęła na Edmunda, który stał, gapiąc się na nią z otwartymi ustami.

– I cóż, młodzieńcze, chciałbyś mieć Sherbrooka za ojczyma?

Usta Edmunda zamknęły się tak gwałtownie, że usłyszeli stuknięcie zębów o siebie. Przełknął ślinę. Głęboko zaczerpnął oddechu. Z niepomierną radością malującą się na młodej twarzy wyszeptał:

– Pragnę tego nade wszystko! A dziadek będzie najszczęśliwszy na świecie. Ciągle mi powtarza, że Sherbrook byłby dla mamy idealnym mężem, jeśli nie będzie zbyt uparta, by to dostrzec.

Keating zaśmiał się.

– Tak, wyobrażam sobie, jak stary baron to mówi.

Niezmiernie rad z takiego wyniku wtrącania się w nie swoje sprawy, Whitley rzekł:

– Przypuszczam, że gdy wróci pan do domu, matka wszystko panu opowie.

– Z pewnością! – rzekł Edmund ze śmiechem. Odstawiwszy pustą szklankę na ladę, młodzieniec pożegnał wszystkich i wypadł z sali.

Isabel w spokoju ducha piła herbatę w towarzystwie teścia, siedząc w małym, zielonym saloniku, którego rodzina używała, gdy nie podejmowała gości. Był to przyjemny pokój: ściany pokrywał bladozielony jedwab w złoty wzór, kremowe zasłony zdobiły wysokie okna, miękki, wełniany dywan w odcieniach zielonych, kremowych i różowych zaścielał większość parkietu z drzewa orzecha włoskiego. Po pokoju były porozstawiane wygodne kanapy i fotele, obite materią w tych samych trzech odcieniach co dywan, po bokach kilku mebli stały eleganckie stoliki z drzewa żółtokrzewu.

Mimo ładnej, wiosennej pogody, gdy słońce zbliżało się ku zachodowi, w powietrzu wyczuwało się lekki chłodek, toteż na kominku z ciemnozielonego marmuru płonął słaby ogień. Isabel i lord Manning usiedli w pobliżu, by ogrzać się w jego cieple.

Isabel uniosła właśnie filiżankę do ust, kiedy podwójne drzwi saloniku rozwarły się gwałtownie i do środka wpadł Edmund. Jak zawsze na widok syna, serce Isabel wezbrało radością. Z usprawiedliwioną macierzyńską dumą pomyślała, że to wspaniały chłopak.

W młodzieńczej twarzy Edmunda z trudem dałoby się doszukać podobieństwa do matki. Był żywym odbiciem ojca, odziedziczywszy po nim pszennoblond włosy, jasnoniebieskie oczy, ujmujący uśmiech i surową, męską urodę. Stary baron często powtarzał, że Edmund wygląda jak Hugh w jego wieku.

Edmund podbiegł do matki i spojrzał na nią takimi samymi błękitnymi oczyma, w których malowało się gorączkowe podniecenie. – Czy to prawda? – zapytał podekscytowany. – Zamierzasz poślubić pana Sherbrooka? Twój znajomy, major Whitley, powiedział, że pan Sherbrook oznajmił mu to dziś rano, a ty nie zaprzeczyłaś. Och, mamo, to cudownie! – Zwracając wzrok na dziadka, Edmund rzekł: – Właśnie tego pragnąłeś. Mama wychodzi za pana Sherbrooka!

Lord Manning szybko ochłonął ze zdumienia. Jego szlachetne rysy wyrażały taką samą radość, jaka malowała się na twarzy Edmunda. Baron wychylił się w fotelu i wykrzyknął: – Och, moja droga! Nie mogłaś sprawić większej radości staremu człowiekowi. Ty żoną Sherbrooka! To najpiękniejsza niespodzianka, o jakiej mógłbym zamarzyć! – Skoczył na równe nogi z wigorem zadającym kłam jego wiekowi, przeszedł przez pokój i pociągnął za sznur dzwonka. – Musimy uczcić szampanem tę cudowną nowinę.

Isabel siedziała jak skamieniała. Zesztywniała z filiżanką w pół drogi do ust i zastygłym powitalnym uśmiechem na twarzy. Niemile zaskoczona, z trudem zdołała opanować panikę, która dławiła jej gardło. Nagle w miejsce lodowatego paraliżu, który nią owładnął na dźwięk słów Edmunda, przyszła bezdenna, wściekła rozpacz, tak że Isabel ledwo zdołała drżącymi palcami odstawić filiżankę, wdzięczna, że nie rozlała ani kropli. Whitley! Oby jego czarna dusza zgniła w piekle! Ogarnęła ją szalona furia i sklęła majora Whitleya tak płynnie i pomysłowo, że eleganckie towarzystwo uniosłoby brwi z nadzwyczajnego zdumienia.

Wiedziała, jak wielkie było niebezpieczeństwo, że oświadczyny Marcusa przedostaną się do wiadomości publicznej, nie sądziła wszakże, iż stanie się to tak szybko ani że zaskoczy ją to tak nagle we własnym domu. Wpatrując się w uszczęśliwione oblicza syna i teścia, niczym szczur uciekający z tonącego statku szukała drogi wyjścia z tej rozpaczliwej sytuacji.

Widząc entuzjazm, z jakim przyjęli tę nowinę, ich szczerą radość, zrozumiała natychmiast, że niczemu nie wolno jej zaprzeczyć. Nie może zasmucić tych rozanielonych twarzy, tak jak nie może tańczyć na ostrzu noża. Na razie zaręczyny pozostają aktualne.

W tym momencie poczuła się tak, jakby zatrzasnęły się za nią drzwi więzienia. Przenosząc wzrok z jednej wniebowziętej twarzy do drugiej, wątpiła, czy nawet najbardziej żarliwe zaprzeczenie sprawi, że się opamiętają. Oni pragnęli tego małżeństwa, ona nie i dopiero w tej chwili zorientowała się, jak bardzo jest mu niechętna. Opanowując panikę, szukała innego sposobu wyjścia z tej sytuacji, lecz choć rozpaczliwie próbowała coś wymyśleć, za sprawą Whitleya znalazła się w potrzasku. Będzie musiała poślubić Sherbrooka. Nie wycofa się, myślała z rozpaczą, choć zgodziłaby się nawet nosić miano kokietki. Nie, będzie musiała poślubić Sherbrooka ze względu na tych niczemu niewinnych ludzi, których kochała i którzy teraz stali się częścią tego chorego układu i będą zdruzgotani, jeśli wszystko odwoła.

Patrząc z uczuciem ssącej pustki w piersi na rozpłomienioną podnieceniem twarz syna, wiedziała, że nie dopuści do tego, by najpierw uwierzył w jej rzekomy ślub z Marcusem, a potem doznał rozczarowania, gdyby Isabel zerwała zaręczyny. Przesunąwszy spojrzenie na teścia, dostrzegła na jego obliczu ten sam wyraz radości. Jej oddany, dobry, hojny teść. Nie może powieść go w tak okrutne tany. Łudzić, że spełni się jego największe marzenie, a potem nagle je rozwiać? A co z panią Appleton? Nie wątpi, że lord Manning jeszcze przed wieczorem prześle jej wiadomość o zaręczynach, a za parę dni, najdalej tygodni, zostaną

ogłoszone drugie zaręczyny. Czy może wzbudzić w nich przekonanie, że poślubi Marcusa, pozwolić, by snuli nadzieje i marzenia, robili własne plany, a potem paroma rzuconymi niedbale słowami zburzyć to wszystko? Nie może.

Pragnęła ukryć twarz w dłoniach i zawyć, ale rzuciła tylko swym mężczyznom olśniewający uśmiech. – Ha! Zdemaskowaliście nas – powiedziała z prawie niedosłyszalnym drżeniem w głosie. – Marcus i ja chcieliśmy zachować to dla siebie przez parę tygodni, ale z radości, że przyjęłam jego oświadczyny, wypaplał tę wieść pierwszej napotkanej osobie.

Do pokoju wszedł kamerdyner, co uchroniło ją przed wygłaszaniem dalszych kwestii.

– Szampana – polecił uszczęśliwiony lord Manning. – Najlepszego. I powiedz kucharce, żeby przygotowała na dzisiaj uroczystą kolację. Pani Manning wychodzi za pana Marcusa Sherbrooka.

Twarz kamerdynera Deeringa rozpłynęła się w uśmiechu. Sługa skłonił się nisko i powiedział cicho:

– Proszę przyjąć moje gratulacje, wielmożna pani. Zaręczam, że cała służba z radością przyjmie tę nowinę.

– Wystarczy, Deering – przerwał lord Manning. – Przynieś tego szampana. A, i jeszcze coś do pisania. Muszę zaprosić Sherbrooka dzisiaj na kolację. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – I panią Appleton.

– Ja się tym zajmę – rzekła pospiesznie Isabel. Wstając, rzekła: – Raz-dwa skreślę bileciki do M... M... Marcusa i pani Appleton, a potem wrócę i wypiję z tobą szampana.

* * *

Wkrótce potem Marcus czytał wiadomość, którą pospiesznie nabazgrała jego narzeczona. Nie była zbytnio romantyczna.

„Marcusie – pisała – dziś po południu Edmund przyniósł wieść o naszych zaręczynach. Przypadkiem spotkał Whitleya, a ten wszystko mu wygadał. Teść nie posiada się z radości. Zaprasza cię na wieczór na kolację.

Przedtem chciałabym zamienić z tobą słówko. Będę na ciebie czekać we wschodnim ogrodzie.

Isabel”

# Rozdział 4

Zakładając, że Isabel nie chce, by ktokolwiek dowiedział się o ich wieczornym spotkaniu, Marcus nie podjechał, jakby tego pragnął, do imponującego wejścia do dworu w Manning od frontu. Znając plan posiadłości niemal jak własną kieszeń, podszedł do budynku od tyłu i tam, z dala od ludzkich oczu, przywiązał konia do dużej lipy, która rosła na skraju rozległych ogrodów otaczających dwór.

Marcus wszedł przez misternie kutą w żelazie bramę w kamiennym murze okalającym ogrody, po czym leniwie ruszył wysypaną żwirem ścieżką wijącą się między starannie utrzymanymi krzewami i bylinami. W powietrzu unosiła się silna woń róż i bzów, a gdy wyłonił się zza zakrętu, jego oczom ukazała się urocza altanka porośnięta różowymi różami; po obu jej bokach kwitło kilka krzewów fioletowego bzu. W środku altanki stała kamienna ławeczka, z której na dźwięk kroków Marcusa poderwała się drobna postać.

– Och, Bogu dzięki, że jesteś! – krzyknęła Isabel, która wyglądała uroczo w sukni z wysokim stanem z białego hinduskiego muślinu haftowanego złotem. Jaskraworude włosy splecione miała w warkocze, które upięła w koronę, przy czym z fryzury wymknęło się kilka luźnych loków okalających jej liczko. Para kolczyków z kameą zdobiła jej uszy, a wisiorek z kameą na złotym łańcuszku stanowił jej jedyną biżuterię.

Marcusowi na jej widok zaparło dech w piersiach, a serce, organ, na którym zazwyczaj mógł niezawodnie polegać, skoczyło niczym potrącona żaba. Gdy wczoraj niespodziewanie spostrzegł, jak powabną niewiastą jest Isabel, natura zrobiła mu psikusa, lecz miał nadzieję, że to się już nigdy więcej nie powtórzy. Wmówił sobie, że gdy następnym razem się z nią zobaczy, ujrzy w niej tylko swą kłopotliwą podopieczną i wdowę po Hugh Manningu. Z pewnością nie chciał w niej widzieć kobiety, która sprawiłaby mu rozkosz w łóżku. Niestety, gdy tylko ją ujrzał, puls zaczął mu walić jak szalony, a do głowy przyszły wysoce nieprzystojne myśli.

Pewna część jego ciała nabrzmiała, gotowa do akcji, i – przeklinając swą słabość – rozpaczliwie pragnął odzyskać panowanie nad sobą. Ale postradał je na dobre i teraz nie mógł oderwać oczu od delikatnej twarzyczki i kształtnej kobiecej figurki. Zdumiony swą reakcją na Isabel, zastanawiał się w oszołomieniu, dlaczego nigdy nie zauważył słodkiego wygięcia jej dolnej wargi czy krągłych piersi widocznych w głębokim dekolcie sukni. Zacisnął nerwowo palce – tylko tyle mógł zrobić, by nie objąć rękami jej głowy i nie zbliżyć tych niezwykle kuszących ust do swoich warg. A byłoby to takie łatwe...

W istocie uniósł rękę, a jego ciało już gotowało się do posmakowania miękkości jej warg, gdy Isabel przywołała go do rozsądku, pytając ostro:

– Co ci jest? Dlaczego tak się na mnie gapisz?

Marcus spuścił wzrok na swą gotującą się do objęcia jej rękę i spojrzał na nią z przerażeniem. Wielki Boże! Jeszcze chwila i Isabel znalazłaby się w jego ramionach, a on by ją całował. Całowałby tak, że przeszedłby ją dreszcz od cudownie upiętej fryzury aż po śliczne złote pantofelki. Borykając się z wraże niem, że jego świat odchylił się od osi, potrząsnął głową. Głęboko zaczerpnął oddechu, by uspokoić nerwy, po czym odparł cierpko: – Nic mi nie jest. – Jego spojrzenie padło na bogactwo rosnących za jej plecami róż i pragnąc jakoś odwrócić jej uwagę, wymamrotał po nosem: – Nie gapiłem się na ciebie, tylko, mm, podziwiałem róże.

Oczy jej się zwęziły. Wziąwszy się pod boki, zapytała ostro: – Zalałeś się?

Marcus potrząsnął głową, nie mając do niej najmniejszych pretensji, że uważa go za pijanego. Czuł się pijany, lecz nie żadnym konkoktem sporządzonym przez człowieka. Odzyskując nieco władzy nad sobą, rzucił szybko: – Mam nadzieję, że nie czekasz długo.

Wpatrywała się w niego jeszcze przez parę chwil, po czym wzruszyła ramionami:

– Nie, nie siedzę tu długo.

Zmusił się do uśmiechu. – O czym chciałaś porozmawiać? – zapytał. – Wiedzieliśmy, że Whitley może powiedzieć komuś o naszych zaręczynach, toteż rano dokładnie omówiliśmy wszystkie możliwości. – Zmarszczył brwi. – Źle się stało, że to Edmund pierwszy usłyszał tę wieść, ale skoro przedostała się do wiadomości publicznej, może wcześniej niżbyśmy sobie tego życzyli, nie będziemy musieli czekać z drżeniem, kiedy wszystko się wyda. Z miłym uśmiechem przyjmiemy gratulacje przyjaciół... a za parę tygodni czy miesięcy zainscenizujemy publicznie głośną, gwałtowną kłótnię, a ty zerwiesz zaręczyny. – Czując

się pewniej na tym gruncie, uśmiechnął się do niej. – Zachowam się jak skończony potwór, wszyscy będą ci współczuć i gratulować, że udało ci się wymknąć z łap takiego drania. – Skoro Isabel milczała, dodał: – Możesz nawet rzucić mi w twarz pierścionek zaręczynowy, to powinno rozwiązać nasze problemy.

– Nie mam pierścionka – rzekła sucho.

– To da się łatwo naprawić – odparł z uśmiechem.

Marcus pogrzebał w kieszonce kamizelki, z której wyciągnął olśniewający pierścionek wysadzany szafirami i diamentem. Wręcz nieśmiało, jak na tak pewnego siebie człowieka, powiedział cicho: – Nie jest to nowy pierścionek, ale przechodzi w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Dziadek dał go babci, kiedy urodził się mój ojciec. Nosiła go do śmierci. Mama nigdy nie włożyła go na palec, nie bardzo jej na nim zależało. – Ponieważ Isabel nadal się nie odzywała, stała tylko ze wzrokiem wbitym w klejnot, dodał pospiesznie: – Nie musisz go nosić, jeśli nie chcesz czy uważasz, że jest wstrętny. Kupię ci inny, który bardziej przypadnie ci do gustu. – Widząc, że zastygła w milczeniu, wytrącony z równowagi, niezgrabnie ciągnął dalej: – Gdy, mhm, otrzymałem po południu twój bilecik, uzmysłowiłem sobie, że, mhm, najprawdopodobniej będziemy potrzebowali pierścionka. Zanim ruszyłem w drogę do dworu, obejrzałem rodzinną biżuterię w nadziei, że znajdę coś odpowiedniego. Ten pierścionek przyciągnął mój wzrok i patrząc na niego, pomyślałem o tobie.

Zastanawiając się, dlaczego właściwie ma ochotę wybuchnąć płaczem, Isabel bez słowa wpatrywała się w lśniący szafirowy klejnot. Taka właśnie biżuteria wzbudzała w niej zachwyt, a świadomość, że Marcus ofiarowuje jej ukochany pierścionek babki, sprawiła, iż wzburzonej narzeczonej jeszcze trudniej było powstrzymać łzy. Ściskało ją w gardle.

Właśnie aby uniknąć takich sytuacji, nie chciała się zgodzić na niby-zaręczyny. Jak może przyjąć pierścionek babki, wiedząc, że to tylko gra? Jak ma przyjmować gratulacje krewnych i znajomych, wiedząc, że to wszystko kłamstwo?

Z bólem serca Isabel przygryzła wargę i odwróciła wzrok. Gra pozorów dopiero się zaczyna, pomyślała ze smutkiem. Ogłoszenie zaręczyn to zaledwie pierwszy akt, za nim przyjdzie wiele następnych. Przypomniała sobie wyraz szalonej radości malujący się na twarzach syna i teścia, co jeszcze bardziej pogłębiło jej cierpienie.

Przez ostatnich parę godzin Edmund nie odstępował matki na krok, paplając bez końca o tym, jak bardzo jest szczęśliwy z przyszłego

małżeństwa Isabel z panem Sherbrookiem. – Lubię pana Sherbrooka – powtarzał raz po raz z promiennym uśmiechem. – Pewnie, że szkoda będzie wyprowadzać się z dworu w Manning, ale dwór w Sherbrook też jest bardzo ładny i zawsze będę mógł przyjść do dziadka. Na szczęście to bardzo blisko. Uścisnąwszy ją mocno, krzyknął: – Och, mamo! Jak wspaniale! Wiem, że pan Sherbrook nie będzie moim prawdziwym ojcem, lecz jeśli mam mieć ojczyma, wolę jego od wszystkich ludzi na świecie!

Każde słowo syna było dla niej jak cios sztyletem w serce. Nie mogąc dłużej słuchać jego radosnej paplaniny, pobiegła do swoich pokojów. Odzyskawszy po części panowanie nad sobą, wzięła kąpiel i przebrała się do kolacji, wysiadując przed toaletką tak długo, jak tylko mogła, by uniknąć dalszych rozmów o zaręczynach. Ale wieczorem, gdy spieszyła przez dom do wschodniego ogrodu, zatrzymał ją teść. Ściskając jej dłoń, zlustrował synową od stóp do głów z figlarną iskierką w oku. – Wspaniale dziś wyglądasz – skomplementował ją. – Zaręczyny ci służą, nigdy tak nie błyszczałaś urodą. – Z czułością szczypiąc Isabel w policzek, strofował ją: – Niesforna dziewczyno, jak mogłaś ukrywać przede mną tak ważne wydarzenie? – Rysy mu złagodniały. – Nawet nie potrafi ę wyrazić, jak się cieszę z tego powodu, i nie tylko ze względu na panią Appleton. Jesteś zbyt młoda i ładna, żeby resztę życia spędzić we wdowieństwie. Sherbrook to przystojny mężczyzna i najlepszy kandydat na męża. – Cień przemknął po twarzy starszego pana, lecz zaraz wziął się w garść i dodał ochrypłym głosem: – Hugh chciałby, żebyś ponownie wyszła za mąż. Byłby nieszczęśliwy, wiedząc, że uciekłaś od świata, i z pewnością byłby przychylny Sherbrookowi. Edmund potrzebuje ręki młodszego człowieka, który by nim pokierował, a ty już dawno powinnaś była wyjść za mąż. Sherbrook jest dla ciebie doskonałym kandydatem.

Czując się podłą oszustką, Isabel przełknęła łzy i pomknęła do ogrodu. Myśli, które ją opadły, gdy czekała na Marcusa, były nieprzyjemne i bolesne, ale jeszcze mocniej utwierdziły ją w poprzedniej decyzji. Nie powinna zwodzić Edmunda i lorda Manninga w tak tchórzliwy sposób. Wyobraziwszy sobie ich zrozpaczone miny na wieść, że zaręczyny nie zostaną uwieńczone małżeństwem, zadrżała. Jak zdoła spojrzeć im w oczy? Rozbudziwszy ich nadzieje i oczekiwania, czy może sprawić im taki zawód? Nie. Nie może – nawet jeśli oznacza to niechciane małżeństwo. Spoglądając na pierścionek, który Marcus trzymał w palcach, pomyślała kwaśno, że to wszystko jego wina i nie będzie można mieć do niej pretensji, jeśli wynikną z tego nieprzewidziane skutki – skutki być może dla niego nieprzyjemne. Pierścionek przypieczętował jej wcześniejszą decyzję, a ona, widząc teraz wyraźnie,

jak ma postąpić, głęboko zaczerpnęła oddechu. Marcus jeszcze o niczym nie wie, ale zaręczyny nie zostaną zerwane. Wyjdzie za niego. I niech Bóg ma ich wszystkich w swojej opiece.

Wpatrując się w pierścionek, wiedziała, że ostatnim razem wręczano go wybrance serca z miłością i zachwytem, co jeszcze pogłębiło ból w jej sercu. To powinno być radosne wydarzenie, lecz na widok pierścionka w palcach Marcusa chciała wybuchnąć płaczem. Gdy Marcus się dowie, że nie będą to udawane zaręczyny, na pewno dotrzyma danego słowa i ożeni się z nią, w takim razie dlaczego, zastanawiała się ponuro, ta perspektywa napawa ją rozpaczą?

Choć Isabel ściskało w gardle, ochoczo wyciągnęła rękę, pozwalając, by włożył jej pierścionek na palec. Gdy go wsunął, coś się w niej zacisnęło. Dlaczego poczuła się tak dobrze, choć postępuje tak źle? Ku jej zaskoczeniu, pierścionek pasował, jakby był na nią zrobiony, aż spojrzała na Marcusa.

Odgadując chyba jej myśli, wyjaśnił: – Babcia była delikatnej postury. Dziadek żartował, że musi strząsnąć pościel, żeby ją znaleźć. Uwielbiali się przez całe życie. Ich małżeństwo było długie i szczęśliwe – dodał cicho.

Nie odrywając wzroku od pierścionka, Isabel rzekła ochryple:

– Dzięki. Będę go cenić jak największy skarb, póki będzie mój.

Zbyt przepełniona uczuciami, by mówić dalej, gestem zaprosiła go do altanki. Gdy oboje usiedli na kamiennej ławeczce, Isabel złożyła ręce na podołku i patrząc na lśniący pierścionek z szafirów i diamentów, ciężki i ciepły na jej palcu, usiłowała zebrać myśli.

Marcus przypatrywał się jej przez parę sekund, widząc, że jest skłopotana. – O co chodzi? – zapytał wreszcie, nie mogąc znieść jej nieszczęśliwej miny. – Czyżby lord Manning zachował się nie tak, jak się spodziewałaś? Ta wiadomość sprawiła mu przykrość? – Uśmiechnął się słabo. – Czy może Edmund nie czuje do mnie takiej sympatii, jak myślałaś?

Isabel potrząsnęła głową. – Nie – odparła cicho. – Obaj są niezmiernie szczęśliwi.

Marcus wsunął swój długi palec pod brodę Isabel i delikatnie obrócił jej twarz ku sobie.

– Więc w czym rzecz, moja droga? Wyglądasz, jakbyś stała pod szubienicą.

Ich oczy się spotkały. – Gdy powiedziałeś Whitleyowi o naszych zaręczynach, chyba nie zdawałeś sobie sprawy ze wszystkich tego konsekwencji – rzekła żałośnie.

Zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli? Jak dotąd nie wyskoczyło nic niespodziewanego.

Spoglądając znów na pierścionek na palcu, zapytała:

– Czy po otrzymaniu mojego bilecika po południu napisałeś do matki list z wieścią o naszych zaręczynach? A może do kuzynek? Do ciotek?

Nadal marszcząc brwi, Marcus potrząsnął głową.

– Nie. Pomyślałem, że jutro napiszę do mamy.

– Ale napiszesz? – naciskała, nie patrząc na niego.

– Oczywiście! Musi się dowiedzieć. – Milczał przez chwilę, po czym rzekł powoli: – A jeśli nie napiszę do kuzynek i ciotek, dowiedzą się o tym od mamy. – Westchnął, powoli zaczynała do niego dochodzić mnogość problemów, którym będą musieli stawić czoła. – Z początku wydawało mi się, że wieść o zaręczynach może nie wyjść poza okolicę. Dopiero teraz widzę, jak szerokim odbije się echem.

– Myślisz, że twoja matka będzie zadowolona z wieści o naszych zaręczynach? – zapytała Isabel głosem, niezdradzającym żadnych emocji.

Marcus zaśmiał się. – Och, przypuszczam, że mama, tak samo jak lord Manning, będzie zachwycona. Od czasu do czasu wspominała, że chce, bym się ożenił. Zawsze cię lubiła i na pewno ucieszy ją wiadomość o naszych zaręczynach. – Uśmiechnął się słabo. – I nie zapominaj, że Edmund jest jej ulubieńcem.

Isabel rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– I tak samo się ucieszy, gdy za parę tygodni zerwiemy zaręczyny?

Zesztywniał i wbił w nią wzrok. Przed oczami błysnęła mu twarz matki, którą pokrywały zmarszczki smutku, a w oczach błyszczały łzy. O ile na wieść o jego zaręczynach z Isabel mat ce serce skoczy z radości, o tyle po ich zerwaniu będzie niepocieszona. A inni krewni, których też będzie musiał w to wciągnąć? Kuzyni, Julian i Charles, co oni będą czuli? Z pewnością bardzo się ucieszą, że jest o krok od małżeństwa, a co sobie pomyślą, gdy się dowiedzą, że do niego nie dojdzie? A Nell, żona Juliana? Daphne, świeżo poślubiona małżonka Charlesa? A jego ciotki, inni członkowie rozgałęzionej rodziny Westonów i ich wszyscy znajomi? Wiedział, że pospieszą z gratulacjami na wieść, że wreszcie się żeni, ale co powiedzą, gdy im oznajmi, że z małżeństwa nici?

Marcus nie wątpił, że jedni się nie przejmą i tylko wzruszą ramionami, ale inni... Innych, myślał z przerażeniem, jak jego matkę, zerwanie zdruzgocze albo, jak Nell, głęboko zasmuci. Zwłaszcza Nell będzie opłakiwać fi asko jego zaręczyn i zrobi wszystko, by go pocieszyć, wiedział też, że Charles i Julian dadzą mu milczące, męskie wsparcie, ale poczują się głęboko zawiedzeni i będą cierpieć wraz z nim. A jego

matka... jego matka przeżyje to najboleśniej. Z trudem przełknął ślinę. Twarz mu płonęła, oddychał z trudem. Wielki Boże! Czyż może im to zrobić? Rozbudzić ich oczekiwania, wiedząc, że to wszystko kłamstwo i że nigdy nie było mowy o małżeństwie? W tym momencie zatrzasnęła się pułapka, którą sam sobie zgotował.

Wpatrzył się w Isabel, a z jego miny dało się wyczytać, że nie ma wyjścia, ich zaręczyn nie można zerwać. Głosem pozbawionym emocji powiedział: – Gdyby nie doszło do małżeństwa, moja matka byłaby bardzo, bardzo nieszczęśliwa. Zupełnie załamana... – Opuścił wzrok na pierścionek na jej palcu. – Wielu ludzi – przyznał niechętnie – zwłaszcza nam najdroższych, będzie rozczarowanych i urażonych, jeśli się nie pobierzemy. – Przeszył go dreszcz. – Możesz mnie nazwać tchórzem, ale wolałbym z gołymi rękoma stanąć przed zieją cym ogniem smokiem, niż powiedzieć matce, że do siebie nie pasujemy i zmieniliśmy zdanie – dodał cicho.

Isabel uśmiechnęła się gorzko.

– Właśnie.

Szare oczy Marcusa napotkały jej wzrok.

– Zapewne o tym chciałaś ze mną porozmawiać?

Isabel przytaknęła. – Myślałam – rzekła cicho – że uda się nam wybrnąć z tej sytuacji bez żadnego zamieszania. Nie było cię tu – dodała ochrypniętym głosem – i nie widziałeś niezmiernej radości mego teścia i syna na wieść o moich zaręczynach. Okrucieństwem będzie odgrywać tę farsę, wiedząc... – Za wszelką cenę starała się opanować. Z oczyma pociemniałymi ze wzruszenia rzekła: – Nie mogę zwodzić ich tak okrutnie.

Marcus przyznał jej rację. Istotnie, okrucieństwem byłoby przywieść wszystkich do przekonania, że zawrą małżeństwo, skoro doskonale wiedzą, że niczego takiego nie planują. Zaręczyny pozostaną aktualne... i w końcu się pobiorą. Przez chwilę dręczyło go wrażenie, że pętla zaciska mu się wokół szyi, ale się z niego otrząsnął. W końcu małżeństwo z Isabel nie będzie rzeczą tak straszną. A skoro musi się ożenić... – Zdaje się, moja droga – rzekł cierpko – że jesteśmy naprawdę zaręczeni i zamiast planować zerwanie, będziemy planować nasz ślub.

Nie zdawała sobie sprawy, ile znaczyły dla niej jego słowa, że nie mogą tak beztrosko zerwać zaręczyn, ale słysząc, że to mówi, poczuła falę ogromnej ulgi. Wiedziała, że jest człowiekiem honorowym, i była pewna, że nie wpadnie w gniew. Napomniała się, że dał już jej do zrozumienia, iż ją poślubi, jeśli uzasadni to obrót wydarzeń, ale mówić teoretycznie to jedno, a urzeczywistnić obietnicę to co innego, toteż przez

cały czas dręczyła ją ta wątpliwość. Była rada, że trafnie oceniła jego charakter i że dokładnie rozumiał, z jakich powodów nie powinni zrywać zaręczyn.

Ale to dopiero pierwsza przeszkoda, którą muszą pokonać, pomyślała ze znużeniem, a całe poczucie ulgi zniknęło bez śladu. Myśląc o małżeństwie z Hugh i obietnicy, jaką mu złożyła, gdy umierał, poczuła nagły przypływ paniki. Tej drugiej przeszkody nie będzie już tak łatwo przezwyciężyć...

Nie chcąc rozmyślać o tym, co niesie jej przyszłość, zmusiła się do odwzajemnienia Marcusowi uśmiechu i rzekła lekko:

– Mam nadzieję, że posiadłeś już tę wielką mądrość, że należy pomyśleć, zanim się coś powie?

Zaśmiał się szczerze. – Tego możesz być absolutnie pewna. – Unosząc jej rękę do ust, pochylił głowę i wycisnął miękki, ciepły pocałunek na wierzchu dłoni. Trzymając palce narzeczonej w swoich, oczyma szukał jej wzroku. – Nie planowaliśmy tego, ale myślę, że będzie nam dobrze razem.

Chciała mu uwierzyć, chciała wierzyć, że będą dobrym małżeństwem, ale w środku cała się trzęsła. Nie, żadne z nich nie planowało małżeństwa, pomyślała smętnie, i ich związek będzie znaczył o wiele mniej, niż Marcus sobie wyobraża.

Kolacja przebiegła przyjemnie, choć nie obyło się bez zgrzytów. Prócz pani Appleton, która wyglądała olśniewająco w sukni z mieniącego się jedwabiu w miłych dla oka odcieniach jasnego błękitu, zaproszono też wuja i ciotkę Isabel, sir Jamesa i lady Agathę. Edmundowi, który wyglądał niezwykle dorośle w granatowym żakiecie i porządnie zawiązanym fularze, z tej szczególnej okazji również pozwolono dołączyć do uczty dorosłych. Isabel napomniała tylko młodego człowieka, że musi zadowolić się lemoniadą zamiast szampana, którego piła reszta gości. Skrzywił się, ale zaraz potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Założę się, że pan Sherbrook pozwoliłby mi napić się szampana.

Odwzajemniła mu uśmiech, choć serce ścisnęło jej się boleśnie, gdyż w tej chwili syn wyglądał jak odbicie ojca. – Być może – rzuciła lekko, głaszcząc go po policzku. – Ale jeszcze nie jest twoim ojczymem. A na razie ja ustalam zasady.

Edmund, chłopiec pogodnego usposobienia, uznał jej zarządzenie i przez całą kolację zachowywał się nienagannie.

Naturalnie wszyscy byli zaskoczeni wieścią o zaręczynach i przez większość posiłku, między rozmaitymi toastami za zdrowie Marcusa

i Isabel oraz za ich wspólną przyszłość, goście często wydawali okrzyki zdumienia.

– Och, ależ ty jesteś przebiegła – rzekła lady Agatha, której ciemne oczy z namysłem, a może i z odrobiną złośliwości, spoczęły na twarzy Isabel. – Ukrywałaś tajemnicę i przez cały czas mydliłaś nam oczy, twierdząc, że nie możecie na siebie patrzeć. To było bardzo sprytne, nikt się nie spodziewał bliskich zaręczyn.

Nawet w młodości Agatha Paley uchodziła za niewiastę raczej przystojną, niż powabną. Była wysoka i chuda, o ciemnych włosach, rysach niemal męskich, długim nosie, wydatnym podbródku i oczach głęboko osadzonych pod ciemnymi, gęstymi brwiami i choć zbliżała się do pięćdziesiątki, wiek nie zdołał złagodzić jej rysów. Agatha zawsze była kobietą zimną i nieczułą i jej małżeństwo z sir Jamesem niczego tu nie zmieniło. Obie kobiety nigdy za sobą nie przepadały; nim Agatha wyszła za sir Jamesa, była guwernantką Isabel, która nade wszystko pragnęła wyrwać się spod surowej opieki tego żeńskiego sztokfisza, co po części było powodem jej pochopnego małżeństwa z Hugh.

Do Anglii wróciła już jako wdowa po Hugh i wraz z synem zajęła należne jej miejsce w domu lorda Manninga, dzięki czemu nie musiała chodzić na pasku Agathy. Zapobiegło to też nieuchronnemu otwartemu konfliktowi między obiema paniami. Isabel usilnie dążyła do pokojowego ułożenia sobie stosunków z Agathą, pragnęła też, by Edmund był w dobrych stosunkach ze stryjecznym dziadkiem i poznał dom, w którym wychowała się jego matka. Obie damy nigdy się nie polubiły, lecz odnosiły się do siebie uprzejmie. Tylko gdy Agatha od czasu do czasu pokazywała pazurki, Isabel również nie kryła swoich.

Zmuszając się do uśmiechu, Isabel zerknęła na ciotkę i rzekła pod nosem:

– Tak, byliśmy bardzo ostrożni, nikt nie chce być przedmiotem plotek i aluzji. Ty, jak nikt inny powinnaś to zrozumieć.

Isabel utrzymywała swe zaręczyny w tajemnicy z bardzo podobnych powodów, jakie podała Agatha, gdy jej nagłe małżeństwo z sir Jamesem dało asumpt do dziewięciodniowej burzy w okolicy. Starsza pani zacisnęła tylko wargi, poza tym nie dając żadnych oznak, że strzał był celny.

Wiedząc, że stosunki między obiema kobietami są napięte, na ratunek ruszyła Clara Appleton, rzucając pogodnie: – Och, uważam, że to takie romantyczne! – Posłała Marcusowi ciepłe spojrzenie. – Wiem na pewno, że na wieść o zaręczynach pańska matka nie będzie posiadać się z radości. Setki razy powtarzała, że najbardziej na świecie pragnie, by się pan ożenił

i miał potomstwo.

Marcus uśmiechnął się do niej.

– A, naturalnie, wszyscy wiemy, że żyję tylko po to, by zadowolić matkę.

– No, no, mnie pan nie nabierze – odparła Clara, karcąco kiwając do niego palcem. – Pańska matka często mówiła, jakim jest pan wspaniałym synem.

– Doskonale do siebie pasują, bez wątpienia – rzekł sir James z wyraźnym zadowoleniem. Dobrze po siedemdziesiątce, o wesołych niebieskich oczach, pucołowatych różowych policzkach i z paroma zaledwie kępkami siwizny okalającymi łysinę, przypominał Isabel uroczego, podstarzałego cherubinka. Stanowili dziwną parę: sir James okrągły, Agatha chuda, a z powodu niskiego wzrostu barona jego głowa ledwo sięgała ponad ramię żony. W istocie, zdaniem Isabel, Agatha górowała nad nim niczym czarny bocian o patykowatych nogach nad małą, tłustą kuropatwą.

Wysoko unosząc kieliszek, sir James wzniósł kolejny toast: – Obyście żyli razem długo i szczęśliwie! – Serdecznie uśmiechnął się do Isabel. – Och, moja droga, twój ojciec byłby niezmiernie rad z tak szczęśliwego obrotu zdarzeń. A zatem niechaj wszyscy wypiją za Isabel, Marcusa i ich wspólne długie i szczęśliwe życie.

– Za to wypiję – rzekł lord Manning z szerokim uśmiechem na twarzy. W istocie Isabel skonstatowała, że uśmiech nie schodził ani z jego twarzy, ani z oblicza Edmunda, odkąd tylko dowiedzieli się o zaręczynach. Nie miała zamiaru ponownie wychodzić za mąż, lecz gdy los zrządził inaczej, cieszyła się, że jej przyszłe zaślubiny sprawiają radość najukochańszym osobom.

Gdy opróżniono kieliszki, lord Manning odstawił swój i zapytał:

– Kiedy planujecie ślub? Zapewne latem?

– Tak – poświadczył Marcus.

– Nie – wyrwało się Isabel.

Gdy spoczęły na niej oczy wszystkich gości, Isabel oblała się rumieńcem i wybąkała: – Och, jeszcze się nie zdecydowaliśmy. – Rzucając Marcusowi ostrzegawcze spojrzenie, rzekła: – Mieliśmy omówić to jutro, prawda?

– Owszem – odparł z uśmiechem zapytany.

Reszta wieczoru przeszła gładko, choć Marcus i Isabel mogli porozmawiać na osobności dopiero, gdy narzeczony zbierał się do odjazdu. Reszta gości pożegnała się przed kilkoma minutami, Edmund już przed paroma godzinami udał się na spoczynek, a lord Manning pomachał

im ręką, życzył dobrej nocy i dyskretnie zniknął na piętrze.

Ponieważ koń Marcusa nadal był przywiązany do lipy na skraju ogrodu, a narzeczony nie przystał na propozycję Isabel, by przyprowadził go służący, towarzyszyła mu do ogrodu. Gdy tak szli wśród nocnej ciszy, pod czarnym niebem usianym mrugającymi gwiazdami, Marcus zagadnął: – Poszło dość dobrze, prawda? Jedyny niezręczny moment wyniknął wtedy, gdy twój teść zapytał, kiedy się pobieramy. – Przystanął i spojrzał na nią. – Więc kiedy się pobieramy?

– Może w przyszłe lato? – zaproponowała.

Marcus spojrzał na nią z niedowierzaniem. – W przyszłe lato? – powiedział. – Czy ja dobrze słyszę? To absolutnie wykluczone.

Choć gdy budził się rankiem owego dnia, nie miał pojęcia, że będzie się żenił z kimkolwiek, to myśl o długich zaręczynach z Isabel była mu absolutnie nie w smak. – Nie – powiedział stanowczo. Gdy Isabel spojrzała na niego, gotowa wyłożyć swe racje, przypomniał: – Pamiętaj, że odkładanie naszego ślubu krzyżuje plany Manningowi i pani Appleton. A jeśli będziemy zwlekać zbyt długo, zaczną się plotki i najprzeróżniejsze domysły – dodał po chwili.

Czując się, jakby stała na kruchej skale, pod którą rozciąga się bezkres wzburzonego morza, spytała zdławionym głosem:

– Więc jaką datę proponujesz?

– Koniec lipca, początek sierpnia – odparł bez namysłu.

– Oszalałeś? To już za parę miesięcy – rzekła, przerażona, gdyż plan, jaki ułożyła sobie na pocieszenie – by zwlekać ze ślubem możliwie jak najdłużej, w jednej chwili spalił na panewce.

Skinął głową.

– Myślę, że to doskonała pora. Będziemy zaręczeni przez przyzwoity okres – ile to, dwa, trzy miesiące? Do tej pory wszyscy wrócą na lato z Londynu do swoich majątków. Mały sezon zacznie się dopiero we wrześniu, więc nie zburzymy niczyich planów.

Isabel, z zakłopotaną miną, uniosła ku niemu wzrok.

– Marcusie, nie rozumiesz chyba...

Uciszył ją, kładąc palec na jej ustach. – Cicho. Myślisz, że nie wiem, do czego zmierzasz? Usiłujesz zadowolić swojego teścia i Edmunda, a nie chcesz zrobić jedynej rzeczy, która najbardziej by ich uszczęśliwiła, wziąć ślubu. – Bacznie wpatrzył się w jej oczy. – Możemy się pobrać pod koniec lipca albo na początku sierpnia, kiedy wolisz, ale, Isabel, pobierzemy się tego lata.

Oczy jej zalśniły gniewem. – Właśnie sobie przypomniałam, jakim władczym potrafisz być potworem – warknęła. – Zwracam ci uwagę, że

nie jestem już twoją podopieczną.

– Pamiętam o tym – rzekł, a w jego głosie brzmiała nuta, której nigdy u niego nie słyszała – choć przez całe lata tak o tobie myślałem. – Chwycił ją za ramiona i łagodnie do siebie przyciągnął. – Od dzisiejszego ranka – powiedział, mając usta prawie przy jej wargach – mogę o tobie myśleć jako o niezwykle ponętnej kobiecie. Niezwykle ponętnej.

Serce Isabel zabiło mocno na te słowa, lecz to dotyk jego warg na jej ustach wprawił całe jej ciało w gwałtowne drżenie. Usta miał ciepłe i czuła, że znał się na rzeczy, całował ją bowiem tak uwodzicielsko i zniewalająco, że wbrew woli uległa i rozchyliła wargi.

Marcus jęknął, gdy otworzyła się dla niego, pożądanie i rozkosz zlały się w jedno potężne uczucie. Całował ją namiętnie, wsuwając język w jej usta i prowokacyjnie ocierając się o jej język. Smakowała cudownie, ciepła i oszałamiająca, aż ścisnął ją mocniej i przyciągnął jej drobną postać bliżej do siebie. A chciał tylko złożyć przyjacielski pocałunek na jej ustach – przynajmniej tak to sobie tłumaczył – lecz Isabel była zbyt uległa, jej reakcja zbyt nieodparta, by odrzucił upajającą uwodzicielskość jej warg.

Wezbrało w nim przemożne, męskie pożądanie jednej, szczególnej kobiety, aż stał się ślepy na wszystko prócz tego, że jej pragnie. Ich usta złączyły się, ręce Marcusa opadły na pośladki Isabel, podnosząc i kierując jej miłosne rejony ku nabrzmiałemu członkowi. Podniecił się nieznośnie ocierającą się o niego miękkością kobiety i teraz pochłonęło go nagłe oczekiwanie gorącej rozkoszy, która stanie się jego udziałem, gdy namiętność połączy ich w jedno. Dążąc do celu, podwinął jej suknię, a serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, gdy niecierpliwe palce dotknęły jej nagiego ciała.

Tonąc w jego objęciach, targana uczuciami, które od dawna były uśpione, Isabel została brutalnie przywrócona do rzeczywistości dotykiem męskiej dużej, ciepłej dłoni, pieszczącej jej pośladki. Wstrząśnięta spazmem pożądania, który przeszył jej ciało pod naciskiem rąk Marcusa, oszołomiona ich bliskością, odetchnęła raptownie i wyrwała się z jego uścisku.

Kompletnie go zaskoczyła, gdy odwróciła głowę i odepchnęła go z całej siły. Nie próbował jej powstrzymać, opuścił ręce, a ona, targana szlochem, odsunęła się od niego. Policzki jej płonęły, smutna i zażenowana, drżącymi rękami doprowadzała do porządku suknię. Nie chciała na niego spojrzeć, powiedziała tylko głosem nabrzmiałym łzami: – Nie powinno było do tego dojść. Przysięgłam Hugh, że zawsze... Absolutnie nie powinnam była... Wybacz mi! – I już zniknęła mu z oczu,

zebrawszy spódnice uciekała od niego, jakby chodziło o życie.

Marcus jak zamroczony wpatrywał się w ciemność, w której przepadła. O co w tym wszystkim chodzi? I co, do diabła, przysięgła Hugh?

# Rozdział 5

Marcus z nachmurzoną miną wrócił do domu i parę minut później wszedł do środka. Jadąc w ciemności do dworu w Sherbrook, zastanawiał się nad zachowaniem Isabel. Jego pieszczoty nie budziły w niej odrazy i chętnie poszła w jego objęcia, tyle wiedział na pewno. Więc dlaczego uciekła? Nie napierał, gdy chciała przerwać czułości, i sam w duchu był przerażony, że tak niewiele brakowało, by kompletnie stracił głowę, ale przecież nie musiała z miejsca mu umykać. I co, do diabła, miała na myśli, wypowiadając owe zagadkowe słowa? Zwłaszcza te dotyczące Hugh?

Odesłał Thompsona, rzucił rękawiczki do konnej jazdy na marmurowy stolik w eleganckim przedpokoju, wziął świecę, którą kamerdyner dla niego zostawił, i wszedł do gabinetu. Zapaliwszy parę świec, przez kilka minut rozniecał ogień w kominku zajmującym znaczną część przeciwnej ściany. Z zamyśloną miną nalał sobie brandy, którą wziął z tacy zastawionej butelkami i szkłem. Thompson regularnie uzupełniał te zapasy, zgromadzone na wysokiej, mahoniowej komodzie. Ze szklaneczką w dłoni Marcus podszedł do biurka.

Postawił brandy na rogu, po czym stanął, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w szklaneczkę, i myślał o Isabel. Z jednej strony był niezmiernie rad ze sposobu, w jaki zareagowała na jego pocałunek, ale ten finał... Nachmurzył się. Postanowił ponuro, że Hugh Manning nie będzie gościł w ich sypialni. W jego łożu małżeńskim nie ma miejsca na żadne duchy.

Hugh Manning nie żył już od ponad dziesięciu lat i Marcus nie wierzył, że Isabel nadal kocha męża. Podczas ich czułych chwil nie zachowywała się jak kobieta, której serce należy do zmarłego. Była namiętna i chętna, wszak otoczyła go ramionami i rozchyliła usta do pocałunku. Więc co poszło nie tak?

Pieszczoty zapoczątkował Marcus. Ponieważ mieli się pobrać, to

oczywiste, iż miał nadzieję, że znajdą rozkosz w swoich ramionach. Po prostu nie spodziewał się, że ulegnie takiej pierwotnej, nieposkromionej żądzy, jaka nie opadła go nigdy w życiu. Uświadomił sobie, ze sporym zaambarasowaniem, że po raz pierwszy w takiej sytuacji pożądanie wzięło nad nim górę. Gdyby Isabel nie przerwała tego intymnego zbliżenia, mógłby się całkowicie zapomnieć, co go zaniepokoiło. Powinien był zachować się w tej sytuacji znacznie bardziej finezyjnie. Tymczasem, pomyślał z irytacją, poczynał sobie jak jurny młodziak wobec swej pierwszej kobiety.

Marcus, mężczyzna bądź co bądź trzydziestodziewięcioletni, posiadł znaczną biegłość w sztuce uwodzenia. Nie opowiadał o swych podbojach, lecz nie żył jak mnich i niejedna baletniczka skorzystała z jego opieki. Był czuły na wdzięki i zmysłowe rozkosze, które znajdował w ramionach swych najprzeróżniejszych utrzymanek, lecz, prócz żądzy i być może rozbawienia ich sztuczkami, gdy usiłowały wyciągnąć od niego kolejne kosztowne świecidełko, głębszych jego uczuć nie poruszały. Kochanki zaspokajały potrzebę fizyczną i choć znajdował przyjemność w ich towarzystwie i w łóżku, uznawał ją za porównywalną z rozkoszą i radością, jakie daje spożycie nadzwyczaj smakowitego posiłku czy wybornego trunku: coś, z czego ma się uciechę przez chwilę, a później się o tym zapomina. Wątpił wszakże, czy jeśli dożyje setki, zatrze mu się w pamięci ten płomień namiętności, który zapłonął w nim, gdy jego wargi dotknęły ust Isabel. Dzisiejsze spotkanie z narzeczoną uświadomiło mu, że dopóki jej nie pocałował i nie wziął w ramiona, nie przeżył prawdziwego pożądania – i to go wytrąciło z równowagi.

Gdy tulił w ramionach namiętną i chętną Isabel, świat gdzieś zniknął, a on, niepomny na nic, myślał tylko o tym, jak cudownie jest trzymać ją w objęciach, czuć wyłącznie oszałamiającą słodycz jej pocałunku i podniecającą miękkość ciała, mocno przyciśniętego do jego muskularnej sylwetki. Marcus skrzywił się, nierad, że znalazł się całkowicie na łasce swych najbardziej pierwotnych instynktów. Nieczuły był na nic prócz dojmującego pragnienia, by unieść spódnice skrywające wdzięki Isabel i chędożyć ją, chędożyć, bo, przyznał niechętnie, tylko tak można opisać prymitywne uczucia, które nim owładnęły. Przyznał, nieco wstrząśnięty, że gdyby Isabel nie przerwała ich czułości, cóż, nie odpowiadałby za to, do czego by potem doszło. Zmarszczył brwi, wiedząc doskonale, co by się stało: posiadłby ją tam, w ogrodzie, nie bacząc na nic!

Potrząsnął głową. Uznał, że coś musi być z nim nie w porządku. Dotąd spokojnie i z zadowoleniem spodziewał się, że jeden dzień będzie podobny do następnego i wszystko potoczy się ustalonym trybem, aż tu,

ni z tego, ni z owego, oznajmia całkowicie obcemu człowiekowi, że jest zaręczony z kobietą, której przez ostatnie dziesięć lat unikał jak zarazy. Co więcej, stwierdził, że myśl o małżeństwie właśnie z nią wcale nie jest mu niemiła. Nie, absolutnie nie jest mu niemiła, uznał, przypominając sobie smak jej słodkich ust i kształt nagich, jędrnych pośladków. Jego ciało zareagowało natychmiast na obrazy, które przemknęły mu przez głowę, krew błyskawicznie zgęstniała i żywiej popłynęła w żyłach, członek nabrzmiał i zrobił się cięż ki, a on sam zastanawiał się w osłupieniu, czy aby nie zmienia się w satyra albo rozpustnika, jak jego dziadek, stary hrabia...

Przerażony wizją żywota swego protoplasty, Marcus roztropnie starał się nie myśleć o niczym, co ma choćby luźny związek ze sprawami cielesnymi. Z wyrazem skupienia na zachmurzonej twarzy zrzucił swój dopasowany granatowy żakiet i rozwiązał wykrochmalony biały fular, po czym obie sztuki odzieży cisnął na obitą czerwonobrunatną skórą kanapę stojącą naprzeciwko kominka. Usadowił się za biurkiem, pociągnął łyk brandy, wyjął kilka arkusików papieru i zabrał się do pisania.

Po chwili namysłu uznał, że jego matka powinna dowiedzieć się pierwsza. Wciągnął głęboko oddech, po czym zaczął pisać, szybko i zdecydowanie, zawiadamiając ją tylko, że zaręczył się z Isabel Manning i że ślub odbędzie się pod koniec lipca albo na początku sierpnia. Uporawszy się z pierwszą, najtrudniejszą korespondencją, zabrał się do pozostałej. W końcu na skraju biurka pojawił się stosik kartek powtarzających zasadniczo tę samą informację, którą zawarł w liście do matki. Przerwał na chwilę, by przejrzeć w myślach nazwiska osób, które o zaręczynach powinny dowiedzieć się bezpośrednio od niego.

Klan Westonów był duży i szeroko rozgałęziony, a choć Marcus najbliższe więzi utrzymywał ze swym kuzynem Julianem, hrabią Wyndham, i Charlesem, a w mniejszym stopniu ze swym młodym kuzynem wielmożnym Staceyem Bannisterem i z matką Staceya, najmłodszą siostrą jego matki, byli też inni krewni. Wielu innych krewnych, przyznał, krzywiąc się, a o niektórych prawdopodobnie nawet nie wiedział. Stary hrabia znany był ze znacznej liczby nieślubnych dzieci, porozrzucanych po całych Wyspach Brytyjskich, i Marcus cieszył się, że może spokojnie pominąć wszystkich członków rodziny poczętych nie w tym łożu, co należy. Ale zostały jeszcze trzy ciotki i diabli wiedzą ilu kuzynów.

Uznając, że winien zawiadomić tylko ciotki, im pozostawiając obowiązek przekazania wieści swym dzieciom, znowu zabrał się do pisania. Po skończeniu trzech ostatnich listów z zadowoleniem spojrzał na

stosik kartek. Jego matce wiadomość zostanie przekazana przez służącego, inne zawiadomienia można wysłać pocztą.

Długo przyglądał się kupce arkusików. Jego los został przypieczętowany. Nie dość, że wieczorem ogłoszono zaręczyny w siedzibie lorda Manninga, to jeszcze, skoro te listy zostaną doręczone, wieść rozejdzie się lotem błyskawicy w całym wielkim świecie.

Odsunąwszy krzesło, sączył brandy i rozmyślał o przyszłości. Za parę miesięcy będzie żonaty i jego życie całkowicie się odmieni. Ale, napomniał się, co noc będzie miał Isabel w łóżku. Przez jego twarz przemknął błysk pożądania. Małżeństwo, uznał, ma też pewne zalety.

Przemierzając swe apartamenty we dworze w Manning, Isabel nie mogła dopatrzeć się żadnych dobrych stron małżeństwa z Marcusem Sherbrookiem. W istocie uważała je za jedną wielką katastrofę.

W szlafroczku z cieniutkiego batystu chodziła tam i z powrotem pod parą wysokich okien wychodzących na ogród różany. Z uporem odwracała wzrok od stojącej w nim altany. Po pierwsze, nie chciała myśleć o tym, co w niej zaszło, gdy straciła głowę w ramionach Marcusa. Z tą samą żelazną konsekwencją, z jaką kierowała swoim życiem po śmierci Hugh, odwróciła myśli od tego namiętnego epizodu i zaczęła zastanawiać się nad przyszłością.

Jak to się stało, że jej życie uległo tak gwałtownej, tak katastrofalnej zmianie w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin? W życiu miała dość kłopotów i ze wszystkimi jakoś się uporała – lecz nigdy nie spadło na nią coś tak upiornego, jak małżeństwo z Marcusem! Obudziła się rano ze świadomością, że musi załatwić sprawę z Whitleyem, ale nie spodziewała się, iż pod koniec dnia będzie zaręczona z Sherbrookiem! Wezbrał w niej na poły histeryczny śmiech. Z Whitleyem by sobie poradziła, ale Marcus... Ból ścisnął jej serce. Ponieważ na myśl o Marcusie zbierało jej się na płacz, uznała, że musi zastanowić się nad rozwiązaniem pierwszej sprawy.

Problem Whitleya wisiał nad nią jak miecz Damoklesa. Wiedziała już, że zrobiła straszliwy błąd, płacąc mu za pierwszym razem, oraz że nie powinna dać mu ani pensa więcej – choćby nie wiadomo czym jej groził.

Pocierając czoło, Isabel opadła na łóżko. I nawet dwa dni temu też nie zapłaciłabym temu draniowi, gdyby mnie nie zaskoczył, pomyślała gorzko. Przeszedł ją chłód, gdy przypomniała sobie, jak ścinając róże w ogrodzie, uniosła głowę i ujrzała przed sobą Whitleya z tym pamiętnym, denerwującym uśmieszkiem na twarzy. Gdy mieszkała w Indiach, często świerzbiła ją ręka, by wymierzyć mu policzek, który

starłby ten uśmieszek z jego gęby, i teraz stwierdziła, że ta chętka wcale jej nie przeszła. Nie była w stanie pojąć, dlaczego Hugh przyjaźni się z majorem, zawsze miała się na baczności przed nim i jego wścibstwem.

Na jej twarzy pojawił się wyraz niesmaku. Ileż to razy w tamtych latach przyłapywała Whitleya na myszkowaniu po domu, kiedyś nawet zastała go, jak przeglądał papiery na biurku Hugh. Ileż nudnych popołudni w indyjskiej duchocie spędziła na słuchaniu opowieści żon kolegów Hugh o tym, że Whitley bezustannie gdzieś węszy? Wydęła wargi. Żony mogły o nim plotkować, ale wszystkie zapraszały go do swoich domów i uważały, że jest czarujący. Nawet ja, przyznała z niesmakiem Isabel. Ale nigdy nie lubiła Whitleya, od pierwszej chwili, gdy Hugh go jej przedstawił, i nigdy nie uległa jego gładkiemu urokowi.

Angielska społeczność w Bombaju była mała i zamknięta, toteż, jak w każdej takiej zbiorowości, zabawiano się głównie komentowaniem poczynań wszystkich razem i każdego z osobna. Były to niewinne ploteczki, całkiem zrozumiałe w tej sytuacji, lecz, zdaniem Isabel, w zainteresowaniu Whitleya życiem przyjaciół i sąsiadów było coś niezdrowego. Jeszcze przed śmiercią Hugh i jej powrotem do Anglii doszła do przekonania, że Whitley jest niebezpieczny i nie żywi przyjacielskich uczuć ani względem jej męża, ani niej.

Przeszedł ją dreszcz strachu. I, wielki Boże, miałam rację! Ręce jej nagle zwilgotniały, gdy przypomniała sobie to pierwsze spotkanie z Whitleyem w ogrodzie. Nie była rada z jego widoku, ale też się nie przestraszyła, przynajmniej na początku.

Po chwili zdała sobie sprawę, że Whitley jest sam, żaden służący nie przyprowadził go do niej, ominął też normalną drogę, by nie zobaczył go żaden z mieszkańców domu. Znowu się wślizguje i zakrada, pomyślała z niesmakiem.

Nie kryjąc odrazy, zapytała ostro:

– Czy w domu nikogo nie było?

Uśmieszek Whitleya stał się wyraźniejszy. – Uznałem, że powinniśmy najpierw porozmawiać na osobności, zanim przedstawi mnie pani teściowi. Mamy ze sobą wiele do omówienia, wątpię, czy lord Manning chciałby słuchać o dawnych czasach w Indiach. – Wbił zimny wzrok w jej twarz i wycedził: – Chyba nie musi wiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się w Bombaju, nieprawdaż?

Isabel przejął strach. – O... o... o czym pan mówi – wykrztusiła pobladła.

– Chyba wie pani doskonale, o czym mówię. – Spojrzał na nią chytrze. – Oczywiście nie muszę rozmawiać z lordem Manningiem ani

opowiadać mu o dawnych czasach, nieprawdaż? Chyba nie ma powodu denerwować starszego pana opowieściami o tym, że jego syn nie był takim wzorem cnót, jak tatuś myślał, a pani też jest całkiem inna, niż się wydaje. Lecz – dodał ostrożnie – jeśli ktoś wynagrodziłby mi to, mógłbym po prostu wyjść tą samą drogą, którą przyszedłem, nie mówiąc nikomu ani słówka.

Mając myśli rozbiegane jak wiewiórki wokół drzewa, Isabel uczepiła się najważniejszej części jego przemowy. Odejdzie. Za pieniądze. – Niech pan tu zaczeka – rzekła bez tchu. – Nikt nie może pana zobaczyć. – Odrzucając narzędzia i słomiany kosz do połowy napełniony różami, pomknęła do domu.

Po paru minutach zebrała całą gotówkę, jaką dysponowała. Dziękowała Bogu, że zostało jej jeszcze sporo pieniędzy z sumy, którą lord Manning co kwartał hojną ręką dawał synowej na drobne wydatki, a w geście rozpaczy dorzuciła do tego diamentowy naszyjnik i kolczyki. W czasie tych pierwszych gorączkowych minut dałaby Whitleyowi wszystko, byleby tylko sobie poszedł.

I to, uznała ze złością, był jej pierwszy błąd. Gdyby go od razu pogoniła, załatwiłaby sprawę raz na zawsze, ale czy to osiągnęła? Nie. Niczym wystraszona mała głuptaska wpadła w panikę i obsypała go pieniędzmi. Dotrzymał słowa – odszedł, jak najbardziej – ale niczym tygrys, który skosztował krwi, wrócił po więcej. I niebawem zdała sobie sprawę, że będzie wracał... jeśli temu nie zapobiegnie.

Wpatrzyła się w swe zaciśnięte, spoczywające na podołku ręce. Popełniłam błąd, ale go nie powtórzę. Następnym razem stawię mu czoła, napomniała się. Powiem mu, że więcej nie dostanie ani pensa.

Zacisnęła usta. Gdy dziś rano wyjeżdżała na spotkanie z Whitleyem, była wystraszona, lecz zdecydowana. Powtórzyła sobie w duchu, że Whitley nie ma dowodów na nic. Na pewno kręci, stwarza fałszywe pozory. Po prostu założył, że albo groźbami wyciągnie z Isabel prawdę, albo że ze strachu przed zdemaskowaniem, sama da mu pieniądze.

Zaśmiała się bez wesołości. W jednym temu draniowi się powiodło – dała mu pieniądze. Ale nigdy więcej tego nie zrobi i była zła, że tak głupio dała się Whitleyowi zastraszyć. Powinna była mu się oprzeć i roześmiać w twarz albo zaproponować, że przedstawi go lordowi Manningowi. To ryzykowne posunięcie, ale spróbować warto. Whitley nie wie nic na pewno, a ona i Hugh byli bardzo ostrożni, wiedząc, że gra idzie o ogromną stawkę i jeden fałszywy krok, jeden błąd może być tragiczny w skutkach. Nie ma dowodu, powiedziała sobie raz jeszcze, lecz nawet wiedza, że żaden dowód nie istnieje, nic nie pomagała, bo nie

mogła rozproszyć niepokoju, który ściskał jej pierś, ani zmniejszyć strachu.

Isabel nie zdziwiła reakcja Whitleya na jej oświadczenie, że nie da mu pieniędzy. Wiedziała, że bywa porywczy. Raz była świadkiem, jak rozgniewał się na któregoś z miejscowych służących i chwycił za szpicrutę. Isabel była pewna, że tylko szybka interwencja Hugh uratowała nieszczęśnikowi życie.

Wspominając poranne starcie z Whitleyem, uświadomiła sobie, że powinna była lepiej się przygotować. Whitley najprawdopodobniej by jej nie uderzył ani nie zrobił większej krzywdy, ale sytuacja niewątpliwie zrobiła się niebezpieczna. Isabel się skrzywiła. Powinnam była wziąć któryś z pistoletów Hugh i zastrzelić przeklętego łajdaka. Przez chwilę napawała się przyjemną wizją leżącego na ziemi trupa napastnika z dziurą od kuli między oczami.

Uśmiechnęła się ponuro. Była zdolna do czegoś takiego. Hugh denerwował się, gdy musiał ją zostawiać samą z Edmundem w obcym kraju na całe tygodnie, a nawet miesiące, gdy on jeździł w interesach Kompanii. Nie mieli w pobliżu sąsiadów i w tych niepewnych czasach zdana była tylko na miejscowych służących, którym wszak nie ufała bez zastrzeżeń, a do tego okolica roiła się od drapieżników i jadowitych węży. Hugh nauczył ją zatem obchodzić się z bronią. Gdy był w domu, w niezliczone parne poranki, zanim upał stawał się nie do zniesienia, zabierał ją do stosunkowo chłodnej dżungli, by ćwiczyła strzelanie z najprzeróżniejszych pistoletów. Zaliczała to do najprzyjemniejszych chwil, jakie spędziła w Indiach. Hugh był z niej dumny i po trudnym początku, a Bóg jej świadkiem, że był trudny, zarysowała się perspektywa szczęśliwego małżeństwa. Kąciki warg jej opadły. A potem królewska kobra przerwała wszystko.

Otrząsnąwszy się z przygnębiających myśli, znowu zaczęła chodzić po pokoju. Miała nadzieję, że zatarg z Whitleyem został zakończony, lecz podejrzewała, że jest nadmierną optymistką. Wiedziała, że Whitley łatwo się nie podda i choć może na chwilę przywarował, będzie krążył wokół, wróci znowu, będzie próbował ją wystraszyć i zmusić do ucieczki, niczym przerażoną łanię umykającą przed skradającym się tygrysem. Prychnęła. Tego się Whitley nie doczeka. Teraz jest przygotowana i stale będzie się mieć na baczności.

Isabel potarła czoło, ból głowy, który dokuczał jej przez cały wieczór, stał się jeszcze dotkliwszy. Zastanawiała się, jak też zdołała zachować na twarzy przez cały wieczór ten mdląco szczęśliwy uśmiech. Widać jestem lepszą aktorką, niż mi się wydaje, uznała, bo w życiu nie czułam

mniejszej chęci do uśmiechu. A dzisiejszy wieczór, pomyślała ze znużeniem, to dopiero początek...

W nadchodzących tygodniach i miesiącach będzie wiele takich okazji jak dzisiejsza. Ona i Marcus cały czas będą przebywać w swoim towarzystwie, cały czas pod okiem ciekawskich znajomych i krewnych. Wszyscy sąsiedzi będą bardzo podekscytowani wieścią o ich ślubie i bezustannie będzie musiała udawać, że nie lęka się przyszłości ani tego, że się zapomni i zatraci w ramionach Marcusa Sherbrooka.

Przeszedł ją dreszcz strachu połączonego z rozkoszą na wspomnienie jego gorących ust na jej wargach. O takim właśnie pocałunku marzyła jak głupia i w tych krótkich, cudownych chwilach zdołała zapomnieć, dlaczego są one szaleństwem, i po prostu upajała się nimi, upajała się mocą jego pocałunku, gorącymi, słodkimi prądami, które przez nią przebiegały, a potem... potem wróciła do rozsądku i przypomniała sobie...

Ponuro wpatrzyła się w ciemność. Och, Hugh, pomyślała smutno. Jak mogłeś umrzeć i zostawić mnie tak samotną? Co mam zrobić?

Wieść o zaręczynach pani Manning i Marcusa Sherbrooka rozeszły się po okolicy z szybkością i zadziwieniem, jakie towarzyszy spadającej gwieździe sunącej promiennie przez nocne niebo. Marcus wiedział, że ludzie będą gadać, nie spodziewał się wszakże, że aż tak, i że wszystkich, od najmarniejszej pomywaczki do najwyżej postawionego przedstawiciela arystokracji w okolicy, wieść ta zainteresuje tak żywo. Pięć dni po ogłoszeniu zaręczyn miał już tego serdecznie dosyć. Spoglądając wściekłym wzrokiem przez okno swego gabinetu w to słoneczne wtorkowe popołudnie, przysiągł, że jeśli jeszcze jeden z jego przyjaciół czy sąsiadów wyrazi zdziwienie, że zamierza poślubić akurat Isabel Manning, wypróbuje na nich siłę swych pięści. Natomiast wszystkie panie z okolicy twierdziły, że znają datę ślubu. Nachmurzył się. Na to jedno pytanie nie znał odpowiedzi.

Mars na jego czole jeszcze się pogłębił. A Isabel! Nieznośna szelmutka! Jaką grę ona prowadzi? Za każdym razem, gdy poruszał temat daty ich ślubu, znikała niczym obłoczek dymu. W jednej chwili rozmawiali, a w następnej – bach – nie było jej, a on stwierdzał, że mówi do powietrza. W istocie, myślał ponuro, od czasu ogłoszenia ich zaręczyn irytująco mu się wymykała. Marcusowi nie chodziło o to, żeby przez cały czas trzymali się za rączki, ale zakładał, że będą widywać się częściej niż ostatnio. Mają sprawy do omówienia, trzeba zaplanować wesele. Należy powziąć pewne decyzje, omówić ich przyszłe życie – a ona? Niech ją szlag! Zawsze się dokądś spieszy i nigdy nie ma dla niego chwili czasu –

a w każdym razie tak twierdzi. Dałby głowę, że od czasu ich zaręczyn nie spędził z nią za jednym razem nawet dwudziestu minut i zawsze, przypomniał sobie z coraz bardziej pogłębiającym się wyrazem zasępienia na twarzy, ktoś był w pobliżu. Można by pomyśleć, że boi się zostać z nim sam na sam!

Hałas kilku pojazdów i koni zatrzymujących się od frontu, zwrócił jego uwagę, toteż, nadal nachmurzony, wyszedł z biblioteki, mając nadzieję, że to nie kolejni ciekawscy sąsiedzi czy znajomi. Jako dobrze wyszkolony sługa, Thompson czekał już w holu, gotów otworzyć ciężkie, dębowe drzwi.

– To pańska matka, jaśnie panie – rzekł z uśmiechem. – Jeden z synów odźwiernego przebiegł na skróty przez park i wpadł do kuchni z nowiną.

Marcus wiedział doskonale, dlaczego matka przybyła, ale poczuł się winny, że wieść o jego zaręczynach kazała jej w pośpiechu opuścić Londyn w szczycie sezonu. Wzruszony tą oznaką macierzyńskiego oddania, wyszedł z domu, by ją powitać.

Humor mu się poprawił, gdy zobaczył świtę matki. Prócz dużego i ciężko poruszającego się rodzinnego powozu, który ciągnęły rasowe siwki, była też kareta mieszcząca parę osób służby, a ponadto dwa inne wyładowane po brzegi powozy. Matka znana była z tego, że niezbędnie potrzebowała niewiarygodnej ilości rzeczy, by czuć się wygodnie poza obrębem dworu w Sherbrook, toteż patrząc na cały ten tabor, Marcus się uśmiechnął. Jego kuzyn Julian twierdził, że nacierająca armia prawdopodobnie obyłaby się mniejszą ilością sprzętu, niż ciotka Barbara zabiera ze sobą na paromiesięczny pobyt w Londynie. Marcus skłonny był przyznać mu rację.

A choć wiedział, dlaczego matka zrezygnowała z uroków Londynu i wróciła do domu, był jednak trochę zdziwiony jej niespodziewanym przybyciem. Matka nigdy nie podróżowała bez zbrojnej męskiej eskorty, przekonana, że bandyci i rozbójnicy kryją się za każdym drzewem, a Marcus właściwie był przygotowany na wezwanie do Londynu wyłącznie w tym celu, by towarzyszyć jej w drodze powrotnej do domu. Zdumiał się, że poniechała tych środków ostrożności, i był ciekaw, czy może trafiły jej do przekonania jego często powtarzane zapewnienia, że żaden szanujący się bandyta czy rozbójnik nie odważy się napaść na tak dużą gromadę ludzi.

Tajemnica nagłej śmiałości jego matki wyjaśniła się, gdy Marcus zauważył wysokiego, modnie odzianego dżentelmena, który właśnie zsiadał z narowistego karego konia. A zatem znalazła eskortę. Wpatrując

się w mężczyznę, Marcus zmarszczył brwi. Dostrzegł tylko czarne, kręcone włosy wymykające się spod bobrowej czapki o wywiniętym rondzie. Nie znał towarzysza podróży matki, ale było w nim coś znajomego, jego szczupła sylwetka o barczystych ramionach kogoś mu przypominała...

Zastanawiając się, kim też może być ów gość, Marcus podszedł do powozu. On i obcy jeździec doszli do niego jednocześnie, a gdy mężczyzna uśmiechnął się, Marcus zastygł jak ogłuszony potężnym ciosem. Nadal nie wiedział, kim jest ten człowiek, lecz owe rysy rozpoznałby wszędzie. Z wyjątkiem koloru oczu, wykazywał niezmierne podobieństwo do oblicza, które Marcus codziennie oglądał w lustrze przy goleniu. Bezsprzecznie był z Westonów. Miał te same czarne włosy, te same ostre rysy, aż do krzaczastych czarnych brwi, głęboko osadzonych oczu, mocno zarysowanej szczęki i pełnych warg. Tylko nos był nieco bardziej orli, ale oliwkowa, niemal śniada cera dobitnie wskazywała na pochodzenie z jego rodu. Serce w Marcusie zamarło. Czyżby matka zaprzyjaźniła się z którymś z bękartów starego hrabiego?

Uśmiechając się do niego, nieznajomy rzekł:

– Zapewne mnie nie poznajesz? Nic dziwnego, spotkaliśmy się zaledwie parę razy, a i to przelotnie. Jestem Jack Landrey.

– Najstarszy syn ciotki Marii? – zapytał ostrożnie Marcus. – Ten który wstąpił do wojska? – Jack skinął głową i uścisnęli sobie ręce. – Słyszałem, że postrzelili cię w Egipcie – rzekł Marcus. – W nogę, zgadza się? W bitwie pod Aleksandrią w 1801?

– To nie była najprzyjemniejsza chwila mego życia – oznajmił Jack z uśmiechem.

– Wyobrażam sobie – stwierdził Marcus, odwzajemniając uśmiech. – Ale zaraz, jeszcze i potem odnosiłeś rany, czyż nie? Ktoś mi mówił, że parę lat później omal nie straciłeś ręki w walkach w Indiach Zachodnich.

Jack wzruszył ramionami.

– Tak, ale najgorsza była ta przeklęta gorączka powodziowa.

Chorobliwa ciekawość pchnęła Marcusa do dalszych indagacji:

– Ale pamiętam jeszcze, że byłeś też ranny w zeszłym roku pod Kopenhagą, gdzie walczyłeś pod sir Arthurem?

Jak potrząsnął głową i przyznał z zakłopotaniem: – Tym razem to przez konia. Wstrętna bestia zrzuciła mnie w środku bitwy i przy upadku złamałem nogę. – Wykrzywił się. – Potem uznałem, że być może los chce mi coś powiedzieć. Sprzedałem swój patent i wróciłem do domu. W Anglii jestem od stycznia.

– A twój kuzyn kompletnie zapomniał powiedzieć – rzekła Barbara

poirytowanym tonem, gdy Marcus otworzył drzwi powozu i wyciągnął dłoń, by pomóc jej wysiąść – że nie jest już zwykłym panem Jackiem Landreyem. Teraz to lord Thorne, wicehrabia Thorne.

Jack zaśmiał się.

– Zupełnie wyleciało mi to z głowy.

– Świeżo odziedziczony? – zapytał Marcus, pełen sympatii do człowieka, który mógł zapomnieć o wyniesieniu go do godności para.

– Bardzo. Nie ma jeszcze dwóch miesięcy – przyznał Jack. – Daleki kuzyn, z drugiej czy trzeciej linii, umarł bezpotomnie, więc pewnego ranka obudziłem się jako wicehrabia. Słowo daję, dziwnie się poczułem. Matka jest z tego powodu w siódmym niebie, a moje rodzeństwo, naturalnie, bardzo to przeżywa. – Jack skrzywił się. – Nadal nie jestem pewien, jaki mam do tego stosunek. Staruszek zostawił sporo forsy, ale posiadłość i farmy popadły w ruinę. Pierwszego dnia w Thornewood przebiłem nogą podłogę w jadalni. – Potrząsnął głową. – Przewiduję, że mnóstwo mozołu i pieniędzy pójdzie na przywrócenie majątku do dawnej świetności.

Gdy podchodzili do domu, Barbara, kładąc dłoń na ramieniu Marcusa, rzuciła Jackowi czułe spojrzenie i rzekła: – Tak, i będziesz rad z każdej chwili poświęconej temu dziełu. Twoja matka napisała mi, że od momentu powrotu do Anglii miotasz się jak zwierzę w klatce. Uważa, że doglądanie odnowy twych włości da ci jakieś zajęcie, dzięki czemu żadne głupstwa nie przyjdą ci do głowy. – Przenosząc wzrok na syna, Barbara uniosła brwi i rzuciła: – Mówiąc o głupstwach, podczas mojego pobytu w Londynie nie próżnowałeś, co?

Marcus rozbawiła aluzja matki, lecz nie miał czasu na odpowiedź, gdyż doszli do domu i Thompson rzucił się witać pana. Barbara, będąc w swoim żywiole, wydawała Thompsonowi rozliczne polecenia – przygotowanie pokojów dla Jacka i jego lokaja, wypakowanie z pojazdów kufrów, pudeł na kapelusze i waliz. Marcus tymczasem zaprowadził kuzyna do swego gabinetu.

Częstując gościa kieliszkiem reńskiego wina, rzekł: – Dzięki za odwiezienie mamy do domu. Doceniam to. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowało ci to jakichś planów?

– Wielki Boże, skądże! – wykrzyknął Jack, zasiadając na czerwonobrunatnej skórzanej kanapie. – Wolę stawić czoła hordzie dzikusów pragnących mojej śmierci, niż tłumom panien na wydaniu.

Marcus parsknął śmiechem.

– Nie dziwię ci się. Londyńskie salony w szczycie sezonu mogą wystraszyć najodważniejszych.

Jack pociągnął łyk wina. – Z tego co mówiła ciocia Barbara, wynika, że udało ci się zaręczyć bez pomocy mamuś usiłujących wyswatać swoje córki, od których teraz w Londynie się roi. – Uśmiechnął się. – A tak nawiasem mówiąc, nie posiada się ze szczęścia.

Choć byli kuzynami, praktycznie się nie znali, toteż wynikło parę niezręczności, lecz niebawem o nich zapomniano. Matka Jacka, młodsza siostra Barbary, wielmożna Maria Weston, jak się wtedy zwała, oburzyła całą rodzinę, gdy jako siedemnastolatka uciekła i poślubiła ubogiego porucznika marynarki. Stary hrabia był bardzo niezadowolony z tego związku, stąd Marię i jej porucznika spotykało chłodne powitanie, gdy parę razy przybyli do dworu w Wyndham. Dumna i bardzo zakochana Maria odwróciła się od rodziny i kontakty z główną linią Westonów przez ostatnie trzy dekady były niezmiernie rzadkie. Choć stary hrabia nie żył już od dziesiątków lat, a młody porucznik trzy lata przed śmiercią dochrapał się stopnia wiceadmirała, poczucie obcości, które zrodziło się za życia starego hrabiego, doprowadziło do zerwania trwającego praktycznie cały czas. Marcus zdziwił się, że matka wzięła Jacka pod swe skrzydła.

Skoro matka powzięła sympatię do Jacka, a i Marcus polubił go od pierwszego wejrzenia, postarał się, by kuzyn poczuł się swobodnie i niebawem obaj mężczyźni rozmawiali, jakby znali się od lat. Choć Maria i jej potomstwo trzymali się z dala od rodziny, utrzymywała jednak pewien kontakt z rodzeństwem, głównie za pośrednictwem listów, toteż Marcus i Jack znaleźli wspólny język. Gdy Barbara wsadziła głowę przez drzwi gabinetu, Marcus i Jack gawędzili już jak starzy znajomi.

Kiedy weszła, Jack odstawił swój kieliszek i uniósł się z lekkim ukłonem. Przenosząc roześmiane oczy z matki na syna, rzekł:

– Zapewne macie sporo do omówienia. Jeśli wskażecie mi drogę do mego pokoju, pozwolę wam spędzić parę chwil na osobności.

Gdy Thompson odprowadził Jacka, a Barbara usadowiła się wygodnie na skórzanym fotelu, spojrzała na syna i powiedziała po prostu:

– Opowiedz mi. Wszystko.

Marcus nie umiał dobrze kłamać, ale wiedział, że ta chwila nadchodzi, więc się przygotował. Umykając spojrzeniu matki, rzekł:

– Przed wyjazdem do Londynu dałaś mi wyraźnie do zrozumienia, iż powinienem dokonać pewnych zmian w życiu. Uznałem, że jednym ze sposobów będzie małżeństwo. Wiedziałem o twojej sympatii do Isabel. Oświadczyłem się jej. A ona mnie przyjęła.

Barbara z przerażeniem wbiła wzrok w swego wysokiego, przystojnego syna; serce jej się krajało. Marzyła dla niego o małżeństwie

z miłości, a tymczasem, bez wątpienia, Marcus, jak zawsze powściągliwy, pomyślała z irytacją, postanowił ożenić się z rozsądku. Zmarszczyła brwi. Rozumiała motywy Marcusa, ale Isabel?

Barbara z namysłem wpatrywała się w syna. Jego postępowanie, choć irytujące, potrafi ła zrozumieć, lecz Isabel stanowiła dla niej zagadkę. Nie uszło jej uwadze, że Marcus i Isabel aż nazbyt ostentacyjnie unikają swego towarzystwa. Od dawna podejrzewała, że czują do siebie pociąg, lecz oboje byli zbyt uparci i dumni, by pójść za głosem natury – a przynajmniej go uznać. Może Isabel doszła do wniosku, że w sumie nie czuje do Marcusa niechęci? A nawet wręcz przeciwnie?

Barbara westchnęła. Bez względu na powody, jakimi kierowała się Isabel, najbardziej obchodził ją syn. Tak bardzo pragnęła, by zakochał się szaleńczo, nieprzytomnie, że nie zwróciłaby uwagi na to, kim byłaby ta kobieta – gdyby Marcus stracił głowę dla dójki, Barbara przyjęłaby ją jak członka rodziny. Lecz gdyby miała wybierać dla niego żonę, Isabel znalazłaby się na czele listy. Nigdy nie chodziło jej o to, by syn się ożenił, ale żeby beznadziejnie, namiętnie pokochał kobietę, którą w końcu poślubi – lecz najwyraźniej tak się nie stało.

Z rezygnacją przyznała, że choć może i nie jest to małżeństwo z miłości, ale rokuje pomyślnie na przyszłość. Po ślubie często będą musieli przebywać w swoim towarzystwie, a wiadomo, że bliskość czyni cuda.

Zmuszając się do uśmiechu, spojrzała na Marcusa i spytała:

– Więc kiedy ślub?

# Rozdział 6

Marcus omal nie jęknął na głos. Że też musiała zadać to jedno pytanie, na które Marcus nie potrafi odpowiedzieć! – Jeszcze nie ustaliliśmy dokładnej daty, ale myślimy o końcu lipca albo początku sierpnia – odparł niechętnie.

Barbara spuściła wzrok na swe złożone na podołku ręce. Cóż, brzmiało to obiecująco. Przynajmniej nie zanosi się na długie zaręczyny, czego się na poły spodziewała. I, pomyślała z radością, Marcus jest najwyraźniej niezadowolony ze zwłoki w ustaleniu daty ślubu. Może obudziły się w nim silniejsze uczucia, niż to się z pozoru wydaje? Czyżby usłyszała nutkę niecierpliwości w jego głosie?

Uniósłszy wzrok, dojrzała, że wpatruje się w nią z lekkim zdziwieniem. – O co chodzi? – zapytała. – Dlaczego tak mi się przyglądasz?

– Może jesteś jakąś wróżką – powiedział, uśmiechając się słabo. – Kiedy wyjeżdżałaś do Londynu, nie miałaś pojęcia, że zamierzam się ożenić, i założę się, że Isabel Manning byłaby ostatnią kobieta, w której upatrywałabyś kandydatki na moją narzeczoną, a jednak w ogóle nie wydajesz się zdziwiona.

Barbara wzruszyła ramionami. – Jesteś moim jedynym dzieckiem, a ja bardzo starałam się nie wtrącać w twoje sprawy. Wy chowałam cię na samodzielnego człowieka i jesteś już w takim wieku, by samemu podejmować decyzję, co czyniłeś od lat. Od dawna uważałam, że już najwyższa pora, byś się ożenił i miał potomstwo, ale zakładałam, że uczynisz to w stosownym dla siebie czasie. Najwyraźniej ten czas nadszedł. – Uśmiechnęła się. – Co do Isabel jako twojej wybranki... dlaczego nie? Jest odpowiednią partią, zamożną, atrakcyjną młodą kobietą z szanowanej rodziny. Znacie się całe życie, jesteście z tej samej sfery i macie wspólne zainteresowania – przychodzą mi do głowy konie – i nawet lubisz jej syna, więc dlaczego nie mielibyście się pobrać? Twoje

małżeństwo wydaje mi się bardzo stosowne i praktyczne.

Słowa matki sprawiły mu przykrość. Zasadniczo się z nimi zgadzał, ale gdy jasno i klarownie wyłożyła mu wszystkie praktyczne racje, uzasadniające jego małżeństwo, poczuł się zaniepokojony. Gdy myślał o związku z Isabel – a od wieczoru zaręczynowego głównie to zaprzątało mu głowę, nie postrzegał go w kategoriach tak prozaicznych jak dobra partia czy wspólne zainteresowania. Nie, w jego stosunku do Isabel nie było nic przyziemnego. Gdy nie pragnął zdusić jej w uścisku, zdawał sobie sprawę z pustki, którą odczuwał, będąc z dala od niej, albo wyobrażał sobie jej radosną minę, jej śmiech, lecz sam przed sobą przyznawał, że nade wszystko pragnął mieć ją w swoich ramionach i w łóżku.

– Więc to małżeństwo cię nie martwi? – zapytał z niepokojem.

– Wielkie nieba! A niby dlaczego? Bardzo lubię zarówno Isabel, jak i Edmunda! – Uśmiechnęła się do syna szeroko i rzekła z przekonaniem: – Bardzo się cieszę, że żenisz się z Isabel, dobrze ci to zrobi.

– Mówisz o tym, jak o moczeniu stóp w gorczycy – rzekł cierpko.

Barbara roześmiała się. – Z pewnością podziała na ciebie jak napój wzmacniający. A co myślisz o wydaniu małego przyjęcia w piątkowy wieczór, żeby przedstawić sąsiadom Jacka? Tylu naszych znajomych przebywa w Londynie, że mało kto się zjawi, ale myślę, że uda nam się zebrać całkiem miłe towarzystwo. Naturalnie zaprosimy Isabel i lorda Manninga, a także parę innych osób, jak Clara Appleton, która zrezygnowała z tegorocznego sezonu. – Uśmiechnęła się chytrze. – Chyba do tego czasu ustalicie z Isabel datę ślubu, akurat będzie okazja, żeby ją ogłosić.

Marcus w to wątpił, ale przyklasnął pomysłowi matki, by wprowadzić Jacka do kręgu ich znajomych. Omawiali tę kwestię przez parę chwil, po czym Marcus chciał się dowiedzieć, jak matka bawiła się w Londynie, a Barbara z kolei poprosiła, by opowiedział jej o miejscowych wydarzeniach.

Z błyskiem uśmiechu w oczach Marcus zapytał:

– Czy moje zaręczyny zepsuły ci pobyt?

Barbara znów się roześmiała.

– Nie, prawdę mówiąc, Londyn jest straszliwie męczący. Stwierdziłam, że wolę swój dom i normalne, codzienne życie.

– Hm, a wielokrotnie mnie beształaś, gdy mówiłem to samo.

– Sza! – powiedziała, patrząc nań wesoło. – Jako pełen szacunku i posłuszny syn, powinieneś robić to, co mówię, nie to, co sama robię. –

Pochylając się do przodu, zapytała: – A teraz powiedz, co sądzisz o Jacku?

Marcus wzruszył ramionami.

– Na podstawie naszej krótkiej znajomości wydaje się przyzwoitym gościem. Chyba okaże się dobrym kompanem.

– Dokładnie tak samo uważam. W czasie drogi z Londynu był uroczym i zabawnym towarzyszem. A jeśli połowa z tego, czego dowiedziałam się od jego matki, jest prawdą, miał praw dziwie bujne życie. Ileż przeżył przygód, choć nie ma jeszcze trzydziestu pięciu lat!

Czując się nieco zbity z tropu nutką zadumy, niemal zazdrości, którą wychwycił w głosie matki, mruknął pod nosem:

– Ciotka Maria pewnie często słyszała wieści, że jej syn jest jedną nogą w grobie.

– O tak – potwierdziła Barbara – często pisała mi, jak bardzo się o niego martwi. Bardzo jej współczuję i cieszę się, że o ciebie nigdy nie musiałam się niepokoić. – I jakby tego było mało, dodała: – Dobrze się złożyło, że przyszedł z wizytą właśnie tego dnia, gdy otrzymałam od ciebie tę ekscytującą wieść. Właśnie miałam do ciebie napisać z prośbą, byś mi towarzyszył w drodze do domu, gdy kamerdyner zameldował, że Jack czeka w holu, by złożyć mi wyrazy szacunku.

– Zastanawiałem się, jak to się stało, że przywiózł cię z Londynu. Nie zdawałem sobie sprawy, że dobrze go znasz.

– Naturalnie wiedziałam o jego wyczynach od siostry – przyznała Barbara – ale pierwszy raz od lat zobaczyłam go w swoim salonie w Londynie. – Uśmiechnęła się. – Jego matka napisała mu, że jestem w stolicy, i nakłoniła, by złożył mi wizytę. Zapewne była to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, ale usłuchał i wyszło wspaniale.

– Ciekawe, dlaczego ten dziarski dandys porzuca Londyn, by odwieźć do domu starszą krewną, której prawie nie zna – rzucił od niechcenia Marcus.

– Tak, mnie to też zastanowiło, ale powiedział mi, że ma tu w okolicy przyjaciela i chce skorzystać ze sposobności, by go odwiedzić. – Lekko zmarszczyła brwi. – Jak też się on nazywa? Jack powiada, że niedawno wyszedł z wojska. Był chyba majorem. Zaraz zaraz... White? Nie. Whitlow? Nie, też nie.

Marcus zesztywniał.

– A czy przypadkiem nie Whitley?

– O właśnie! – rozpromieniła się matka. – Ty też znasz majora Whitleya?

– Spotkałem go – powiedział ostrożnie Marcus. Jack znajomkiem

Whitleya? Czy to zbieg okoliczności?

– Och, to wspaniale! – rzekła radośnie Barbara. – Jack się ucieszy, że znasz jego przyjaciela. Powiedz mi, gdzie się zatrzymał, a zaproszę go na piątek na kolację.

– Nie – rzekł Marcus tonem, którego nigdy u niego nie słyszała. Z ponurą miną dodał szorstko: – Nie powinnaś mieć nic do czynienia z Whitleyem. Zabroń Thompsonowi go wpuszczać, w razie gdyby miał czelność się tu pojawić. To nie jest odpowiednie towarzystwo dla ciebie.

Wystraszona, wpatrzyła się w swego zazwyczaj sympatycznego syna, zastanawiając się, skąd się wziął ten nieznajomy o twardym spojrzeniu i kamiennej twarzy. – Ale Jack go zna – rzekła bezradnie. – Na pewno się mylisz. Whitley nie może być taki zły.

– Jack – rzekł ostro Marcus – z pewnością zna wielu ludzi, a z niektórymi – dodał złowieszczo – nie chciałoby się zawierać bliższej znajomości.

Dopiero po kolacji, gdy Barbara pożegnała się już z oboma panami, Marcus miał okazję poruszyć temat Whitleya. Obaj panowie znowu zasiedli wygodnie w gabinecie Marcusa, racząc się kieliszeczkiem koniaku. Na kominku tlił się ogień, by przepędzić chłód majowej nocy, a światło świec rzucało na pokój złoty poblask.

Marcus rozsiadł się na wielkim skórzanym fotelu przed kominkiem z kieliszkiem brandy w ręce. Jack zajął miejsce na czerwonobrunatnej kanapie, wyciągnąwszy długie nogi w kierunku ognia, jego brandy stała na mahoniowym stoliku obok.

Pociągnąwszy łyk trunku, Jack uśmiechnął się do Marcusa i rzekł: – Nie przypomina to bynajmniej miejsc, w których obozowałem przez lata. Ileż to nocy spędziłem w namiocie, w którym hulał wiatr, spałem na mokrej, zimnej ziemi, a za całe jedzenie miałem spleśniały ser, zeschły chleb i skwaśniałe wino, a czasem i tego nie. – Oparł głowę o wezgłowie kanapy i westchnął błogo. – Pełny żołądek – tak nawiasem mówiąc, wyrazy uznania dla waszej kucharki – ciepły ogień, kieliszek dobrej brandy i miły kompan, czego więcej może pragnąć mężczyzna?

– Niewiele – odparł z uśmiechem Marcus. Choć stosunki Jacka z Whitleyem wzbudziły jego podejrzenia, nie mógł oprzeć się nieodpartemu urokowi kuzyna. Do diabła, lubię tego łobuza – myślał z żalem. To, że zna Whitleya, jeszcze nic nie znaczy. Ale Marcus był zdziwiony, a nawet trochę zawiedziony tym, że Jack zadaje się z kimś takim jak major.

Marcus znał ten typ. Takich ludzi jak on spotyka się w tancbudach

i domach gry na całym Pall Mall, a także w drogich burdelach, które odwiedzają panowie z wyższych sfer. Major i jemu podobni byli miłymi kompanami do kieliszka, rozpusty i innych męskich rozrywek, lecz takich osobników nie przedstawia się damom ze swej rodziny. Zuchwały sposób, w jaki Whitley obszedł się Isabel, martwił Marcusa bardziej, niż chciał się do tego przyznać, i zastanawiał się, dlaczego Hugh Manning miał go za przyjaciela i pozwolił mu na znajomość z żoną. On takiej kanalii jak Whitley nie pozwoliłby się zbliżyć do swojej żony na odległość mili, choć w wielkim świecie takich indywiduów jak major było mnóstwo. Pomyślał opiekuńczo, że nie naraziłby pań ze swojej rodziny na kontakty z typkami pokroju Whitleya.

Fakt, że Jack zna Whitleya, normalnie nie wzbudziłby zainteresowania Marcusa, lecz znajomość Jacka z majorem w połączeniu z zachowaniem Whitleya wobec Isabel głęboko go zaniepokoiła. Oczywiście, napomniał się, Jack i Whitley byli w wojsku i w czasie wojennych wypraw ich ścieżki mogły się przeciąć nie raz. Zmarszczył brwi. A może na tym polega cała rzecz – Jack znał Whitleya tylko przelotnie. Ale to się kupy nie trzyma. Czyż Jack opuszczałby Londyn w szczycie sezonu towarzyskiego, by udać się do małej, nadmorskiej wioski w odwiedziny do człowieka, którego spotkał parę razy w życiu?

Marcus pociągnął łyk brandy i postanowił wziąć byka za rogi.

– Mama powiada, że masz tu w okolicy znajomego. Niejakiego majora Whitleya.

Dziwny wyraz twarzy Jacka dał Marcusowi poznać, że nazwisko Whitley porusza w Jacku jakąś strunę. A jest to struna drażliwa.

– A tak – odparł Jack po chwili wahania. – Dowiedziałem się od, hm, znajomych, że Whitley przebywa gdzieś w okolicy, a ponieważ miałem tu przybyć, pomyślałem, że do niego zajrzę.

– Jaki ten świat mały, co? – rzekł Marcus, bacznie przypatrując się kuzynowi. – Spotkałem twego przyjaciela Whitleya parę dni temu.

– Doprawdy? – rzucił Jack. – Co za zbieg okoliczności.

– Właśnie – przytaknął Marcus.

Jack pociągnął jeszcze trochę brandy. – Czy gdy spotkałeś mojego przyjaciela, nie powiedział ci przypadkiem, gdzie się zatrzymał? – Uśmiechnął się, lecz Marcus zauważył, że uśmiech nie sięgnął oczu. – Przynajmniej nie musiałbym go szukać po okolicy.

– W gospodzie Pod Rogiem Jelenia koło Salcombe, jakieś pół godziny jazdy stąd.

– To się dobrze składa – rzekł Jack, wpatrując się w bursztynowy płyn w swoim kieliszku.

– Czy to twój bliski przyjaciel?

– Właściwie nie – odparł Jack, w którego głosie zabrzmiała taka nuta, że Marcus zaczął się zastanawiać, jakiego też rodzaju przyjaźń łączy Jacka z Whitleyem.

– Niemniej przyjechałeś aż z Londynu, by się z nim zobaczyć – drążył Marcus.

Jack uśmiechnął się do niego. – Nie, przyjechałem aż z Londynu, by radować się towarzystwem twojej czarującej matki. Obecność Whitleya to dodatkowa, hm, atrakcja. – Jack znów upił łyk brandy, spojrzał na Marcusa i zapytał: – Więc jak poznałeś Whitleya?

Marcus zawahał się, niepewny, ile może powiedzieć. Uznając, że niewiele zyska unikając jasnej odpowiedzi, odparł po prostu:

– Przedstawiła nas moja narzeczona, Isabel Manning. Jest wdową od prawie dziesięciu lat i zdaje się, że Whitley przyjaźnił się z nią i jej mężem, Hugh, gdy przed wieloma laty mieszkali w Indiach. Najwyraźniej Whitley niedawno wyszedł z wojska i mając dużo wolnego czasu, odwiedza przyjaciół i odświeża stare znajomości, a przynajmniej tak powiedział.

– Doprawdy? I właśnie teraz postanowił ją odwiedzić? Po dziesięciu latach?

– Tak powiedział.

– Ale mu nie wierzysz – zauważył Jack, uważnie wpatrując się w Marcusa.

Marcus zajął się kieliszkiem i dopiero po chwili rzucił lekko: – Ani trochę. – Zerkając na Jacka, dodał: – Uważam, że to kanalia i szykuje jakieś draństwo. Uprzedziłem już matkę, by nakazała kamerdynerowi, żeby nie wpuszczał go do domu, gdyby naszła go chęć odwiedzenia nas. I muszę przyznać, że się zdziwiłem, gdy takiego łotra nazwałeś przyjacielem.

Jack skrzywił się.

– Ale też nie znasz mnie dobrze, nieprawdaż?

– Nie mogę zaprzeczyć, lecz gdybym choć przez sekundę podejrzewał, że jesteś kimś pokroju Whitleya, nie siedziałbym tu teraz z tobą – rzekł spokojnie Marcus. – Nawet krewnemu o takim charakterku kazałbym pakować bagaże z chwilą, gdy mama weszła do domu.

Jack podniósł się i nalał sobie jeszcze brandy. Podszedł do kominka, postawił kieliszek na gzymsie, oparł na nim ramię i spojrzał na Marcusa nadal spokojnie spoczywającego na fotelu.

Po chwili Jack zapytał:

– Czy nazwisko Roxbury coś ci mówi?

– Hrabiego Roxbury?

Jack skinął głową.

Nagle parę rzeczy stało się dla Marcusa jasne i na jego twarz wypłynął uśmiech. Choć spotkał Roxbury'ego jedynie towarzysko, wiedział od Juliana, że Roxbury nie jest nieznającym świata starym arystokratą, na jakiego pozował na użytek wyższych sfer. W dobranej grupce znajomych dżentelmenów szeptało się, że stary lord równie gładko nawiązuje znajomości z podejrzanymi typkami z ludu i przedstawicielami szalonej złotej młodzieży, biesiadującej z przywódcami społecznymi, premierami i członkami ich gabinetów. Roxbury nie zajmował się polityką, lecz wedle Juliana na prośbę rządu podejmował zakulisowe działania. To na zlecenie hrabiego Julian w młodości podejmował się niebezpiecznych misji we Francji. Kuzyn rzadko opowiadał o swej szpiegowskiej pracy dla Roxbury'ego, a za jego pośrednictwem dla brytyjskiego rządu, lecz Marcus wiedział o skłonności hrabiego do wykorzystywania talentów znudzonych, zuchwałych członków arystokracji dla własnych celów.

Nadal się uśmiechając, Marcus wyprostował się na fotelu i zakrzyknął:

– Pracujesz dla tego starego drania Roxbury'ego.

Jack nawet nie zaprzeczył. Wzruszył tylko ramionami. – Wiedział, że się nudzę, i poprosił, bym załatwił dla niego pewną drobną sprawę. Wymienił twoje nazwisko i dał mi do zrozumienia, że odnowienie znajomości z tobą może być dla mnie korzystne. Powiadomił mnie też, że twoja matka akurat gości w Londynie. – Uśmiechnął się ze skruchą. – Złożyłem jej zatem wizytę, by zbadać sytuację. Miałem nadzieję, że w najgorszym razie zaproponuje, bym kiedyś cię odwiedził. Zamierzałem przybyć do ciebie z bilecikiem od twojej matki i wtedy postanowić, co dalej. Nie mogłem uwierzyć własnemu szczęściu, kiedy mi powiedziała, że wyjeżdża do dworu w Sherbrook, gdy tylko wszystko zostanie przygotowane, i spytała, czy zechciałbym jej towarzyszyć. – Jack błysnął zębami. – Rozumiesz chyba, że natychmiast uchwyciłem się tej okazji.

– A mogę wiedzieć, co to za sprawa, z którą przysłał cię tu Roxbury?

Jack zawahał się. – Właściwie Roxbury nie mówił, żebym nie rozmawiał z tobą na ten temat, i tak sobie myślę – rzekł powoli – że on chyba uważa, iż możesz mu się przydać.

– Prawdopodobnie już się dowiedział o moich zaręczynach z Isabel i jej związkach z Whitleyem – zauważył Marcus. – Ze słów Juliana wywnioskowałem, że nic nie uchodzi uwagi starego lisa.

– Też tak sądzę – potwierdził Jack.

– Nie wiem, na ile mogę się przydać – powiedział, krzywiąc się, Marcus. – Moje spotkanie z Whitleyem nie było przyjacielskie. Przyłapałem go, jak napastował Isabel.

– I on jeszcze żyje? – zapytał zdumionym głosem Jack.

Marcus uśmiechnął się ponuro. – Udawali, że nic się nie stało, i mógłbym jedynie zarzucić Isabel kłamstwo, poza tym miałem związane ręce. – Po jego twarzy przemknął grymas odrazy. – Próbowałem go sprowokować, ale nie połknął haczyka.

– To cały Whitley. Z tego, co mówił mi Roxbury, nie wyszedł z wojska całkowicie dobrowolnie. Podczas służby majora doszło do paru incydentów, od których jego reputacja mocno ucierpiała, i postanowiono się go pozbyć, zanim kolejni jego podkomendni zostaną zabici bądź ranni albo zrobi coś, z czego rząd będzie musiał się tłumaczyć.

– Więc dlaczego Roxbury się nim zainteresował?

Przez parę minut Jack wpatrywał się w głąb kieliszka, usiłując uporządkować myśli. Wreszcie spojrzał na Marcusa. – Zapewne wiesz, że pod koniec lata planowana jest inwazja dla wsparcia Hiszpanów – odezwał się.

Marcus skinął głową.

– Pod komendą generała broni sir Arthura Wellesleya.

– Tak, sir Arthur ma poprowadzić wojsko, ale rząd nie ufa nikomu w tym kłębowisku żmij, jakie z kontynentu uczynił Napoleon i, ale to tylko do twojej wiadomości, plan jest taki, by najpierw najechać Portugalię, a potem Hiszpanię.

– Co prawda nie znam szczegółów – rzekł Marcus, marszcząc brwi – ale pogłoski o inwazji krążyły już od jakiegoś czasu. Gdzie w planie Wellesleya jest miejsce na Whitleya? – Marcus usiadł prosto. – Nie podejrzewasz go chyba o szpiegowanie dla Francuzów? – zapytał z niedowierzaniem.

– Jeśli tak jest, Francuzi jeszcze o tym nie wiedzą, ale Roxbury uważa, że major niebawem może im zaproponować swoje usługi. Tuż przed wyjazdem z Londynu major odwiedził kilku swoich starych znajomków w biurze Gwardii Konnej – ciągnął Jack z ponurą miną. – Jak się orientujesz, w tej jednostce roi się od oficerów, urzędników i ich przyjaciół i żaden nie wie, co robi drugi. Informacje wyciekają z Gwardii Konnej jak z sita, lecz zazwyczaj nie godzi to w interes narodowy. Jest to kłopotliwe i denerwujące, owszem, ale do poważniejszych szkód nie dochodzi. Lecz wkrótce po wizycie Whitleya, trochę ponad tydzień temu, zaginęła bardzo ważna notatka służbowa.

– A dotyczy ona ruchów wojsk Wellesleya?

Jack skinął głową. – Daty odpłynięcia, miejsca przybicia do brzegu, wszystko. Jest czas, by to pozmieniać, ale trzeba będzie znaleźć inne miejsca do wylądowania wojsk, co opóźni inwazję... i sprowadzi poważne niebezpieczeństwo na naszych sojuszników. – Z oblicza Jacka biła odraza. – Być może, i zastanawialiśmy się już nad tym, za parę dni notatka pojawi się na czyimś biurku, albo w jakiejś teczce, w której nikomu nie przyszło do głowy jej szukać, ale jedną z osób, którą odwiedził Whitley, jest generał Smithfield, który jako ostatni miał w rękach notatkę. – Jack wpatrzył się w ogień. – Smithfield, z oczywistych powodów, nie zameldował o zaginięciu dokumentu od razu. Początkowo myślał, że go gdzieś zawieruszył, i przetrząsnął wszystko, tracąc cenny czas. Gdy przyznał, że nie może znaleźć notatki i wszczęto alarm, zdążył już zapomnieć, że Whitley w ogóle był w jego gabinecie.

– Ale teraz przypomniał sobie o jego wizycie? – zapytał Marcus, unosząc brwi.

– Owszem, ale nie wie, że jego stary przyjaciel Whitley jest naszym pierwszym podejrzanym o kradzież, jeśli notatkę rzeczywiście skradziono – odparł Jack. – Smithfield i wszyscy inni z Gwardii Konnej wiedzą tylko, że sporządzono listę osób, które znajdowały się w biurach akurat w tym czasie, gdy dokument zaginął. Gdy Smithfielda podpytano, przypomniał sobie mgliście, że Whitley był jedną z osób, które odwiedziły go w czasie, w którym, naszym zdaniem, dokument mógł zginąć. – Jack zacisnął wargi. – Ale ponieważ Smithfield praktycznie codziennie przesiaduje w swym biurze z dawnymi kompanami, Whitley po prostu był jedną z osób na liście.

– Ale już jest czymś więcej?

Jack pokiwał głową. – Roxbury zdołał wykreślić z niej wszystkich w wyjątkiem Whitleya i jeszcze jakichś dwóch. – Uśmiechnął się. – Przypuszczam, że z tymi dżentelmenami, nawet w tej chwili, chcą się połączyć więzią przyjaźni inni osobnicy, tacy jak ja, których wciągnięto do służby. – Spoważniał. – Jest wszakże szpieg znany jako „Le Renard”, „Lis”, który działa w Anglii od lat. Roxbury już od dawna usiłuje go złapać. Roxbury początkowo uważał, że to właśnie sprawka Lisa, ale jego zdaniem żaden z panów, którzy odwiedzili Smithfielda, nie jest francuskim szpiegiem, bo są na to zbyt szacowni, bojaźliwi albo głupi. Oczywiście nawet on przyznaje, że opinia szacownego, bojaźliwego czy głupiego to świetna przykrywka. – Jack westchnął. – Nie możemy wykluczyć naszego Lisa, ale w tej chwili Whitley wydaje się najbardziej prawdopodobnym tropem. Ma podejrzaną reputację, żywi urazę do rządu za zmuszenie go do przejścia na emeryturę, a jeden z ee... kompanionów

Roxbury'ego stwierdził, że opuścił on Londyn zaraz następnego dnia po wizycie u Smithfielda i udał się na wybrzeże Dewonu.

– A skąd ty się o tym dowiedziałeś?

Jack uśmiechnął się.

– Totumfaccy Roxbury'ego przesłuchali wszystkich, z kim rozmawiał Whitley, i dotarli do dżentelmena, który przypomniał sobie, jak Whitley kiedyś napomknął, że zamierza odwiedzić żonę starego przyjaciela mieszkającą w hrabstwie Dewon, niejaką panią Manning.

– A niech mnie kule biją! – wycedził Marcus, robiąc chmurną minę. – Z góry wiedziałeś, że Whitley przybył tu, by odwiedzić moją narzeczoną!

Jack, będąc człowiekiem uprzejmym, zrobił skruszoną minę. – Roxbury oznajmił mi, że Whitley znał rzeczoną panią Manning z czasów pobytu w Indiach – przyznał. – Roxbury zauważył, że dwór w Manning leży, bardzo dogodnie, w pobliżu dworu Sherbrook, gdzie mieszka mój kuzyn. – Widząc groźny błysk w oczach Marcusa, Jack dodał pospiesznie: – Nie wiedziałem, że ma na imię Isabel ani że jest twoją narzeczoną. – Ponieważ Marcus nadal gniewnie mu się przyglądał, dorzucił: – Sam przyznałeś, że Roxbury prawdopodobnie wiedział o zaręczynach i powiązaniach Isabel z Whitleyem, nie miej zatem do mnie pretensji o wiedzę Roxbury'ego.

Marcus prychnął, po części z rozbawienia, a po części z irytacji.

– Julian twierdzi, że Roxbury wie o każdym pierdnięciu fretki w kurniku. Jestem skłonny mu uwierzyć. – Rzucił Jackowi spojrzenie pełne wyrzutu. – Mogłeś od razu mi powiedzieć.

– Ależ naprawdę nie miałem pojęcia, że pani Manning, którą Whitley zna z Indii, jest twoją narzeczoną, póki twoja matka o tym nie wspomniała – rzekł Jack. Westchnął. – I przyznam, że odkąd się dowiedziałem o twoim związku z panią Manning, nie byłem pewien, ile ci powiedzieć, choć Roxbury dawał mi do zrozumienia, że wszystko.

– Uważam – rzucił Marcus w powietrze – że zostałem obrażony.

Jack parsknął śmiechem. – Jak już powiedziałem, nie znasz mnie zbyt dobrze, i na odwrót, ja również nie znam ciebie. – I już poważnie dodał: – Swoją decyzję, czy ci zaufać, musiałem oprzeć na jakiejś podstawie. Twoja opinia o Whitleyu zgadzała się z moją, dlatego postanowiłem opowiedzieć ci o Roxburym i całej reszcie.

Marcus nie lubił chować urazy i przyznawał rację Jackowi, więc skinął głową. – No dobrze – powiedział – ale jak zamierzasz dowiedzieć się, czy Whitley ma notatkę?

– Przede wszystkim trzeba przeszukać jego pokoje – wyjaśnił Jack. – Jeśli ma notatkę, na pewno wziął ją ze sobą.

Marcus przychylił się do jego zdania. – Wybrzeże hrabstwa Dewon jest przystanią przemytników i zapewne Whitley przybył tu tyleż po to, by zobaczyć się z moją narzeczoną, jak i żeby znaleźć szmuglera, który przewiezie go przynajmniej na Wyspy Normandzkie, a może nawet do Francji. – Uśmiechnął się do Jacka. – Więc kiedy przetrząśniemy jego pokoje w gospodzie? – zapytał.

Jack odwzajemnił uśmiech.

– Jutro wieczorem?

– Doskonale – odparł Marcus. – Jaki masz plan?

Pomysł Jacka był taki, że Marcus zajmie Whitleya rozmową, a on tymczasem przeszuka zajmowane przez niego pomieszczenie.

Marcus pociągnął się za ucho. – To nie wypali – powiedział. – Zapominasz, że Whitley i ja jesteśmy na noże. Jeśli nagle zatęsknię za jego towarzystwem, może zacząć coś podejrzewać.

Jackowi zrzedła mina.

– Masz rację. Muszę wymyślić coś innego.

– Nie, twój plan się uda – powiedział po namyśle Marcus – jeśli to ja dokonam przeszukania, a ty wdasz się z nim w pogaduszki.

Jackowi to się nie spodobało, ale w końcu argumenty Marcusa trafi ły mu do przekonania.

Rozstali się na noc i pożegnawszy Jacka Marcus ruszył holem do swej sypialni, dziwiąc się samemu sobie. Właśnie zgodził się zakraść jak złodziej w nocy do pokoju innego człowieka i buszować w jego rzeczach. Wielkie nieba! I co więcej, wyglądał tego z uciechą.

Isabel z kolei niczego szczególnie nie wyczekiwała. Edmund i lord Manning rozmawiali wyłącznie o ślubie, a gdy nie bombardowali jej pytaniami, Marcus domagał się, by wyznaczyła datę ceremonii. Czując się, jakby ścigało ją stado wilków, dziękowała Bogu, że wielu jej znajomych i sąsiadów nadal przebywa w Londynie, toteż nie musi zaspokajać ciekawości każdej znamienitej damy z sąsiedztwa. Mimo powabów sezonu kilka miejscowych rodzin nie odbyło dorocznej wyprawy do miasta, zatem parę pointrygowanych dziewcząt na wyprzódki nagabywało Isabel o jej nagłe zaręczyny z jednym z najbardziej pożądanych kawalerów w okolicy. Niczym stadko świergocących ptasząt kłębiły się wokół młodej kobiety, zasypując ją pytaniami, na które nie potrafiła odpowiedzieć. A Marcus! Ciągle ją napastował, domagając się podania konkretnej daty.

Czując się zaszczuta, coraz częściej uciekała do swoich pokojów, nakazując kamerdynerowi, by oznajmiał wszystkim gościom, że pani nie

ma w domu. Spojrzenie Isabel padło na skrawek papieru w dłoni, który lokaj wręczył jej przed paroma minutami. A teraz, myślała na skraju histerii, Whitley wzywa ją, by się z nim spotkała za dwa dni po zmroku w altanie koło jeziora rozdzielającego trzy majątki.

Kiedyż to, zastanawiała się ze smutkiem, jej świat przewrócił się do góry nogami? Zalała ją fala niedowierzania. Jest zaręczona z Marcusem Sherbrookiem! Jak, na miły Bóg, mogła do tego dopuścić? Ten przeklęty Whitley!

Westchnęła, patrząc niewidzącym wzrokiem na bilecik w swej dłoni. Nie mogła mieć pretensji do Whitleya, on po prostu jest chytrą łasicą i łotrem, to wszystko jej wina. Gdyby wtedy w ogrodzie natarła mu uszu i posłała do diabła, nic podobnego by się nie zdarzyło, ale wpadła w panikę i proszę, do czego to ją doprowadziło – na skraj katastrofy. Strach ścisnął jej gardło, ale zwalczyła panikę. Znajdzie wyjście. Musi.

Isabel z narastającą wściekłością wpatrywała się w bilecik od Whitleya. Przysięgła sobie zawzięcie, że ten nikczemny łotr jej nie pokona. Zgniotła bilecik, wyobrażając sobie, że to kark majora, po czym poderwała się na nogi. Nie wiedziała, jak zamierza uporać się ze ślubem z Marcusem, do którego niebawem ma dojść, ale może zrobić coś z Whitleyem i jego pogróżkami. W bileciku Whitley napisał, że ma dowód na poparcie swych gróźb, ale wiedziała, że to niemożliwe. Byli z Hugh tak ostrożni... Ale Whitley jest sprytnym manipulatorem i, choć nie dysponuje dowodem, może przedstawić jakiś przedmiot, coś, co wzbudzi domysły – a do tego Isabel nie może dopuścić.

Zdecydowana pognębić prześladowcę wraz z jego planami, chciała wrzucić bilecik do kominka, by spłonął, gdy następnym razem będzie się rozpalać ogień, ale po chwili zastanowienia metodycznie podarła go na drobniutkie kawałki, nim wrzuciła je do paleniska. Patrząc, jak strzępki papieru trzepoczą w marmurowym kominku, zacisnęła szczęki. Pokona Whitleya w jego własnej grze. Znajdzie sposób.

Oświadczywszy Barbarze, że mają pewne plany, Marcus i Jack wyjechali ze dworu w Sherbrook w czwartek wieczorem po kolacji. Po drodze do gospody Pod Rogiem Jelenia zastanawiali się, jakiego użyć podstępu, by Marcusowi udało się przeszukać pokoje Whitleya. Jack nadal miał obiekcje, ale przyznał, że Whitley w istocie mógłby nabrać podejrzeń, gdyby przystąpił doń nagle przyjacielsko nastawiony Marcus. Obaj byli zgodni co do tego, że ich pomysł ma pewne słabe punkty. Na szczęście jedna z głównych trudności została rozwiązana – dzięki lokajowi Jacka dowiedzieli się, który numer w gospodzie zajmuje

Whitley. Marcus początkowo zaproponował, by wysłać jednego z chłopców stajennych, żeby rozpytał się o kwaterę majora, ale ta sztuczka żadnemu z panów nie przypadła do gustu. Potem Jack postanowił wykorzystać swego lokaja. Fickett był całe lata ordynansem Jacka podczas jego służby wojskowej, a teraz lojalnie służył mu w cywilu. Spełniał wymogi Jacka, który wyjaśnił Marcusowi: „Zawierzyłbym mu swoje życie, a do tego umie trzymać gębę na kłódkę". Wystarczyło to Marcusowi, toteż poprzedniej nocy Fickett został wysłany do gospody Pod Rogiem Jelenia, by wywęszył, co się da. Wrócił z wieścią, że major nie jest lubiany w gospodzie i że wynajął w niej najlepsze pomieszczenie od tyłu, a dokładnie w rogu od północnego wschodu.

Informacja, przez które okno Marcus winien się włamać, bardzo im się przydała, ale nie mieli pojęcia, gdzie Whitley zamierza spędzić tę noc – może hulać w wiosce albo, co gorsza, wcześnie pójść do łóżka, samotnie albo z jakąś dziewką. Lecz gdyby szczęście im dopisało i zastali Whitleya w gospodzie, jakim sposobem Jack ma dać znać Marcusowi, że zajął majora rozmową i zabawi go tak długo, by Marcus zdążył przeszukać jego pokoje?

– Zdaje mi się – rzekł Marcus po chwili – że najprościej będzie, jeżeli zaczekam w ukryciu na zewnątrz. Jeśli Whitleya nie będzie, wyjdziesz i powiesz mi o tym, a wtedy zdecydujemy, co dalej. Gdy wejdziesz, odczekam piętnaście, dwadzieścia minut i jeśli się nie pokażesz, uznam, że zająłeś uwagę Whitleya, i ruszę do jego kwatery.

Ustaliwszy plan, przybyli do gospody. Jack wszedł do środka, a skoro nie wracał przez wiele minut, Marcus wziął głęboki oddech i ze swej kryjówki w pobliżu stajen gospody przekradł się na jej tyły. Szczęściem róg gospody porośnięty był bluszczem, więc chwytając się mocnych pnączy, Marcus chyżo wspiął się po ścianie i szybko znalazł uchylone okno, przez które bezgłośnie wślizgnął się do środka.

Niezmiernie rad, że tak mu się udało, czując skrzydła u ramion, Marcus natychmiast zaczął przeszukiwać pokoje Whitleya. Przy użyciu tylko jednej świeczki buszował i szperał po całej kwaterze. Prócz zwykłych kryjówek Jack zdradził mu też inne schowki, lecz Marcus nie natrafił na fałszywy obcas ani drugie dno w walizach Whitleya.

Wiedząc, że jego czas jest ograniczony, najpierw zajrzał w te miejsca, lecz nigdzie nie znalazł tajnych skrytek. W istocie, przeszukawszy dokładnie dobytek majora, bacząc, by nie zostawić po sobie najmniejszego śladu, nie dopatrzył się niczego niezwykłego. Major chciał pozować na dandysa, sądząc po ilości wykrochmalonych fularów,

dewizek, pieczęci, kosztowności i trzech różnych lorgnon, każde z rączką w odmiennym stylu. Znalazł też parę bladożółtych pantalonów i kamizelkę w wiśniowe paski i Marcus aż się skrzywił, gdy ujrzał je w świetle świecy.

Zniechęcony, lecz nie chcąc przyznać się do porażki, całą uwagę zwrócił teraz na łóżko majora. Choć przejrzał ostrożnie poduszki i pościel, nie znalazł nic ciekawego. Już miał wyjść, gdy jeszcze raz spojrzał na łóżko. Przeszukał je, ale co znajduje się pod nim?

Czując się trochę głupio, ukląkł i rozjaśniając mrok świecą, zajrzał pod łóżko. W świetle świecy jego zdumiony wzrok wytropił drobną chłopięcą figurkę skuloną pod łóżkiem. Cienie tańczyły na twarzy, którą poznałby wszędzie.

– Isabel? – wychrypiał.

# Rozdział 7

– Marcus! – zakrzyknęła z oczami rozszerzonymi ze zdziwienia, gdy się zorientowała, że jegomość o ponurej twarzy, który wpatruje się w nią w migoczącym świetle świecy, to jej narzeczony. – Co ty tu robisz? – zapytała ostro, wypełzając spod łóżka.

– Chyba – rzekł sucho Marcus, odsuwając się, by mogła wygramolić się ze swej kryjówki – ja powinienem zadać to pytanie.

Wstał i pomógł jej podnieść się na nogi. Gdyby nie znał jej tak dobrze, pomyślałby, że ma przed sobą chłopca. Rude włosy ukryła pod chłopięcą czapką, miała na sobie mocno znoszony męski żakiet, podniszczone spodnie i zdarte buty. W tym przebraniu mogła śmiało uchodzić za dwudziestoletniego młodzieńca.

Unikając wzroku Marcusa, ze spuszczoną głową strzepywała kłęby kurzu, które oblepiły przód jej żakietu i spodni. Myśli wirowały jej niczym w kołowrocie. Jak, zastanawiała się z rozpaczą, zdoła mu to wszystko wytłumaczyć? Nie da się, a w każdym razie nie w jakiś rozsądny sposób, uznała ponuro. Spojrzawszy nań ukradkiem, spytała: – Jak mnie znalazłeś? – Coś zaświtało jej w głowie, ze zwężonymi oczyma rzuciła oskarżycielsko: – Śledziłeś mnie?

Z miną chłodną i surową Marcus odparł cicho: – Nie odwracaj kota ogonem, moja droga. Mogę tu być z wielu powodów, żaden z nich, przyznaję, nie przynosi mi zaszczytu, ale twoja sytuacja jest dużo bardziej niezręczna. Właśnie znalazłem moją narzeczoną ukrywającą się w sypialni mężczyzny, do którego, jak twierdzi, nie czuje wielkiej sympatii. – Patrząc na nią chłodno, dodał: – Chyba należą mi się wyjaśnienia.

Wybuch śmiechu na dole przypomniał im, gdzie się znajdują, i niemal równocześnie przysunęli się bliżej otwartego okna.

– To nie jest odpowiednie miejsce na rozmowę, którą musimy odbyć – rzekł Marcus, gdy stanęli obok siebie przy oknie – ale możesz mi

wierzyć, Isabel, odbędziemy ją.

Przerzucając nogę przez parapet i zdmuchując świecę, powiedział: – Jeśli pozwolisz, zejdę pierwszy. – Po czym wyrąbał prosto z mostu: – Przypuszczam, że uciekłabyś, gdy tylko twoje stopy dotknęłyby ziemi.

Isabel w ciemności spłonęła rumieńcem, gdyż właśnie ta myśl przeszła jej przez głowę. Uznając swoją porażkę, szybko skinęła głową. Zmarszczywszy brwi, patrzała, jak Marcus zwinnie zsuwa się z okna i znika w mroku. Ten mężczyzna o niebezpiecznym wyglądzie, z którym stanęła dzisiaj oko w oko, nie jest Marcusem, jakiego znała całe życie. Spod łóżka, słysząc dochodzące do niej szmery i szelesty, zorientowała się, że człowiek, który wszedł do pokoju Whitleya przez to samo okno, z którego ona skorzystała piętnaście minut wcześniej, dokładnie przetrząsa wszystkie rzeczy lokatora. Nie była pewna, ale uznała, że ten człowiek nie znalazł tego, czego szukał. Czy chodziło mu o to samo co jej? Ale jak to możliwe? Nawet ona nie wiedziała, czego szuka, więc skąd ta nieznana jej jeszcze osoba odgadłaby, co to jest? Teraz, skoro okazało się, że owym obcym jest w istocie Marcus, doszła do wniosku, iż nie mógł był szukać tego samego co ona – taki zbieg okoliczności byłby zbyt nieprawdopodobny, a zatem poniechała tej myśli. Nie ule gało też wątpliwości, że nie szukał jej – gdy się rozpoznali, byli tak samo zaskoczeni. Więc dlaczego to wcielenie szacowności, marzenie każdego rodzica mającego córkę na wydaniu, ten wielce poważany pan Marcus Sherbrook zakrada się w mroku, by podebrać cudze rzeczy? Ten Marcus, którego znała, nigdy nie zrobiłby niczego tak... tak niegrzecznego, myślała, o mało nie wybuchając na poły histerycznym chichotem.

Marcus czekał na nią i objął ją w talii, jeszcze zanim jej stopy dotknęły ziemi. Bez wysiłku przeniósł Isabel dalej od budynku i postawił przed sobą.

Trzymając ją mocno, kiwnął głową w kierunku małego zagajnika za stajniami. – Mój koń jest tam przywiązany – powiedział cicho. – A twój?

Spojrzała przez ramię w przeciwnym kierunku.

– Uwiązałam go za domem starej pani Simpson, tuż przy drodze.

Trzymał przegub Isabel w żelaznym uścisku swej dłoni, ciągnąc ją za sobą do zagajnika, gdzie czekał jego wierzchowiec.

– Dobrze. Zaraz zabierzemy twojego konia.

Isabel już dawno poznała tę wielką prawdę, że raz się wygrywa, a raz przegrywa. Teraz nie sposób było wygrać, toteż potulnie poszła za Marcusem, nawet nie próbując ucieczki. Doszli do jego konia, mężczyzna odwiązał go, wsiadł, po czym posadził Isabel przed sobą.

W milczeniu jechali w ciemności, omijając gospodę i podążając

w kierunku domu pani Simpson. Godzina była już późna, toteż budynek tonął w mroku. Nie przejęli się, gdy koń Isabel zarżał cicho, a koń Marcusa odpowiedział – pani Simpson była głucha jak pień.

Gdy Isabel dosiadła konia, Marcus roztropnie ujął go za cugle i poprowadził, kierując swego wierzchowca z powrotem do gospody.

– Dokąd idziesz? – syknęła Isabel. – Nie tędy.

– Ktoś jest ze mną – wyszeptał Marcus przez ramię. – Muszę na niego zaczekać.

Marcus zastanawiał się, czyby nie zostawić kuzyna i nie pojechać do dworu w Manning z Isabel, licząc, że Jack sobie poradzi. Im mniej ludzi dowie się o nocnym niepowodzeniu, tym lepiej, ale wzdragał się przed opuszczeniem Jacka tak bez słowa. Skrzywił usta. Nie mógł przesłać towarzyszowi bilecika z wieścią o nagłej zmianie planów ani ryzykować, że Jack zacznie go szukać. Gdy Jack wyjdzie z gospody i nie zastanie go, bez wątpienia pójdzie w ostatnie miejsce, w którym Marcus przebywał – do pokoju Whitleya. Do tego Marcus nie mógł dopuścić, było to zbyt niebezpieczne. Nie ma wyjścia, musi zaczekać na Jacka – ale przecież jest z nim Isabel. Za nic w świecie nie chciał przedstawiać Jacka Isabel w tych okolicznościach, ale czy ma odłożyć szczerą rozmowę, na której mu zależało, i pozwolić jej beztrosko odjechać do dworu w Manning – i to samej jednej, napomniał się – nie, to również nie było żadne wyjście. A jeszcze zostaje Jack... Jack będzie chciał się dowiedzieć, co Marcus znalazł w pokoju Whitleya, tak jak on był ciekaw, czy Whitley powiedział mu coś interesującego. Żadna z tych kwestii nie była przeznaczona dla uszu pani Manning. Wymianę informacji można odłożyć do czasu aż znajdą się we dworze w Sherbrook, co, przyznał z westchnieniem, nastąpi dużo później – dopiero gdy odwiezie narzeczoną do domu i wróci do siebie. Marcus skrzywił się, odrzucając tę możliwość.

Przyznał kwaśno, że znalazł się między młotem a kowadłem. Im poważniej się nad tym zastanawiał, tym bardziej mąciło mu się w głowie na myśl o tym, jak wytłumaczy się Jackowi z obecności Isabel – nawet jeśli pominie fakt znalezienia jej pod łóżkiem w pokoju Whitleya, nie wspominając już o tym, dlaczego przebrana jest za chłopaka! Jakże zdoła to wyjaśnić? Sam jeszcze nie znał powodów takiego jej zachowania, a nie pozna ich, póki nie przeprowadzi z panią Manning dłuższej rozmowy na osobności, a na to nie będzie czasu przed pojawieniem się Jacka.

Choć bardzo chciał się dowiedzieć, dlaczego Isabel znalazła się w pokoju majora – ciekawość trawiła go niczym kwas w żołądku – uświadomił sobie, że lepiej będzie odłożyć starcie z narzeczoną i wysłać ją do domu, nim dołączy do nich Jack. Nasuwało to kolejny problem,

gdyż buntował się przeciw pomysłowi, by sama po ciemku jechała do dworu w Manning. Nawet bez tej historii z Whitleyem dla jego instynktu opiekuńczego było nie do przyjęcia, by dobrze urodzona niewiasta jechała samotnie po nocy – choć właśnie to zrobiła, by się tu dostać. Przedstawienie jej Jacka w tych okolicznościach również nie wchodziło w rachubę, a skoro obie te możliwości były nie najlepsze, Marcus musiał wybrać mniej złą.

Jadąc do zagajnika, rozpatrywał ten problem ze wszystkich możliwych stron. Dotarłszy do miejsca, gdzie poprzednio uwiązany był jego koń, nadal nie doszedł do żadnej konkluzji. Marcus był niezadowolony z takiego obrotu sprawy, ale najwyraźniej Isabel i Jack spotkają się dziś w nocy, chyba że wymyśli jakieś inne wyjście. Zwracając się do Isabel, powiedział: – Zaczekamy tu. Powinien niedługo się pojawić.

– Na kogo czekamy? – zapytała z wyraźną ciekawością.

– Na mojego kuzyna Jacka.

Wpatrywała się w jego potężną postać, ledwo widoczną w ciemnościach. I tak była zdruzgotana tym, że Marcus zdybał ją w sypialni Whitleya, a na myśl, że ktoś jeszcze, jakiś nieznajomy, ma się o tym dowiedzieć, wstrząsnął nią dreszcz przerażenia. – Uważasz, że to rozsądne? – wymamrotała. – Nie chcę, by ktokolwiek dowiedział się o tym, co zdarzyło się dzisiejszej nocy.

– Nie, to zapewne nie jest rozsądne – warknął – ale nie mam wyboru. Jestem równie jak ty niezadowolony z tego, że muszę ci przedstawić Jacka. – Na myśl o wszystkich kłopotach, które go czekają, poczuł się głęboko pokrzywdzony. Obecność Isabel w sypialni Whitleya zabolała go tak, jakby dostał cios między oczy. Skąd się tam wzięła? Dlaczego w chłopięcym przebraniu? Czy to rodzaj jakiegoś zboczenia, w którym lubuje się Whitley? Na samą tę myśl ścisnęło go w żołądku, a do gardła podeszła żółć. Głęboko odetchnął, nakazując sobie spokój. Mógł zrozumieć, że się ukryła; gdyby tam był i usłyszał, jak ktoś wchodzi przez okno, sam by się schował. Zapewne można to wszystko rozsądnie wytłumaczyć, choć te wyjaśnienia nie będą mu w smak, ale, jakkolwiek myślał i myślał, przychodził mu do głowy tylko jeden powód, dla którego Isabel ukryła się w pokoju Whitleya. Zazdrość ścisnęła mu wnętrzności, obrócił się w siodle i spojrzał na nią wściekle. – Czy ty i Whitley jesteście kochankami? – zapytał ostro.

Isabel zesztywniała. – Jak śmiesz! – krzyknęła, zagniewana, że coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy. Wysunąwszy wojowniczo podbródek, dodała z żarem: – Bezczelnie mnie obrażasz.

– Jesteś moją narzeczoną i właśnie znalazłem cię w sypialni innego mężczyzny – powiedział kwaśno Marcus. – Chyba należą mi się jakieś wyjaśnienia.

– A jak myślisz, co tam robiłam? – zapytała drwiąco. Temperament tak ją ponosił, że w ogóle nie liczyła się ze słowami. – Myślisz, że byłam tam, by spotkać się z Whitleyem? Uważasz, że jesteśmy kochankami? I co masz zamiar zrobić? – Wiedząc, że zachowuje się podle, przywołała na usta złośliwy uśmieszek i zasyczała: – Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że jeśli ci się to nie podoba, możesz zerwać zaręczyny.

– Chciałabyś tego, co?

– W rzeczy samej! Od początku nie chciałam za ciebie wychodzić!

Straciwszy resztki cierpliwości, zaskoczył oboje, chwytając Isabel i przesadzając ją na swego konia. Ciężko dysząc, mocno trzymał przed sobą na siodle wyrywające mu się ciało narzeczonej. – Słuchaj, kobieto – warknął. – Jesteś moja! Nie zamierzam z nikim się tobą dzielić i, na Boga, pobierzemy się! – Przycisnął usta do jej ust, miażdżąc je, przypieczętowując swe prawo własności na jej struchlałych wargach.

Nie był to słodki całus czułych kochanków, lecz pocałunek gniewny, pełen rozpaczy i mrocznej namiętności, wyłączający wszelką myśl. Marcus całował ją tak, jak jeszcze żadnej kobiety w życiu, domagając się, by odpowiedziała mu tym samym, by obudziła w sobie te same pierwotne uczucia, które głęboko poraniły jego najgłębszą istotę. I tak się stało. Po pierwszej chwili oszołomienia Isabel nie zamierzała już uciekać. Jej wyprężone ciało przylgnęło do jego muskularnej sylwetki, usta, równie wygłodniałe i natarczywe, przywarły do jego ust, chwyciła go za ramiona, jakby już nigdy nie chciała ich puścić. Pragnęła tego. Pragnęła jego.

Zaślepiony pożądaniem, Marcus zatracił się w słodkiej jak wino pieszczocie jej ust, całując je raz po raz, niepomny na nic prócz kobiety w ramionach, ogarniętej taką samą żądzą co on. Położył rękę na jej piersi i ujął w dłoń ten miękki kształt. Kiedy z ust Isabel wyrwał się cichy jęk rozkoszy, Marcusa przeszył gwałtowny poryw namiętności.

Ale ta chwila urwała się, jakby jej nigdy nie było, kiedy jego koń prychnął i uniósł łeb. Marcus odzyskał zmysły, oderwał usta od warg Isabel i spojrzał w ciemność. Ktoś się zbliżał.

Marcus przeklął się w duchu, zastanawiając się, czy już doszczętnie stracił rozum, po czym z powrotem posadził Isabel na jej koniu. W blasku księżyca przeświecającym przez drze wa wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że chłopięcy kapelusz mocno się jej przekrzywił, a wymykające się spod niego pasma włosów ujawniają kobiece rysy jej twarzy. Była równie podniecona jak on, z jej oczu wyzierała zmysłowa

obietnica, wargi miała rozchylone, jakby w oczekiwaniu na jego pocałunek. Ciężko dysząc, wpatrywali się w siebie, w powietrzu między nimi wirowało pożądanie, a Marcus poczuł się nieco pokrzepiony, widząc, że wszystko to nie jest tylko jego sprawką.

Wyraźny brzęk wędzidła w pobliżu oderwał jego uwagę od Isabel. Spojrzał w tamtym kierunku, usiłując zebrać myśli. W nocnym powietrzu rozległ się cichy gwizd, a Marcus poznał w nim sygnał, na który umówili się wcześniej z Jackiem. Ciemny kształt z wolna wyjeżdżający ku niemu spomiędzy drzew to właśnie Jack. Jak, do diabła, zastanawiał się, wyjaśni Jackowi obecność Isabel? Uśmiechnął się ponuro. A niech to szlag! Jeśli Jack spojrzy krzywo na Isabel albo szepnie choć słówko na temat wydarzeń dzisiejszej nocy, najpewniej będzie musiał go zastrzelić – a na to nie miał najmniejszej ochoty.

Zdając sobie sprawę, że Marcus błądzi myślami gdzie indziej, Isabel rozejrzała się z rozpaczliwą nadzieją na jakieś wyjście z tej sytuacji. Zaparło jej dech, gdy ujrzała dyndające przy boku swego konia wodze. Podczas ich gwałtownego uścisku nikt nie zwrócił uwagi, że opadły na ziemię, i odzyskawszy zmysły, z walącym sercem, schyliła się, by je podnieść. Myśli kłębiły się w jej głowie, gdy rozważała następny ruch. Nie była bojaźliwa i nie obawiała się drobnych odstępstw od etykiety, lecz nawet ona widziała, że nic dobrego nie wyniknie ze spotkania z kuzynem Marcusa, gdy ją zobaczy w chłopięcym przebraniu, szwendającą się samotnie po nocy. Nasuwało to wiele pytań wymagających odpowiedzi, odpowiedzi, których nie mogła udzielić. Zbierając się na odwagę, wciągnęła potężny haust powietrza i uderzeniem obcasów zmusiła konia do ruchu. Zwierzę skoczyło przestraszone i popędzane przez Isabel wpadło między drzewa. Wydostawszy się z lasu, wprawiła konia w kłus, a gdy dotarła do drogi, galopował już z rozwianą grzywą i ogonem. Niebawem stajnie, gospoda, Marcus zostali z tyłu i jedyne dźwięki, które dochodziły do uszu Isabel, to tętent kopyt konia na drodze i gorączkowe bicie jej serca.

Klnąc pod nosem, Marcus puścił się w pościg, a jego koń rzucił się do przodu, lecz jeździec natychmiast uświadomił sobie, że jeśli doścignie Isabel, przysporzy sobie tylko kolejnych kłopotów i choć było to wbrew jego naturze, powściągnął konia i pozwolił jej uciec. A niech ją diabli! Tym razem wygrała, pomyślał gniewnie, lecz następna runda będzie należała do niego.

Jack wyłonił się z mroku. Słyszał stukot końskich kopyt i ostrożnie zbliżając się do Marcusa, zerknął w kierunku cichnącego odgłosu, po czym wyszeptał:

– Jakieś kłopoty?

Marcus zacisnął szczęki. – Dam sobie radę – wymamrotał.

Jack uniósł brwi, lecz bez słowa kierował koniem. Razem doszli ze swymi rumakami do drogi. – Znalazłeś coś ciekawego? – zapytał Jack.

Marcus potrząsnął głową, w jego głosie brzmiało rozczarowanie. – Absolutnie nic. I od razu ci powiem, że obejrzałem jego obcasy, szukałem też podwójnego dna w walizce, ale niczego nie znalazłem. – Dodał z niesmakiem: – Ten jegomość ma mnóstwo biżuterii i tyle dewizek, pieczęci i lorgnon, że mógłby otworzyć sklep na Bond Street. Uważa się trochę za dandysa, ale prócz tych błyskotek w jego pokoju nie dostrzegłem niczego nadzwyczajnego. – Przypomniawszy sobie ten niesłychany moment, w którym wytropił Isabel pod łóżkiem, powiedział pod nosem: – A zaglądałem wszędzie, nawet pod łóżko, i możesz mi wierzyć, że nie znalazłem nic z tego, czego szukałem.

Jack wbił wzrok pomiędzy uszy swego konia, zawiedziony, że Marcus nie znalazł dokumentu albo przynajmniej jakiegoś tropu. Wiedział, że jego zadanie nie będzie łatwe, a prawdopodobieństwo, że tak łatwo odnajdą notatkę, nikłe. Lecz gdzie, zastanawiał się, Whitley ją ukrył? Skrzywił się. Zakładając, że Whitley w ogóle ma to draństwo. Martwił się, czy przypadkiem nie szukają nadaremno. A może Whitley ma na sumieniu tylko to, że jest nieznośnym pieczeniarzem?

– Przypuszczam, że znalazłeś Whitleya? – zapytał Marcus, przerywając Jackowi rozmyślania.

Jack przytaknął. – Na początku trochę się zląkłem, że nic z tego nie wyjdzie, bo go nie zastałem, i już miałem się zabierać, gdy wszedł do środka. – Jack zamyślił się. – Nasz przyjaciel major był w zdecydowanie podłym nastroju, najwyraźniej miał jakieś plany, lecz sprawy nie poszły po jego myśli. Wygłosił parę uwag na temat przewrotności kobiet, a zwłaszcza typowej przedstawicielki ich rodu, która nie stawiła się na... mhm... umówione spotkanie. Aż się boję myśleć, co to będzie, gdy w końcu dopadnie ową nieobecną damę swego serca – a dopadnie bez wątpienia.

Marcus nie miał wątpliwości, kim jest owa dama, i chcąc zmienić temat, zagadnął:

– Przypuszczam zatem, że bez trudu zyskałeś sympatię Whitleya?

Jack zaśmiał się. – Whitley nie ukrywał swych zawiedzionych nadziei na wieczór, toteż bez kłopotów pomogłem mu utopić smutki w kilku kuflach piwa. – Zmarszczył brwi. – Odniosłem wrażenie, że wieczorne spotkanie Whitleya nie miało nic wspólnego ze sprawami sercowymi. Nie wyglądał na człowieka cierpiącego z powodu niespełnionej namiętności.

Mogę się mylić, ale w jego głosie brzmiała nuta... – Wzruszył ramionami. – Pewnie coś mi się przywidziało. W każdym razie, gdy major dowiedział się, że jestem twoim kuzynem, bardzo się ożywił.

– Bezczelny intrygant – wycedził Marcus.

– Co racja, to racja – przytaknął Jack. – Niezależnie od tego, czy ukradł notatkę, nie czuję najmniejszej sympatii do majora Whitleya. To chełpliwy drań, samochwała, a także bezczelny intrygant. – Rzucił Marcusowi szybkie spojrzenie. – Stanąłbym na głowie, żeby trzymać panią Manning jak najdalej od niego, bo mimo starej przyjaźni nie chciałbym, by moja żona zadawała się z kimś takim. – Zacisnął wargi. – A właściwie żadna kobieta. Ten jegomość to skończony rozpustnik, z tych co uwodzą pokojówki i przechwalają się swoimi podbojami. Nie lubię go.

Marcus zmarszczył brwi. – Mamy o nim to samo zdanie i zastanawiam się, o co chodziło Hugh, że pozwalał takiej kanalii czuć się u niego w domu jak u siebie, bo z tego, co mówiła Isabel, wynika, że tak właśnie było.

– Twoją narzeczoną otaczają nieciekawe typy – rzucił Jack.

Oczy Marcusa się zwęziły.

– O co ci chodzi?

– Dziś wieczór – odparł Jack – zawarłem znajomość nie tylko z majorem. Piliśmy z Whitleyem sami przy stole, gdy dosiadł się do nas inny dżentelmen. Właśnie po południu wrócił z Londynu. Nazywa się Garrett Manning, mieszka we dworze w Holcombe, twierdzi, że to niedaleko od dworu w Manning. Powiada, że jest siostrzeńcem lorda Manninga. Czy to prawda?

– Niestety tak – westchnął Marcus. – Garrett nie jest złym człowiekiem, ale to rozpustny uwodziciel i lekkomyślny hazardzista, a lord Manning codziennie dziękuje Bogu, że tytuł odziedziczy jego wnuk, a nie rozwiązły siostrzeniec. – Marcus uśmiechnął się lekko. – Prawie wszyscy są zdania, że gdyby Garrett odziedziczył tytuł i posiadłość, natychmiast zmieniłby dwór w jaskinię gry i burdel. – Zmarszczył brwi. – Ale dziwię się, że wyjechał z Londynu w szczycie sezonu. Ciekawe dlaczego.

– Najwyraźniej z powodu twoich zaręczyn – wyjaśnił Jack. – Sam nie wiem, czy twoje narzeczeństwo jest mu na rękę, czy nie, ale w każdym razie na wieść o nim ochoczo wrócił z miasta do domu. – Zerknął na Marcusa. – Ciekaw jestem, dlaczego twoje zaręczyny z panią Manning tak bardzo go interesują. Nie powinno go to przecież wiele obchodzić.

Marcus wpatrzył się w ciemność. – Hugh dobrze się powodziło w Indiach, zgromadził spore zasoby, a Isabel odziedziczyła też ładną

fortunę po rodzicach. Do tego teść hołubi ją i zrobiłby dla niej wszystko. Być może Garrett miał chrapkę na majątek Isabel i planował, że gdy będzie mu to odpowiadało, ruszy do niej w zaloty. Ponieważ Isabel rzadko jeździ do Londynu, najpewniej uznał, że może mieć ją w każdej chwili – gdy się tylko do tego zabierze.

Jack rzucił mu uważne spojrzenie.

– A nie widział w tobie rywala?

Marcus uśmiechnął się.

– Nie, z pewnością nie. Moja znajomość z Isabel miała dość burzliwy przebieg i dam głowę, że zdaniem Garretta byłem ostatnim człowiekiem, którego by poślubiła.

Jack zrobił minę, jakby chciał go dalej wypytywać, ale ten temat zarzucono i obaj panowie zajęli się dzisiejszymi wypadkami. Po przybyciu do dworu w Sherbrook zostawili konie w stajni i weszli do domu. Tam skierowali się do gabinetu Marcusa.

Gospodarz podsycił ogień, dorzucił drew i nalał brandy. Usadowili się przed kominkiem, przez parę sekund w milczeniu wpatrując się w pomarańczowoszkarłatne płomienie.

– Może Whitley nie ma tej notatki – odezwał się w końcu Marcus.

Jack wzruszył ramionami.

– Przyszło mi to już do głowy, ale znamienne jest, że następnego dnia po wizycie u znajomków z Gwardii Konnej wyjechał z Londynu do tej części Anglii, gdzie roi się od przemytników.

Marcus prychnął.

– Która, zechciej przyjąć do wiadomości, obejmuje połowę angielskiego wybrzeża. Ale masz rację, przemytników tu nie brakuje, choć powiedziałbym, że Kent czy Sussex byłyby lepsze do tych celów.

– Zgoda, lecz jeśli usiłuje skierować nas na fałszywy trop, hrabstwo Dewon, choć znane jest jako gniazdo kontrabandy, nie wydaje się miejscem tak oczywistym.

Marcus przytaknął. – A skoro powołuje się na swą rzekomą długoletnią przyjaźń z panią Manning, nic dziwnego, że przybył właśnie tu. – Przez parę minut siedzieli w milczeniu. – I co dalej? – zapytał wreszcie Marcus.

Na obliczu Jacka malował się niesmak. – Sam nie wiem, ale jeśli ma notatkę, musiał ją ukryć gdzieś w pobliżu. Jeżeli zamierza uciec na terytorium zajęte przez Francuzów, będzie ją chciał mieć pod ręką. Nie przypuszczam, by zostawił ją w Londynie. – Spojrzał z namysłem na Marcusa. – Jesteś pewien, że dokładnie przetrząsnąłeś dziś wieczorem jego pokój?

– Absolutnie – potwierdził sucho Marcus. Wychwycił nutkę wątpliwości w głosie Jacka i nie miał o to do niego pretensji; w odwrotnej sytuacji również powątpiewałby w dokładność poszukiwań towarzysza. I chciałby sam obejrzeć pokój majora. Marcus wpatrywał się w twarz Jacka i nieomal widział, jak szuka sposobu, by dostać się do pokoju Whitleya i przeprowadzić własną rewizję. – Chcesz sam go obejrzeć, co? – zapytał zaczepnie.

Jack był na tyle uprzejmy, że zrobił minę winowajcy.

– Nie chodzi o to, że wątpię w twoją wnikliwość...

– Niczego nie znajdziesz – rzekł Marcus. – Ale, żebyśmy mieli równe szanse, ja dopadnę Whitleya i przytrzymam go jakiś czas, a ty zajmiesz się jego pokojem.

– Dzięki – rzekł, rad, że Marcus tak spokojnie przyjął słowa podważające jego staranność oraz umożliwił przeprowadzenie drugiego przeszukania. Ucieszył się nawet, że Marcus zaofiarował się odwrócić uwagę Whitleya, podczas gdy Jack będzie myszkował w jego pokoju, kiedy nagle przypomniał sobie, dlaczego to Marcus pierwszy buszował w rzeczach majora. – Czy Whitley nie nabierze podejrzeń, gdy nagle wystąpisz wobec niego z przyjaznymi gestami? – zapytał. – Mówiłeś, że nie łączą was przyjacielskie stosunki.

– Mówiłem, że go dopadnę – zauważył Marcus. – Nie powiedziałem, że zaproszę drania na przyjacielską pogawędkę.

* * *

Znając zwyczaje Isabel, Marcus czekał na nią tuż po siódmej następnego ranka na wąskiej ścieżce konnej biegnącej między dwiema posiadłościami. A wyglądając narzeczonej, zdał sobie sprawę, że wie o wiele więcej o jej życiu i nawykach, niż powinna wiedzieć osoba niezainteresowana, za jaką się uważał. To tak, przyznawał niechętnie, jakby część jego istoty, bardzo głęboko skryta, której on sam aż do tej pory nie dopuszczał do głosu, zawsze była na Isabel mocno skupiona, zawsze jej świadoma, nawet gdy trzymał się od niej z dala.

Isabel pojawiła się na niesfornym karym źrebaku, toteż Marcus poniechał niemiłych rozważań i pchnął konia naprzód.

Isabel, pochłonięta przekonywaniem młodzika, że zrzucenie jej z siodła byłoby rzeczą nad wyraz nieuprzejmą, zauważyła zbliżającego się Marcusa dopiero wtedy, gdy źrebak się zatrzymał i omal nie stanął dęba na widok drugiego konia. Usiłowała zapanować nad karym, a kiedy wreszcie jej się to udało i konik zadowolił się podskokami

i prychnięciami, rzuciła Marcusowi ostrożne spojrzenie.

– Że też chciało ci się tak wcześnie wybrać na przejażdżkę – rzekła uprzejmie, nie zwracając uwagi na nagły przypływ radości przemieszanej z paniką, jaki wywołała jego obecność.

– Nie powinno cię to dziwić – odparł spokojnie. – Mamy ze sobą do pomówienia.

Pół nocy nie spała, usiłując wymyślić jakiś logiczny powód, dla którego znalazła się w pokoju Whitleya, lecz absolutnie nic nie przychodziło jej do głowy. Lękając się następnego spotkania z Marcusem, chciała odkładać je możliwie jak najdłużej i trzymać się od narzeczonego z daleka. Pomyślała smętnie, że właśnie zniweczył ten oparty na jakże kruchych podstawach plan.

Usiłowała rozbudzić w sobie słuszny gniew, przekonując się, że to nie interes Marcusa, a ona nie zamierza powiedzieć mu ani słowa, lecz dzisiejszego ranka nawet gniew jej nie wychodził. Musiała radzić sobie z niebezpieczeństwem, które uosabiał Whitley, sporo nerwów straciła, wspinając się do jego pokoju, potwornie się przeraziła, gdy nakrył ją tam Marcus, a te wszystkie przeżycia sporo ją kosztowały. Była wyczerpana po niespokojnej nocy, bała się Whitleya i jego niecnych zamiarów i nigdy w życiu nie czuła się tak bezradna. Nawet w tych straszliwych dniach po śmierci Hugh, w obcym kraju z malutkim synkiem, którego musiała bezpiecznie przewieźć do ojczyzny, poczucie osamotnienia i bezsilności tak jej nie doskwierało. Sama przed sobą przyznawała, że jest na skraju rozpaczy. A do tego Marcus, niczym bóg pomsty, zadaje jej pytania, na które ona nie może, nie odważy się odpowiedzieć.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie spod rzęs, a serce jej lekko zadrżało na widok tych chłodnych szarych oczu i zaciśniętych warg. Znała tę minę z dawnych lat i wiedziała, że Marcus, jak zawsze, dopnie swego. Upadła na duchu. Marcus nie ustąpi, póki Isabel nie powie mu, po co poszła do pokoju Whitleya. I po sprawiedliwości, narzeczony zasługuje na to... A ona nie ma mu nic do powiedzenia.

Nie zdając sobie sprawy, że mina Isabel odzwierciedla zamęt jej myśli, Marcus usiłował powściągnąć podstępną chęć, by ją pocieszyć, machnąć ręką na wczorajsze wydarzenia. Przeczuwał, że znalazła się w pokoju Whitleya z bardzo ważnych dla siebie powodów, a swe oskarżenia wytoczył z wściekłej zazdrości. Ponieważ ją znał, po namyśle doszedł do wniosku, że Isabel i Whitley nie są kochankami, a ona jest najwyraźniej głęboko nieszczęśliwa... i przerażona. Ten strach przede wszystkim go niepokoił. Isabel bywała uparta, nieznośna i mogła doprowadzić człowieka do szału, ale nie była tchórzliwa. Założyłby się,

że samotna i bez broni stawiłaby czoła stadu wilków, śmiało i odważnie, gotowa walczyć do śmierci. Ale teraz się bała, coś czy ktoś napawał ją przerażeniem. Choć starał się podsycać płomień gniewu, ostatnie jego iskierki zgasły i teraz przemożne pragnienie, by zniszczyć osobnika, przez którego Isabel ma ten wyraz oczu, wzięło górę nad wszystkimi innymi jego uczuciami. Chyba z wyjątkiem chęci, by ją pocieszyć, pomyślał z żalem. Aż się rwał, by wziąć ją w ramiona i powiedzieć tej wystraszonej istotce, że cokolwiek los jej zgotuje, nie jest sama.

– Czekam, Isabel. Dlaczego wczoraj wieczorem znalazłaś się w pokoju Whitleya? – wycedził, zły na siebie za to, że młoda kobieta tak łatwo zdołałaby odwieść go od zamierzonego celu.

Słysząc ton jego głosu, zadarła brodę i rzekła ze złością:

– Chciałabym ci przypomnieć, że nie jestem już twoją podopieczną. Nie mów do mnie jak do niegrzecznego dziecka.

– Już od bardzo dawna – odparł Marcus – nie myślę o tobie jako o podopiecznej ani o dziecku. – Jechał teraz obok spokojnego już źrebaka i lekko dotknął ramienia amazonki. – Isabel – zachęcał cicho – prędzej czy później będziesz musiała mi powiedzieć. – Gdy milczała, dodał: – Kochanie, o cokolwiek tu chodzi, nie może to być tak straszne, żebyśmy razem sobie z tym nie poradzili. Przecież nie zrobiłaś niczego tak haniebnego, żebyś nie mogła mi powiedzieć.

Kamiennym wzrokiem wpatrywała się przed siebie, powściągając chętkę, by wybuchnąć głupim, kobiecym płaczem, tak ją rozczuliła dźwięcząca w jego głosie łagodność. A niech go! Dlaczego się nie wścieka i nie pomstuje na nią jak każdy przyzwoity mężczyzna, który stanąłby w obliczu takiej sytuacji, w jakiej on się znalazł zeszłej nocy? Ale nie, pomyślała ze zniechęceniem, on musi być wyrozumiały, przełamywać jej opory, przez co tak trudno jest odeprzeć jego nalegania. Chciała paść na jego szeroką pierś i wylać z siebie wszystko, wiedząc, że choć Marcus może być wstrząśnięty, może nawet zawiedziony, nie porzuci jej. Przez chwilę ta świadomość dawała jej pociechę, ale zaraz wzięła głęboki oddech i odrzuciła owe zdradzieckie uczucia, które omal nią nie zawładnęły. Zacisnęła szczęki. Dla jego własnego dobra nie może wciągać go w to jeszcze bardziej, ale też wiedziała, że Marcus nie odpuści, póki nie uzyska przynajmniej pewnych odpowiedzi. Na jej ustach pojawił się uśmieszek. Słowo uparty w najmniejszym nawet stopniu nie oddaje charakteru Marcusa Sherbrooka. Będzie ją nękać, póki mu przynajmniej czegoś nie powie. Jeśli mu powie, dlaczego wślizgnęła się do pokoju Whitleya, napyta sobie nowej biedy. I czy się ośmieli?

Spojrzawszy na niego, podchwyciła jego wzrok. Przyglądał się jej

bacznie. To wyłącznie kwestia zaufania, pomyślała z bólem, a nikomu nie ufa bardziej niż Marcusowi – nawet jeśli jest uparty jak osioł.

Zanim zdążyła się rozmyślić, pochyliła się do przodu i rzekła szybko:

– Zrozum, Whitley nie jest moim przyjacielem. Chce mnie skrzywdzić.

Coś mrocznego i niebezpiecznego błysnęło w oczach Marcusa. Isabel była rada, że to nie ona wywołała ten błysk. – Domyślałem się tego – rzekł chłodno.

– Ma coś, co należy do mnie – wypaliła. – Poszłam wczoraj w nocy do jego pokoju, by to znaleźć.

– I znalazłaś?

Skrzywiła się.

– Nie, byłam tam ledwo z piętnaście minut, nim wszedłeś przez okno, więc musiałam schować się pod łóżkiem.

Skinął głową, jakby jej słowa potwierdzały coś, o czym już wiedział.

– Co to takiego? W jaki sposób może ci zaszkodzić?

Uniosła ku niemu skłopotane oczy. – Nie mam pojęcia – odparła żałośnie. – Nie wiem, co to jest ani jak zamierza tego użyć przeciwko mnie. Wiem tylko, że coś ma i twierdzi, że tą bronią może mnie zniszczyć.

Marcus wpatrywał się w nią dłuższą chwilę. – W takim razie – rzekł pewnie – musimy po prostu mu to odebrać.

# Rozdział 8

Wpatrzyła się w niego z otwartymi ustami. Nie wiedząc, czy się śmiać, czy płakać, wykrzyknęła:

– I tylko tyle masz mi do powiedzenia? Zabierzemy mu to? Nie domagasz się ode mnie żadnych odpowiedzi?

Spojrzał na nią z błyskiem uśmiechu w szarych oczach.

– A odpowiesz?

Odwróciła wzrok. – Nie mogę – odparła cicho. Znowu spojrzała na niego żałośnie. – Och, ale Marcusie, gdybym mogła... Gdybym komukolwiek zaufała, że nie... – Przełknęła ślinę i posłała mu niepewny uśmiech. – Gdybym mogła komuś powiedzieć, powiedziałabym tobie.

– Dzięki – oświadczył z powagą. Spojrzał na nią badawczo. – Ufam, że kiedyś mi powiesz.

Z westchnieniem skinęła głową.

– Tak, kiedyś.

Choć było mu to nie w smak, musiał się tym zadowolić. Z namysłem zapytał:

– Spróbuj zgadnąć, co takiego ma Whitley. Niedyskretny list? Dziennik? Co?

– Nigdy w życiu nie prowadziłam dziennika. Pamiętasz, jak ciotka suszyła mi głowę, żebym się do tego zabrała? – zapytała z żalem. – Powiedziała, że dzięki temu przestanę bazgrać jak kura pazurem i zacznę pisać tak, żeby normalna osoba mogła mnie przeczytać. Uwierz mi, tu nie chodzi o mój dziennik. – Na chwilę serce ścisnęło jej się ze strachu. A Hugh? – zastanawiała się gorączkowo. Czy on prowadził dziennik? Wróciła myślami do małżeńskich czasów. Nie, wiedziałaby. Hugh również nie był typem człowieka, który prowadziłby dziennik, przypomniała sobie, był zbyt zajęty rachunkami Kompanii Indii Wschodnich, by tracić wolny czas na zapisywanie przyziemnych wydarzeń z codziennego życia. Przez chwilkę zastanawiała się nad listem,

ale tę możliwość też odrzuciła. Nie, tu z pewnością nie chodzi o list.

Zebrała się w sobie i wyznała: – Nie mam pojęcia, co on ma, czy też wydaje mu się, że ma, bardzo się pilnuje, by nie powiedzieć mi nic, co mogłoby mnie naprowadzić na jakiś trop. – Przygryzła wargę. – W bileciku, który wczoraj od niego dostałam, napisał tylko, że ma coś, co należy do mnie i co zwróci mi za zapłatą. Nie było mowy o tym, co to jest, tylko że to ma i że – głęboko zaczerpnęła oddechu – w moim najlepszym interesie leży, bym otrzymała to z powrotem.

Zniechęcony jej brakiem zaufania, powiedział pod nosem: – No, to już coś! – Spojrzał na nią. – A może nie ma nic. Może cię tylko zwodzi.

– Też tak myślałam – przyznała. – Ale wolę nie ryzykować.

– I na pewno nie chcesz mi powiedzieć, co w twoim życiu zdarzyło się takiego, że on może ci grozić? – zapytał stanowczym głosem, ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy.

Isabel pokręciła głową. – Póki nie będę miała innego wyjścia. – Jej mina wyrażała błaganie, by ją zrozumiał. – Wiem, że jestem niemożliwa – przyznała. – Ale... – Spojrzała na swoje ręce, trzymające wodze. – Nie mogę. Przykro mi.

– No dobrze – powiedział z niesmakiem – nie powiesz mi. Rozpatrzmy więc to, co wiem. Uważasz, że nie chowa w zanadrzu listu ani niczego na piśmie. Więc co to może być?

– Nie mam pojęcia – jęknęła. – Nie wiem, skąd... – Urwała. – Nie mogę ryzykować założenia, że tylko mnie zwodzi – rzekła z goryczą.

– Więc załóżmy, że cię nie zwodzi. – Marcus z namysłem zmarszczył brwi. – Miałaś się z nim spotkać wczoraj w nocy... gdzie?

– Najwyraźniej dobrze poznał już okolicę, gdyż chciał, żebym przyszła do zagajnika przy jeziorze – wyznała niechętnie. – Nie miałam zamiaru się z nim spotykać – dodała cierpko – a wiedząc, że nie będzie go w gospodzie, skorzystałam z okazji, by przeszukać jego pokój. Nie wiedziałam, że ty wpadłeś na ten sam pomysł. – Urwała, jakby po raz pierwszy zaświtała jej jakaś myśl. Oczy Isabel zwęziły się. – A ty, co tam robiłeś? Nic o tym nie mówiłeś.

– I nie mam zamiaru – odparł z niezmąconym spokojem. – Ja zjawiłem się tam z powodów, które nie mają nic wspólnego z tobą ani z twoimi kłopotami. – Patrząc z rozbawieniem na jej wściekłą minę, dodał zadowolony z siebie: – Ty masz swoje sekrety, a ja swoje.

Isabel jak mało kto nie znosiła, gdy przycierano jej nosa, toteż wpatrzyła się intensywnie w miejsce między uszami konia. Chciała posprzeczać się z Marcusem, lecz jego słowom niczego nie mogła zarzucić. Ale dlaczego, zastanawiała się, przeszukiwał pokój Whitleya?

Zdjęło ją prawdziwe przerażenie. – Ale ciebie chyba nie szantażuje? – zapytała łamiącym się głosem.

Marcus zaśmiał się. – Nie, skarbie, nie szantażuje mnie. Jestem zbyt statecznym jegomościem, by ktoś taki jaki Whitley wiedział o mnie coś, czego nie można ujawnić publicznie. A teraz zapomnijmy o mojej obecności w jego pokoju zeszłej nocy i skupmy się na twojej sytuacji. Zakładam, że nie miałaś od niego nowych wieści? – Gdy zaprzeczyła, ciągnął dalej: – Zakładamy, że nie zrezygnuje i po prostu nie odjedzie. I możemy być pewni, że znowu się do ciebie zwróci. – Spojrzał na nią. – Przyjdziecie z lordem Manningiem na dzisiejsze przyjęcie mamy?

– By poznać twego kuzyna Jacka – odparła cierpko. – Tego dżentelmena, który był z tobą zeszłej nocy.

– Polubisz Jacka – odparł z uśmiechem. – A do tej pory obmyślę jakiś sposób, by wyrwać Whitleyowi pazury. Tymczasem... – Jego uśmiech znikł, a rysy twarzy stwardniały. – Tymczasem, gdy usłyszysz coś o majorze albo go zobaczysz, przyślij po mnie służącego, a ja natychmiast się stawię. – Uszczypnął ją w brodę. – Niezawodnie, Isabel. Niezawodnie.

– Ciekawa jestem, dlaczego znowu się czuję, jakbym była twoją podopieczną? – rzuciła w przestrzeń pytanie.

Przyciągnął ją do siebie, ocierając się zmysłowo wargami o jej usta. – Niezmiernie się cieszę, że nie jesteś już moją podopieczną – powiedział ochryple – bo gdybyś była, nie mógłbym tego robić.

Pochwycił wygłodniałymi wargami jej usta i wpił się w nie namiętnie, smakując je i rozkoszując się ich miękkością z coraz większą oskomą. Gdy uniósł głowę, oboje z trudem łapali dech. Isabel wzrok miała błędny i zamglony, w jego mrocznych oczach płonęło pożądanie.

Źrebak, który do tej pory sprawował się dobrze, poczuł się zaniepokojony bliskością konia Marcusa i nagle bryknął na skraj konnej ścieżki. Przywrócona tak nagle do rzeczywistości Isabel machinalnie zapanowała nad młodziakiem i czar prysł. Nie bacząc na emocje, od których nadal drżała na całym ciele, powiedziała sobie, że jest rada, iż wyrwała się z objęć Marcusa. Rada, że już jej nie całuje, rada, że jego dotyk nie skłania jej dłużej do uległości. Bardzo rada.

Marcus zawisł oczyma na jej ustach, jego ciało nie chciało poprzestać jedynie na pocałunku, lecz wszelkimi siłami starał się powściągnąć swe niższe instynkty. Powiedział sobie stanowczo, że nie ściągnie Isabel z konia i nie dogodzi sobie jak borsuk w rui. I, pomyślał nagle z uśmieszkiem, pewnie rozkwasiłaby mi nos, gdybym się poważył na coś takiego. Czując się znowu bardziej sobą, a mniej oszalałym z miłości absztyfikantem, skłonił ku niej głowę i rzekł: – Jeśli nic się nie zmieni,

ujrzę cię dzisiaj we dworze w Sherbrook.

Skinęła potwierdzająco, lękając się, że znowu znajdzie się w jego ramionach, i jednocześnie pragnąc ponownie poczuć jego ciepłe wargi na swoich, zawróciła konika i zniknęła na konnej ścieżce.

Ponieważ sezon był w pełni, na przyjęciu, na którym towarzystwo miało poznać Jacka, zjawiło się mniej gości, niż przyszłoby o jakiejkolwiek innej porze roku, ale to w zupełności odpowiadało Marcusowi i Jackowi. Zostawiwszy przygotowania we wprawnych rękach matki – tak jakby pozwoliła mu się w cokolwiek wtrącić – po powrocie do domu Marcus wraz z Jackiem udali się do jego gabinetu, gdzie miło spędzili czas, zacieśniając przyjaźń. Naturalnie wiele mówili o Whitleyu, zastanawiając się, gdzie też mógł ukryć notatkę, którą przypuszczalnie ukradł z biura Gwardii Konnej. Zastanawiali się również, o jakiej porze Jack winien przeszukać pokoje Whitleya, by się przekonać, że Marcus niczego nie przeoczył.

Dobrze się orientując, jak długo potrwa przyjęcie u matki, Marcus zaproponował: – A może byśmy tak ruszyli w nocy, gdy towarzystwo się pożegna? Większość osób, które dzisiaj poznasz, nie zabawi długo, młodsi i bardziej skorzy do biesiadowania są teraz w Londynie. Podejrzewam, że ostatniego gościa pożegnamy o północy, jeśli nie wcześniej. – Rzucił Jackowi szydercze spojrzenie. – Gdy już rozwieją się twoje podejrzenia co do tego, że zeszłej nocy przeoczyłem notatkę, będziemy wreszcie mogli zająć się innymi sprawami, na przykład kwestią, gdzie ją trzyma.

– Mój brak zaufania do ciebie szczęściem nie zepsuł ci humoru – zauważył Jack.

Marcus wzruszył ramionami.

– Nie jestem specjalistą w zakresie przeszukiwania pokojów osobników oskarżonych o szpiegostwo, toteż istnieje pewne, choć nikłe prawdopodobieństwo, że przeoczyłem jakąś ważną wskazówkę. Zważywszy na wagę tego, czego szukamy, inne bardziej, hm, doświadczone oczy powinny zerknąć po raz drugi. Upieranie się przy swoim byłoby z mojej strony lekkomyślnością.

Jack potwierdził skinieniem głowy.

– Więc jak zamierzasz zająć Whitleya?

Marcus uśmiechnął się i coś w jego uśmiechu kazało Jackowi cieszyć się, że nie jest majorem Whitleyem. – Och, mam pomysł na niego – rzekł Marcus. – Majorem się nie przejmuj. Zatrzymam go z dala od gospody przez dłuższy czas, tak że będziesz mógł przeszukać jego pokój bez

pośpiechu.

Przyjęcie przebiegło gładko i choć Marcus miał umysł zajęty innymi sprawami, bawił się dobrze – zwłaszcza patrząc na wyrazistą twarzyczkę Isabel, gdy wznoszono toast za toastem za narzeczonych i zadawano niezliczone pytania na temat ślubu. Na te przyjacielskie indagacje Isabel odpowiadała jąkając się i plącząc, tak że od czasu do czasu Marcusowi robiło się jej żal i zręcznie wkraczał, gdy tylko rzucała mu rozpaczliwe spojrzenie. Wszyscy uznali, że jest czarująca oraz że zachowuje się jak wzorowa panna młoda, lecz Marcus zastanawiał się, czy prócz niego ktoś jeszcze zauważył, że bliskie małżeństwo nie jest dla niej źródłem szczególnej radości.

Przybyło kilku stałych biesiadników: lord Manning, sir James i lady Agatha, a także pani Appleton wraz z gościem, którego zaproszono w ostatniej chwili – jej bratem, biskupem Latimerem, który niespodziewanie zjechał po południu z krótką wizytą, toteż pospiesznie dołączono go do wyczekiwanego grona – by wymienić tylko paru. Obecność jednej osoby wszakże była dla Marcusa zastanawiająca. Dowiedziawszy się o niezapowiedzianym powrocie w sąsiedztwo Garretta Manninga, siostrzeńca lorda Manninga, matka w ostatniej chwili dołączyła go do listy gości. Marcus nie był pewien, czy jest rad z jego towarzystwa.

Prócz wysokiego wzrostu i niezwykle błękitnych oczu, w Garretcie trudno było dopatrzeć się podobieństwa do jego wuja i w ogóle rodu Manningów. Wszyscy oni mieli blond włosy i jasną karnację, lecz Garrett odznaczał się ciemną, niemal smagłą cerą i czupryną prawie tak czarną jak Marcus, a choć był czarujący, nie promieniował ciepłem i serdecznością, tak naturalnymi w obejściu wuja. Oczy Garretta spoglądały czujnie, a rozpustne życie, które odcisnęło się na rysach młodzieńca, o dziwo, dodawało jeszcze uroku jego i tak przystojnej twarzy. Błysk diamentowego kolczyka w prawym uchu wzmagał aurę rozwiązłości bijącą od jego eleganckiej sylwetki. Marcus nie mógłby wymarzyć sobie lepszego kompana do gry w karty, wypitki, odwiedzin w klubie czy innych rozrywek składających się na przyjemny męski wieczór. Uśmiechnął się. Z wyjątkiem, przyznawał, jego kuzyna Charlesa, z lekkomyślnych kawalerskich czasów sprzed małżeństwa z Daph. Garrett pod wieloma względami przypominał mu tamtego Charlesa i, jak Charlesa, Marcus nawet go lubił... trochę.

Gdy od czasu do czasu zdołał oderwać wzrok od kuszących kształtów Isabel, ukradkiem wpatrywał się w Garretta, zastanawiając się nad jego

niespodziewanym powrotem i nagłą przyjaźnią z Whitleyem. Garrett nie sprawiał wrażenia człowieka, którego nadzieje zniweczyły zaręczyny Isabel, nie wyglądał też na odrzuconego zalotnika. Wobec Isabel zachowywał się nienagannie – uprzejmy, dworny, bez zbytniej zażyłości. I bardzo dobrze, myślał leniwie Marcus, wcale nie mam ochoty rozpłatać mu łba.

Jack odniósł wielki sukces towarzyski. Panie krążyły wokół niego, unosząc się nad jego dzielnością, panowie zaś zasypywali go pytaniami o przebieg służby i ciekawi byli opinii wojskowego co do wojny z Napoleonem. Jack był znakomitym gawędziarzem i miał dość rozumu, by dopuścić też innych do głosu.

Zgodnie z przewidywaniami Marcusa, tuż po jedenastej kazano zajeżdżać karetom i powozom i goście zaczęli powoli opuszczać dwór w Sherbrook. Nie było czasu na prywatną rozmowę, ale gdy lord Manning przystanął na stopniach dworskich schodów, by zamienić parę słów z Garrettem, Marcus, który odprowadzał Isabel do powozu Manningów, wyszeptał:

– Jak rozumiem, nie miałaś wieści od Whitleya?

Isabel potrząsnęła głową. – Nie. – Zmarszczyła brwi. – Skoro nie spotkałam się z nim wczorajszej nocy, obawiałam się, że przyjdzie kolejny liścik, żądający następnego spotkania. Ale nic nie przyszło. – Przygryzła wargę. – Martwi mnie to.

Marcus skinął głową, jakby jej słowa potwierdzały coś, o czym już wiedział. – Nie przejmuj się tym, moja droga – uspokajał ją. – Nie sama się z tą sprawą borykasz, masz mnie u boku, a ja nie pozwolę, by Whitley czy ktokolwiek inny zakłócał twój spokój ducha. – Jego oczy nabrały twardego wyrazu. – Gdyby napisał do ciebie lub pojawił się osobiście, daj mi natychmiast znać.

– On się tak po prostu nie podda – ostrzegła.

Na twarzy Marcusa pojawił się wilczy uśmieszek.

– Ani ja.

* * *

Niespełna godzinę później, gdy goście wyszli, a pani domu, pożegnawszy obu panów, udała się na spoczynek, Marcus i Jack wymknęli się z domu i pospieszyli do stajni. Osiodłali konie i odjechali.

Przejechawszy pół mili, zatrzymali się, by przekazać sobie ostatnie ustalenia, zanim rozjadą się każdy w swoją stronę. – Skąd wiesz, że się z tobą spotka? – zapytał Jack.

Marcus uśmiechnął się bez wesołości.

– Bo, jak ci mówiłem, posłałem mu bilecik z prośbą o spotkanie. Będzie myślał, że to od damy, która nie zjawiła się na schadzkę zeszłej nocy.

Jack przypatrywał mu się z poważną miną. Był zadowolony, że Whitley znajdzie się z dala od niego, gdy będzie się wślizgiwał do jego pokoju przez okno, ale pewne punkty planu Marcusa niepokoiły go. Skąd Marcus wie, że Whitley nie zdążył już się umówić z tajemniczo nieobecną damą? Umiejętność pisania nie była powszechna wśród niewiast, z którymi zwykł był zadawać się Whitley, więc skąd Marcus wie, że owa dama w ogóle potrafi naskrobać choć słowo? Oczy mu się zwęziły. Doszedł do wniosku, że jego kuzyn o wielu rzeczach mu nie mówi. Marcus gra w jakąś swoją grę, a on nie ma pojęcia, o co tu chodzi. Jack uważał, że wszelkie gierki z udziałem Whitleya są niebezpieczne i ten jego niefrasobliwy kuzyn nie powinien spotykać się z majorem sam na sam.

– To dobry plan, jeśli wszystko pójdzie jak należy. Tylko nie podoba mi się ten pomysł, żebyś samotnie się z nim borykał – przyznał niechętnie Jack.

Marcus spojrzał na niego krzywo.

– To mnie obraża. Najpierw wątpisz, czy potrafi ę przeszukać jego pokój, a teraz uważasz, że nie dam sobie rady z tym tchórzliwym fanfaronem!

– Nie w tym rzecz – powiedział posmutniały Jack. – Zgoda, Whitley to łasica, ale łasice mają zęby i nigdy nie miałeś do czynienia z nikim podobnym.

– Wielki Boże! – wykrzyknął Marcus z niesmakiem. – Mówisz zupełnie jak Julian i Charles czy moja matka. To prawda, że w przeciwieństwie do ciebie nie prowadziłem życia pełnego przygód, nie dokonałem takich niebezpiecznych, ryzykownych rzeczy jak Julian i Charles, ale zapewniam cię, że dam sobie radę z Whitleyem. Zrób, co do ciebie należy, a jak już będziesz Pod Rogiem Jelenia, dostań się do pokoju Whitleya. O mnie się nie martw. – Coś mrocznego i groźnego zamigotało w jego szarych oczach. – Martw się o Whitleya, jeśli chcesz się o coś martwić.

Rozdzielili się, Jack pojechał w kierunku gospody, a Marcus podążył drogą na skróty w stronę zagajnika w pobliżu jeziora. Jack miał dalej, lecz Marcus już po niespełna dwudziestu minutach zatrzymał konia, po czym zsiadł, uwiązał go do drzewa i, skryty za zasłoną roślinności, rozejrzał się po okolicy. Wybrał to miejsce po pierwsze dlatego, że Whitley wymienił

je w swym pierwszym liściku do Isabel, a po wtóre z tego powodu, że dobrze znał ten teren. Jednym długim spojrzeniem oszacował najbliższą przestrzeń i uznał, że dokonał właściwego wyboru.

Pobłyskując niczym szkło w świetle księżyca, duże jezioro oddzielające posiadłość Manninga od dworskich terenów wuja Isabel rozciągało się bez końca przed jego oczami, a najdalsze krawędzie wtapiały się poszarpanymi zarysami w ciemność nocy. Przed oczyma Marcusa i jakieś pięćdziesiąt stóp za jeziorem mały zagajnik połyskiwał widmową bielą. Okratowany po bokach dom wydawał się mniejszy z powodu dwóch ogromnych, okolonych kamieniami stawów, w których pluskały złote rybki. Zbudował go przed laty lord Manning w darze dla żony. Wysoka, trójpoziomowa fontanna zdobiła środek każdego stawu, a szmer spadającej kaskadami wody rozchodził się wśród nocnej ciszy. Za życia lady Manning w miejscu tym odbywały się liczne radosne spotkania rodziny i przyjaciół, lecz w ostatnich latach zakątek ten był rzadko odwiedzany.

Marcus celowo przybył wcześnie, sporo przed drugą, na którą umówił się z Whitleyem, ale i tak do zagajnika zbliżał się ostrożnie. Tak jak się spodziewał, teren był opustoszały i upewniwszy się, że Whitleya jeszcze nie ma, podszedł do jednego ze stawów i wpatrzył się w czarną głębinę. Błysk złota w słabym świetle od czasu do czasu zdradzał, że złote rybki lady Manning mają się świetnie wśród trzcin i lilii wodnych, które zaczęły opanowywać staw. Stawy okalał niski, kamienny murek, zakończony szeroką, płaską krawędzią, na której panie zwykły siadać i karmić rybki. Postawiwszy stopę w wysokim bucie na gładkiej krawędzi, Marcus uśmiechnął się. Zastanawiał się, czy major lubi wodę. Miał nadzieję, że nie.

Zagajnik i stawy z rybkami znajdowały się na otwartej przestrzeni i Marcus zdawał sobie sprawę, że jeśli chce wykorzystać element zaskoczenia, musi dopaść Whitleya, zanim ten wyłoni się z lasu okalającego większą część jeziora. Wiedział, skąd Whitley nadjedzie, co ułatwiło mu zadanie. Podszedł do drzew i zajął pozycję najlepiej odpowiadającą jego celom.

Sporo przed umówioną godziną drugą Marcus usłyszał nadjeżdżającego konia i uśmiechnął się do siebie. Najwyraźniej nie on jeden chciał tu przybyć wcześniej. Nasłuchując pilnie, Marcus bezszelestnie poruszał się w ciemności, idąc tropem konia i jeźdźca, którzy zbliżali się do skraju lasu.

Gdy Whitley zatrzymał wreszcie konia i zsiadł, Marcus był na miejscu i czekał tylko, aż przeciwnik uwiąże wierzchowca do młodego

modrzewia. Wtedy zaatakował. Obróciwszy Whitleya, wymierzył mu potężny cios prawą pięścią w szczękę. Głowa majora odskoczyła do tyłu, a za pierwszym ciosem poszło mocne uderzenie lewą pięścią w żołądek. Oszołomiony, z trudem łapiąc dech, Whitley padł na ziemię. Marcus obrócił go na brzuch i wprawnie związał mu ręce na plecach. Po wykonaniu tego zadania w ciągu zaledwie paru sekund, Marcus szybko obwiązał Whitleyowi oczy czarnym, jedwabnym szalem.

Marcus uznał, że szal to dobre posunięcie. Whitley zapewne rozpozna go po głosie, ale nie miało to dla niego większego znaczenia. Zakrył Whitleyowi oczy, by wytrącić go z równowagi i by poczuł się bezbronny, a świadomość ta bez wątpienia dręczyła majora w tej chwili.

Marcus postawił Whitleya na nogi i popychał go w kierunku jeziora. Major potykał się i zataczał, a Marcus chwycił go za ramię i ciągnął w stronę zagajnika.

– Mam pieniądze – odezwał się Whitley głosem zadziwiająco spokojnym. – Weź je wszystkie i puść mnie wolno.

Marcus zaśmiał się ponuro.

– Nie jestem rozbójnikiem, przyjacielu, i nie chcę twoich przeklętych pieniędzy.

Whitley drgnął na dźwięk głosu Marcusa i obrócił głowę w jego stronę. – Kim jesteś? – zapytał. – Czy ja cię znam?

– Po cóż miałbym zawiązywać ci oczy, gdybym miał ci powiedzieć, kim jestem? – odparł pogodnie Marcus.

– Czego chcesz?

– Czegoś, co należy do pewnej damy.

Whitney zesztywniał, zachwiał się i zatrzymał. – Nie powiesz mi, że to Isabel cię wynajęła! – zakrzyknął.

– Przecież wiesz, że nic ci nie powiem.

Ku swemu zdumieniu, Marcus świetnie się bawił. Noc była piękna, dokonywał szlachetnego czynu, a do tego dawał nauczkę temu obwiesiowi. Uśmiechnął się. A najlepsze jeszcze przed nim.

Gdy doszli do jednego ze stawów, Marcus rzucił Whitleya na kolana i przeciągnął górną połowę jego ciała przez kamienną krawędź. Z chwilą kiedy głowa Whitleya znalazła się ledwie o parę cali od lustra wody, Marcus rzekł:

– Jeśli chcesz to zaraz zakończyć, oddaj rzecz należącą do tej damy.

Whitley zaśmiał się złym śmiechem.

– Nawet nie wiesz, co to jest, mam rację?

– To mnie nie obchodzi. Chcę tego, a ty mi to oddasz, jeśli masz choć krztynę rozumu w głowie.

– A jeśli odmówię?

Marcus nie odpowiedział. W jednej chwili zanurzył głowę Whitleya w ciemnych wodach stawu, odczekał parę sekund, po czym ją wynurzył. Gdy Whitley parskał i klął, Marcus wyjaśnił:

– Teraz chciałem po prostu przyciągnąć twoją uwagę. Następnym razem przytrzymam cię dłużej. No to jak, oddasz mi to? Czy mam kontynuować?

Whitley przeklinał wściekle, toteż Marcus stwierdził: – Mam to uznać za odmowę? – I szybkim ruchem ponownie zanurzył w wodzie głowę majora. Tym razem podtapiał go dłużej, a gdy wreszcie przestał, Whitley krztusił się i gwałtownie łapał dech. – To jak – powiedział cicho Marcus. – Oddasz mi to?

– Niech cię piekło pochłonie! – warknął Whitley.

– Tam to ty dałbyś mi do wiwatu – wycedził Marcus i ponownie głowa Whitleya zniknęła pod wodą. Marcus nie zaprzeczał, że czerpał pewną przyjemność z pławienia majora, ale teraz ta czynność zaczęła go nużyć. Zdecydowany zakończyć to jak najszybciej, mimo gorączkowej szamotaniny Whitleya przytrzymał go tak długo, jak wydawało mu się to bezpieczne.

Gdy w końcu głowa Whitleya wynurzyła się z wody, w Marcusie zamarło serce i ogarnęło go przerażenie, gdyż mężczyzna był bezwładny. Wystraszony, potrząsał nim gwałtownie i po czuł ulgę, gdy Whitley zakasłał, krztusząc się, i gwałtownie wciągnął powietrze. Wszak nie chciał go zabić... a przynajmniej nie w ten sposób.

Gdy tak wpatrywał się w rozciągniętą na ziemi postać Whitleya, słuchał jego ciężkiego oddechu, niemal zrobiło mu się go żal, ale zaraz przypomniał sobie, że ten człowiek stanowi zagrożenie dla Isabel i jeśli Jack ma rację, samej Anglii.

Aksamitnym głosem, w którym dźwięczała groźba, Marcus rzekł: – Mówię po raz ostatni. Albo mi to dasz, albo następnym razem już się nie ockniesz. – Gdy Whitley nie odpowiadał, westchnął i wyciągnął po niego rękę.

– Zaczekaj! – wyskrzeczał Whitley.

– Nie marnujmy czasu. Albo mi to dajesz...

– Dam ci... ale nie mam tego przy sobie.

Marcus zorientował się natychmiast, że Whitley kłamie, i szarpnięciem posadził go. – A więc do stawu z tobą, mój nieszczęsny przyjacielu – rzekł bez emocji, pewien, że Whitley się przerazi.

Miał słuszność. Gdy ręka Marcusa zacisnęła się na karku majora, ten krzyknął z przestrachem:

– Zaraz! Zaraz! Kłamałem. Mam to. Przysięgam, że mam to przy sobie.

Nie chcąc, by Whitley dalej tkwił w upokarzającej pozycji, przechylony nad krawędzią stawu, Marcus cisnął go na ziemię. Upewniwszy się, że czarny, jedwabny szalik nadal zakrywa Whitleyowi oczy, podniósł go szorstkim ruchem i oparł o murek otaczający staw.

– Uważaj – wycedził Marcus – jeśli tylko spróbujesz jakichś sztuczek, zaczniemy wszystko od nowa. Albo dostanę to, czego chcę, albo jesteś trup. Wybieraj.

Whitley zadrżał. – Żadnych sztuczek – wymamrotał.

– Więc daj mi to.

– Musisz mnie rozwiązać – wyjęczał Whitley. – Nie mogę tego wyjąć z zawiązanymi rękoma.

Marcus wymierzył mu policzek.

– Uważasz mnie za durnia? Powiedz, gdzie to jest.

Whitley zawahał się, po czym, głosem pokonanego, powiedział:

– Przyczepiłem ten przedmiot do dewizki od zegarka. Jest w kieszonce kamizelki.

Palce Marcusa odnalazły ciężką, złotą kopertę i wyciągnęły ją. Oglądając ozdóbkę w świetle księżyca, uświadomił sobie, że jak na zegarek kieszonkowy jest niezwykle duża, a przyjrzawszy się jej bliżej, spostrzegł, że trzyma w ręce złoty kobiecy medalion. Naszła go gwałtowna chęć, by otworzyć to cacko, ale napomniał się, że nie ma prawa wścibiać nosa w coś, co Isabel za wszelką cenę chce utrzymać w tajemnicy, toteż powściągnął pragnienie, by odkryć, na czym jej tak straszliwie zależało. A ponadto, przyznał cierpko, chciał, by sama mu powiedziała. Odpiął medalion od dewizki i wsunął do kieszeni.

Pocierając podbródek, wpatrywał się w Whitleya. Był tak pochłonięty kwestią odzyskania własności Isabel, że nie zastanowił się dobrze, co winien zrobić, gdy już ją dostanie do ręki. Nie mógł tak po prostu zostawić tu Whitleya, skrępowanego i z zasłoniętymi oczami, choć chętnie by tak postąpił. Nie może też go rozwiązać i po prostu odjechać. Whitley może podejrzewać, kim jest napastnik, ale z chwilą, gdy zdejmie przepaskę, będzie miał pewność. I jest jeszcze Jack. Marcus obiecał mu, że przytrzyma Whitleya, póki kuzyn będzie przeszukiwał jego pokoje, lecz jeśli prawidłowo oszacował czas, Jack właśnie winien był skończyć rewizję i zapewne wracał już do dworu w Sherbrook.

Marcus rozważał tę sprawę przez parę sekund, po czym, pogwizdując cicho, uniósł Whitleya i posadził go. Wyjąwszy nóż zza cholewy, wykonał sztuczkę, której nauczył się od swego kuzyna Juliana. Mimo

gwałtownych protestów majora, zaczął rozbierać go do naga, odcinając po kawałku fragmenty jego ubrania i rozpłatując mu buty aż po podeszwy. Zniszczone odzienie i obuwie wrzucił do stawu – major może je sobie wyłowić.

Uporawszy się z tym, Marcus z powrotem skierował uwagę na Whitleya, który nagi trząsł się w chłodnym, nocnym powietrzu. Nie zwracając uwagi na skowyt przerażenia, który wyrwał się z ust niedoszłego topielca, Marcus starannie naciął sznur krępujący mu dłonie, bacząc, by kilka nici nadal trzymało. Uznał, że mimo nacięć oswobodzenie się zajmie jego ofierze trochę czasu – akurat tyle, by Jack zdążył sporo oddalić się od gospody przed powrotem majora.

Osiągnąwszy cel, Marcus odezwał się:

– Miło zszedł nam czas, przyjacielu, ale godzina jest późna i niestety na mnie już pora. Znajdzie pan swoje ubranie, a właściwie to, co z niego zostało, w stawie.

Nie zwracając uwagi na zjadliwe obelgi, którymi obrzucał go major, Marcus pospiesznie odszedł i zniknął w leśnej gęstwinie. Myślał, czyby nie zabrać majorowi konia, ale uznał, że wystarczająco go udręczył jak na jedną noc. Podjechał na swym rumaku do miejsca, gdzie przywiązany był wierzchowiec Whitleya, a widząc płaszcz majora starannie ułożony na tylnym łęku siodła, zdjął jego przyodziewek i przełożył na swoje siodło. Pomyślał z zawziętością, że Whitleyowi do przykrycia nagości muszą wystarczyć ubrania wyłowione ze stawu. Ale winien zrobić jeszcze jedno i, pochyliwszy się, nadciął popręg. Uśmiechnął się. W jego ocenie, podcięty popręg wytrzyma jeszcze parę mil, po czym puści.

Rad ze swych nocnych dokonań, spiął konia do galopu i ruszył w stronę domu. Zdjął siodło i wytarł konia, nim zaprowadził go do jego przegrody. Poklepał zwierzę czule w czoło, włożył mu miarkę owsa i biorąc ze sobą płaszcz, który zwędził Whitleyowi, poszedł do gabinetu mieszczącego się na rogu stajni, gdzie rzucił odzienie na krzesło. Wypełniwszy wszystkie obowiązki, wyszedł przed dom, po czym usadowiwszy się na jednej z kamiennych ław stojących po obu stronach wejścia do dworu, czekał na Jacka.

Medalion Isabel w kieszeni palił go żywym ogniem, toteż wyjął złote cacko i obejrzał je w świetle księżyca. Wyglądało na stare, było ciężkie i wysokiej jakości, o pięknej ślimacznicy z przodu i z tyłu, co skłoniło Marcusa do przypuszczenia, że jest to biżuteria odziedziczona po rodzinie. Pokusa, by otworzyć medalion, była przemożna, lecz, choć powiedział sobie, że jako przyszły mąż ma do tego święte prawo, nie potrafi ł się do tego zmusić. Z westchnieniem włożył ozdóbkę do

kieszonki kamizelki. Sekrety! Jakże on ich nienawidził.

Dziesięć minut później usłyszał tętent końskich kopyt, po czym wstał na widok nadjeżdżającego galopem Jacka. Jack zatrzymał wierzchowca i spojrzał na Marcusa. – Miałeś rację – powiedział ze zniechęceniem. – W jego pokoju nic nie było, a możesz mi wierzyć, szukałem wszędzie. – Marcus wyszczerzył zęby, a Jack się roześmiał. – Więcej już nie zwątpię w twoje słowa. – Zsiadł i obaj odprowadzili konia Jacka.

Gdy kroczyli obok siebie w stronę domu, Jack rzucił niedbale:

– A twoja schadzka z Whitleyem? Mam nadzieję, że wszystko poszło dobrze?

Marcus skinął głową. – Tak jak planowałem. – Uśmiechnął się. – Niezwykle udane spotkanie.

Jack wzruszył ramionami.

– Dobrze, że chociaż jeden z nas ma powody do zadowolenia. W jego kwaterze nie było nic, co pozwoliłoby mi sądzić, że kiedykolwiek to znajdziemy.

– A może on tego nie ma? – podsunął Marcus, gdy wchodzili po schodach do dworu.

– Istnieje taka możliwość, ale on wygląda na tak idealnego winowajcę, że na razie nie rezygnuję z poszukiwań. – Zamyślił się na chwilkę, po czym dodał: – Gdy przeszukałem pokoje Whitleya, odbyłem pouczającą rozmowę z karczmarzem Keatingiem. To bardzo rozmowny jegomość. Wspomniał, że Whitley poznajomił się z jednym z miejscowych przemytników, niejakim Peterem Collardem. Znasz go?

Marcus zacisnął usta.

– Owszem. Brawurowe wyczyny Collarda przeszły do szmuglerskiej legendy. Znajomość Whitleya z nim uwiarygodnia twoje przypuszczenie, że ma notatkę i chce popłynąć do Francji albo do jakichś miejsc sprzyjających jej poczynaniom.

Doszli do ciężkich, podwójnych drzwi dworu, gdy ciszę przerwał tętent konia w pełnym galopie. Marcus obrócił się, podskórnie spodziewając się Whitleya nacierającego z podjazdu. Zmarszczył brwi, gdy ujrzał, że jeźdźcem jest jeden ze służących ze dworu w Manning.

– Panie Sherbrook! Panie Sherbrook! – zakrzyknął młody człowiek, zatrzymując spienionego konia u podnóża schodów. – Mam dla pana wiadomość od pani Manning. – Zeskakując z wierzchowca, pomachał małą kopertą, którą trzymał w dłoni. – Chodzi o barona. Jest śmiertelnie chory.

Bilecik od Isabel potwierdzał słowa służącego.

„Marcusie – pisała – przybywaj natychmiast. Baron padł bez zmysłów

wieczorem tuż po naszym powrocie do domu. Doktor, który go zbadał, powiada, że umiera. Lord Manning nalega, byś przyjechał. Isabel”.

# Rozdział 9

Wyjaśniwszy Jackowi sytuację w paru słowach, Marcus pospieszył do stajni i za parę chwil znowu jechał po nocy. Tym razem gnał go strach, toteż niebezpiecznie popędzał konia, mknąc na skróty przez okolicę, by jak najprędzej dotrzeć do dworu w Manning.

Gdy osadził zgonionego wierzchowca przed okazałym wejściem do dworu, nie zdziwił go widok czarnej dwukółki medyka na okrężnym podjeździe ani światła we wszystkich oknach. Kamerdyner Manninga, Deering, ruszył przez szeroki taras, by go powitać.

– Och, panie Sherbrook! Co za ulga, że pan tu jest – zakrzyknął Deering, wyraźnie poruszony. – To straszne! Nie możemy uwierzyć, że umiera. – Przywołując się do porządku, oznajmił nieco bardziej oficjalnie: – Proszę za mną, wielmożny panie, niezwłocznie zaprowadzę pana do lorda Manninga.

Marcus cicho wszedł do sypialni starego lorda i z wolna kroczył przez wielki pokój ku podestowi, którego lwią część zajmowało łoże obite jedwabiem w kolorze burgunda i złota. W migotliwym świetle kilku świeczników rozmieszczonych zmyślnie po pokoju dostrzegł postać starego barona przykrytego jedwabną narzutą, na której spoczywały jego białe, nie ruchome ręce. Nadal w bursztynowej, jedwabnej sukni, którą miała na sobie na kolacji we dworze w Sherbrook, Isabel przysiadła na skraju łóżka, lekko głaszcząc palcami dłoń teścia. Obok niej stał doktor, pan Seward, na którego pociągłej twarzy malowała się powaga.

Marcus odchrząknął, a Isabel podskoczyła. Gdy zerknęła przez ramię i ujrzała go, poderwała się z miejsca i pobiegła ku narzeczonemu. Rzucając się w jego ramiona, wyszeptała bez tchu: – Dzięki Bogu, że przyjechałeś! Koniecznie chce cię widzieć. – Z trudem powstrzymywała łzy. – To zdarzyło się nagle. Wróciliśmy do domu i kiedy Edmund poszedł spać, siedzieliśmy chwilkę razem w zielonym salonie przed udaniem się na spoczynek, gdy wydał dziwny dźwięk i osunął się na

podłogę. – Wstrząsnęła się na wspomnienie tej straszliwej chwili. – Wezwałam Deeringa i razem udało nam się go podnieść, lecz choć był przytomny, mówił niewyraźnie i nie poznawał nas. Natychmiast posłałam po pana Sewarda. – Łzy popłynęły jej po policzkach. – Marcusie, pan Seward twierdzi, że lord doznał apopleksji i umiera.

– Nie porzucałbym wszelkiej nadziei, moja droga – rzekł Marcus z udaną pewnością siebie. Posyłając jej pocieszający uśmiech, dodał: – Baron to chwacki starzec i bez walki nie opuści tego świata. – Odsunąwszy ją na bok, podszedł do podestu.

Pan Seward spojrzał na niego z powagą i rzekł: – Nie wiem, jak długo jeszcze pociągnie. – Z niezadowoleniem w głosie dodał: – Koniecznie domagał się pańskiej obecności. Uważałem, że to nieroztropne, ale był tak mocno podniecony, że przystałem na pańską obecność. Kiedy się dowiedział, że po pana posłano, uspokoił się i odtąd leży cicho. Proszę oszczędzać mu wszelkich wzruszeń, to może przyspieszyć koniec.

Wszedłszy na podest, Marcus zdumiał się na widok zmian, które w ciągu tych paru godzin zaszły na obliczu starego przyjaciela. Twarz lorda Manninga była poszarzała i skurczona i starszy pan wyglądał na swoje prawie siedemdziesiąt pięć lat co do roku.

Marcus ostrożnie usiadł na łóżku i ujął lorda Manninga za rękę. – Milordzie – rzekł cicho. – To ja, Marcus.

Starzec poruszył się i otworzył oczy. – Marcus – powtórzył z trudem. Uśmiech, a właściwie bardziej grymas niż uśmiech, przebiegł po jego pooranej bruzdami twarzy. – Obawiam się – wymamrotał – że nie znajdujesz mnie w najlepszym stanie.

– Istotnie, milordzie, bywało lepiej – nawet po nocy spędzonej na szalonej popijawie i mnogich uciechach z dziewkami – odparł z czułym wejrzeniem.

Lord Manning zaśmiał się zdławionym śmieszkiem. Niebieskie oczy pojaśniały. – Zawsze byłeś dla mnie dobry – rzekł. – Rozśmieszałeś mnie nawet, gdy tego nie chciałem. – Ze wzrokiem utkwionym w twarzy Marcusa, powiedział: – Seward twierdzi, że już pora na mnie, ale nim odejdę, pragnę jednego: byście z Isabel się pobrali.

Z kamiennym wyrazem twarzy, nie zdradzając bólu, jakim napawała go myśl o śmierci starego przyjaciela, Marcus wpatrywał się w lorda Manninga przez całą długą minutę. Prośba barona nie zdziwiła go, w pewnej mierze był na nią przygotowany. Lordowi Manningowi bardzo zależało, by przed jego śmiercią Isabel znalazła bezpieczną przystań, a wnuk należytą opiekę. Nim milczenie zaczęło wyraźnie się przedłużać, Marcus skinął głową i wyszeptał: – Ponieważ takie jest pańskie życzenie,

zrobię, co w mojej mocy, by je wypełnić. – Zmuszając się do uśmiechu, rzekł: – Dobrze się złożyło, nieprawdaż, że u pani Appleton bawi w gościnie jej brat, biskup Latimer. Wyjdę niebawem i uzyskam specjalne zezwolenie. – Zerknął przez ramię na apatyczną minę Isabel i rzekł: – Podczas mojej nieobecności Isabel może posłać po wikarego, a gdy wrócę, pobierzemy się.

Lord Manning skinął głową i zapadł w głęboki sen.

Zostawiwszy Sewarda, by miał baczenie na chorego, Marcus wyprowadził Isabel z pokoju. Przyglądając się jej badawczo, rzekł łagodnie:

– Może to nie będzie taki ślub, jaki byśmy sobie zaplanowali, ale uszczęśliwimy staruszka w ostatnich godzinach.

Z twarzą zalaną łzami skinęła głową. Usiłowała coś powiedzieć, ale nie zdołała. Wyraźnie starając się opanować, wykrztusiła wreszcie: – Zrobiłabym dla niego wszystko, kocham go jak własnego ojca. Nie mogę uwierzyć, że to koniec. – Z udręką na twarzy, wykrzyknęła: – Co powiem Edmundowi, gdy się obudzi i usłyszy, że jego dziadek nie żyje?

– Mówiłem ci, że nie wolno tracić nadziei. Musimy przygotować się na jego odejście, ale nie można poddawać się rozpaczy. Aż do tej pory był człowiekiem bardzo silnym i żywotnym. Jeszcze nie umarł i póki żyje, nie chcę myśleć o żadnym smutnym końcu. A jeśli dojdzie do najgorszego, będę wiedział, że dzięki naszemu małżeństwu zyskał spokój ducha. – Uniósł jej podbródek i złożył na nim szybki pocałunek. – Zawiadom wikarego, a potem wróć tu i przypomnij staruszkowi, że ma po co żyć. Bądź silna za niego. – Kryjąc własne obawy i niepokoje, Marcus obrócił się na pięcie i wyszedł.

Leciutki poblask różu i złota zaczął wyłaniać się na widnokręgu, gdy wszyscy ponownie zebrali się w sypialni lorda Manninga. Przez te godziny liczba osób czuwających u jego wezgłowia znacznie się zwiększyła. Nim Marcus opuścił dwór w Manning, by ruszyć do siedziby pani Appleton, zostawił zaspanemu służącemu bilecik z poleceniem, by natychmiast przekazano go jego matce. W bileciku krótko opisał sytuację i radził, by się pospieszyła, jeśli chce być na jego ślubie. A zatem ona i Jack stali w milczeniu w pobliżu zasłanego jedwabiem łoża, na którym cicho i spokojnie spoczywał blady lord Manning, obok zaś przybyły przed paroma minutami wikary Norris rozmawiał cicho z panem Sewardem.

Gdy pani Appleton poznała przyczynę wizyty Marcusa w jej rezydencji w środku nocy, naturalnie nie mogła pozostać w domu. Na jej łagodnym obliczu odmalował się głęboki smutek i, powstrzymując łzy,

uparła się, że powróci z Marcusem do dworu w Manning, by spędzić ostatnie, cenne minuty z człowiekiem, którego kochała i miała nadzieję poślubić. Niebawem stała przy łożu, ściskając słabą rękę lorda Manninga w swej ciepłej, pulchnej dłoni. Gdy obudzono biskupa Latimera i wyjaśniono mu sytuację, nie tylko gotów był wydać pozwolenie, ale też postanowił być u boku siostry w tak ciężkich dla niej chwilach i towarzyszył jej do dworu w Manning.

Gdy Marcus odjechał, Isabel zmagała się z pytaniem, czy obudzić Edmunda. Wiedząc, jak bardzo kocha dziadka, niechętnie uznała, że powinien się z nim zobaczyć przed śmiercią staruszka. Z wyrazem bólu i oszołomienia na młodziutkiej twarzy, chłopiec klęczał po drugiej stronie łoża i wpatrując się z żałością w pobrużdżone oblicze dziadka, gładził go po ręce.

Deering oraz gospodyni, jego żona, którzy oboje wyrośli w domu barona, a przedtem jego rodziców, stali obok siebie przy drzwiach. Pani Deering starała się stłumić szloch, łkając w białą chusteczkę. Marcus wiedział, że kilkoro innych osób, które służyły we dworze od lat, krąży niespokojnie tuż za drzwiami, usiłując przygotować się na tragiczną wieść, że jedyny pan, jakiego kiedykolwiek mieli, nie żyje.

Choć nadchodził świt, a w całym pokoju porozmieszczano mnóstwo płonących świec, ponura szarość, niemająca nic wspólnego z brakiem światła, przytłaczała obecnych. Cichy płacz pani Deering potęgował jeszcze nastrój przygnębienia. Nie najlepszy to prolog do ślubu, pomyślał Marcus.

Kryjąc własny smutek, przybrał maskę spokoju i pogody, po czym podszedł do rogu łóżka, przy którym stała Isabel, wpatrując się w syna i teścia. Dotknąwszy jej ramienia, rzekł:

– Wszyscy już są. Zaczynamy?

Jej blada twarz była napięta, złotobrązowe oczy rozszerzone niepokojem. Skinęła głową. Oszołomiona smutkiem, nie bardzo zdawała sobie sprawę z obecności innych osób, nie bardzo też była świadoma tego, co robi. Była odrętwiała i nawet myśl o małżeństwie z Marcusem nie mogła się przebić przez spowijający ją obłok smutku.

Gdy wszyscy znaleźli się na swoich miejscach – Isabel i Marcus stanęli na podeście obok wikarego w nogach łóżka, inni zebrali się w pobliżu – pan Seward łagodnie obudził lorda Manninga. Lord Manning przez chwilę wpatrywał się w medyka niewidzącym wzrokiem, po czym, jakby uzmysłowiwszy sobie sytuację, rozejrzał się i dostrzegł innych zgromadzonych wokół łoża. Przy pomocy Marcusa i doktora posadzono go, układając za plecami stos poduszek. Osunął się na nie

z westchnieniem.

Lewa powieka lorda Manninga opadała, a gdy spróbował się uśmiechnąć, stało się jasne, że lewą stronę twarzy ma częściowo sparaliżowaną. Mimo to zdobył się na coś w rodzaju uśmiechu i rzekł kpiarsko: – Sądząc z waszych min, zebraliście się tu na stypę, a nie na ślub. – Podniósł się nieco na łóżku, a niebieskie oczy spojrzały żywiej. – Jeszcze nie jestem gotów kłaść się do trumny, więc przestańcie robić te żałobne grymasy. Odbierają człowiekowi apetyt.

Jego słowa poprawiły nastrój. Rad ze słabych uśmieszków, które pojawiły się tu i ówdzie, lord Manning spojrzał na wikarego i wskazując słabym gestem na Isabel i Marcusa, rzekł:

– Jesteśmy tu chyba po to, żeby uczestniczyć w ślubie tych dwojga, więc bierzmy się do dzieła.

Uroczystość była prosta i krótka, już po paru chwilach Marcusa i Isabel ogłoszono mężem i żoną. Isabel, otumaniona boleścią, nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co dzieje się dookoła niej. Wiedziała, że składa przysięgę małżeńską, że Marcus stoi obok niej, wysoki i imponujący, ale tak naprawdę wcale jej to nie wzruszało. Przez tę uroczystość musi po prostu przejść, by potem już móc całą uwagę poświęcić synowi i lordowi Manningowi.

Marcus odczuwał równie głęboki smutek, co Isabel i podobnie jak ona, nie śledził uroczystości z należytym skupieniem. Tak jak Isabel, myślami był przy starcu, który przyglądał się im z łóżka. Ale gdy nadszedł czas, by ucałować pannę młodą, czyniąc to, poczuł błysk zadowolenia i radości. Isabel była jego! Jego żoną. Patrząc na uniesioną w górę twarzyczkę, poczuł, że budzi się w nim jakiś głęboki, pierwotny instynkt. Nie pożądanie, choć je też odczuwał, ale coś silniejszego, trwalszego i bardziej doniosłego, lecz wtedy wikary pospieszył z gratulacjami, ta chwila minęła i znowu cała jego uwaga skupiła się na lordzie Manningu.

Nie wyrażano otwarcie radości, jak to zwykle dzieje się przy takich okazjach, lecz promieniejące oblicze lorda Manninga, gdy Marcus pocałował pannę młodą, wynagrodziło im wszystko. Po zakończeniu uroczystości na skinienie Sewarda Marcus wyprowadził gościa z pokoju, w którym zostali tylko on, Isabel, Edmund, Seward i lord Manning.

Tymczasem przed przybyciem gości przygotowano poczęstunek, który miał zostać podany w małym salonie. Isabel przyznała, że nie będzie to wystawne śniadanie, jakim podejmuje się weselników, ale przynajmniej służba czymś się zajmie i zapanuje nastrój normalności. Wątpiła, czy ktokolwiek odjedzie niebawem. Z bólem serca pomyślała, że

zostaną aż do śmierci lorda Manninga.

Edmund usiadł na łóżku przy dziadku i gładził starca po ręce, jakby jego dotyk mógł odsunąć śmierć. Wnukowi wydało się niemożliwością, że dziadek umiera, i ciepło jego żylastego ramienia przynosiło mu pociechę.

Isabel siedziała po drugiej stronie łoża, zmuszając się do uśmiechu. – Wszyscy zatańczyliśmy tak, jak nam zagrałeś – rzekła przekornie, choć gardło miała ściśnięte. – Czy jesteś zadowolony?

Lord Manning skinął potwierdzająco. Trochę niewyraźnie wymamrotał: – W istocie, jestem. – Przyjrzał się jej bacznie. – A ty, moja droga? Czy jesteś szczęśliwa?

Isabel zdławiła łzy. Jakże może być szczęśliwa, skoro on umiera? Jakże może być szczęśliwa, skoro wie, że jej małżeństwo, ten mariaż, którego nigdy nie chciała, może zniszczyć wszystko, co jest jej drogie? Zmuszając się do pogodnego tonu, odparła: – Oczywiście. – Spojrzała na Marcusa, który stanął obok niej. – Mam dobrego, przystojnego męża. Która kobieta nie byłaby szczęśliwa?

– A ja – rzekł Marcus, przesuwając spojrzenie po twarzy Isabel – poślubiłem jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek pragnąłem pojąć za żonę. – Była to prawda, co uświadomił sobie z lekkim drgnięciem. W swoich planach na przyszłość nigdy nie uwzględniał małżeństwa, ale gdy zaręczył się z Isabel, cały jego świat uległ zmianie i życie bez Isabel jako żony u jego boku wydało mu się nie do pomyślenia. Jeszcze zanim ogłosił swe zadziwiające zaręczyny, jakąś cząstką swej istoty wyczuwał głęboko zagrzebaną w duszy świadomość, że na świecie jest tylko jedna przeznaczona mu kobieta – Isabel. Tak, powoli dochodził do wniosku, że już dawniej chciał ją poślubić, być może już od bardzo dawna...

Lord Manning zaśmiał się cichutko i uwaga Marcusa natychmiast skierowała się na staruszka. Baron był blady i wyraźnie wyczerpany, ale Marcus uznał, że nabrał nieco rumieńców i że przerażająca pustka zniknęła z jego oczu i twarzy.

– Jak się pan czuje? – zapytał cicho Marcus.

Starzec wykrzywił połowę twarzy w uśmiechu. – Nie tak dobrze, jak bym pragnął. – Zamknął oczy. – Chciałbym teraz odpocząć. – Sękata ręka zacisnęła się na dłoni chłopca. – Ale zostawcie Edmunda.

Marcus, Isabel i Seward cicho wyszli. W holu Marcus powiedział do Sewarda: – Może zejdzie pan na dół do gości i nieco się pokrzepi? Pani Sherbrook i ja zostaniemy w salonie, a jeśli nastąpi jakaś zmiana, natychmiast po pana zadzwonię. I niech pan łaskawie powie Deeringowi, żeby przysłał nam tacę z jakimiś przekąskami. Wybór pozostawiam jemu.

– Spojrzał na bladą twarzyczkę Isabel. – Ale na pewno przyda się nam filiżanka gorącej herbaty.

Seward zawahał się, lecz Marcus nalegał:

– Lord Manning wygodnie teraz odpoczywa, a pan może go tylko rozdrażnić. Albo wyzdrowieje, albo umrze. Jego los nie spoczywa w pańskich rękach.

Urażony doktor wciągnął głęboko powietrze, skinął krótko głową i zniknął na schodach.

Marcus poprowadził Isabel do przyjemnie urządzonego salonu przylegającego do sypialni lorda Manninga, gdzie posadził żonę na obitej granatowym adamaszkiem kanapie. Opowiedział jej, co zamierza, po czym wrócił do sypialni, by porozmawiać z Edmundem. Lord Manning zdążył już zasnąć, lecz Edmund uniósł wzrok, gdy Marcus się do niego zbliżył.

Uśmiechając się do chłopca, powiedział:

– Siedzimy z twoją matką w salonie. Zostawię drzwi uchylone i jeżeli będziesz czegoś potrzebował, po prostu zawołaj.

Edmund uśmiechnął się nieśmiało i skinął głową.

Wróciwszy do salonu, Marcus zajął miejsce na krześle z wysokim oparciem obitym aksamitem w niebiesko-złote paski. Obok siedziała Isabel, wyglądająca jak duch. Jej jasnorude włosy błyszczały ogniście niczym płomień świecy, a rozkloszowana spódnica bursztynowej sukni stanowiła miły dla oka kontrast z granatowym obiciem sofy. Przeżycia tego wieczoru odcisnęły się w postaci fi oletowych podkówek pod jej oczami, nienaturalnej bladości cery i łuku zaciśniętych ust – nie wspominając o nieświadomym wykręcaniu złożonych na podołku rąk. Pomyślał ponuro, że nikt, patrząc na nią, nie odgadłby, iż jest świeżo poślubioną mężatką. A przynajmniej nie szczęśliwą mężatką, uzupełnił.

Położył swą dużą, ciepłą dłoń na jej mniejszych i chłodnych rękach. Jej palce natychmiast się na niej zacisnęły, a oczy, napotkawszy jego wzrok, straciły niewidzący wyraz.

– To był pamiętny wieczór, nieprawdaż? – zagadnął cicho.

Roześmiała się stłumionym śmiechem. – Można tak powiedzieć. – Spuściła wzrok na ich splecione palce. – Co robimy dalej? – zapytała z nieszczęśliwą miną. – P... p... przed ślubem n... nie mieliśmy czasu, by pomówić o przyszłości. – Przełknęła ślinę. – Wiem, że jesteśmy małżeństwem, ale ja... – Głos jej uwiązł i oblała się rumieńcem.

Wiedząc doskonale, o co żonie chodzi, Marcus ujął ją pod brodę, aż musiała spojrzeć mu w oczy. – Isabel, nie zamierzam dziś domagać się swych małżeńskich praw, jeśli to cię martwi – rzekł cicho. – Powiedz

Deeringowi, żeby przygotował dla mnie sypialnię i przynajmniej przez parę następnych dni możesz udawać, że jestem tu jedynie gościem. Gdy matka wróci do domu, poproszę ją, żeby kazała spakować kufer z moimi rzeczami i przysłała go przez któregoś służącego. – Rzucił jej figlarne spojrzenie. – Nie ukrywam, że nie tak wyobrażałem sobie swoją noc poślubną, lecz gra toczy się o coś ważniejszego od uciech naszego łoża małżeńskiego. Nie chcę zakłócać życia domowego lorda Manninga bardziej niż to konieczne i zabierać ciebie i Edmunda do dworu w Sherbrook ani wdzierać się do twojej sypialni. Jesteśmy małżeństwem. Jeśli Bóg pozwoli, przeżyjemy ze sobą wiele lat. Będziemy mieli dla siebie dość czasu w przyszłości.

Twarz Isabel pojaśniała, młoda kobieta pochyliła się ku niemu, mówiąc z głębi serca: – Och, Marcusie! Dzięki! Jesteś bardzo wyrozumiały. – Odwróciła się, by spojrzeć na otwarte drzwi prowadzące do sypialni lorda Manninga. – O... o... obawiam się, że obecnie mogę myśleć tylko o... – Jej głos stłumiły łzy.

– Mnie też jest bardzo drogi – rzekł Marcus poważnym tonem. Z ponurą miną dodał: – Jeśli umrze, następne tygodnie spędzimy w żałobie i żadne z nas nie będzie musiało się martwić zmianami, jakie przyniesie nasze małżeństwo. – Odetchnął głęboko. – A gdy ten czas przeminie, skupimy się na naszym nowym życiu.

Poczucie ulgi przyprawiło Isabel niemal o zawrót głowy, a zimny, żelazny uścisk, który zwierał jej trzewia, odkąd uświadomiła sobie, do czego dąży baron, puścił. Opadła z powrotem na miękką kanapę i spojrzała na Marcusa. Uznała, że wygląda pociągająco z czarnymi włosami łobuzersko zwichrzonymi na czole i nieco przekrzywionym fularem. Jego butelkowozielony żakiet był nieco wymięty, a spodnie i buty, inaczej niż zwykle, też nie znajdowały się w idealnym stanie, co jeszcze dodawało Marcusowi szelmowskiego uroku. Uśmiechnęła się do siebie. Chyba żadne z nich nie wyglądało najlepiej. Zasłoniła oczy rzęsami i przypatrywała się ukradkiem temu mężczyźnie, który był teraz jej mężem. Zdążyła się już do niego zbliżyć i dziś, choć elegancki, lecz zmięty i znużony, pociągał ją jak nigdy. Poczuła gwałtowną chęć, by pogłaskać to szerokie czoło, wygładzić bruzdy zmęczenia i napięcia na ciemnej twarzy męża, zetrzeć cień smutku z jego kształtnych ust. Gdy sobie przypomniała, jak te wargi mocno przyciskały się do jej piersi, przez ciało Isabel przebiegł tak namiętny spazm pożądania, że zaskoczona aż westchnęła raptownie. Jakże może myśleć o czymś takim, skoro obok umiera lord Manning?

– Co ci jest, kochanie? – zapytał Marcus, słysząc jej głośny oddech.

Ku jej wielkiej uldze, rozległo się pukanie do drzwi i na polecenie Marcusa do pokoju wszedł Deering z dużą, srebrną tacą. Twarz miał spokojną, ale szybkie spojrzenie, które rzucił w stronę otwartych drzwi prowadzących do sypialni lorda Manninga, pokazywało, ku czemu biegną jego myśli. Postawił tacę na mahoniowym stoliku przy tym końcu kanapy, przy którym siedziała Isabel, po czym skłonił się i rzekł szorstkim tonem:

– Kucharka jest zajęta cały czas, odkąd lord Manning dostał udaru. Przyniosłem gorące bułeczki, naleśniki z jabłkami, herbatniki imbirowe, a także kawałki polędwicy, plastry bekonu, jajka na miękko, kawę i herbatę.

Marcus uśmiechnął się do niego. – Proszę jej od nas podziękować. Moja żona – a tylko Marcus wiedział, jaką przyjemność sprawiło mu wypowiedzenie tych słów – zapewne z apetytem zje herbatniki imbirowe i wypije herbatę, lecz mnie przyda się teraz polędwica i jajka.

Po twarzy Deeringa przebiegł lekki uśmiech. – To właśnie powiedziała kucharka, gdy uznałem, że przygotowała potrawy zbyt treściwe. – Znowu zerknął w kierunku otwartych drzwi. – Czy nastąpiła jakaś zmiana? – zapytał zniżonym głosem.

Marcus potrząsnął głową.

– Przynajmniej nie na gorsze. Odpoczywa spokojnie z wnukiem u boku.

Nie mogąc wymyślić żadnego sposobu, by pozostać tu dłużej, Deering skłonił się i niechętnie opuścił salon.

Podczas gdy Isabel pogryzała pikantne herbatniki i sączyła herbatę, Marcus nałożył sobie duży kawał polędwicy, jajka na miękko, parę ciepłych bułek i dwa naleśniki. Już od wielu godzin nie miał nic w ustach. Przez parę minut panowała błoga cisza, gdy Isabel skubała ciasteczko, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w przestrzeń, Marcus zaś całą uwagę poświęcił znajdującym się na jego talerzu potrawom.

Kiedy już go opróżnił, poczuł się nieco żwawszy. – Zaraz wrócę – rzekł do Isabel, podnosząc się od stołu. – Zobaczę, jak miewa się milord, i zapytam Edmunda, czy nie zjadłby naleśników, póki są jeszcze ciepłe.

Cicho wszedłszy do pokoju, stwierdził, że Edmund i lord Manning smacznie śpią. Edmund leżał skulony obok dziadka, a lord Manning otaczał go ramieniem. Marcus na ich widok poczuł ukłucie w sercu. Strata barona dotknie wszystkich, lecz najbardziej będzie cierpiał Edmund. Biedny chłopak. Tak młodo najpierw stracił ojca, a teraz dziadka. Pamiętając, jak sam cierpiał, gdy zmarł jego ojciec, Marcus przysiągł sobie, że zrobi dla tego chłopca, co tylko w jego mocy, i postara się zastąpić mu starego barona.

Jakby wyczuwając obecność Marcusa, powieki lorda Manninga zadrżały, a on sam się obudził. Napotkawszy spojrzenie Marcusa, posłał mu żałosny, krzywy uśmiech.

– Jesteś zły, że pogoniłem cię do ołtarza?

Marcus potrząsnął głową, w jego szarych oczach błysnął uśmiech. – W istocie jestem panu wdzięczny. Isabel ociągała się z wyznaczeniem daty, a pan sprytnie załatwił tę sprawę za nas. – Jego wzrok stał się ostrzejszy. – I taki był pański plan, czyż nie?

Starzec ostrożnie zdjął ramię z Edmunda i przyznał: – Najwyraźniej była rada z zaręczyn, ale to samowolne stworzenie i bałem się, że gdy umrę, znajdzie sposób, żeby się wycofać. W grę wchodzą cenne grunta i duży majątek, które po mojej śmierci przypadną Edmundowi, lecz póki nie dojdzie do pełnoletności, Isabel i chłopiec potrzebują opieki i męskiej ręki.

– Isabel nie może tego usłyszeć – przekomarzał się z nim Marcus, zarazem oceniając stan zdrowia starszego pana. Prócz oczywistego paraliżu lewej strony, wyglądał zadziwiająco dobrze. Cerę miał normalną, oko jasne i mówił, co prawda z trudem, lecz spójnie – co było dobrym znakiem.

Lord Manning zachichotał.

– Wiem. Nie mam wątpliwości, że doskonale potrafiłaby zarządzać posiadłością i sprawować pieczę nad majątkiem Manningów, lecz musiałaby przełamywać konwenanse, a ona i chłopiec narażeni byliby na zakusy osobników pozbawionych szczególnych skrupułów. Jako jej mąż będziesz chronił ją i dziecko.

– Robiłbym to tak czy siak – rzekł cicho Marcus.

Lord Manning przymknął oczy, ponownie ogarnęło go wyczerpanie. – Wiem – powiedział niskim, niewyraźnym głosem. – Ale tak jest lepiej i umieram spokojny, że są bezpieczni.

Marcus dotknął ramienia starca, które leżało bezwładnie na skraju łóżka, i Manning otworzył oczy. Marcus spojrzał nań, wykrzywiając usta w uśmiechu.

– Niech pan więcej myśli o życiu, milordzie, a mniej o śmierci.

Stary pan uśmiechnął się słabo i ponownie zapadł w sen.

Marcus zostawił lorda Manninga z Edmundem, a sam wyszedł do salonu. W progu spotkał Isabel.

– Jak on się czuje? – zapytała niespokojnie. – Tak długo cię nie było, że już zaczęłam się obawiać...

Wziął ją pod ramię i zaprowadził z powrotem do salonu.

– Uspokój się. Obaj czują się dobrze. Lord Manning obudził się

i rozmawiałem z nim kilka minut. To mnie zatrzymało.

– Rozmawiał z tobą? Co powiedział?

– Tylko tyle, że jest szczęśliwy z powodu naszego ślubu.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– A ty? Jesteś szczęśliwy?

Marcus wziął ją w ramiona. Patrząc jej prosto w twarz, powiedział cicho:

– Choć do naszych zaręczyn doszło trochę przypadkowo, jeśli w coś wierzysz, uwierz, że niczego na świecie tak bardzo nie pragnąłem.

Poszukała wzrokiem oczu Marcusa i coś w jego spojrzeniu, w jego twarzy sprawiło, że jej serce zabiło żywiej. Czy to możliwe, myślała w pomieszaniu, że spełniło się jej najskrytsze, najdroższe marzenie? Czy Marcus ją kocha? Czy też w jego oczach widziała zwykłą czułość dla niegdysiejszej podopiecznej? Ogarnęła ją rozpacz. Gdyby miał ją poślubić, nadal myśląc o niej jako o irytującej osóbce, nad którą dalej winien sprawować kuratelę, kierowany jedynie poczuciem obowiązku, wolałaby utopić się w jeziorze. Lecz jeśli... jeśli ją poślubił, bo w końcu ujrzał w niej kobietę, jaką była w istocie, kobietę, która będzie go kochać z całego serca aż do śmierci... Zaświtała jej nadzieja. Och, gdybyż to właśnie widziała w jego oczach, byłaby najszczęśliwszą niewiastą na ziemi.

Znała to ciemne oblicze i te chłodne szare oczy niemal jak własne, od dawna nawiedzały ją w snach, ale nie mogła się zdecydować, czy widziała rzeczywistość, czy to, co chciała zobaczyć. Wydawało się niewiarygodne, że mógłby ją pokochać, i w duchu aż skrzywiła się z bólu. Prawda, że nie zrobiła nic, by wydać mu się powabną, lecz gdy przypomniała sobie te chwile w jego ramionach... Oblała ją fala ciepła i poczuła w głębi ciała rozkoszny dreszczyk. Pragnął jej. Pragnął jej tak, jak mężczyzna pragnie kobiety. Pragnął jej, tak jak chciała, by jej pragnął, odkąd skończyła siedemnaście lat.

Oblała się rumieńcem i spuściła wzrok. Bawiąc się guzikiem na przodzie jego koszuli, wyszeptała:

– Bardzo ładnie powiedziane.

Pochylił głowę i skubnął wargami jej ucho.

– Kochana, słodka żoneczko, niebawem powiem ci wiele ślicznych rzeczy.

Przechyliła głowę. – I nie będziesz mnie beształ? – zapytała zalotnie.

Oczy mu rozbłysły i przyciągnął ją mocniej. – Nie, nie będę cię beształ. Mam inne sposoby karcenia takich małych, niepoprawnych złośnic jak ty. – Pochwycił ustami jej wargi, a chęć złączenia się z Isabel

w miłosnym uścisku, którą odczuwał zawsze, przejawiła się w całej pełni. Stwardniałymi wargami całował każdy cal jej twarzy, nie ukrywając nagłego, gwałtownego podniecenia. Czując, że jego spodnie za chwilę nie wytrzymają naporu pulsującej wypukłości, Marcus starał się opanować, lecz niczym zwierzę w klatce, które zwietrzyło wolność, jego ciało uważało inaczej, toteż przycisnął Isabel do siebie, całując ją z narastającą namiętnością.

Isabel, równie bezradna jak on, żarliwie oddawała mu pocałunki, rozkoszując się górującym nad nią twardym ciałem, przygniatającym ją z taką siłą, rozkoszując się oszałamiającą zachłannością jego warg i języka w swoich ustach. Bolały ją napięte sutki, od pasa w dół płonęła, objęła go za szyję i przycisnęła się do niego jeszcze mocniej.

Całowali się gorączkowo, wzajemne pożądanie rosło z każdą sekundą. Rozsądek Marcusa przyćmiły tętniące w nim najbardziej pierwotne pragnienia, uniósł jej spódnice, pomrukując cicho, gdy jego niecierpliwe palce natrafiły na nagie, miękkie ciało. Ujął w dłonie jej pośladki i ustawiał ją naprzeciw swego nabrzmiałego przyrodzenia, ale to nie wystarczało. W żadnej mierze.

Oderwał usta od jej warg i zaczął się rozglądać, gdzie by ją położyć, gdy nagle, uświadomiwszy sobie, gdzie się znajduje, oprzytomniał. Chryste Panie! Był w salonie Manninga i właśnie zamierzał kochać się z Isabel na kanapie barona!

Usiłując odzyskać panowanie nad sobą, stanowczym ruchem odsunął ją od siebie. Było to trudne. Jej twarzyczka była słodko zaróżowiona, piękne złotobrązowe oczy zasnuło pożądanie, a miękkie usta były zbyt kuszące, by spokojnie na nie patrzeć. Ale świadomość, że w przyległym pokoju Manning być może umiera, podziałała nań niczym kubeł zimnej wody.

Isabel zamrugała i Marcus zdał sobie sprawę, że w tym momencie rzeczywistość objawiła się jej z miażdżącą siłą. Młoda kobieta odetchnęła gwałtownie i obróciła się, by spojrzeć na otwarte drzwi. Z przerażoną miną odwróciła się i z powrotem spojrzała na Marcusa.

– Boże drogi! Jak mogłam zapomnieć, choćby ma chwilę...

Marcus skrzywił się.

– Oboje dziś wieczór nie jesteśmy sobą.

Zaśmiała się lekko histerycznie. – W istocie. To mało powiedziane. – Starając się opanować, wygładziła spódnice, a jej twarz zapłonęła na wspomnienie dreszczu, który ją przeszył, gdy duże, ciepłe ręce Marcusa przesuwały się po jej pośladkach. Wyprostowana jak struna, zmusiła się, by usiąść z powrotem na kanapie, i z rozmysłem upiła łyk herbaty. Była

zimna, ale przynajmniej Isabel miała się czym zająć.

Marcus, który potrzebował czegoś mocniejszego, wypatrzył kilka karafek i kieliszków na misternie rzeźbionej komodzie po przeciwległej stronie pokoju. Podszedł do komody, wlał trochę brandy do kieliszka, wychylił go i nalał sobie następny.

Głęboko odetchnął, by opanować nerwy, po czym powrócił na fotel. Usadowiwszy się w nim, pociągnął łyk trunku, zastanawiając się, na jakie tory skierować rozmowę, by odwrócić uwagę obojga od siebie nawzajem i staruszka w przyległym pokoju. Gdy przypomniał sobie wydarzenia dzisiejszego, a właściwie wczorajszego wieczoru, na jego twarz wypłynął uśmiech.

– Mam coś dla ciebie – odezwał się, odstawiając kieliszek, po czym sięgnął do kieszonki kamizelki. Wyciągnąwszy z niej medalion, który zabrał Whitleyowi, podał go Isabel. – To chyba twój.

Isabel zbielała jak płótno i wzdrygnęła się na widok przedmiotu spoczywającego na jego dłoni, jakby to była jadowita kobra. Zerwała się z kanapy i z wysiłkiem przeniosła spojrzenie z medalionu na Marcusa. Głosem ochrypłym i zgrzytliwym wyskrzeczała:

– Skąd to masz?

Marcus zmarszczył brwi. Nie takiego zachowania się spodziewał. Zwrócił oczy na medalion i po raz pierwszy uważnie mu się przyjrzał. Co było w tej sztuce biżuterii, że wprawiło Isabel w taki niepokój? Jakie tajemnice kryje to cacko? Co ważniejsze, dlaczego zdaniem Whitleya Isabel zapłaciłaby każdą sumę, byleby ta tajemnica nie wyszła na jaw?

# Rozdział 10

Marcus, zmarszczywszy brwi, przenosił wzrok z medalionu na żonę. Ze spojrzeniem utkwionym w jej twarzy, rzekł: – Powtarzam po raz kolejny, nie uważasz, że już najwyższa pora, byś mi powiedziała, co się dzieje? Whitley najwyraźniej uważa, że ten medalion ma nad tobą jakąś moc. – Oczy mu się zwęziły. – Czy to tego szukałaś w jego pokoju?

Zawahała się, spojrzała na medalion, po czym odwróciła oczy. – Niezupełnie – odparła wreszcie. – Powiedziałam ci prawdę, że nie wiem, co on ma, tyle tylko, że źle mi życzy i ma coś, co w istocie może mi zaszkodzić.

– I ten medalion może ci zaszkodzić? – zapytał Marcus z niedowierzaniem.

– Tak. Nie. Och, nie wiem. – Wciągnęła głęboko powietrze. – Ale musiałam zakładać, że Whitley w istocie posiada coś, jakąś rzecz, która... – Znowu odwróciła wzrok i przygryzła wargę. – To bardzo skomplikowane – stwierdziła wreszcie.

Marcus prychnął. – Najwyraźniej. – Przesunął spojrzeniem po jej profilu. – I nie zamierzasz wyjaśnić mi tych komplikacji?

Roześmiała się gorzko. – Nie. – Patrząc mu twardo w oczy, dodała: – Nie chcę cię okłamywać, zrobię wszystko, byś niczego się nie dowiedział. Jeśli mi się uda, tajemnica pójdzie ze mną do grobu. – Widząc sprzeciw w jego oczach, westchnęła i rzekła ze znużeniem: – Wiem. Nie musisz mi mówić, że ten upór z mojej strony jest dla ciebie krzywdzący, ale uwierz mi, Marcusie, będąc na moim miejscu, zrobiłbyś to samo. – Spojrzała na medalion. – Dasz mi go? – poprosiła cicho.

Przyjrzał się Isabel z namysłem, po czym bez słowa wręczył jej złoty przedmiot. Zachował ciepło jego dłoni, a Isabel długo się weń wpatrywała, śledząc wzrokiem misterny, wyryty na nim wzór. Zalała ją fala wspomnień i w jej oczach pojawiły się łzy. Przyciskając medalion do serca, przesłała Marcusowi drżący uśmiech. – Dzięki – zdołała wybąkać

ochryple. – Jest dla mnie bardzo cenny.

Marcus skłonił się.

– Bardzo proszę.

– Jakimż to sposobem – zapytała, nadal trzymając medalion przy piersi – zdołałeś wydobyć go od Whitleya? Nie oddałby go łatwo.

Marcus uśmiechnął się. – Masz co do tego zupełną rację, ale w razie konieczności potrafi ę być bardzo przekonujący. – Jego uśmiech zniknął, a on sam przeszedł przez pokój, by stanąć naprzeciw niej. – Isabel, wiesz, że nigdy nie pozwolę Whitleyowi ani nikomu innemu zrobić ci krzywdy – rzekł z powagą. – Na pewno nie chcesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Zawahała się, a wtem Edmund, który wszedł do pokoju, zapytał od drzwi:

– Mamo, dziadek śpi teraz spokojnie. Uważasz, że mogę go zostawić na tak długo, by umyć twarz i się przebrać?

Isabel drgnęła, poczucie winy i zarazem ulgi przemknęło po jej twarzy. Pospieszyła do syna. – Uważam, że to doskonały pomysł. Idź, a ja przez ten czas przy nim posiedzę.

Dogodny moment przeminął i Marcus nie próbował już jej zatrzymać, gdy przesławszy mu niepewny uśmiech, zniknęła w sypialni lorda Manninga.

Późnym rankiem, choć baron nadal spał, dla wszystkich już stało się oczywiste, że pożyje jeszcze trochę, toteż wikary, Jack, matka Marcusa, pani Appleton i biskup Latimer odjechali do domów. Pani Appleton miała niebawem wrócić. Jej pulchna broda drżała, gdy mówiła Marcusowi: – Wrócę za godzinę. Muszę tylko spakować kufer i ulokować brata. – Oczy napełniły jej się łzami. – Nie przypuszczałam, że po raz pierwszy zagoszczę tu w takich okolicznościach.

Marcus poklepał ją po ramieniu.

– Proszę nie rozpaczać, droga pani – rzekł cicho. – Lord Manning może jeszcze skonfundować medyka.

Jej oblicze przybrało mniej zbolały wyraz. Przytykając do oczu skrawek wykwintnej chusteczki obszytej koronką, zakrzyknęła:

– Mam nadzieję, że się pan nie myli!

Po ich wyjeździe w domu zapanowała cisza, lecz niebawem, gdy wieść rozeszła się po okolicy, zaczęli przybywać zaniepokojeni znajomi barona, dopytując się o jego zdrowie. Marcus spokojnie rozmawiał z nimi wszystkimi, powiedziawszy Isabel, że najodpowiedniejsze dla niej miejsce jest przy łożu barona. Z nikłym uśmiechem rzekł: – Idź do niego, moja droga. Tam pragniesz być. – Gdy się wahała, dorzucił: – Naturalnie, jeśli chcesz sama się tym zająć, zostawię te sprawy tobie, a sam pójdę

dojrzeć potrzeb lorda Manninga.

Było to właściwe podejście, toteż Isabel pomknęła na górę, zostawiając w jego rękach ster rządów na niższym piętrze, co, jak pomyślała z irytacją i rozbawieniem, od początku było jego zamiarem.

Naturalnie wieść o niespodziewanym ślubie również się rozeszła, toteż prócz wyrazów niepokoju o barona Marcusowi składano też gratulacje z okazji zawarcia małżeństwa. Cóż to za dziwaczna sytuacja, pomyślał cierpko, by jednocześnie przyjmować kondolencje i gratulacje.

Jego własny kufer przybył z dworu w Sherbrook wraz z lokajem, Bickfordem, który właśnie rozpakowywał rzeczy w dużej sypialni, wybranej dla Marcusa przez Isabel. – Powiedziałam Deeringowi, żeby umieścił cię w sypialni przyległej do sypialni milorda – powiedziała – a panią Appleton po przeciwległej stronie holu. – Zerknęła na niego. – To bardzo dziwne, nieprawdaż?

– W istocie. Bezsprzecznie nie wyobrażałem sobie, że pierwsze noce w małżeńskim stanie spędzę w pokoju przylegającym do sypialni byłego teścia mojej żony – odparł sucho Marcus.

Isabel wydała z siebie chichot na pograniczu histerii, po czym ponownie pomknęła na górę.

Między wizytami kolejnych gości powróciła pani Appleton z pokojówką i paroma sztukami bagażu. Troskliwy Deering odprowadził zacną damę do jej sypialni.

Teraz nastąpiła chwila ciszy. Marcus, odczuwając skutki długiej, niespokojnej nocy, zadzwonił na Deeringa i poprosił o bardzo mocną, bardzo gorącą kawę oraz karafkę koniaku. Jakby za sprawą magii, dzbanek i karafka pojawiły się natychmiast i po wypiciu łyka obficie zaprawionej koniakiem kawy, Marcus zagadnął Deeringa:

– Na górze wszystko w porządku?

Deering pozwolił sobie na słaby uśmiech.

– Tak. Edmund i pani Man... Sherbrook śpią na kanapach w salonie lorda Manninga. Są przy nim doktor i pani Appleton.

– Nastąpiły jakieś zmiany?

Uśmiech zniknął z twarzy Deeringa.

– Nie, ale jaśnie pan odpoczywa spokojnie, nawet pan Seward tak powiedział.

– Cóż, w takim razie miejmy nadzieję, że pan Seward wie, co mówi.

Nie minęło nawet pięć minut, odkąd Deering odszedł, a Marcus ledwo zdążył usadowić się wygodnie na kanapie, gdy rozległ się hałas nadjeżdżającego pojazdu. Marcus z westchnieniem podniósł się i wyjrzawszy przez okno, ujrzał parę rączych karych koni, zaprzęgniętych

do eleganckiego powozu, który podjechał z szykiem przed frontowe drzwi. Nie zdziwił się, że wodze dzierży Garrett Manning.

Parę minut później Deering wprowadził Garretta do zielonego salonu, po czym zniknął. Widząc doskonale skrojony granatowy żakiet gościa, jego płowożółte bryczesy i wyglansowane buty z cholewami, Marcus poczuł się niechlujnie w starym butelkowozielonym żakiecie, pogniecionym fularze i zamarzył o gorącej kąpieli oraz parogodzinnej drzemce.

– No, kolego! Ślub i stypa tej samej nocy! – zakrzyknął Garrett, przechodząc przez pokój. Wyciągając dłoń, zapytał:

– Opłakujemy staruszka czy świętujemy twój ślub? A może jedno i drugie?

Niekłamana troska w niebieskich oczach pozbawiła to pytanie wszelkiej nonszalancji, toteż ściskając dłoń Garretta, Marcus odparł:

– Nikogo nie opłakujemy. Staruszek się trzyma.

Na twarzy Garretta pojawił się wyraz prawdziwej ulgi. Roześmiał się hałaśliwie.

– Wiem, że trudno ci będzie w to uwierzyć, ale naprawdę mam do niego sentyment.

Marcus skinął głową.

– Jak i on do ciebie, choć wolałby, żebyś prowadził się nieco przyzwoiciej.

Garrett wzruszył ramionami. – Rzadko dostaje się to, czego się chce. – Zerknął na Marcusa, pytająco unosząc brew. – Więc mam życzyć szczęścia tobie i prześlicznej Isabel?

– Tak. Twój wuj chciał, byśmy się pobrali, zanim... Więc spełniliśmy jego życzenie.

Garrett bacznie mu się przyjrzał.

– Uważasz, że umiera?

– Mało brakowało, ale na razie chyba nie. Moim zdaniem jeszcze nie wybiera się na tamten świat. Doktor może się ze mną nie zgodzić, ale sądzę, że gdyby miał dokonać żywota, już by się to stało. Ale nie wyszedł z tego bez szwanku i obawiam się, że już nigdy nie wróci całkowicie do zdrowia – dodał niechętnie.

Marcus opowiedział wydarzenia ostatniej nocy oraz rozmiary spustoszeń, jakie spowodował udar. – Może też w zupełności odzyskać siły – stwierdził, gdy już skończył omawiać ten temat. – Ale to dopiero czas pokaże.

– Mogę go zobaczyć? – zapytał Garrett.

Marcus zastanawiał się chwilę. Lord Manning kochał swego

siostrzeńca, choć nie pochwalał jego trybu życia, a Garrett najwyraźniej darzył wuja szczerym uczuciem.

– Nie widzę przeszkód. Zadzwonię na Deeringa, żeby zaprowadził cię na górę.

– A czy mógłbyś poświęcić mi chwilę?

– Naturalnie, o co chodzi?

Garrett skrzywił się. – Sam nie bardzo wiem. – Z nieszczęśliwą miną rzekł cichym głosem: – Możesz uważać, że wtykam nos w nie swoje sprawy, ale sądzę, że musimy o tym pomówić. – Uśmiechnął się niewyraźnie. – W końcu jesteśmy teraz spowinowaceni i po prostu działam w najlepszym interesie rodziny.

Marcus skinął głową, zastanawiając się, do czego ta rozmowa zmierza.

Garrett odchrząknął, najwyraźniej czując się niezręcznie i niepewnie. – Zazwyczaj nie wtrącam się w nie swoje sprawy – zaczął niechętnie – ale miałbym wyrzuty sumienia, gdybym cię nie ostrzegł, żebyś uważał na tego jegomościa Whitleya, który zatrzymał się w wiosce w gospodzie Pod Rogiem Jelenia.

Marcus spojrzał na niego ostro.

– Dlaczego to mówisz? Co wiesz o majorze Whitleyu?

Garrett pociągnął się za prawe ucho; w porannym świetle wypełniającym pokój błysnął diamentowy kolczyk.

– Zeszłego wieczoru, gdy wyszedłem z przyjęcia twojej matki, pojechałem do wioski w poszukiwaniu jakichś rozrywek. – Uśmiechnął się do Marcusa. – Wiejskie życie nieco mnie nudzi i nie lubię pić bez towarzystwa. Zatrzymałem się Pod Rogiem Jelenia, zamierzając wychylić parę piw, a potem odwiedzić pewną, hm, damę, której od czasu do czasu składam wizyty, gdy jestem w domu. – Ledwie dostrzegalnie się uśmiechnął. – Przy barze zebrała się wesoła kompania i jakoś tak mi zeszło, że już nie dotarłem do tej pani. – Ciągnął z namysłem: – Musiało być koło czwartej, gdy postanowiłem wyjść, lecz wtedy nastąpiło jakieś zamieszanie i do gospody wtoczył się Whitley. Był w strasznym stanie. Z włosami w nieładzie, okryty jakimiś wilgotnymi strzępami ubrania i posiniaczony, wykrzykiwał, że napadł go i obrabował jakiś szaleniec, który usiłował go utopić.

Marcusowi drgnęły wargi, lecz na jego obliczu odmalowała się szczera troska. – To straszne! – powiedział cicho. – Biedaczysko.

– Mhm, tak, to było straszne, zwłaszcza że takie rzeczy nie zdarzają się w okolicy – rzekł z namysłem Garrett, którego uwagi nie uszło lekkie drgnięcie warg Marcusa. – Gdy Keating kazał przynieść mu ogrzany koc

i nalał hojną miarkę brandy, major opowiedział niesamowitą historię. Twierdził, że wracał do domu od znajomej, której nazwiska nie chciał zdradzić, gdy go napadnięto. Rabuś nie dość, że opróżnił mu sakiewkę i pociął nożem ubranie, obnażając prawie do goła, to jeszcze usiłował go utopić. Mętnie opisywał, gdzie do tego doszło, ale wszystkie inne pomniejsze szczegóły przytoczył dokładnie. – Garrett wykrzywił się. – Może zresztą zbytnio się pastwię nad tym biedakiem. Noc miał rzeczywiście okropną, bo z chwilą odjazdu rabusia kłopoty Whitleya wcale się nie skończyły. Nie miał pojęcia, że ten niegodziwiec nadciął mu też popręg. Puścił po przejechaniu paru mil od miejsca napaści i Whitley zwalił się na drogę. Jego koń naturalnie pogalopował do stajni, toteż biedak musiał dojść pieszo do gospody w zniszczonych butach, które tamten osobnik również pociął w pasy, a do tego przemoczony do nitki.

– Cóż za pożałowania godne zdarzenie! – rzekł Marcus z oburzeniem, które miało uśmierzyć wszelkie podejrzenia, że miał cokolwiek wspólnego z owym niefortunnym incydentem, choć sam nie wiedział, dlaczego Garrett miałby go o to posądzać. – Zapewne Whitley chce umknąć do Londynu o pierwszym brzasku.

– Nie, absolutnie – zaprzeczył Garrett, nie odrywając wzroku od Marcusa. – Gdy opadło pierwsze podniecenie i wszyscy ciekawscy się rozeszli, zostawiając go samego, dosiadłem się do niego przy kominku w nadziei, że uda mi się dowiedzieć czegoś więcej.

– I czego się dowiedziałeś? – zapytał Marcus znudzonym głosem.

Garrett zacisnął usta.

– Nikogo prócz nas nie było, toteż Whitley mówił zupełnie swobodnie. Szepcząc i co chwila oglądając się przez ramię, dał mi do zrozumienia, że jego zdaniem to ty jesteś owym rabusiem i przysiągł, że się na tobie zemści.

Marcus uniósł brwi.

– W życiu nie słyszałem większego głupstwa! On chyba rozum postradał. Dlaczego miałbym napadać na człowieka, którego prawie nie znam? Spotkałem go tylko raz i choć, mówiąc szczerze, nie czuję do niego sympatii, pragnę cię zapewnić, że majątek Sherbrooków jest wystarczająco duży i bezpieczny, bym nie musiał napełniać rodzinnej szkatuły poprzez okradanie takich osobników jak Whitley.

Garrett przyglądał mu się przez chwilę.

– To mu powiedziałem, ale ostrzegam cię, Sherbrook, masz tu wroga, który zrobi wszystko, by ci zaszkodzić.

Marcus skłonił się. – Dzięki za ostrzeżenie. – Nie znał dobrze Garretta, ale zaczął się przychylać ku myśli, że jeśli siostrzeńcowi lorda

Manninga da się szansę, będzie bardzo dobrym sprzymierzeńcem. To prawda, że jest niesforny i lekkomyślny, ale najwyraźniej posiada cechy sprawiające, że dobrze mieć go po swojej stronie, co Marcusowi bardzo odpowiadało. Garrett najwyraźniej niezbyt wierzył, że to Marcus napadł na Whitleya, ale też nie wykluczał całkiem tej możliwości.

– Zechciej zaspokoić moją ciekawość... Czy Whitley jest jakimś twoim szczególnie bliskim przyjacielem?

Garrett prychnął.

– Przedwczoraj wieczorem pierwszy raz widziałem go na oczy.

– I powiedział ci, praktycznie nieznajomemu, że mnie podejrzewa. A przecież w jego oczach jesteśmy wielkimi przyjaciółmi. Ciekawe, dlaczego tak swobodnie dzielił się z tobą podejrzeniami?

– Był już podpity, a wiedział z naszej poprzedniej rozmowy, że niebawem będę z tobą spowinowacony przez twoje małżeństwo z panią Manning. – Garrett uśmiechnął się. – Zaklinał mnie, żebym zrobił wszystko, co w mojej mocy, by powstrzymać ślub i ocalić panią Manning przed tym katastrofalnym małżeństwem. Powiedział, że jako staremu przyjacielowi, leży mu na sercu wyłącznie jej dobro i że będzie zdruzgotany, jeśli Isabel poślubi człowieka, którego on uważa za łajdaka, a do tego rabusia.

Szare oczy Marcusa rozbłysły.

– Doprawdy? Chyba powinienem złożyć Whitleyowi wizytę, żeby wyjaśnić mu parę spraw.

Garrett roześmiał się.

– To nie będzie konieczne. Obiecałem, że mu pokażę, jaki jestem twardy w pięści, i przysiągłem, że rozwalę mu łeb, jeśli rozpuści taką pogłoskę po okolicy.

– A więc jestem twoim dłużnikiem – rzekł lekko Marcus.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Garret rzucił w jego stronę zatroskane spojrzenie. – Uważaj, Marcusie. On naprawdę źle ci życzy.

– Jeszcze raz dziękuję za ostrzeżenie. – Sięgając po sznur dzwonka, zwisający nieopodal, Marcus dodał:

– Jeśli nie masz mi nic więcej do powiedzenia, może chciałbyś zobaczyć teraz swego wujka?

Podejmując inicjatywę Marcusa, Garrett skinął głową.

– Tak, bardzo.

Gdy Garrett wyszedł, odprowadzany przez Deeringa, Marcus rozsiadł się w wygodnym fotelu, nalał sobie następną filiżankę kawy i sączył ją, zastanawiając się nad usłyszanymi właśnie informacjami. Nie starał się szczególnie ukryć swej tożsamości, toteż wcale nie był zdziwiony, że

Whitley się jej domyślił. Ale zdumiało go, że głośno wyjawił on swe podejrzenia Garrettowi. Czy na podstawie tak krótkiej znajomości uznał, że Garrett jest jemu podobny? Czy też Whitley był zbyt pijany, by trzymać język na wodzy? Marcus uznał, że ta ostatnia możliwość jest najbardziej prawdopodobna, ale bez wątpienia major skwapliwie korzystał z każdej okazji, by narobić mu kłopotów. Tak, to podobne do majora. Uśmiechnął się na myśl o ceremonii ślubnej, która odbyła się przed paroma godzinami. Whitley będzie nad wyraz nieszczęśliwy, gdy dojdzie do niego ta wieść.

Następnego dnia nie wydarzyło się nic szczególnego. Po południu od czasu do czasu przybywał jakiś gość, napływały też bileciki z wyrazami troski oraz z gratulacjami, lecz życie dworu powracało na normalne tory. Lord Manning przespał większość dnia, ale budził się kilkakrotnie, by wypić trochę rosołu i słabej herbaty. Po południu lokaj ostrożnie go umył i pomógł przebrać się w czystą nocną koszulę. Lord Manning czuł się osłabiony i zmęczony, lecz Marcus był pewien, że najgorsze ma za sobą.

Jak Marcus już powiedział Isabel, nie spodziewał się, że swą dosłownie rzecz biorąc noc poślubną prześpi samotnie w pokoju przyległym do sypialni byłego teścia żony, lecz gdy zapadł w miłą miękkość puchowego łoża, uznał, że wcale nie jest tak źle. Nie spał już od ponad doby i wątpił, czy sprostałby wyzwaniu nocy poślubnej, tak jak ją sobie wyobrażał – by na zawsze zapadła w pamięć oblubieńców. Zasypiał z uśmiechem. Prawda, że czuje się wyczerpany, ale podejrzewał, że gdyby ciepłe ciałko Isabel przyciskało się do niego w tej chwili, sen byłby ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby mu do głowy.

Następnego dnia Marcus wstał znacznie odświeżony, a kąpiel i zmiana ubrania jeszcze bardziej poprawiły mu samopoczucie. Wszedłszy do salonu, dowiedział się od promieniejącego Deeringa, że lord Manning spędził spokojną noc, a nawet nalegał, by zjeść śniadanie przy stole, pospiesznie przyniesionym do sypialni. Uradowany tymi dobrymi wieściami Marcus po śniadaniu złożonym z polędwicy i piwa poszedł odwiedzić lorda Manninga. Choć stan barona znacznie się poprawił, nie ulegało wątpliwości, że minie wiele czasu, nim wróci do sił. Marcus pogawędził parę chwil z lordem Manningiem i panią Appleton, która siedziała przy jego łożu z robótką na kolanach, po czym, upewniwszy się, że lord Manning czuje się lepiej, pożegnał się i wrócił na dół.

Dowiedziawszy się, że żona jest w swoim gabinecie przy stajniach, miał się do niej wybrać, gdy nadjechał Jack na wielkim, szarym wałachu. Wolno schodząc po ostatnich stopniach schodów, z pełnej napięcia miny

kuzyna Marcus zorientował się, że nie jest to wizyta towarzyska. Zapewne chodzi o coś poważnego. Poczuł w żołądku lodowate ukłucie. Przypomniał sobie, jak nagle baron z człowieka silnego i pełnego życia stał się inwalidą, a matka nie jest już młoda... – Matka? – zapytał. – Coś jej się stało?

– Moja wizyta nie ma nic wspólnego z twoją matką – rzekł Jack, pospiesznie zeskakując z siodła. – Gdy wyjeżdżałem, czuła się doskonale.

Marcus milczał, gdy zbliżył się stajenny, by zabrać wodze z ręki Jacka. Stajenny odprowadził konia, a dwaj mężczyźni weszli do domu. Gdy tylko zamknęli się w zielonym salonie, Marcus zapytał:

– Skoro z mamą wszystko dobrze, po co tu, do diabła, przyjechałeś? A do tego wyglądasz, jakby zbliżał się koniec świata.

Jack parsknął śmiechem.

– Chyba nie aż tak źle?

Marcus pozwolił sobie na lekki uśmieszek.

– Ale prawie. Więc o co chodzi?

Znowu poważniejąc, Jack odparł:

– Zeszłej nocy włamano się do dworu w Sherbrook.

Marcus wytrzeszczył na niego oczy. – Włamano się? Włamywacze dostali się do środka? – zapytał ze zdumieniem.

Jack wzruszył ramionami. – Możliwe, ale raczej wątpię. Ten włamywacz miał bardzo osobliwe upodobania, machnął ręką na srebra i zastawę, a szczególnie zainteresowała go zawartość biblioteki i twojego gabinetu. Oba pomieszczenia zostały dokładnie przeszukane i przewrócone do góry nogami. Twoja matka, Thompson i gospodyni zapewniają mnie, że tak na oko, nic nie zginęło – dodał. – Jakiś dziwny włamywacz, nie uważasz?

To wtargnięcie do jego domu rozwścieczyło Marcusa. – Myślisz, że to włamanie ma coś wspólnego z Whitleyem, co?

Jack znowu wzruszył ramionami.

– To spokojna okolica. Włamania się tu nie zdarzają, zwłaszcza do domów zamieszkanych, a poza tym, zadać sobie tyle trudu i nic nie wziąć...

Marcus potarł brodę. – Nic nie wziął, bo nie znalazł tego, czego szukał. – Zmarszczył brwi. – Albo... jeśli jest przekonany, że to ja na niego napadłem, a wiem z pewnego źródła, że właśnie tak uważa, może to miał być odwet.

– Rozumiem, że rozmawiał z tobą Garrett? – Gdy Marcus tylko skinął głową, ciągnął dalej: – Ze mną też, opowiedział mi o swojej pogawędce z Whitleyem, więc ta możliwość również przyszła mi do głowy. Whitley

sprawia na mnie wrażenie człowieka, który nie odpuści urazy – przyznał Jack. – Mógł się włamać i narobić bałaganu z czystej złośliwości.
W domu panował straszny nieład, dokonano wielu zniszczeń, jakby włamywacz chciał dać upust swojej wściekłości.

– Zapewne o to chodzi – rzekł z wolna Marcus. – Chyba że... – Przyszła mu do głowy niemiła myśl, że Whitley mógł szukać medalionu. Co, na miły Bóg, jest w tym diabelstwie?

– Chyba że... – naciskał Jack.

Ponieważ nie był to jego sekret, nie mógł go ujawnić, Marcus zatem tylko się wykrzywił. – Nic, po prostu głośno myślę – odparł.

Jack bacznie mu się przyjrzał. Marcus nie umiał dobrze kłamać, lecz Jack nie bardzo mógł przyciskać go do muru w tej kwestii i postanowił machnąć na to ręką. – Więc co chcesz zrobić? – zapytał.

– Na razie mam związane ręce. Nie wiemy, czy to na pewno Whitley włamał się do domu, toteż nie mogę tak prosto z mostu podejść do faceta i mu przyłożyć.

– Mógłbyś – rzekł, uśmiechając się, Jack.

Marcus odwzajemnił uśmiech.

– I jeszcze mogę. Zakładam, że przedsięwziąłeś kroki, by, jeśli nasz włamywacz powróci, nie było mu już tak łatwo dostać się do środka?

– Owszem. Thompson kazał założyć na drzwiach solidne zamki i na razie dwóch waszych najsilniejszych lokajów będzie spało na parterze.

Obaj mężczyźni omawiali jeszcze sytuację, ale ponieważ nie wypłynęło nic nowego, Jack pożegnał się i ruszył z powrotem do dworu w Sherbrook. Po odjeździe kuzyna Marcus zastanawiał się przez chwilę nad zagadką włamania i medalionu, lecz postanowił nie tracić czasu na jałowe rozważania i poniechał tych rozmyślań... na razie. Z Whitleyem prędzej czy później trzeba się będzie rozprawić. Po twarzy Marcusa przemknął wyraz zupełnie do niego niepasujący, a jego ręce zacisnęły się w pięści. Whitley boleśnie się przekona, jakim grubiaństwem i niezręcznością jest włamywanie się do cudzego domu.

Następne dwadzieścia cztery godziny ani nie wlokły się, ani nie przemknęły z błyskawiczną szybkością, lecz upłynęły spokojnie. Stan barona poprawiał się z każdą minutą i następnego dnia nikt, nawet pan Seward, nie uważał, że jest jedną nogą w grobie. We wtorek rano lord Manning obrzucił nieprzychylnym wzrokiem miskę grysiku na rosole, którą przyniesiono mu na tacy, i przekonywał, że jeśli nie chcą, by umarł z głodu, niech ktoś, do diabła, dopilnuje, by podano mu coś porządnego do jedzenia, a nie tę wstrętną, mdłą papkę. Edmund wydał wesoły okrzyk,

Marcus i Isabel wymienili uszczęśliwione spojrzenia, a miła twarz pani Appleton zmarszczyła się w uśmiechu. Wniebowzięty Deering, szczerząc zęby w sposób absolutnie nieprzystający kamerdynerowi, pomknął do kuchni, z której niebawem powrócił, niosąc tacę zastawioną jajecznicą, szynką, plastrami bekonu, pikantnym sosem jabłkowym oraz talerzem, na którym piętrzył się stos grzanek. Mając nieustannie u boku panią Appleton, baron błyskawicznie powracał do zdrowia, a choć skutki udaru nadal się utrzymywały, zwłaszcza opadająca lewa powieka i lekki paraliż lewej strony ciała, w piątek wreszcie mógł opuścić sypialnię.

Wieczór, w którym baron dołączył do rodziny na kolację w salonie, był radosny, a służba i domownicy stanęli na wysokości zadania. Kryształy błyszczały, srebra lśniły, a lniany obrus, który pani Deering osobiście pieczołowicie uprała i uprasowała, raził bielą niczym świeżo spadły śnieg. Deering i lokaje sunęli gładko po przestronnej sali, pilnując, by niczego nie brakowało – a kuchmistrzyni? Bez dwóch zdań, kuchmistrzyni przeszła samą siebie. Zupa warzywna, młodziutkie jagnię obłożone młodym groszkiem i maleńkimi kartofelkami, dorodne zielone szparagi, okraszony masłem homar, purée z kalafiora, delikatna pieczeń cielęca oraz niezliczona ilość galaretek i kremów uświetniły stół. Biesiadnicy, wystrojeni jak na elegancki londyński wieczór – Isabel włożyła uroczą suknię z różowej krepy, pani Appleton miała na sobie zieloną kreację z prążkowanego jedwabiu, panowie zaś, również Edmund, ubrani byli w ciemne żakiety i jasne pumpy – zebrali się przy stole, gotowi niespiesznie rozkoszować się wykwintnymi potrawami. By uczcić powrót barona do zdrowia, niezwłocznie doproszono brata pani Appleton, biskupa Latimera, Garretta, Jacka oraz matkę Marcusa.

Wzniesiono kilka toastów i pod koniec posiłku, z pewną powolnością, baron podniósł się na nogi, by wygłosić toast. Uśmiechając się do Marcusa i Isabel, powiedział: – Za nowo poślubionych: Marcusie i Isabel, życzę wam długiego i szczęśliwego małżeństwa. – Toast spełniono z należytą powagą, po czym, z żartobliwym błyskiem niebieskich oczu, lord Manning oświadczył: – Już najwyższy czas, byście oboje zaczęli wspólne życie. Nie macie co tu się plątać po dworze w Manning. Uważam, że już jutro państwo Sherbrookowie powinni osiąść we dworze w Sherbrook.

Isabel serce załopotało w piersiach.

– Ależ milordzie, nadal potrzebuje pan...

– Sza, moje dziecko – napomniał ją baron. – W ostatnich dniach ty i Marcus przedkładaliście moje potrzeby nad własne. – Uśmiechnął się do niej czule. – Winien wam jestem za to głęboką wdzięczność, lecz już czas,

byście przestali się dla mnie poświęcać, choć czyniliście to z chętnym sercem. Macie własne życie i nie możecie marnować cennych dni na zramolałego starca.

– Ale... – zaczęła bezradnie Isabel. Dzieje się to zbyt szybko, pomyślała gorączkowo. Zakładała, że miną tygodnie, a może nawet miesiące, zanim będzie musiała zostać żoną Marcusa w pełnym tego słowa znaczeniu, a tymczasem, jeśli baron dopnie swego, jutro wieczorem znajdzie się we dworze w Sherbrook i nie będzie już ucieczki. Zerknęła na Marcusa, jakby szukając jego pomocy.

Ich oczy spotkały się, po długiej chwili Marcus spojrzał na lorda Manninga i rzekł lekko: – Jak pan dobrze wie, milordzie, nie jest to żadne poświęcenie. Będziemy przy panu, jak długo zajdzie potrzeba. Isabel i ja zamierzamy spędzić w małżeństwie długie lata. Jeszcze tydzień czy dwa nic nie znaczą. – Nie to chciał powiedzieć, ale nie mógł udawać, że nie widzi błagalnego spojrzenia tych jej wielkich, brązowych oczu. Dni, które upłynęły od ich ślubu, były piekłem, przynajmniej dla niego. Od niespełna tygodnia każdej cholernej nocy wiercił się i przewracał na łóżku we dworze w Manning, gdyż świadomość, że jego żona leży w pobliskim pokoju, nie dawała mu spać. Nie chciał myśleć o tych wieczorach, gdy przemierzał ciemne korytarze domu jego lordowskiej mości, a wszystko go bolało z tęsknoty za małżeńskim łożem. Zauważył, że Isabel żywiła krańcowo odmienne uczucia, i dziwił się jej niechęci. Czyżby wzbudzał w niej wstręt? To dość upokarzająca myśl.

Jego rozmyślania przerwał głos matki. – Uważam, że to doskonały pomysł! – odezwała się ochoczo Barbara Sherbrook. – Skoro ślub się odbył, a jego lordowska mość wraca do zdrowia, pomyślałam o wyjeździe do Brighton. Nie chcę wracać do Londynu, a poza tym niebawem wszyscy wybiorą się nad morze. – Uśmiechając się do syna, dodała: – Omówiliśmy to już z Jackiem, który też ma do załatwienia parę spraw w mieście i zgłosił chęć odwiezienia mnie do Brighton, zanim pojedzie do Londynu. – Przesłała Isabel promienny uśmiech. – Myślę, że młoda żona powinna mieć dom dla siebie przez parę miesięcy, zanim teściowa zacznie jej zrzędzić nad głową.

– A mnie z pewnością będziecie chcieli posłać do diabła – wtrącił się Jack. Zerknął na Garretta. – Wrócę, jak tylko twoja matka rozgości się w Brighton, a ja załatwię parę spraw w mieście. – Uśmiechnął się do Marcusa. – Nie musisz się martwić, że będę się wam plątał pod nogami, Garrett zaklinał mnie, bym ze względu na wasze małżeństwo dotrzymał mu towarzystwa w Holcombe.

Marcus przenosił wzrok od szczerego oblicza Jacka do kamiennej

twarzy Garretta. Co też, do diabła, ci dwaj szykują? I kiedy zdążyli się tak serdecznie zaprzyjaźnić? To prawda, że ostatnio Marcus był bardzo zajęty, ale co z tą notatką, w której kradzieży być może maczał palce Whitley? Czy Jack uznał, że Whitley jest niewinny? Czy notatkę odnaleziono i przestano się już o nią kłopotać? Ale przecież Jack chyba by mu powiedział?

– Myśleliśmy z Jackiem, że może chciałbyś mieć teraz trochę czasu dla siebie – mruknął Garrett.

– Doprawdy? – rzucił Marcus. – To bardzo miło z waszej strony. – Obiegł wzrokiem stół, zatrzymując spojrzenie na twarzy Isabel. – Uśmiechając się smętnie, rzekł: – Cóż, moja droga, zdaje się, że wszyscy pilnie się nami zajmują i byłoby niegrzecznie odrzucać plany, które dla nas poczynili.

Isabel przywołała na swoją twarz szczęśliwy uśmiech, starając się, by wyglądał na tyle prawdziwie, na ile się dało. – To bardzo miło z waszej strony i jesteśmy wam bardzo wdzięczni. – Nagle coś jej przyszło do głowy i zerknęła na panią Appleton, siedzącą naprzeciw niej. – Pani też niebawem wraca do domu?

Pani Appleton pokraśniała niczym niewinne dziewczę, a baron odchrząknął. Gdy Isabel spojrzała na niego, rzekł: – A teraz chcę wznieść najważniejszy toast wieczoru. – Ze wzrokiem utkwionym w panią Appleton, rzekł miękko: – Za moją przyszłą żonę! Clara uczyniła mi ten honor, że przyjęła moje oświadczyny.

Wypito jeszcze parę toastów, nad stołem unosił się gwar ożywionych rozmów. – A kiedy ślub? Jesienią? – zapytał Marcus, gdy pierwsze podniecenie opadło.

Lord Manning potrząsnął głową. – Clarze i mnie tak się spodobał wasz ślub, że postanowiliśmy wziąć taki sam. Jej brat dostarczy nam specjalne zezwolenie i połączy nas związkiem małżeńskim rano – odparł, uśmiechając się do Marcusa.

# Rozdział 11

Sądząc z min biesiadników zgromadzonych wokół stołu, nie ulegało wątpliwości, że tylko Marcus i Isabel byli zaskoczeni oświadczeniem lorda Manninga i planami, jakie przedstawiła matka młodego żonkosia. Nawet Jack i Garrett najwyraźniej wiedzieli, co się święci. Zastanawiając się teraz nad tym, Marcus uświadomił sobie, że przez cały dzień w domu panował niezwykle ożywiony ruch, ale on, zajęty swoimi sprawami, w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Nawet wczesny przyjazd matki, który zbiegł się z przybyciem biskupa Latimera, i ich prywatna wizyta u lorda Manninga i pani Appleton przed wieczornym przyjęciem nie wydały mu się niczym niezwyczajnym. Teraz stało się oczywiste, że naradzili się razem i obmyślili dzisiejszą zaskakującą deklarację. Ale to jeszcze nie koniec, dumny i podniecony Edmund wypalił: – A ja jadę z panią Sherbrook do Brighton! – Zarumieniony z radości, dodał: – Powiada, że jako moja nowa babcia ma obowiązek dopilnować, bym nabrał trochę miejskiego poloru. – Drżał cały z emocji, jego promienne błękitne oczy rzucały skry. – Och, mamo! Czyż to nie wspaniałe? Dotąd nie miałem żadnej babci, a teraz, gdy dziadek ożeni się z panią Appleton, będę miał dwie!

Czując, że ziemia usuwa się jej spod nóg, Isabel zdołała tylko uśmiechnąć się i skinąć głową. Choć inne sprawy napełniały ją trwogą, na niekłamane szczęście Edmunda odpowiedziała ze szczerym zachwytem. – Tak, to rzeczywiście cudowne – rzekła, uśmiechając się serdecznie do syna. Tylko przed sobą przyznawała, że lęka się przeprowadzki do dworu w Sherbrook i wszystkiego, co ją czeka...

W piękny ranek pod koniec pierwszego tygodnia maja lord Manning pojął Clarę Appleton za żonę. Grono weselnych gości nieco się powiększyło; zjawili się wikary z żoną, a także sir James i lady Agatha, których powiadomiono o zbliżającym się ślubie. Po uroczej wymianie przysiąg małżeńskich w ogrodach, wśród kwitnących róż, podano

weselne śniadanie, które przewyższało wszystko, co zdołaliby przyrządzić najdoskonalsi londyńscy kucharze. Ale pod koniec przyjęcia baron, choć szeroko uśmiechnięty, wyglądał na zmęczonego, toteż szybko nastąpiły pożegnania i dom opustoszał.

Poprzedzające je dwadzieścia cztery godziny Isabel pamiętała jak przez mgłę. Doglądała pakowania bagażu Edmunda, który miał zabrać do Brighton, a także najniezbędniejszych swoich rzeczy przed przeprowadzką do dworu w Sherbrook. Choć Deering i cała służba ochoczo brała udział w przygotowaniach do ślubu, wielu spraw Isabel musiała dopilnować osobiście, toteż całe godziny spędzała na naradach z Deeringiem, panią Deering i kuchmistrzynią, by mieć pewność, że wszystko pójdzie gładko. W paru kwestiach chciała zasięgnąć opinii Clary, ale Clara tylko poklepała ją po policzku i rzekła: – Moja kochana, wszystko zostawiam w twoich zręcznych rączkach. Wystarczy, że jutro zajmę pozycję pani domu. – Uśmiechając się promiennie do Isabel, dodała: – Jeśli będziemy obie wydawać polecenia, namieszamy tylko służbie w głowach, a ja wiem, że doskonale sobie poradzisz.

Ponieważ panna młoda dała Isabel wolną rękę, niedawna oblubienica zabrała się do pracy, by ślub barona stał się dla wszystkich niezapomnianym wydarzeniem. Pod jej czujnym okiem wzniesiono baldachim z niebieskiego jedwabiu, pod którym staną państwo młodzi, ustawiono bukiety z lilii i gipsówki, a także przyniesiono jej do spróbowania babeczki nadziewane krewetkami, które miano podać na śniadaniu po ceremonii. Isabel cieszyła się z tych zajęć, gdyż odrywały jej myśli od nocy, która miała niebawem nastąpić.

Kufry Isabel wysłano do dworu w Sherbrook już wiele godzin wcześniej, lord Manning z żoną u boku udał się na górę, Jack, pani Sherbrook i Edmund odjechali jako ostatni i, uścisnąwszy Edmunda, dopiero parę minut temu pomachała im na do widzenia. Ze łzami w oczach pożegnała się z Deeringiem i resztą służby, a teraz powóz Manninga czekał przed wielkimi wrotami dworu w Manning. Stojąc samotnie przy wejściu do budynku, który był jej domem przez dziesięć lat, czuła się opuszczona i pełna strachu przed tym, co ją czeka.

Powinnam się cieszyć, mówiła sobie zawzięcie. Mój syn ma dwie kochające babcie, a przedtem nie miał żadnej. Lord Manning, którego bardzo kocham, wraca do zdrowia i pojął za żonę jedną z najmilszych niewiast, jakie znam. Nie zostawiam go samego. On i Clara będą razem szczęśliwi. Moje życie układa się tak pomyślnie, że też powinnam być szczęśliwa, myślała żałośnie. Mam przystojnego męża. Dobrego człowieka. Człowieka, przyznała, czując, jak łomocze jej serce, którego

kochałam prawie całe życie. Więc dlaczego jest mi tak smutno?

Otworzyły się jedne z drzwi, w których stanął Marcus, uśmiechając się do niej. – Jesteś gotowa, kochanie? – zapytał cicho.

Tłumiąc wszelkie obawy i niepokój, uniosła głowę, wyprostowała się i wkładając rękawiczki barwy lawendy dopasowane do muślinowej sukni, wymamrotała: – Tak. – Jeszcze raz rozejrzała się po holu. – W końcu nie odjeżdżam tak daleko – rzekła, jakby pragnąc dodać sobie odwagi.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Marcus również nie próżnował. Skoro Isabel pochłaniały przygotowania do ślubu i pakowanie przed przenosinami do dworu w Sherbrook, wydał Bickfordowi polecenia, ale poza tym nie miał we dworze w Manning wiele do roboty. Uznawszy, że to doskonała pora, by porozmawiać z Jackiem, nim kuzyn odjedzie z jego matką i Edmundem do Brighton, a potem do Londynu, pod błahym pretekstem ruszył do domu.

Nieco zaniepokojony Thompson powitał go, gdy przechodził przez obszerny hol.

– Jaśnie panie! Spodziewałem się pana powrotu dopiero wraz z małżonką. Czy wszystko w porządku?

– W jak najlepszym. Chciałem tylko zamienić słówko z Jackiem, zanim wyjedzie do Londynu.

– Ach tak. Znajdzie pan jego i pana Garretta w pańskim gabinecie. – Thompson urwał i zmarszczywszy czoło, rzekł: – Nie wiem, czy powinienem zawracać panu głowę, bo to może nic takiego... – Widząc pytające spojrzenie Marcusa, dodał pospiesznie: – Od czasu włamania w nocy wokół domu dzieje się coś podejrzanego. Jak pan wie, od tej pory zaczęliśmy zamykać dom po zmroku, a dwaj młodzi lokaje, Daniel i George, śpią na głównym piętrze dworu. Obaj twierdzą, że nie raz słyszeli, jak ktoś usiłował dostać się do domu, ale gdy zaczynali szukać, nie znajdowali niczego niezwykłego. Zeszłej nocy znowu to się zdarzyło. – Z zakłopotaną miną rzekł: – Nie rozumiem tego. Daniel i George są przekonani, że ktoś nadal próbuje wślizgnąć się do środka. Cała ta sprawa jest wielce niepokojąca.

Marcus zachowywał nieprzenikniony wyraz twarzy, lecz jego umysł pracował gorączkowo. Co, do diabła, ten Whitley szykuje? A może wcale nie Whitley jest tu winowajcą? Na zdrowy rozum intruzem może być tylko Whitley, ale w takim razie, dlaczego ciągle podkrada się do domu? Postanawiając, że z dwoma lokajami porozmawia później, teraz chciał uspokoić przynajmniej niektóre obawy Thompsona. – W zeszłym tygodniu – rzekł łagodnie – wiele się działo. Nasz normalny porządek

dnia został wywrócony do góry nogami, a włamanie jeszcze powiększyło napięcie. Z George'em i Danielem pogadam później po południu. – Uśmiechnął się do Thompsona. – Znając tych dwóch obwiesiów, zapewne wyobrazili sobie całą bandę żądnych krwi rabusiów kryjących się w krzakach. Ale teraz wszystko wraca do normy i przypuszczam, że niedługo sytuacja się wyjaśni już bez żadnych sensacji. – Zwłaszcza, pomyślał wściekle, jeśli ucapię Whitleya.

Odkładając na razie na bok niepokojące rewelacje Thompsona, Marcus przeszedł przez dwór w poszukiwaniu kuzyna. Zgodnie ze wskazówkami lokaja, znalazł Jacka w gabinecie, gdzie zamknął się z Garrettem. Obaj wyciągnięci na fotelach przed pustym kominkiem, najwyraźniej czuli się jak u siebie i Marcus wyczuł, że przerwał prywatną rozmowę. Zauważył, że między oboma mężczyznami wytworzyła się przyjacielska zażyłość, co wcale go nie zdziwiło. Byli w tym samym wieku, pochodzili z tej samej sfery i obaj, choć gwałtownie by temu zaprzeczali, mieli awanturniczą żyłkę. Z uśmiechem wszedł do pokoju i przysiadł na poręczy kanapy, naprzeciwko kominka i obu panów.

Przez parę minut toczono ogólną rozmowę, która dotyczyła głównie niedawnego ślubu barona.

– A zatem – odezwał się po chwili Marcus do Jacka – jak długo pozostaniesz w Londynie?

Jack wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Mówiliśmy właśnie o tym z Garrettem, gdy wszedłeś.

– A także o naszym wspólnym znajomym – rzekł Garrett z niepewnym uśmieszkiem. – Roxburym.

Marcus zrobił zdumioną minę. – Coś takiego – rzekł, przenosząc wzrok od jednego ze swych towarzyszy do drugiego. W końcu jego spojrzenie zatrzymało się na Jacku. – Czyżby jego wielmożność zwerbował jeszcze kogoś do rozwiązania naszego małego problemu?

– W istocie – przyznał Jack. – Przypominam ci, że czas nagli, zatem Roxbury uznał, że obaj mamy pełne ręce roboty, i przyda się jeszcze jedna para.

Ponieważ żadną miarą nie można było obejść tego tematu, Marcus kiwnął głową w kierunku Garretta. – Czy w takim razie mam rozumieć, że Garrett cieszy się naszym pełnym zaufaniem?

Jack skinął potwierdzająco.

– Zdębiałem, gdy Garrett dał mi liścik od Roxbury'ego w dzień po twoim ślubie z Isabel.

Nieco zmieszany Garrett wyjaśniał Marcusowi:

– Wybacz, że nie powiedziałem ci od razu, ale Roxbury nie poinformował mnie wyraźnie, kto został w to wciągnięty. Miałem tylko zobaczyć się z Jackiem i wręczyć mu list wprowadzający od Roxbury'ego. Rozmawiałem z Jackiem krótko przed wizytą we dworze w Manning, a on nie wspomniał wtedy o twoim udziale. Gdy spotkałem się z Jackiem później, wszystko mi opowiedział, ale nie miałem okazji, by zapoznać cię z sytuacją.

– Właściwie – rzekł Jack – dobrze się stało. Skoro ty byłeś uwiązany we dworze w Manning, pomoc Garretta bardzo się przydała. We dwóch mogliśmy mieć oko na Whitleya przez cały czas.

– Dużo z tego mamy – oznajmił z niesmakiem Garrett. Zerkając na Marcusa, dodał: – Zbyt wiele nocy spędziłem na popijawach z nim. Sam lubię wypić, ale zadziwia mnie ilość alkoholu, jaką ten człowiek może w siebie wlać i nie wpaść pod stół. Trunek rozwiązuje mu język, ale jak dotąd nie powiedział nic dla nas istotnego – ciągnął z namysłem.

Wspominając zaniepokojonego Thompsona, Marcus zapytał:

– Czy byłeś z nim zeszłej nocy?

Garrett przytaknął z wyraźnym zaciekawieniem.

– Jak przez większość nocy. Dlaczego?

– Thompson powiadomił mnie, że ktoś usiłuje dostać się do domu. Jeśli wierzyć moim dwóm lokajom, kolejna próba nastąpiła zeszłej nocy. Whitley wydaje się najbardziej prawdopodobnym kandydatem.

Garrett skrzywił się. – Nie wchodzę z nim do łóżka, więc nie potrafi ę ci powiedzieć, co robi, gdy się rozstajemy. – Zamyślił się. – Jak się nad tym zastanawiam, to rzeczywiście było parę takich nocy, kiedy Whitley pożegnał się wcześniej, czyli koło dwunastej. Może potem się wymykał z gospody. – Garrett zmarszczył brwi. – Przypominam sobie, że zeszłej nocy też wstał od stolika wcześniej.

Jack również się nachmurzył.

– Ciekawe dlaczego Thompson nic mi o tym nie wspomniał?

Marcus uśmiechnął się do niego. – Choć w moim domu, z moim błogosławieństwem rządzisz się jak u siebie, moja służba, dzięki Bogu, nadal pamięta, że ja tu jestem panem. Thompsonowi zapewne w ogóle nie przyszło do głowy, by ci o czymkolwiek mówić. Zapewne nie chciał zawracać gościowi głowy drobnostkami. Pamiętaj, że on nie ma pojęcia, co się dzieje.

Jack z wolna skinął głową. – Masz rację. – Zerknął na Marcusa. – A co ty o tym sądzisz?

Marcus wzruszył ramionami. – W najlepszym razie Whitley w ten sposób usiłuje robić mi na złość. W najgorszym... – Marcus ściągnął brwi.

– W najgorszym szykuje coś niebezpiecznego i chce mnie w jakiś sposób zaatakować, by mi się odpłacić za moją rzekomą napaść na niego.

– Też uważam, że o to chodzi – wtrącił się Garrett. – Nie mówi wiele, ale kiedy się napije, wychodzi wyraźnie, że żywi do ciebie śmiertelną urazę. Gdyby tylko mógł, dałby ci do wiwatu.

Marcus znowu wzruszył ramionami. – Niech tylko spróbuje – powiedział z taką nutą w głosie, że obaj mężczyźni spojrzeli na niego uważnie. A on, uśmiechnąwszy się skrycie, rzekł do Jacka: – Mimo wszelkich naszych wysiłków i podejrzeń nadal nie mamy najmniejszych poszlak, że to Whitley wyniósł notatkę.

– Nie, i właśnie to jest jednym z powodów, dla których wracam do Londynu – przyznał Jack. – Muszę porozmawiać z Roxburym i dowiedzieć się, czy nie wypłynęło nic innego. – Jack był wyraźnie przygnębiony. – Obawiam się, że marnujemy czas i że dokument albo zabrał ktoś inny, albo naprawdę zgubił się w archiwach Gwardii Konnej. – Z ponurą miną Jack dodał: – Ta cholerna notatka gdzieś jest i dopóki się nie znajdzie, albo u Whitleya, albo gdzieś indziej, żaden z nas nie może spać spokojnie. – Westchnął. – Gdybyśmy tylko mogli wyeliminować majora...

Marcus wpatrzył się w czubek swego buta, zastanawiając się, czy jeszcze parę zanurzeń w stawie z rybkami nie rozwiązałoby języka Whitleyowi. Podejrzewał, że nie. Co innego przyznać się do posiadania medalionu ze wszystkimi jego sekretami, a co innego do kradzieży dokumentu, co prostą drogą zaprowadziłoby go na szubienicę za zdradę.

– Zastanawiałem się, czy by nie dopaść go gdzieś na osobności i tak długo łoić mu skórę, aż wszystko wyśpiewa – rzekł nagle Jack, wtórując myślom Marcusa. – Oczywiście, może być niewinny – dodał z kwaśną miną.

– Wiem, że nie znaleźliśmy ani śladu notatki, ale moim zdaniem nie jest niewinny. Coś szykuje – dowodził Garrett. – Wszak Keating powiedział mi, że widział Whitleya w bliskiej komitywie z Collardem, a gdy nasz major sobie popije, opowiada, jakim zaufaniem darzy Collarda, co słyszałem na własne uszy. Mógłby się przechwalać znajomością z osobnikiem pokroju Collarda, by wydać się bardziej interesującym, ale wydaje mi się to mało prawdopodobne. Whitley ma o sobie dość wysokie mniemanie i nie wyobrażam sobie, by zadawał się z byle miejscowym przemytnikiem, jeśli nie miałoby mu to przynieść jakichś korzyści. A jedyną korzyścią z tej znajomości wydaje się to, że Collard naprawdę jest przemytnikiem i ma kontakty ze swoimi francuskimi kompanami na kontynencie.

– Ale przy takim postawieniu sprawy nasuwa się kolejne pytanie – rzekł Jack. – Skoro Whitley ma notatkę i nawiązał łączność z Collardem, dlaczego, do diabła, ciągle tu siedzi? Dlaczego nie prysnął na Wyspy Normandzkie albo do Francji, zabierając ze sobą te przeklęte papiery?

– Bo – odparł z wolna Marcus – czeka na sygnał od Francuzów. – Widząc sceptyczne miny obu pozostałych mężczyzn, dodał niecierpliwie: – Ma coś cennego i nie jest głupi. Może poprzednio spotkał we Francji osobę, z którą ma konszachty i ufa jej. Niewykluczone, że poczynił już przygotowania do przekazania notatki w zamian za złoto, ale wątpię w to. Najprawdopodobniej ukradł notatkę bez namysłu. Z tego, co wiemy, odwiedził Gwardię Konną bez żadnych złych zamiarów, po prostu chciał zobaczyć się z dawnymi znajomkami i posłuchać plotek. Zobaczył notatkę na biurku Smithfielda i miał okazję zabrać ją stamtąd bez ryzyka, co zapewne wydało mu się zrządzeniem losu. – Uśmiechnął się ponuro do obu pozostałych mężczyzn. – Ale skraść notatkę to jedno, a wyciągnąć z niej korzyści, o to całkiem inna sprawa. Nie wiem jak wy, ale gdybym ja był na jego miejscu, nie wskoczyłbym na pierwszy statek przemytników kursujący do Francji i nie podążyłbym do Paryża, machając notatką przed nosami napoleońskich generałów. Chciałbym się przedtem upewnić, że, po pierwsze, wrócę do Anglii mając nadal głowę na karku, a po wtóre, że za notatkę dobrze mi zapłacą, a nie wystrychną mnie na dudka.

– Naturalnie! – wykrzyknął Jack, którego mocno błękitne oczy błyszczały z podniecenia. – Nie ma gwarancji, że ktokolwiek, komu wręczy memorandum, nie ukradnie mu go, albo czy nie będzie chciał go potem zabić. Tamci nie mają nic do stracenia.

– Pamiętaj: skoro dostanie zapłatę, i to zapewne w złocie, będzie musiał przewieźć ją do Anglii – przypomniał mu Marcus.

– A więc zapewne wykorzystuje Collarda jako pośrednika, by załatwił wymianę i przewiózł pieniądze do Anglii – mruknął Garrett. – Co, znając Collarda, będzie diabelnie ryzykowne. Nie zdziwiłbym się, gdyby go zamordował i przywłaszczył sobie złoto. – Zerkając na Marcusa, zapytał:

– Ciekawe, czy Collard wie, co Whitley szykuje?

Marcus wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia. Ale choć Collard jest przemytnikiem, osobnikiem niebezpiecznym i bezwzględnym, chociaż gra na nosie naszym poborcom podatkowym i handluje z Francuzami, chciałbym wierzyć, że na swój sposób jest lojalnym Anglikiem. Dobrze znasz Collarda? – zapytał, wbijając wzrok w Garretta.

Garrett uśmiechnął się cierpko. – Zapewne lepiej niż ty. Niekiedy zrywam okowy poprawności i zadaję się z, hm, indywiduami, które nigdy nie trafiłyby do salonów nawet najmniej znaczących członków

towarzystwa. Znam go i jego reputację i zdaję sobie sprawę, że niejedna baryłka prawdziwie wybornego francuskiego koniaku przez niego trafiła do moich piwniczek w Holcombe. A choć wychyliłem z nim i innymi niejeden kufel w gospodzie Keatinga, nie jesteśmy przyjaciółmi od serca.

– Od serca czy nie – rzekł Marcus – myślę, że tobie by zaufał, a przynajmniej nie odniósłby się do ciebie nieufnie. Mógłbyś napić się z nim w gospodzie Keatinga i przy okazji dyskretnie skierować rozmowę na jego ostatnie zajęcia, nie wzbudzając przy tym podejrzeń. – Gdy Garrett skinął głową, Marcus ciągnął dalej: – Tak naprawdę musimy się dowiedzieć, czy ostatnio pływał na Wyspy Normandzkie albo do Francji. Nie zdradzi tego nikomu, ale może coś mu się wypsnie, zwłaszcza jeśli uraczysz go dostateczną ilością trunku. A jeżeli rzuci jakieś nazwiska, tym lepiej.

– Mogę wydobyć pewne informacje od samego Keatinga – rzekł Garrett. Uśmiechnął się. – Karczmarz spod Rogu Jelenia wie o wszystkim, co się dzieje w okolicy. A jeśli nie on, to żona na pewno! – Z zamyśloną miną dodał: – Od Keatinga można się też dowiedzieć, jak Whitley spędza czas. Major zauważył, że przeszukiwano jego pokój – dodał cierpko. – Poskarżył się Keatingowi, że służba z gospody podkrada mu rzeczy, a ponieważ większość usługujących tam jest spokrewniona z Keatingiem, te zarzuty były naszemu karczmarzowi bardzo nie w smak. Sądzę, że Keating chętnie wyleje na mnie swe żale do majora.

– Doskonale – rzekł Marcus, wstając. – Ty wywiedz się wszystkiego od Keatinga i Collarda, a ty, Jack, ruszaj do Londynu!

– A ty? – zapytał Jack. – Nie powiesz przecież, że się wycofujesz.

Marcus potrząsnął głową. – Nie. Ale w tej chwili nie mam wiele do roboty. To, co trzeba, wy zrobicie lepiej. – Uśmiechnął się. – Jako młody żonkoś, większość czasu chciałbym teraz poświęcić mojej wybrance.

Powracając później tego popołudnia z Isabel u boku, Marcus zastanawiał się, jak winien teraz zalecać się do swej krnąbrnej żony. Isabel nadal była nieuchwytna, od czasu ich nagłego ślubu zdołali zaledwie parę razy porozmawiać na osobności. Mimo wymogów, jakie nałożyła na nią choroba lorda Manninga, Marcus doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby tylko chciała, mogliby spędzać razem więcej czasu i że zasłaniała się niedomaganiem barona, by trzymać się jak najdalej od męża. Marcus nie miał pretensji, że tyle czasu spędza ze staruszkiem, on również przesiedział przy nim wiele godzin, ale teraz to się skończyło. Gdy kariolka wjeżdżała w szeroki, okrężny podjazd przed dworem w Sherbrook, Marcus pomyślał z dreszczem oczekiwania, że nie ma najmniejszego powodu, dla którego jego żona nie miałaby spać dziś

w jego łożu.

Łagodnie zatrzymując konie, uśmiechnął się do siedzącej obok niego Isabel.

– Twój nowy dom oczekuje cię, pani.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

– Wiesz, nie jest aż tak bardzo nowy. Nie pamiętasz? Praktycznie dorastałam w twoim domu.

Spojrzał na nią wzrokiem tak gorejącym, że zabrakło jej tchu. – Niczego nie zapomniałem – wyszeptał ochryple. Potem uśmiechnął się i rzekł: – Nawet tego, jak niesforną byłaś chłopczycą.

Choć poczuła ukłucie zawodu, zmusiła się do żartobliwego tonu. – A nie boisz się, że będę równie niesforną żoną? – odcięła się.

Rzucił lejce czekającemu przy koniu stajennemu, wysiadł z kariolki i obszedł ją z drugiej strony, by pomóc wysiąść Isabel. Objąwszy żonę w pasie, bez wysiłku wyniósł ją z powozu. Przyciskając ją do siebie nieco dłużej niż to było konieczne, pochylił głowę i delikatnie ugryzł Isabel w ucho. – Potrafi ę wymyślić jakieś przyjemne sposoby radzenia sobie z dokuczliwą żoną, sposoby, które byłyby całkowicie wykluczone w odniesieniu do podopiecznej. – Przyznawał kwaśno, że od czasu do czasu pewne haniebne myśli przychodziły mu wówczas do głowy – zwłaszcza w tych ostatnich miesiącach, nim uciekła i poślubiła Hugh. Gdy delikatnie stawiał ją na ziemi, zaczął się zastanawiać, co też by się stało, gdyby, podjąwszy którąś z tych myśli, wziął Isabel w objęcia i pocałował...

To delikatne ugryzienie i gorący oddech Marcusa wprawiły jej ciało w drżenie, a ona z zawstydzeniem i zdumieniem stwierdziła, że pod lawendową suknią twardnieją jej sutki. Poczuła żar w dole brzucha i wpatrzyła się jak zahipnotyzowana w tę ciemną, męską twarz. Zazwyczaj chłodne szare oczy wpiły się w jej usta, a w tym wzroku było coś, co ją zarazem przerażało i wprawiało w uniesienie.

Uprzejme kaszlnięcie z tyłu przerwało tę chwilę, Marcus obrócił się niedbale i mruknął:

– Ach, to ty, Thompson, zapewne chcesz poznać nową panią?

Thompson skłonił się, jego łysina zalśniła w popołudniowym słońcu. – W istocie, ja i cała służba czekaliśmy niecierpliwie na tę chwilę. – Prostując się, powiedział po prostu: – Z największą radością witamy wielmożną panią we dworze w Sherbrook.

– Dziękuję – odparła Isabel, uśmiechając się do niego. Od dziecka lubiła Thompsona, wiedząc, że pod szorstką powłoką ukrywa miękkie serce.

Od powrotu z Indii przed dziesięcioma laty trzymała się jak najdalej od dworu w Sherbrook, lecz przyjacielskie stosunki rodziny Sherbrooków z jej teściem czasem to uniemożliwiały. By zadowolić lorda Manninga i nie chcąc zbyt ostentacyjnie unikać Marcusa, uczestniczyła w paru kolacjach i wieczorkach, które urządzała matka Marcusa, ale była we dworze rzadkim gościem. A jednak, gdy tym razem, ze świadomością, że to będzie jej dom, weszła do przestronnego holu, w którym marmurowa podłoga lśniła złotymi drobinkami i połyskiwał elegancki kryształowy żyrandol, miała głębokie poczucie powrotu do gniazda. Przez te lata we dworze nastąpiły zmiany, lecz wszystko wydawało jej się znajome i drogie sercu. Nagle zalała ją fala wspomnień z czasów, kiedy była podopieczną Marcusa i we dworze w Sherbrook czuła się jak u siebie.

Isabel zawsze kochała to domostwo, jego porośnięte pnącymi różami szare, kamienne mury i lśniące okna wykuszowe. Była to imponująca budowla, bardziej nawet okazała niż dwór w Denham, ale Barbara Sherbrook przyozdobiła swój dwór miękkimi, ciepłymi tkaninami i dobrała miłe dla oka barwy pokojów, tak że nawet najbardziej oficjalne sale, choć eleganckie, miały w sobie coś przytulnego.

Służba czekała, by przedstawiono ją żonie pana, i znowu Isabel była zaskoczona, jak wiele twarzy już znała. Dobrze pamiętała kuchmistrzynię, przypominając sobie liczne ciepłe bułeczki i herbatniki, które jadła jako usmotruchane dziecko przy wyszorowanym dębowym stole w przestronnej, widnej kuchni na tyłach domu. Ochmistrzyni, pani Brown, również była jej znajoma; Isabel pamiętała łagodny dotyk jej ręki, gdy nie raz ją przemywała, czyściła i opatrywała liczne drobne zadrapania i skaleczenia. Były też naturalnie nowe twarze, lecz wiele osób ze służby znało ją jako dziecko i choć ktoś inny mógłby poczuć się onieśmielony tym morzem obcych ludzi, w Isabel pogłębili oni jedynie uczucie, że po długiej, burzliwej podróży dotarła wreszcie do domu.

Gromada służących rozproszyła się, wszyscy powrócili do swoich obowiązków, a Isabel i Marcus zostali sami w holu. Marcus uśmiechnął się do niej. – Przytłaczające przeżycie, co? – zapytał.

Odwzajemniła jego uśmiech. – Nie było tak źle. Przynajmniej połowę z nich znałam. A ponieważ w tym domu czuję się jak u siebie – rzekła, unikając jego wzroku – chyba nie musisz mnie po nim oprowadzać.

– Wielki Boże, dobrze! – Przypatrywał się żonie przez chwilę, zauważając, że jej ciało lekko sztywnieje i na twarzy pojawia się wyraz czujności. Czyżby żywiła obawę, że rzuci się na nią z chwilą, gdy wejdzie do środka? Ta myśl przemknęła mu przez głowę, ale przecież nie jest knurem w rui. Zawahał się. Przynajmniej taką ma nadzieję. Niechętnie

żegnając się z wizją leniwego popołudnia spędzonego na miłosnych zapasach, rzekł: – Czy zostawić się teraz, byś się rozlokowała? Thompson zaprowadzi cię do twoich pokoi. – Nie to chciał powiedzieć, ale wyraz ulgi, który pojawił się na twarzy żony, uświadomił mu, że w obecnej chwili Isabel to właśnie pragnęła usłyszeć.

Nagle poczuł, że znużyła go rola rozważnego, troskliwego dżentelmena. Płonący pożądaniem Marcus wymamrotał coś przez zęby, po czym nagle pochwycił Isabel w objęcia i mocno pocałował. Zamierzał pocałować ją raz i pójść sobie, ale słodki czar jej warg zniweczył to postanowienie. Przyciągnął ją mocno do siebie, przycisnął twarde, wygłodniałe wargi do jej warg i wsunął język głęboko w jej usta. Trawiony pożądaniem, niepomny na nic prócz miękkiego, kuszącego ciała w swych ramionach, Marcus całował ją raz po raz, a każdy pocałunek był dłuższy i bardziej namiętny, z każdym domagał się więcej.

Isabel się nie broniła. Nie miała sił dłużej opierać się jemu, a także pragnieniom własnego ciała. W końcu była żoną Marcusa. Wiadomo, że kiedyś będą musieli się połączyć i, z lekkim drżeniem, uległa, zapominając o przeszłości, zapominając o sekretach...

W głowie kręciło się jej od pożądania i pragnienia, oddawała mu pocałunki, zatapiała palce w jego ramionach, przyciskając się doń coraz bliżej, wtulając się gwałtownie w jego mocne, twarde ciało. Był podniecony – czuła jego sztywne przyrodzenie, nabrzmiewające między nimi, gdy się całowali – i poczuła falę ciepła i wilgoci, gdy ujął w dłonie jej pośladki i mocno przycisnął do siebie. Ale tego było mu mało i uniósł ją, dopasowując do siebie, tak że czuła jego twardy członek między udami. Zadrżała, gdy się o nią otarł, przeszyły ją fale najgłębszej pożądliwości.

Dopiero natrętne uderzenia małego zegara z pozłacanego brązu, który stał nieopodal na marmurowym stoliku, przywróciły Marcusa do przytomności. Uniósł głowę, uświadomił sobie, gdzie się znajduje, i odepchnął Isabel od siebie, jakby go parzyła.

Ciężko dysząc, rozejrzał się wokół z szaleństwem w oczach. Chryste! Było wczesne popołudnie, a on znajdował się we własnym holu! Jeszcze chwila i wziąłby ją tu na podłodze.

Drżącą dłonią przeczesał włosy i rzekł ochryple: – Zadzwoń na Thompsona, on się wszystkim zajmie. – Szybko przeszedł obok niej, obrócił się na pięcie, po czym wrócił, znowu wziął ją w ramiona, wycisnął na jej ustach namiętny, palący pocałunek, a potem ponownie ją od siebie odepchnął. Z gorączkowym błyskiem w szarych oczach powiedział chrypliwie: – Zobaczymy się później. – W jego głosie słychać

było zarazem obietnicę i groźbę. Ruszył żwawo, jakby ścigało go stado wściekłych psów, i zniknął za frontowymi drzwiami, zostawiając Isabel samą w holu.

Oszołomiona, tkwiła tam nieruchomo jeszcze parę chwil, nie mogąc się połapać w swych myślach i uczuciach. W końcu oddech jej się uspokoił i nieco wróciła do siebie. Przytknęła palec do ust i zdumiała się, że nie ujrzała na nim śladów przypalenia.

Stałaby tam dalej, gdyby do holu nie wszedł Thompson, niosąc bukiet świeżych białych lilii i różanych pąków. Zatrzymał się zdziwiony, widząc ją tu samą. – Jaśnie pani? Czy coś się stało? – zapytał z troską. – Mogę czymś służyć?

Isabel otrząsnęła się i uśmiechnęła blado. – Nie. Nie. Wszystko jest w najlepszym porządku. Marcus, hm, właśnie wyszedł. – Nadal oszołomiona, nie mogła znaleźć słów. – Powiedział, że, mm, zaprowadzicie mnie do moich pokoi – wydusiła wreszcie.

– Z przyjemnością – rzekł Thompson. Postawił kryształowy wazon z kwiatami na marmurowym stole, po czym odwracając się do niej, powiedział: – Jaśnie pani, proszę za mną.

Marcus nie dowiedział się niczego nowego od George’a i Daniela, gdy później po południu wypytał ich w swoim gabinecie przy stajniach. Gdy dwaj młodzieńcy wypadli z niego jak strzała, przez parę chwil wpatrywał się w okno, zastanawiając się nad ich słowami. W zasadzie skłaniał się ku temu, co wcześniej powiedział Thompsonowi: George’a i Daniela poniosła wyobraźnia. Byli młodzi, obaj mieli nie więcej niż piętnaście lat, a choć wysocy i barczyści, to w sumie jeszcze dzieci. Nie wątpił, że coś słyszeli, ale to mogło być wszystko – od wichru walącego w drzwi po gałąź uderzającą w okno. Z ulgą uznał tę kwestię za rozstrzygniętą i zaczął się zastanawiać nad pierwszym włamaniem Whitleya. Poczucie gwałtu znowu przeszyło go dreszczem, a ręka zacisnęła się w pięść. Niezależnie od rezultatu dochodzenia w sprawie notatki, Marcus zamierzał niebawem spędzić nieco czasu z Whitleyem na osobności. Nie dość, że ten obwieś wtargnął do jego domu, to jeszcze groził Isabel, a Marcus stwierdził, że żadnego z tych występków nie będzie tolerował. Po jego przystojnej twarzy przebiegł zawzięty uśmiech. Tak. Zanim to wszystko się skończy, odbędzie krótkie sam na sam z Whitleyem. Sam na sam, które major zapamięta do końca życia...

Czy to umyślnie, czy przypadkiem tego dnia Marcus i Isabel ponownie spotkali się dopiero wieczorem. Nieznośnie uprzejmi wobec siebie, spożywali wieczerzę na świeżym powietrzu w rozległych,

pięknych ogrodach, które otaczały dwór. Był to spokojny posiłek, podczas którego wszakże żadne z nich nie doceniło w pełni smaku przygotowanych z kunsztem dań. Potem przeszli się w kierunku jeziora, na które niepełna tarcza księżyca rzucała srebrzystą poświatę. Wędrowali krętymi ścieżkami pośród woni bzu i róż, lekki wietrzyk poruszał liśćmi i gałęźmi najprzeróżniejszych krzewów i drzew. Po usianym gwiazdami niebie mknęły chmury, zapowiadając możliwość wiosennego deszczu.

Z pozoru spokojna, Isabel była kłębkiem sprzecznych uczuć. Dziś wieczorem zostanie żoną Marcusa naprawdę. Wyglądała tej chwili i bała się jej. Rzucając ukradkiem szybkie spojrzenie na jego szczupłą twarz, zastanawiała się, o czym też on myśli. Czy wyczekuje niecierpliwie ich miłosnej nocy? Czy też ta wizja napawa go nudą? W dole jej brzucha podskoczyła kula ciepła. Nie, nie będzie się nudził, tyle wiedziała po ich namiętnym uścisku dziś po południu w holu. Ale gdy się w końcu połączą, czy będzie dla niego jeszcze jedną kobietą? Czy będzie czuł do niej to samo, co do owych miłośnic, z którymi bez wątpienia kochał się w ciągu swego życia? Nie był rozpustnikiem, ale też z pewnością nie można go uznać za mnicha.

Isabel wiedziała wiele o Marcusie Sherbrooku: znała go jako swego opiekuna, sąsiada, a nawet, w pewnym sensie, jako przyjaciela. Zawsze wydawał się pełen rezerwy, niewzruszony, światu pokazywał twarz spokojną i rozważną, ale ostatnio przekonała się, że za tą spokojną, rozważną maską kryje się zupełnie inny człowiek. Ten mężczyzna o tak chłodnym sposobie bycia potrafi zacałować ją do utraty zmysłów, aż jej miękną kolana, ten mężczyzna – ten skryty głęboko namiętny, pożądliwy samiec – sprawiał, że serce jej biło jak młotem, a tętno waliło w oczekiwaniu na to, co ma się stać.

Spadły pierwsze lekkie krople deszczu i Marcus gwałtownie przystanął. Skoro mżawka się nasilała, rzekł cicho: – Cóż, chciałem cię romantycznie uwieść w świetle księżyca, ale widzę, że z moich planów nici. – Zerknął na nią i zamierzał rzucić jeszcze jakąś żartobliwą uwagę, lecz wszelka racjonalna myśl odbiegła go, gdy utkwił spojrzenie w jej rozchylonych wargach.

Wiedząc, czym to się skończy, jeżeli jej dotknie, zwalczył pierwotną żądzę, którą starannie powściągał przez cały wieczór. Zmagając się z przytłaczającą pokusą, by wziąć Isabel w ramiona i dać się ponieść namiętności, w końcu zdołał oderwać się od żony. Ledwo zdążył cofnąć się o krok, gdy nocnym powietrzem wstrząsnął huk wystrzału, a w policzek uderzyły go fruwające w powietrzu drzazgi, które odłupały się od wysokiego buka, kiedy zaledwie parę cali od głowy Marcusa wbiła

się w niego kula.

# Rozdział 12

Marcus przede wszystkim pomyślał o Isabel, przewrócił ją na ziemię i przykrył własnym ciałem. Przez chwilę leżeli nieruchomo, ciężko dysząc i czujnie nasłuchując. Potem oboje usłyszeli nieomylny hałas potężnego ciała przedzierającego się przez zarośla. Żadne z nich nie miało wątpliwości, że to ktoś, kto oddał strzał..., strzał, który o mały włos nie przerwał żywota Marcusa.

Isabel usilnie starała się zepchnąć go z siebie. – Zejdź ze mnie, ty wielki niezdaro – syknęła niecierpliwie. – Ktokolwiek do ciebie strzelał, właśnie ucieka.

Marcus sturlał się z niej i stanął na nogi, lecz zanim zdążył pomóc Isabel, poderwała się i rzuciła między drzewa w pogoni za strzelcem. Zrobiwszy dwa wielkie susy złapał ją i przytrzymał. – Co ty, do diabła, wyprawiasz? – zapytał gniewnie. – Chcesz, żeby cię zabił?

Nie bacząc na deszcz i porywisty wiatr towarzyszący nagłej burzy, Isabel odgarnęła ociekający wodą lok i wściekle spojrzała na męża. – Usiłuję – wygłosiła starannie przez zaciśnięte zęby – zorientować się, kto strzelał. Ty natomiast mi w tym przeszkadzasz.

– A ty – powiedział równie starannie, przez zęby tak samo mocno zaciśnięte – jesteś zbyt krnąbrna, by wyszło ci to na zdrowie. – Ze świstem wciągnął oddech, by powściągnąć wybuch. Z jednej strony śmiertelnie zląkł się o Isabel, z drugiej śmiałość ataku doprowadzała go do furii. Dopiero gdy nabrał pewności, że panuje nad sobą, zapytał z wyraźną ciekawością: – Co chciałaś zrobić, gdybyś złapała tego hultaja, ugryźć go?

Tak rozzłoszczona, że chciałaby ugryźć jego, odwróciła się na pięcie i ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, wpatrywała się w ciemność. Hałas, jaki robił uciekający napastnik, ucichł, lecz w oddali, przez deszcz i wiatr, dobiegł ich tętent kopyt galopującego konia. – Pozwoliłeś mu się wymknąć – wycedziła, odwróciła się i pomaszerowała do domu.

Marcus kroczył za nią wolniej, zmarszczywszy brwi. Ten strzał mógł oddać jedynie Whitley, lecz o czym, u diabła, ten człowiek myślał? Whitley łacno mógł spudłować i zranić albo zabić Isabel. Coś zimnego i twardego utkwiło mu w sercu. Atakować go to jedno, ale robić to w sposób narażający na niebezpieczeństwo Isabel, to zupełnie inna sprawa. Zawzięcie zacisnął usta i dogonił żonę na schodach prowadzących do domu.

W drzwiach stanęli oko w oko z zaniepokojonym Thompsonem, który trzymał latarnię; George i Daniel, stojący tuż za nim, z podobnymi minami, również dzierżyli światła. Na widok Marcusa i Isabel wyłaniających się z deszczu, na twarzy Thompsona odmalowało się uczucie ulgi. Sługa cofnął się i krzyknął: – Jaśnie panie! Usłyszeliśmy wystrzał i obawialiśmy się najgorszego. – Marcus uśmiechnął się i rzekł spokojnie: – Nie było się czego bać, jaśnie pani i mnie nic się nie stało. Zapewne kłusownik zbłądził zbyt blisko domu.

Thompson zrobił urażoną minę.

– Leśniczy jaśnie pana nigdy by do tego nie dopuścił!

George, niższy z lokajów, którego brązowe oczy błyszczały z emocji, wypalił:

– Założę się, że to ten włamywacz przyszedł wymordować nas we śnie!

Marcus zmierzwił czuprynę George'a i roześmiał się. – Wątpię. – George wydawał się raczej podekscytowany niż przerażony możliwością rychłego opuszczenia tego padołu. – Ktokolwiek to był, już się oddalił – wyjaśnił Marcus. – Zanim wróciliśmy do domu, słyszeliśmy galopującego konia, a w tym deszczu nikt, kłusownik czy włamywacz o morderczych zamiarach, nie będzie czaił się koło dworu. Myślę, że powinniście wrócić do swoich obowiązków. Pani Sherbrook i ja udajemy się na spoczynek.

Gdy Isabel weszła do pokoju, jej pokojówki, Peggy, nigdzie nie było widać, ale najwyraźniej nie próżnowała – łóżko było starannie posłane, na kremowo-zielonej jedwabnej narzucie leżała elegancka batystowa nocna koszula i pasujący do niej szlafrok. Nie tracąc czasu, Isabel zdjęła mokre ubranie i włożyła koszulę. Zziębnięta i przemoczona, zignorowała leciutki szlafroczek rozłożony na łóżku i przeszła do garderoby, gdzie otworzyła jedną z wielkich mahoniowych szaf, którymi zastawiona była ściana. Jej palce szybko odnalazły żółty wełniany szlafrok, którego szukała. Owinięta w ciepłą wełnę, w jednej chwili rozpuściła kok, w który na wieczór upięła swe kędziory, i szybko wyszczotkowała bujne, klasztanowe loki. Gdy włosy ułożyły się w ładne pukle opadające na

ramiona, wróciła do sypialni, gdzie z radością stwierdziła, że Peggy po raz kolejny uprzedziła jej życzenia i właśnie ustawiała tacę na jednym ze stolików z drewna żółtokrzewu porozstawianych w przestronnym pokoju.

Peggy uniosła błękitne oczy znad stołu, spojrzała na Isabel z czułością i rzekła:

– Pomyślałam, że w taką noc przyda się wam odrobina gorącej herbaty. Jest też ciepłe mleko, gdyby miała pani ochotę. I herbatniki.

Starsza od Isabel o prawie dwadzieścia lat, Peggy była jej osobistą pokojówką, odkąd młoda kobieta zamieszkała w Manning Court. Początkowo zupełnie się nie znały, a Isabel nieco onieśmielał energiczny sposób bycia i niewyparzony język sługi, lecz z czasem nawiązała się między nimi bliska więź, znacznie wykraczająca poza przywiązanie pokojówki do swej pani.

Upewniwszy się, że na stole niczego nie brakuje, Peggy zabrała batystowy szlafroczek z łóżka i zniknęła w garderobie. Wróciwszy obrzuciła Isabel krytycznym okiem i widząc, że się trzęsie, zakomenderowała:

– Marsz do łóżka! Jest pani przemarznięta, a przecież nie chce się pani teraz przeziębić?

Isabel nie oponowała. Zdjęła szlafrok, wsunęła się pod przykrycie i z radością stwierdziła, że choć był to już maj, Peggy ogrzała pościel. Podparta wałem z poduszek, Isabel usiadła na łóżku, przykryta złożoną narzutą i z radością ujęła fi liżankę gorącej, parującej herbaty, którą przyniosła jej Peggy.

Upiła łyk, po czym rzekła z uśmiechem:

– Co ja bym bez ciebie zrobiła, kochana Peggy? Myślisz o wszystkim – ogrzane łóżko i gorąca herbata – cudownie!

Peggy prychnęła.

– Nie trzeba wielkiego rozumu, by wiedzieć, że w deszczową noc ogrzana pościel i coś gorącego do wypicia będą mile widziane.

Z wesołymi iskierkami w oczach Isabel odparła dość potulnie:

– Bardzo mile. Dzięki.

– Proszę bardzo. – Peggy sięgnęła po rzucony szlafrok i ułożyła go starannie na poręczy pobliskiego fotela, po czym rozejrzała się po pokoju, kontrolując, czy coś jeszcze w sypialni ośmieliło się nie być na swoim miejscu. Stwierdziwszy, że wszystko jest jak należy, sprawdziła stan ciasno zawiązanego, jasnobrązowe go koczka na karku i rzekła: – W takim razie, jeśli to wszystko, idę do siebie. Chyba że pani jeszcze czegoś potrzebuje?

Isabel potrząsnęła głową.

– Nie. Nie. Wszystko jest w najlepszym porządku. Zobaczymy się rano.

Po wyjściu Peggy w przestronnym pokoju zrobiło się bardzo cicho, a Isabel, sącząc herbatę, myślała o wydarzeniu w ogrodzie. Przeszył ją dreszcz strachu, gdy przypomniała sobie ów straszliwy moment, kiedy to Marcus o mały włos nie zginął. Ale wiedząc, że jest bezpieczny w pobliżu, znowu doznała niewypowiedzianej ulgi, jak wtedy, gdy zdała sobie sprawę, że nic mu się nie stało. Przygryzła wargę. To cudownie, że wyszedł z tego bez szwanku, ale też nie można zaprzeczyć, że ktoś próbował go zabić! A choć Marcus twierdził, że to kłusownik, Isabel nie dała się nabrać. Nie ma co udawać, myślała z niezachwianym przekonaniem, gdyby się akurat wtedy nie przesunął, zapewne leżałby martwy w ogrodzie.

Odpędzając strach, jakim przejmowała ją myśl o Marcusie martwym albo poważnie rannym, zastanowiła się nad samym atakiem. Ktokolwiek do Marcusa strzelał, musiał być zarówno głupi, jak i zdesperowany. Głupi, ponieważ Marcusa szanowali i lubili, wręcz kochali, liczni krewni i znajomi rozrzuceni po całym kraju. Jego śmierć – czy nawet zranienie z ręki tchórzliwego napastnika – wywołałaby krzyk oburzenia, który słychać by było aż w Londynie. A strzelanie do niego w deszczu, gdy gałęzie zasłaniały cel, przy pełni księżyca, to akt desperacji. Oczy Isabel się zwęziły. Przychodził jej na myśl tylko jeden człowiek dość głupi i zdesperowany, który miał powód, by wyrządzić krzywdę Marcusowi. Whitley!

Tak była pogrążona w myślach, że nawet pojawienie się w pokoju Marcusa nie zdołało odwrócić jej uwagi. Ze zmarszczonymi brwiami, zastanawiając się, jakie wnioski płyną z jej odkrycia, przyglądała mu się, gdy wchodził przez podwójne dębowe drzwi oddzielające ich sypialnie.

W czarno-purpurowym jedwabnym szlafroku przeszedł przez pokój, jakby zwykł to czynić każdego wieczoru. Ze słabym uśmiechem na ustach zbliżył się do skraju jej łóżka. Wygląda, myślał w zamroczeniu, przeuroczo. Patrząc, jak siedzi na łóżku, spoglądając na niego z zachmurzoną miną, z burzą płomienistorudych włosów opadających jej na ramiona i wbitymi w niego tymi niewiarygodnymi złotobrązowymi oczami, Marcus przyznał się przed samym sobą do tego, o czym wiedział już od dawna – że jest w niej nieprzytomnie zakochany.

Oszołomiony tą wiedzą, z fascynacją po prostu wpatrywał się w Isabel. Znalazłszy się całkowicie pod jej urokiem, dopiero po chwili zorientował się, że Isabel porusza wargami i coś do niego mówi.

– Co? – zapytał niemądrze. – Co powiedziałaś?

– Powiedziałam – odparła niecierpliwie – że to Whitley musiał do ciebie strzelać. Nikt inny nie ma najmniejszego powodu, żeby cię zabijać.

Zaprzeczanie nie miało większego sensu, więc podchwycił jej wzrok i skinął głową.

– Tak. Jestem prawie pewien, że to twój przyjaciel major, strzelał do nas dzisiaj wieczorem.

– Nie jest moim przyjacielem!

– Zgoda. Podejrzewam, że jedynym przyjacielem Whitleya jest on sam.

– Najprawdopodobniej, ale co z nim zrobimy? Nie może przecież zaczajać się w okolicy i strzelać do ciebie, kiedy mu przyjdzie ochota. Marcusie, mógł cię przecież dziś zabić – rzekła, patrząc na niego przerażonym wzrokiem. – Gdyby coś ci się stało... – Urwała, jej głos zdławiły łzy. Odwróciwszy wzrok, wybąkała wreszcie żałośnie: – To wszystko moja wina! Ja naraziłam twoje życie na niebezpieczeństwo, absolutnie nie powinnam była pozwolić, żebyś się za mną wstawiał. – W jej wzroku pojawiła się wściekłość. – Powinnam go była zabić już za pierwszym spotkaniem, powinnam go była zastrzelić jak jadowitego gada, którym jest!

– Zgoda, że Whitley najwyraźniej sam się prosi, by go sprzątnąć, ale z łaski swojej, mnie zostaw to zadanie – rzekł cicho Marcus.

Właśnie ten spokój w jego głosie kazał Isabel przyjrzeć mu się baczniej. Oczy jej się rozszerzyły, gdy dojrzała postanowienie w tych niewzruszonych szarych głębiach. Zaparło jej dech. – Naprawdę chcesz go zabić, co? – zapytała, z przerażeniem, ale i pochwałą w głosie.

Westchnął.

– Najprawdopodobniej będę musiał. Nie sprawi mi to przyjemności, ale miałaś rację, to jadowity gad i nie mogę pozwolić, by żył, tak jak nie tolerowałbym żmii w stajni.

– Och, Marcusie – krzyknęła – będziesz uważał? Jest niebezpieczny.

– Ja też, moja droga, ja też.

Powiedział to miękko, ale właśnie ta miękkość sprawiła, że po krzyżu Isabel przebiegł dreszcz. Spojrzała na męża nowymi oczami, pełnymi zadziwienia. Aż do tej chwili, gdyby ktokolwiek powiedział jej, że Marcus Sherbrook na chłodno rozważa możliwość zabicia człowieka, nie uwierzyłaby. Nie uważała też, że jest zdolny do takiego czynu, lecz słysząc tę nutę w jego głosie, widząc lodowate postanowienie w oczach, uświadomiła sobie, że za fasadą spokoju i uprzejmości, którą pokazywał światu, knuje się wiele więcej emocji. Serce waliło jej w piersi, jej myślami owładnęły wspomnienia żarliwych pocałunków i śmiałych

pieszczot, jakimi ją obdarzał. O tak, pomyślała ciepło, o wiele więcej. O, wiele, wiele więcej!

Ich oczy spotkały się i nagle Whitley wraz ze wszystkimi wydarzeniami tego wieczoru wyparował. Między nimi zawirowało w powietrzu pożądanie. Było tylko ich dwoje, samych w jej oświetlonej świecami sypialni, w wietrzną, deszczową noc.

Spojrzenie Marcusa zsunęło się na nocną koszulę Isabel, przez której delikatny batyst przeświywały sutki. Była naga pod tym zwiewnym strojem, a dzisiaj nie będzie już wymówek, bo nie ma żadnych powodów, by nie kochał się ze swoją żoną. Żadnych pretekstów, którymi mogłaby się zasłonić przed jego miłością. Lędźwie mu się naprężyły i namiętność, tak starannie dotąd trzymana w ryzach, wreszcie się wyzwoliła.

Isabel dostrzegła w nim zmianę, ujrzała, że oczy mu ciemnieją, zauważyła zmysłowe wygięcie jego ust i z pewną obawą, ale i ochoczo odegnała wszelkie inne myśli prócz tej, że dziś w nocy już naprawdę zostanie żoną Marcusa. W oczekiwaniu na tę chwilę mrówki przeszły jej po całym ciele i gdy wyciągnął do niej ręce, niemal rzuciła się w jego ramiona, gotowa poczuć jego usta na swych wargach.

Spadły na nią twarde i wygłodniałe, chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Nie broniła się, rozchyliła usta pod naporem jego warg, a gdy wsunął w nie głęboko język, ogarnął ją żar. Kiedy odjął od niej usta, jęknęła w proteście, niepohamowanie szukając ich bliskości.

Zaśmiał się ochryple. – Chwileczkę, skarbie, oboje mamy na sobie za dużo ubrań – wymamrotał.

Po sekundzie ściągnięta przez głowę nocna koszula wylądowała na podłodze, obok niej natychmiast znalazł się jego szlafrok, po czym Marcus znowu wziął Isabel w objęcia.

Ciepłe ciało zwarło się z ciepłym ciałem, Isabel zadrżała, kiedy jej piersi wtopiły się w umięśniony, owłosiony tors Marcusa. Gdy położył ją na łóżku, jego usta były nienasycone, pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne. Podskoczyła, kiedy jego ręka zamknęła się na jej piersi, delikatnie ją ugniatając, kciuk pieszczący sutki Isabel wzbudził w jej ciele gorące spirale pożądania.

Marcus nie zamierzał się spieszyć, lecz zbyt wiele nocy dręczyły go sny o tym, jak trzyma ją w ramionach, jak się z nią kocha, by teraz powoli rozkoszować się jej powabami. Powiadając sobie, że następnym razem będzie bardziej czuły i delikatny, zniewalał jej szczupłe ciało ustami i rękami. Te kuszące małe piersi wzywały go, wargi sunęły coraz niżej, aż wreszcie, z jękiem, jego gorące, niecierpliwe usta przylgnęły do jej sutka.

Isabel wygięła się pod dotykiem mężczyzny, ciepły język okrążający

jej sutek podniecał ją do granic wytrzymałości. Zatopiła palce w gęstych, czarnych włosach, przyciągając do siebie jego głowę, rozkoszując się tą chwilą bliskości. Pragnęła aż do bólu złączyć się z nim w jedno, tęskniła do tej chwili, płonęła z pożądania. Jego usta działały cuda na jej piersiach, słodki żar rozpalał ją całą, gdy lekko przygryzał zębami jej uwrażliwioną skórę. Gdy przesunął mocną, ciężką rękę do kępki włosów w miejscu, gdzie zbiegały się jej uda, i poczuła w sobie jego palce badające miękkie ciało, na które tam natrafi ły, jęknęła, unosząc się ku niemu, zapraszając, błagając, by wszedł w nią głębiej.

Uśmieszek dzikiego zadowolenia przemknął po twarzy Marcusa, gdy wsunąwszy w nią palec, stwierdził, że jest wilgotna i gotowa. Chciał igrać, badać dalej, ale się nie odważył. Tak stwardniał, był tak boleśnie pełny, że jeśli zaraz jej nie weźmie, narobi sobie wstydu.

Zmienił pozycję, wsuwając się między jej nogi. Uchwycił rękami jej biodra, by mu było jak najdogodniej, wpił się wargami w jej usta i wolno wprowadził w nią swój nabrzmiały członek. Było mu ciasno, ocierał się o jej śliskie i ciepłe w środku ciało i tak zatonął w purpurowej mgle rozkoszy, że sam nie wiedział, kiedy przeniknął przez wątłą barierę... tak nieznaczną. Ale chwilę po tym, jak w nią wtargnął, zorientował się. Otworzył gwałtownie oczy i wpatrzył się w twarz Isabel.

Leżała pod nim nieruchomo, w pomieszaniu bólu, wstrząsu i rozkoszy. Zebrała się na całą odwagę, na jaką ją było stać, by spojrzeć mu w oczy. Próbowała się odezwać, lecz zabrakło jej słów. Minę miał mroczną i groźną, gdy tak pochylał się nad nią, czarne włosy opadały mu na czoło, a w szarych oczach nadal tliło się pożądanie, lecz w tym twardym wzroku, który przyszpilał ją do łóżka, było też oskarżenie i podejrzliwość.

Namiętność tak nim owładnęła, że nie mógł zebrać myśli. Pytania przelatywały mu przez głowę, lecz były mętne, zagłuszał je dotyk jej miękkiego, spoczywającego pod nim ciała i pierwotne pragnienie, by dać upust prymitywnej żądzy spółkowania, które chwyciło go w swe szpony i gwałtownie domagało się zaspokojenia. Potrząsnął głową, usiłując się skupić, ale nie mógł, jej ciało śpiewało syrenią pieśń, pożądanie tak szaleńczo pulsowało w jego żyłach, że nic innego się nie liczyło. Zamknął oczy, namiętnie wpił się w jej usta, cofnął się lekko i pchnął z całą siłą. Rozkosz wstrząsnęła nim tak, że kompletnie się zatracił. Wchodził w nią raz po raz, za każdym ruchem szybciej i głębiej niż poprzednio, jego biodra poruszały się odwiecznym pożądliwym rytmem, gorączkowo starając się przedłużyć rozkosz, jednak pragnąc słodkiej ulgi, zmysłowego zapomnienia.

Wstrząs, jakiego Isabel doznała zaraz, gdy ją wziął, zdążył już minąć i teraz, za każdym pchnięciem jego oręża, głęboko we wnętrzu czuła ogień, rozpaczliwy ból. Jej ciało nie należało już do niej, zatopiła się w tej chwili, jej ręce ześlizgnęły się na jego napierające pośladki i pieściła go, ponaglając, pragnąc, pragnąc, och, jak bardzo pragnąc, sama nie wiedziała czego. Spirala rozkoszy, rozkoszy tak słodkiej, że krzyknęła głośno, nie mogąc się powstrzymać, wybuchła w niej i cały świat zawirował.

Ten okrzyk był jego zgubą, Marcus mocniej przyciągnął do siebie jej biodra, pchnął jeszcze raz i uniesienie porwało go, dokąd chciało.

Słychać było tylko ich ciężkie oddechy, poza tym pokój pogrążony był w całkowitej ciszy, gdy powoli, niechętnie, Marcus zsunął się z Isabel. Leżał obok niej przez chwilę, potem, bez słowa, podniósł się z łóżka. Nie bacząc na swą nagość, przeszedł do gotowalni i znalazł dzban z wodą, wiedząc, że tam będzie. Nalał nieco wody do porcelanowej miski, wziął myjkę, starannie złożoną obok, i wrócił do sypialni.

Isabel nadal była oszołomiona żarliwą reakcją swego ciała na miłosny kunszt Marcusa, ciągle wstrząsały nią drobne spazmy rozkoszy, gdy zafascynowana jego wysoką, gibką sylwetką patrzyła jak znika w garderobie. Zadrżała w zachwyceniu na wspomnienie dotyku jego warg na swych piersiach, uczuć, jakich doznała, gdy poruszało się na niej jego potężne ciało. Ale, aż nazbyt szybko, zwaliła się na nią rzeczywistość i Isabel raptownie podniosła się i rozejrzała za szlafrokiem, gdyż nie chciała stanąć oko w oko z Marcusem całkiem goła. Nagły ruch sprawił, że się odrobinę skrzywiła, co przypomniało jej, że ma teraz inną pozycję, i uśmiechnęła się z dumą. Jest teraz kobietą. Uśmiech znikł, gdy przypomniała sobie wyraz oczu Marcusa, kiedy się zorientował, że jest dziewicą, i tym bardziej zapragnęła owinąć się szlafrokiem przed powrotem męża. Na pewno zada Isabel mnóstwo pytań, a jej odpowiedzi mogą mu się nie spodobać albo nie będzie pochwalał jej decyzji, więc koniecznie musi się odziać. Człowiek nagi jest bezbronny, a ona tym razem nie może sobie na to pozwolić.

Choć wiedziała, że Marcus jest w jej gotowalni, przestraszyła się, widząc, jak wraca do pokoju, i zanim zdołała się opanować, cofnęła się i oparła o poduszki. Przystanął i wpatrywał się w nią długą chwilę, nim na nowo ruszył w jej stronę. Odstawiając miskę z wodą i myjkę na stolik przy łóżku, rzekł zjadliwie:

– Przestań! Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety, choćby nie wiem jak mnie prowokowała. Nie zamierzam zacząć teraz.

– N... n... nie myślałam, że chcesz m... mnie uderzyć – wyjąkała. –

Przestraszyłeś mnie.

Nie odpowiadając na tę uwagę, ujął jej nogę. Zacisnął usta na widok ilości krwi, którą ujrzał na jej udzie. Z zaciętą szczęką wziął myjkę, zanurzył ją w wodzie i zaczął zmywać ślady tego, co zaszło między nimi.

W tej przeraźliwej ciszy Isabel zlękła się, że głowa jej pęknie od głuchego milczenia, które zapanowało między nimi, gdy Marcus szybko zmywał plamy z jej uda. Ogarnęło ją zażenowanie z powodu intymności tej sceny i poruszyła się, usiłując uniknąć dotyku męża. Zacisnął rękę na jej udzie, ostrzegając ją w ten sposób, by przestała, toteż już się nie ruszała. Nic nie mówił i patrząc na jego pochyloną nad jej ciałem głowę, Isabel rozpaczliwie pragnęła, by coś powiedział. Cokolwiek. Niechby na nią pomstował. Miotał oskarżenia. Domagał się odpowiedzi, wyjaśnienia.

Gdy już myślała, że wrzaśnie, byleby przerwać przygniatającą ciszę, Marcus zapytał ostrożnie:

– Więc czyim dzieckiem jest Edmund?

Zesztywniała, a jej oczy zapłonęły złotem.

– Moim! Jest i był moim synem od chwili swych narodzin!

Wtedy obrzucił ją szacującym spojrzeniem chłodnych, szarych oczu. – Nie okłamuj mnie – warknął. Wrzucając myjkę do miski, rzekł: – Dowód na to, że kłamiesz, mamy właśnie przed sobą.

Odwróciła wzrok.

– Pod każdym liczącym się względem Edmund jest moim synem.

– Nie chciałem o tym wspominać – rzekł Marcus – ale przy ostatnim wypadku dzieworództwa nad Betlejem pokazała się gwiazda. – Głos mu stwardniał. – Powiedz mi prawdę. Powiedz, dlaczego pozwalasz wszystkim uważać, że Edmund jest twoim synem, zrodzonym z małżeństwa z Hugh. – Oczy mu błysnęły. – Z chwilą powrotu z Indii narzuciłaś baronowi oszusta i pozwoliłaś, by ten stary człowiek uwierzył, że dziecko, które uwielbia, jest jego prawowitym dziedzicem. Wytłumacz, jeśli potrafisz, jak to się stało, że następny baron Manning będzie dzieckiem z nieprawego łoża – bez prawa do tytułu czy majątku. I powiedz też, jeśli łaska, dlaczego mam ci pomagać w utrzymaniu tej mistyfikacji. – Pochylił się do przodu i zbliżając ciemne oblicze na parę cali do jej twarzy, zapytał ostro: – Czyś ty w ogóle wyszła za Hugh? Czy to też jest kłamstwo?

Zarazem przerażona i wściekła, postanowiła dać mu próbkę swego temperamentu. Gwałtownie podniosła głowę i obrzuciła go piorunującym spojrzeniem. – Hugh i ja pobraliśmy się w Londynie na podstawie specjalnego zezwolenia. Możesz sam to sprawdzić, jeśli mi nie wierzysz – odpaliła ze złością. Odsuwając go na bok, zsunęła się z łóżka i sięgnęła po

ciepły, żółty szlafrok. Włożywszy go na siebie, byle jak owiązała się paskiem w talii. Okrywszy nagość, poczuła się pewniej, a ponieważ pierwszy gniew już jej przeszedł, uniosła wzrok ku Marcusowi i rzekła bezradnie: – Hugh tak chciał. Jeszcze przed narodzinami Edmunda upierał się, by nie wyjawiać prawdziwego pochodzenia chłopca. – Gdy zalały ją wspomnienia tych pierwszych, nerwowych, nieszczęsnych dni w Indiach, poczuła ucisk w gardle. Wiedziała od początku, że trzeba będzie powziąć jakieś decyzje w sprawie mającego się narodzić dziecka, ale podczas długiej, męczącej podróży morskiej do Bom baju odpychała od siebie tę świadomość. Ona – oni wszyscy – uwikłali się w straszliwę matnię, narażając życie dziecka, a to wszystko była jej wina. Jej straszna, niewybaczalna wina! Gdybyż nie była taka porywcza i nie przekonała Hugh, żeby się z nią ożenił... Opadły ją wyrzuty sumienia i jej oczy napełniły się łzami. – To wszystko moja wina – wymamrotała, wpatrując się w swoje stopy.

– Wątpię – rzekł sarkastycznie Marcus. – Samodzielnie nie wyczarowałabyś Edmunda nie wiadomo skąd.

Mimo powagi sytuacji omal nie uśmiała się z tego konceptu. Marcus potrafi mocno stąpać po ziemi.

Podniósł się, wziął szlafrok i narzucił go na ramiona. Był wstrząśnięty ponad wszelkie wyobrażenie. Gdy się zorientował, że Isabel jest dziewicą, poczuł niezmierną radość... i wyrzuty sumienia, że nie okazał jej większej troskliwości. Ale rozsądek odzyskał tylko na sekundę, praktycznie cały czas myślał wyłącznie o tym, by ulżyć demonom pożądliwości, które nim owładnęły. Gdy wniknął w jej miękkie ciało, rozum go opuścił. Dopiero potem, w tej krótkiej chwili, gdy leżał obok niej na łóżku, zastanowił się nad wszelkimi konsekwencjami zaistniałej sytuacji.

Czując, jakby zanurzał się w otchłani, Marcus usiłował zrozumieć to, czego się dowiedział – albo sądził, że się dowiedział. Isabel była dziewicą. To wie na pewno. Jego spojrzenie opadło na zabarwioną na różowo wodę w misce. Nigdy nie urodziła dziecka, toteż Edmund nie może być jej synem.

Zmarszczył brwi. Chłopiec jest bezsprzecznie z rodu Manningów i nie wątpił, że Edmund jest synem Hugh, ale nie Isabel. Więc dlaczego wróciła z Indii, twierdząc, że Edmund jest jej synem? By dać sobie czas do namysłu, podniósł miskę i myjkę.

Isabel przyglądała się, jak sprawnie usuwa wszelkie ślady krwi, starannie płucząc myjkę, którą mył Isabel, po czym bierze miskę z zabrudzoną wodą, podchodzi do jednego z okien, otwiera je i wylewa

świadectwo jej dziewictwa. Po wszystkim Marcus postawił miskę na stoliku obok łóżka, odwrócił się i spojrzał na żonę.

Utkwiwszy w niej wzrok, rzekł z goryczą:

– Stanowię teraz część twego kłamstwa. Tylko my dwoje wiemy, że ty i Hugh nigdy nie skonsumowaliście małżeństwa oraz że Edmund nie jest twoim synem.

Skinęła głową, zbyt wzburzona, by się odezwać. Zawsze wiedziała, że Marcus nigdy nie zdradzi tajemnicy jej i Edmunda, ale dopiero w tym momencie zrozumiała, co odrzuciła, o niczym mu nie mówiąc. Ani razu nie dała mu szansy, by sam zdecydował, czy chce być częścią tego kłamstwa, w którym ona żyła od chwili, gdy po raz pierwszy dowiedziała się o Edmundzie. Pragnąc zapewnić synowi pozycję – a o Edmundzie zawsze myślała jako o swym synu, zdecydowana dotrzymać przysięgi, którą złożyli z Hugh pewnego gorącego, tragicznego dnia przed wieloma laty – nigdy nie zastanawiała się nad rolą Marcusa w tym kłamstwie. Nie przyszło jej do głowy, że w jego imieniu dokonała wyboru.

Przyznała smętnie, że w okolicy nie było człowieka bardziej szanowanego od Marcusa Sherbrooka. Wszyscy, od najbardziej utytułowanego arystokraty po najskromniejszą pomywaczkę, wiedzieli, że Marcusowi Sherbrookowi można zaufać, gdyż jest mężem uczciwym i sprawiedliwym. A teraz uwikłała go w kłamstwo, w którym żyła na co dzień.

Uniosła rękę, jakby zapragnęła go dotknąć, po czym opuściła ją wzdłuż boku. – Przepraszam – rzekła po prostu. – Nie chciałam cię w to wciągać.

– A jak chciałaś utrzymać mnie od tego z daleka? – zapytał, sam nie wiedząc, co go bardziej złościło – czy to, że nie zaufała mu na tyle, by wyznać prawdę, czy też, że dopilnowała, by nie mógł zrobić nic innego nad przedłużanie spisku. – Przecież prawda wyszłaby na jaw z chwilą odkrycia przeze mnie, że jesteś dziewicą. Musiałaś to wiedzieć.

Porywczy temperament znowu ją poniósł, z oczyma roziskrzonymi gniewem wybuchnęła: – Zechciej sobie przypomnieć, że robiłam wszystko, co w mojej mocy, by zerwać nasze zaręczyny. – Wycelowała w niego palec. – To twoja wina! Nie chciałam za ciebie wychodzić! Zmusiłeś mnie do tego małżeństwa, a gdybyś się ze mną nie ożenił, niczego byś się nie dowiedział. Więc mnie nie obwiniaj!

Marcus skrzywił się. Tu go miała. – No dobrze – przyznał. – To moja wina, że się pobraliśmy i z tej racji zostałem dopuszczony do pewnych nieoczekiwanych prawd, czy też kłamstw. – Oczy mu się zwęziły. – To właśnie z tego powodu szantażował cię Whitley? Z powodu Edmunda?

Isabel przeczesała palcami wzburzone loki. – Tak – odparła ze znużeniem.

– Ile on wie?

– Nie może niczego dowieść. Gdybym nie straciła głowy tego pierwszego dnia i nie dała mu pieniędzy, tylko udawałabym, że nie wiem, o co chodzi, pewnie poszedłby sobie precz. – Westchnęła. – Ale skoro raz zapłaciłam, zachowuje się jak szakal, który wyczuł zdobycz tygrysa; wie, że coś jest gdzieś ukryte i będzie krążył tak długo, aż to znajdzie.

– Ale nie ma dowodów na nic.

Znowu westchnęła. – Nic o tym nie wiem. Medalion byłby tego najbliżej, lecz sam w sobie nic nie znaczy. – Ich oczy się spotkały. – Tyle że nie wiedziałam, co ma, i nie mogłam ryzykować. – Prosząc wzrokiem o zrozumienie, dodała: – Ale nawet bez medalionu, nawet gdyby nie zdołał niczego udowodnić, wystarczy, by zasiał podejrzenia wśród znajomych. Gdyby zaczęto snuć domysły, czy aby Edmund jest prawowitym synem Hugh, jego życie zostałoby zniszczone, a baron nigdy nie zaznałby spokoju. Okoliczności mojego niespodziewanego małżeństwa z Hugh z pewnością wywołały tu, w kraju, wiele plotek. A gdy wieść o narodzinach Edmunda dotarła do dworu w Manning, z pewnością niektórzy nieco się zdziwili, zaczęli obliczać na palcach i wyszło im, że przyszedł na świat po ośmiu miesiącach od ślubu. – Roześmiała się gorzko. – Prawdopodobnie nikt niczego więcej się po mnie nie spodziewał, lecz jeśli ktoś bacznie by się temu przyjrzał, wpadłby na to, że w czasie, gdy Edmund został poczęty, Hugh nie było nawet w okolicy. – Ze znużeniem dodała: – Za życia Hugh często się tym niepokoiliśmy, ale nie było żadnego powodu, by ktokolwiek się tą kwestią bliżej zainteresował albo usiłował dowieść, że wbrew naszym twierdzeniom Edmund nie jest synem moim i Hugh. – Isabel zacisnęła rękę i rzuciła Marcusowi błagalne spojrzenie. – Lecz jeśli Whitley zacznie zadawać pytania, węszyć, wysuwać wątpliwości, jest możliwe, choć po tylu latach mało prawdopodobne, że ktoś odkryje prawdę. Nie chciałam ryzykować.

Marcus wrócił myślą do tych bolesnych miesięcy, gdy Isabel uciekła i poślubiła Hugh. Zbyt dobrze pamiętał plotki i domysły, a jeszcze lepiej chytre spojrzenia i pobłażliwe uśmieszki, jakie wymieniały między sobą stare kocury, gdy baron, uszczęśliwiony i dumny, mówił o swym wnuku Edmundzie. Powinien był wówczas odgadnąć przyczyny tych uśmieszków, ale wtedy nadal przytłaczała go świadomość, że utracił Isabel na zawsze... i że urodziła mężowi syna. Jeszcze teraz czuł dojmującą, czarną rozpacz, która nim w tamtych dniach targała. Otrząsnął

się. O tym nie ma już mowy. Isabel jest obecnie jego żoną. Po twarzy przebiegł mu uśmiech radości. I nigdy nie należała do Hugh...

Wpatrywał się w jej drobną figurę, świadom, że w sumie nie obchodzi go, jakie kłamstwa czy półprawdy wykoncypowali oboje z Hugh na temat Edmunda. Obchodziło go tylko to, że Isabel znajduje się tutaj i jest jego żoną. Jego żoną. Nie Hugh. Żoną Hugh nie była nigdy.

Marcus usiłował wzbudzić w sobie wyrzuty sumienia z powodu ogromnej radości, jaką sprawiła mu ta wiedza, ale go to przerastało. Nie jestem, pomyślał z żalem, aż tak szlachetny. Napominając się, że gra toczy się o ważniejsze sprawy niż jego osobista satysfakcja, skupił myśli na kłamstwach otaczających narodziny Edmunda. Słusznie czy nie, Isabel niosła samotnie to brzemię przez ponad dziesięć lat i choć Marcus może się wściekać, że nie dała mu szansy, by ponieść je wraz z nią, chce usłyszeć prawdę.

Rozejrzawszy się po niewieścim pokoju, skrzywił się na widok dwóch maciupkich krzeseł. Czeka ich długa noc, a Marcus za żadne skarby nie będzie gniótł się na którymś z tych mebelków w sam raz dla skrzatów.

– Chodź do mojego pokoju – powiedział nagle. – Pali się tam na kominku. – Spojrzał na dzbanek z herbatą, wstrząsnął się i wymamrotał pod nosem: – I do picia znajdzie się coś znacznie mocniejszego nad ten przebrzydły wywar.

Isabel była wdzięczna za ten przerywnik i nie odezwała się, gdy wziął ją za rękę i praktycznie zaciągnął z jej sypialni do swojej. Dopiero gdy rozsiadł się w obitym moherem fotelu w kolorze burgunda przy żywo płonącym ogniu i wsunął Isabel go ręki kieliszek brandy, rzekł:

– A teraz powiedz mi. Wszystko.

# Rozdział 13

Isabel rozejrzała się po wygodnie urządzonym pokoju, który oświetlały jedynie dwa srebrne świeczniki stojące na szerokim, rzeźbionym gzymsie z dębowego drzewa. Zbierała się na odwagę, zastanawiając się, od czego zacząć. Od zbyt wielu lat żyła w obawie, że któregoś dnia wydarzenia związane z narodzinami Edmunda przedostaną się do wiadomości publicznej i wszelkie wysiłki jej, Hugh i matki Edmunda pójdą na marne. Nie wszystkie żywoty zostaną zrujnowane – matka Edmunda i Hugh nie żyją – ale Edmund i lord Manning żyją jak najbardziej, i to ze względu na nich utrzymywała tę mistyfikację. Spojrzała na zaciętą twarz Marcusa. Teraz to nie będzie tylko jej sprawa... Chcąc zyskać na czasie, napiła się brandy. Trunek ciepłą strużką popłynął z gardła do żołądka, a wiedząc, że nie ma co dłużej zwlekać, wzięła głęboki oddech i rzekła:

– Miała na imię Roseanne Halford.

Marcus podskoczył.

– Jedyna córka Niezdary Halforda?

Isabel wzruszyła ramionami. – Nie mam pojęcia, ale to możliwe. Roseanne pochodziła z wysoko skoligaconej rodziny. – Wychylając się do przodu, rzekła gwałtownie: – Nie wzięła się znikąd. Pochodzi z rodziny równie dobrej, jak twoja i moja. Ojciec chciał ją wydać za dziedzica baronii, choć nigdy tego publicznie nie ogłoszono.

Marcus zmarszczył brwi, przypominając sobie krążące niegdyś pogłoski o Halfordzie i lordzie Brownleighu, którzy byli wielkimi przyjaciółmi. Mówiło się wtedy o możliwym małżeństwie córki Halforda z dziedzicem Brownleigha. Niespodziewana śmierć córki Halforda podczas jej podróży po Włoszech była ciosem dla obu rodzin i przekreśliła ich nadzieje na połączenie rodów. Skoro Roseanne Halford umarła w Indiach, bo ku temu zmierza opowieść Isabel, wygląda na to, że Halford nieco zmienił fakty dotyczące okoliczności śmierci córki.

Skoro Marcus nie odpowiadał, Isabel ciągnęła cicho ze wzrokiem

utkwionym w ogień: – Hugh poznał ją, gdy podróżował po północnej Anglii i kiedy... – Na wspomnienie tego strasznego dnia przeszył ją spazm bólu. Zaczerpnęła spazmatycznie powietrza i opowiadała dalej: – A gdy umarła, napisałam do jakiegoś pana Halforda we dworze Vyne w Bellingham, że jego córka odeszła. – Jej twarz przybrała twardy wyraz: – Nie napisałam mu, w jaki sposób umarła, tylko że podczas odwiedzin u znajomych w Bombaju śmiertelnie zachorowała.

– Dwór w Vyne to wiejska posiadłość Halforda – rzekł cicho Marcus. – A więc jego córka jest matką Edmunda. – Zawahał się, czekając, aż Isabel podejmie opowieść, ale skoro milczała, ponaglił ją: – Ona i Hugh poznali się i...

– Zakochali się w sobie – zaczęła ze znużeniem Isabel. – Hugh oświadczył się o rękę Roseanne, ale jej ojciec mu odmówił. – Rzuciła mu szybkie spojrzenie. – W owym czasie Hugh nie był uprawniony do dziedziczenia tytułu, a pan Halford poinformował go, że ma lepszą partię dla swej jedynaczki.

Marcus skinął głową.

– Halford był ambitny.

– I jego ambicja zabiła córkę – rzekła szorstko Isabel. – Gdyby pozwolił jej wyjść za Hugh, może jeszcze by żyła. – Ogarnięta nagłym smutkiem, wymruczała cicho: – Nawet Hugh mógłby nadal żyć. Był tak... tak nieszczęśliwy po jej śmierci, że starał się trzymać jak najdalej od domu. Gdyby nie Edmund... i ja, bez wątpienia zatraciłby się w dżungli. – Zacisnęła dłoń. – Ale gdyby to Roseanne czekała na niego w domu, nie nocowałby w tej nędznej chatce w środku dżungli, gdzie ukąsiła go kobra.

Chcąc odwrócić uwagę Isabel od tego wątku, Marcus zapytał:

– Hugh i Roseanne przypuszczali, że się pobiorą?

– Byli zakochani – odparła ze smutkiem. – Nie zamierzali, ale... – Spojrzała na niego wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu. – Hugh był honorowym człowiekiem – oświadczyła z głębokim przekonaniem. – Zamierzał się z nią ożenić. Nigdy by jej nie opuścił. Kiedy ojciec odebrał im wszelkie nadzieje, Hugh błagał ją, by z nim uciekła, ale była zbyt bojaźliwa, by przeciwstawić się ojcu. Kiedy Hugh opuścił Bellingham, żadne z nich nie miało pojęcia, że ona już nosi jego dziecko.

Isabel potarła czoło i rzekła z bólem: – A potem spotkałam go nad jeziorem i wszystko zniszczyłam, namawiając go, żeby mnie poślubił. – W jej uniesionych ku Marcusowi oczach pojawił się tragiczny wyraz. – To wszystko moja wina! Gdybym nie wierciła mu dziury w brzuchu, by się ze mną ożenił, do niczego podobnego by nie doszło!

– Nie z tobą Roseanne zaszła w ciążę – zauważył sucho Marcus.

Isabel powstrzymała parsknięcie, choć wcale nie było jej do śmiechu.

– Nie, ale stworzyłam nieprzebytą przeszkodę na drodze do ich szczęścia.

Widząc, że Isabel wykazuje tu samolubną stanowczość, a niezbyt zainteresowany Hugh i Roseanne, Marcus zapytał z podejrzaną niefrasobliwością:

– Skoro ty i Hugh byliście małżeństwem, dlaczego go nie skonsumowaliście?

– Wiem, że ten związek to moja sprawka – przyznała – ale gdybym mogła się z niego wycofać, zrobiłabym to. Wszystko stało się tak szybko, nie było czasu pomyśleć, zastanowić się... odzyskać zdrowy rozsądek. W jednej chwili siedziałam nad jeziorem, błagając Hugh, by się ze mną ożenił i zabrał ze sobą do Indii, a w drugiej znalazłam się w londyńskim domu Manninga już jako jego żona. – Przygryzła wargę. – Niemal natychmiast, choć wówczas nie powiedzieliśmy sobie tego, oboje zdaliśmy sobie sprawę, że popełniliśmy straszliwy błąd. – Z nieszczęśliwą miną dodała: – Spędziliśmy okropne popołudnie, usiłując udawać, że ślub sprawił nam ogromną radość. A wieczorem... – Przełknęła ślinę. – A wieczorem, gdy przyszedł do mojej sypialni, zamknęłam mu drzwi przed nosem. Był moim mężem, ale też kompletnie obcym człowiekiem, którego się bałam. Całą noc przeleżałam skulona w łóżku, trzęsąc się ze strachu. Hugh zszedł na dół i upił się jak bela.

Marcus usiłował wzbudzić w sobie współczucie dla Hugh, ale mu się nie udało, natomiast gorąco pochwalał postępowanie Isabel.

– A następnego ranka? Co się stało?

– Hugh był bardzo miły. Powiedział, że oboje przeżywamy trudne chwile, ale mamy przed sobą całe życie i nie ma co się spieszyć. Za dwa dni odpływał do Bombaju i przed jego odjazdem czekało nas mnóstwo pracy. Powiedział, że czułości możemy odłożyć do mojego przyjazdu do Indii. Przysiągł, że będzie się do mnie zalecał, jak winien był się zalecać przed ślubem, i skonsumujemy nasze małżeństwo dopiero, gdy będę do tego gotowa.

Temu rozumowaniu Hugh Marcus nie mógł nic zarzucić.

– Ale, jak rozumiem, Roseanne zjawiła się, zanim zdołał wcielić w życie ten godzien pochwały plan?

– Tak. Hugh przygotował wszystko do mojego wyjazdu statkiem, który odpływał dwa tygodnie po nim. Zatrudnił dla mnie towarzyszkę, panią Wesson, i umówił się ze swoim młodym kolegą, panem Akridgem, który zaokrętował się na ten sam statek, by służył mi jako osoba towarzysząca. Przed wyjazdem otworzył mi rachunek, z którego miałam

czerpać, oraz przygotował listę zakupów, jakie winnam porobić – co załatwił jego londyński plenipotent, pan Babb. – Uśmiechnęła się słabo do Marcusa. – Hugh był bardzo sprawny i postarał się, żebym nie musiała się o nic martwić.

– Póki w twoich drzwiach nie stanęła Roseanne. Do czego, jak się domyślam, doszło?

Isabel skinęła głową. – Tak. Dokładnie w dzień po odpłynięciu Hugh. Strasznie się bała, że ojciec ją odnajdzie, i była wyczerpana gorączkową podróżą, by zdążyć do Hugh przed jego wyjazdem. Gdy mnie zobaczyła, była zdruzgotana. – Isabel zadrżała. – Nigdy nie zapomnę jej miny i przerażenia w głosie, gdy krzyknęła: „Jego żoną” i zemdlona padła mi u stóp.

– Zapewne nie było to dla ciebie szczególnie przyjemne.

– Nie, nie było. Kazałam Williamowi, kamerdynerowi, by zaniósł ją na górę, do którejś sypialni, i wezwałam lekarza. Właśnie zaczął ją badać, kiedy wróciła jej przytomność. – Potrząsnęła głową. – Biedna Roseanne! Była strasznie zagubiona, przerażona i wystraszona, gdy obudziła się w obcej sypialni i pochylał się nad nią jakiś obcy człowiek. Trochę to trwało, zanim zdołaliśmy ją uspokoić i zapewnić, że jest bezpieczna i że nic jej nie grozi.

Isabel upiła mały łyk brandy i utkwiła wzrok w ogniu. Myślami była daleko. W końcu otrząsnęła się i spojrzała na Marcusa. – Była słodką panienką, wychowaną pod kloszem, i Hugh znalazłby w niej wymarzoną żonę. – Uśmiechnęła się słabo do napływających raptownie wspomnień. – Roseanne była uległa, zgodna i tak starała się każdemu dogodzić, że wszyscy ją lubili.

– Ty najwyraźniej tak.

Skinęła potwierdzająco. – Nim umarła, kochałam ją tak bardzo, że wszystko bym dla niej zrobiła. Wiem, że trudno ci będzie w to uwierzyć – znałyśmy się raptem trochę ponad pół roku – ale w tym czasie stała się dla mnie siostrą, której nigdy nie miałam. Nie było między nami zazdrości, nie kochałam Hugh, ani wtedy, ani nigdy, i nade wszystko pragnęłam, by byli razem, tak jak powinni. Obwiniałam się za tę sytuację, w której wszyscy się znaleźliśmy, ale Roseanne – jej oczy wypełniły się łzami – Roseanne obwiniała siebie i starała się mnie pocieszać!

– Przypominam ci, że to nie była twoja wina. Hugh nie powinien był uciekać ze smarkulą, która dopiero co skończyła szkołę. Jeśli ktoś tu ponosi winę – stwierdził ponuro Marcus – to Hugh. Nie ty. Ani nawet nie Roseanne.

Isabel uśmiechnęła się smutno.

– Zapominasz, jaka potrafi ę być uparta, kiedy czegoś chcę. Nie dałam Hugh czasu na zastanowienie. Zmusiłam go do tego małżeństwa.

– Miałaś siedemnaście lat! – powiedział Marcus ze złością. – A on ponad trzydzieści. Powinien był mieć więcej rozumu.

Isabel lekceważąco machnęła ręką.

– To teraz nieważne. Teraz i zawsze ważny jest los Edmunda.

Marcus powściągnął swój niespodziewany wybuch temperamentu.

– Tak, tak, naturalnie. Opowiedz mi resztę.

– Gdy doktor i wszyscy zostawili nas same, przerażonej i zrozpaczonej Roseanne wyrwało się, że będzie miała dziecko z Hugh. Byłam wstrząśnięta, bo to całkowicie zmieniało sytuację. Nie chodziło tylko o to, że nie może poślubić ukochanego mężczyzny, w grę wchodziło teraz dziecko. Ona będzie miała zszarganą reputację, lecz, co gorsza, dziecko zostanie napiętnowane jako bękart, kolejny nieprawy potomek dobrze urodzonego dżentelmena. Roseanne i ja połączyłyśmy siły, by oszczędzić mu takiego losu, na szczęście tego samego zdania był Hugh.

Dziadek Marcusa, stary baron, zaśmiecił całą angielską wieś swymi bękartami, toteż wnuk doskonale rozumiał postawę najbliższych Edmunda i pochwalał ją. Zawsze przerażała go liczba nieprawych dzieci dziadka, a choć stary baron beztrosko je uznawał i łożył na ich utrzymanie, nawet błogosławieństwo znamienitego arystokraty nie zdołało zdjąć z nich piętna pochodzenia z nieprawego łoża. Wstęp do wyższych sfer był dla nich zamknięty, a ich pozycja życiowa nie zawsze była łatwa. Hugh usiłował postępować honorowo i Marcus go za to nie winił, choć obciążał go odpowiedzialnością za zaistniałą sytuację. – A więc ty i Roseanne popłynęłyście razem do Indii, by przedstawić całą sprawę Hugh – bo też to on winien się był nią zająć – rzekł, widząc, że Isabel spogląda na niego wyczekująco.

– Tak, zwolniłam panią Wesson, a jej miejsce zajęła Roseanne. Kazałam panu Babbowi poczynić odpowiednie przygotowania i kupić dodatkowe rzeczy, które będą nam potrzebne. – Spojrzała na swój szlafrok, bezwiednie zwijając róg jego połowy w harmonijkę, a następnie go wygładzając. – Podróż do Bombaju była koszmarem. Dostałyśmy ciasną kajutę, a na jedzenie pod koniec nie mogłyśmy patrzeć. Płynęliśmy ponad cztery miesiące, które Roseanne w większości przechorowała. Była wątłej budowy i bałam się, że umrze albo straci dziecko. Cały czas byłam przerażona.

– Zakładam, że pan Akridge nie miał o niczym pojęcia?

– O, absolutnie. Prawie nie opuszczałyśmy kajuty. – Isabel zrobiła skruszoną minę. – Chyba nawet wtedy starałam się chronić Roseanne

i dziecko i już przyszło mi do głowy, że mogłam udawać matkę dziecka, Roseanne zaś pozostałaby przy nim jako opiekunka. Widziałam kilka trudności, ale wszystkie wydawały mi się do przezwyciężenia. Byłam pewna, że Hugh się na to zgodzi. Najważniejszą sprawą był czas urodzin dziecka. – Zerknęła na Marcusa. – Edmund jest w istocie sześć tygodni starszy, niż się powszechnie uważa.

– Już na to wpadłem. – Pociągnął długi łyk brandy. Widząc, że jego kieliszek jest pusty, nalał sobie następny i stojąc przy kominku, oparty o gzyms, spojrzał przez pokój na Isabel. – Jak się zachował Hugh, gdy stanęłyście we dwie na progu jego domu? – zapytał.

– Och, Marcusie! – wyszeptała. Oczy jej rozbłysły. – Szkoda, że nie widziałeś jego miny, gdy zobaczył Roseanne. Jakby rozświetliło go najjaśniejsze światło we wszechświecie. A miłość... – Stłumiła szloch. – Cała jego twarz, cała istota promieniowała miłością do niej. – Głos jej ochrypł. – A potem jego spojrzenie padło na mnie... To było okropne. Najgorsza chwila mojego życia.

– Wielki Boże! Ten drań chyba nie zrzucał winy na ciebie? – wykrzyknął Marcus, rozzłoszczony na samą myśl o tym.

Isabel potrząsnęła głową. – Nie. Nigdy! Tylko w tej jednej chwili, gdy wydało mu się, że spełniło się jego najskrytsze marzenie. Już w następnej uświadomił sobie, w jakim koszmarze wszyscy razem tkwimy.

– Co było jego dziełem – warknął Marcus.

– Być może – przyznała Isabel, nie chcąc się z nim spierać. – Ale mimo trudności, jakie się przed nami piętrzyły, nie posiadał się ze szczęścia na wieść, że Roseanne nosi jego dziecko.

– I pewnie żadne z was nie pomyślało o możliwości unieważnienia małżeństwa? – zapytał sarkastycznie.

– Owszem. Hugh myślał o tym. Ale czas nam nie sprzyjał. W Indiach tego nie dałoby się przeprowadzić. Zanim wróciłabym do Anglii i załatwiła unieważnienie, dziecko zdążyłoby się urodzić. – Wpatrzyła się w przestrzeń. – Gdyby Roseanne żyła, mimo skandalu znaleźlibyśmy sposób, by zakończyć to małżeństwo, pod warunkiem że interesy dziecka byłyby zabezpieczone. – Uniosła wzrok ku Marcusowi, prosząc o zrozumienie. – Za wszelką cenę chcieliśmy chronić dziecko, a także Roseanne, przed hańbą i kompromitacją. Nie przemyśleliśmy wszystkich konsekwencji, ale cała nasza trójka była zgodna, że dla świata to ja miałam być w ciąży. Po paru dniach od przybycia do Bombaju napisałam do barona, że jestem przy nadziei.

– Tak, wiem – odparł sztywno Marcus, przypominając sobie wściekłość i ból, jakie przeżył, gdy doszła go ta wieść. Baron był

niezwykle szczęśliwy, śmiał się i ciągle opowiadał o mającym się narodzić dziecku, a Marcus chodził jak błędny, waląc pięścią w kamienny mur. Westchnął ciężko. – Beształ nawet Roberta za to, że ociąga się ze spłodzeniem dziedzica.

– W owym czasie – rzekła z głębokim przekonaniem Isabel – nie mieliśmy wszak pojęcia, że w końcu to Edmund odziedziczy tytuł. Zakładaliśmy, że Robert i jego żona Georgina będą mieli dzieci. Choć byli małżeństwem od kilku lat, nadal uważałam, jak wszyscy, że Robert i Georgina jeszcze doczekają się potomstwa. – Uśmiechnęła się, wspominając: – Pamiętam, jak wszyscy się ucieszyliśmy, gdy okazało się, że Georgina jest przy nadziei. Edmund zyskałby kuzyna, z którym mógłby się bawić, i naturalnie baron był uszczęśliwiony perspektywą posiadania kolejnego wnuka. Miał nadzieję, że to będzie chłopiec, syn Roberta i kiedyś jego dziedzic. – Westchnęła i pokręciła głową. – Nikt się nie spodziewał, że Robert i Georgina wraz ze swym nienarodzonym dzieckiem utopią się w wyniku wypadku na łódce, Hugh umrze, a Edmund odziedziczy tytuł.

Zważywszy wszystko, Marcus podejrzewał, że gdyby – co nie daj Boże – kiedykolwiek znalazł się w położeniu Hugh, prawdopodobnie postąpiłby tak samo, zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by syn nie cierpiał za błędy ojca. Albo żeby kobieta, którą kochał, nie została skompromitowana. Nie winił Hugh za to, że chciał chronić Roseanne i zapewnić synowi należną mu pozycję w świecie. A że Edmund ma zostać następnym lordem Manningiem? Isabel miała rację, nikt się nie spodziewał śmierci Roberta i Georginy. Z nachmurzoną miną wpatrywał się w swe bose stopy wystające zza skraju szlafroka. Chciał się na kogoś wściec, oszkalować Hugh za wszystkie stracone lata, ale nie mógł. To fakt, że Isabel żyła w kłamstwie, że dziecko innej kobiety podawała za własne, ale czyż przez to stało się coś złego? Roseanne Halford pod każdym względem godna była zostać żoną Hugh i gdyby się pobrali, Edmund zostałby prawowitym wnukiem lorda Manninga i dziedzicem baronii. Co to komu szkodzi, że kłamstwo będzie utrzymywane nadal?

Przez chwilę zastanawiał się nad możliwymi konsekwencjami wynikającymi z tego dla Garretta Manninga, potem wzruszył ramionami. Garrett ma spory własny majątek, nie potrzebuje posiadłości ani pieniędzy lorda Manninga. A choć, na ile znał Garretta, posiadanie tytułu sprawiłoby mu przyjemność, to nie przykładałby do tego większej wagi.

Pociągnął łyk brandy. W istocie nie musi podejmować żadnych decyzji. Dokonał wyboru, niszcząc wszelkie dowody dziewictwa Isabel. Uśmiechnął się cierpko – przecież nie może się uskarżać na to, że jego

żona była dziewicą.

Isabel spojrzała na niego z bolesnym napięciem. – Co zamierzasz? – zapytała.

Uśmiechnął się do niej łagodnie.

– Nic. Absolutnie nic. Dla świata, a także dla mnie, Edmund jest twoim synem.

Isabel wybuchnęła płaczem. – Och, Marcusie! Dzięki! Nie masz pojęcia, jak się obawiałam... – Głos jej zdławiły łzy, mogła się tylko wpatrywać w męża, przytłoczona nagłą ulgą, że nie musi się już obawiać odkrycia swej tajemnicy.

Marcus zmełł w ustach przekleństwo i odstawiwszy kieliszek, wziął ją w ramiona. – Cii... – wyszeptał. – Cii... – Potrząsnął nią lekko. – Ty mała gąsko! Czyż mógłbym zrobić krzywdę tobie lub Edmundowi? – Opuszkiem palca starł spływającą łzę. – Ja też go kocham. Nie chciałbym, by nosił piętno bękarta Hugh, ani patrzeć, jak w oczach starego gaśnie radość.

Przełykając łzy, Isabel ukryła głowę na jego piersi. Pociągając nosem, wyznała cicho: – Ufałam ci. Po prostu żyłam z tą tajemnicą tyle lat, że n... n... nie wiedziałam, co zrobić. Wszyscy nie żyją i nie miałam z kim o tym porozmawiać. – Uniosła ku niemu zalane łzami oczy. – Obiecałam Hugh i Roseanne – powiedziała ochrypłym głosem. – W dniu, w którym umarła Roseanne, przysięgliśmy wszyscy razem, że nikt nie dowie się prawdy. A Hugh i ja ślubowaliśmy, że dla świata Edmund będzie naszym dzieckiem.

Marcus pocałował ją w czoło i siadając z nią w ramionach na fotelu przy kominku, zapytał cicho:

– Roseanne umarła przy porodzie?

Wyczuł raczej niż zobaczył skinienie jej głowy. – To był bardzo trudny poród. – Zadrżała, toteż mocniej ścisnął ją w ramionach. – Straciła mnóstwo krwi, strasznie cierpiała i bardzo się bała. Wezwaliśmy doktora, pana Evansa, ale nic nie mógł poradzić. To był długi, ciężki poród i gdy Edmund przyszedł na świat, Roseanne całkiem opadła z sił. Położyliśmy go w jej ramionach, a ona pocałowała synka, błagała, żebym przysięgła, że nigdy nie wyjawię prawdy, a potem po prostu odeszła.

– Jak zdołaliście ukryć, co się dzieje? Przecież spotykałaś się ze znajomymi i kolegami Hugh, jak choćby z naszym przyjacielem majorem Whitleyem?

Isabel potrząsnęła głową. – Nie, dopiero po narodzinach Edmunda. Skoro wszyscy zgodziliśmy się, że Edmund ma być moim synem, w parę dni po naszym przybyciu do Bombaju Hugh przeniósł nas w górskie

okolice, gdzie mogliśmy żyć w domowym zaciszu, nie przejmując się Brytyjczykami mieszkającymi w mieście. W czasie tych pierwszych miesięcy Hugh zniechęcał gości, twierdząc, że źle się czuję i nikogo nie przyjmuję, ale gdy tylko dziecko się urodzi, wrócę do Bombaju i chętnie rozpocznę życie towarzyskie. – Gdy utuliła się już w żalu, oparła głowę na ramieniu Marcusa i rzekła: – Hugh był zdruzgotany po śmierci Roseanne. Pochowaliśmy ją po cichu w pobliżu domu, w którym mieszkaliśmy. Hugh miał tam kilkusethektarową posiadłość. Po jej śmierci powiadomił wszystkich w Bombaju, że moja towarzyszka, która przypłynęła ze mną z Anglii, zmarła z powodu gorączki. To było dla niego straszne. Stracił miłość swojego życia, ale musiał udawać, że wszystko układa się wspaniale, a on z radością wyczekuje na urodziny pierwszego dziecka. – Zwróciwszy wzrok gdzieś w dal, wyszeptała: – Gdy ją pochowaliśmy, rozpaczał straszliwie, aż się bałam, że pójdzie za nią do grobu. Wiem, że tylko mały Edmund trzymał go przy życiu. – Wyprostowała się nieco i otarła łzy z oczu. Mocniejszym głosem ciągnęła dalej: – Bardzo niepokoiliśmy się tym, że Evans wiedział o śmierci matki dziecka, ale nic nie mogliśmy zrobić. Był milczącym człowiekiem, samotnikiem i rzadko opuszczał naszą okolicę. A nawet gdyby o tym głośno opowiedział, nie miał żadnego dowodu. I dlaczego właściwie miałabym uznać cudze dziecko za własne? – Westchnęła. – Dręczyliśmy się tym, ale nie chcieliśmy pogarszać sytuacji, proponując mu pieniądze za milczenie. Musieliśmy ufać, że los będzie nam sprzyjał.

– To było dość ryzykowne, nieprawdaż?

– Strasznie. Ale w owym czasie nie wiedzieliśmy, co zrobić, by zmniejszyć ryzyko.

– Myślisz, że Whitley z nim rozmawiał? I że ruszył twoim tropem, gdy się czegoś od niego dowiedział?

Potrząsnęła głową.

– Nie, jestem prawie pewna, że to niemożliwe. Evans utonął w następnym roku w czasie pory deszczowej, gdy chciał dostać się na drugi brzeg rzeki, a z tego, co wiem, Whitley i Evans nigdy się nie spotkali.

Marcus zaniepokoił się, że Evans znał prawdę, ale podejrzewał, że gdyby Whitley rzeczywiście z nim porozmawiał i dowiedział się, że to towarzyszka Isabel, nie zaś żona Hugh powiła synka, śmielej próbowałby ją szantażować. A działał raczej jak człowiek, który nie ma w ręku mocnych argumentów.

Przerywając tok jego myśli, Isabel odezwała się: – Narodziny Edmunda trzymaliśmy w tajemnicy przez ponad półtora miesiąca,

a potem Hugh, przez cały czas opłakując utratę Roseanne, musiał udawać, że właśnie urodził mu się syn. A ponieważ Edmund przyszedł na świat rzekomo sześć tygodni później niż w rzeczywistości, musiałam jeszcze przez parę tygodni pozostawać w odosobnieniu, zanim mogłam powrócić do Bombaju z moim miesięcznym dzieckiem. – Uśmiechnęła się na wspomnienie tych dni. – Przez pierwszy rok jego życia wszyscy dziwili się, jak duży jest na swój wiek.

– Nie czułaś się niezręcznie w tej sytuacji? – zapytał Marcus, unosząc brwi.

Isabel potrząsnęła głową.

– Pokochałam Edmunda z chwilą, gdy się urodził, i kochałam też jego matkę. Obiecałam Roseanne, że zawsze będę go chronić, ale tej obietnicy łatwo było dotrzymać.

– Wspominałaś, że Roseanne była ci bardzo droga i że kochasz Edmunda, ale nigdy nie mówiłaś, o miłości do Hugh. Nie kochałaś go? – Czekając na odpowiedź czuł, jak zazdrość ściska mu serce i zawstydził się tego uczucia.

– Kochałam Hugh – przyznała Isabel – ale bardziej jak starszego brata. Był zawsze miły i troszczył się o mnie. – Wpatrywała się w ogień, myślami będąc daleko. – Trudno mi powiedzieć, jak sprawy by się potoczyły, gdyby żył. Nigdy nie byłabym miłością jego życia ani on mojego, ale zapewne jakoś by się między nami ułożyło i w końcu stalibyśmy się normalnym małżeństwem.

Jej słowa wwierciły się nieprzyjemnie w trzewia Marcusa. Prawda, że przez ostatnie dziesięć lat skrupulatnie unikał Isabel, ale w duchu był rad, że mieszka we dworze w Manning, i przez cały ten czas miał drażniącą świadomość, że nie jest już mężatką...

– A co z medalionem? – zapytał nagle.

– Należał do Roseanne. Jeśli uważnie się w niego wpatrzysz, w środku filigranu dojrzysz jej inicjały, RH. – Zmarszczyła brwi. – Nie mam pojęcia, w jaki sposób wpadł w ręce Whitleya. Przypuszczam, że Hugh go zatrzymał, nie będąc w stanie pozbyć się jedynej po niej pamiątki, gdyż wszystkie inne jej rzeczy zniszczyliśmy. Ponieważ Whitley węszył wszędzie, zapewne gdzieś na niego natrafił.

Marcus skinął głową. – To ma ręce i nogi. – Popatrzał na nią. – Pokażesz mi kiedyś, co jest w środku medalionu?

Zarumieniła się.

– Naturalnie! Chcesz teraz zobaczyć?

– Tak.

Isabel zeszła z kolan Marcusa i wspólnie szybko przeszli do jej

sypialni. Podeszła do zgrabnego biureczka, które przyjechało wraz z nią z dworu w Manning. Otworzywszy jedną z szuflad, wyciągnęła ją i sięgnęła na tył biurka, gdzie nacisnęła sprężynę, uzyskując dostęp do skrytki. Wymacała tam medalion i wyjęła go.

Patrząc na Marcusa, rzekła: – Chciałam włożyć to cacko do mojej szkatułki na biżuterię i dać lordowi Manningowi, by schował je do swojego sejfu, ale bałam się... – Bezradnie wzruszyła ramionami. – Pomyślałam, że najbezpieczniej ukryć go tutaj.

Wręczyła mu medalion i Marcus przez chwilę po prostu go trzymał, wpatrując się w misternie zdobione cacko. Isabel miała rację. Jeśli się uważnie wpatrzeć, a, jak pomyślał cierpko, teraz już wiedział, czego szukał, można dojrzeć splecione inicjały RH. Nacisnął mechanizm i z lekkim pstryknięciem otworzył medalion. Wewnątrz znajdowały się dwie pięknie wymalowane miniatury, od strony denka mężczyzny, pod pokrywką kobiety. Natychmiast rozpoznał Hugh Manninga. Uznał, że kobiecy konterfekt przedstawia Roseanne Halford.

Zerknął na Isabel.

– Hugh i Roseanne?

– Tak. Hugh zamówił portreciki i kupił medalion tuż zanim ojciec Roseanne odmówił mu jej ręki. Medalion miał być prezentem zaręczynowym, jednym z wielu. Gdy ojciec Roseanne odrzucił jego starania, Hugh i tak ofiarował jej medalion, w nadziei, że... – Westchnęła. – Nie wiem, na co liczył, ale dał go jej tuż przed swoim powrotem do dworu w Manning. Zaraz potem miał odpłynąć do Indii.

Marcus wpatrywał się w portrecik, myśląc, że Roseanne była śliczną dziewczyną, i teraz rozumiał, że obcy mogli mylić Roseanne i Isabel. Podobnie jak Isabel, miała rude włosy, choć jej loki lśniły odcieniem nie żywej rudości, lecz jasnokasztanowym. Ktoś, kto znał obie kobiety, nie wziąłby jednej za drugą, ale miały dość podobnych cech, żeby zmylić nieznajomego. Z twarzy Roseanne wyzierały niebieskie oczy, a jej rysom brakowało żywotności i wigoru, którymi odznaczało się liczko Isabel, lecz, znowu, ktoś, kto znał obie kobiety tylko przelotnie, mógł się pomylić. Marcus uśmiechnął się do siebie. Zapewne był uprzedzony, ale nigdy w życiu nie wziąłby Roseanne za Isabel.

Spojrzał na Isabel. – Była podobnej budowy, co ty? – zapytał.

Isabel przytaknęła. – Była może odrobinę wyższa ode mnie, ale dałoby się to zauważyć dopiero, gdybyśmy stanęły obok siebie. Roseanne była też bardziej, ee... zaokrąglona ode mnie – przyznała niechętnie.

Marcus podszedł do niej. Ująwszy ją pod brodę, rzekł ochryple: – Moja najdroższa, twoje okrągłości zachwyciłyby każdego mężczyznę. –

Przesunął wargami po jej ustach. – A już na pewno zachwycają mnie.

Isabel oblała się rumieńcem, lecz był to rumieniec szczęścia. – Dzięki – wyszeptała.

Marcus roześmiał się i wziął ją w ramiona. – Nie, nie dziękuj mi. Masz kuszące ciałko i wizje ciebie nagiej w moim łożu po całych nocach nie dawały mi spać.

Isabel chętnie ciągnęłaby tę niezwykle przyjemną rozmowę, lecz nade wszystko chciała wiedzieć, co Marcus zamierza zrobić z medalionem. – Widziałeś już medalion i wiesz, jaką tajemnicę zawiera. Co rozporządzisz w jego sprawie? – zapytała, odsuwając się od męża.

On również wolałby dalej rozwodzić się na temat jej powabów i wrażenia, jakie na nim wywarły – była to w końcu ich noc poślubna – lecz kwestia medalionu i jego miejsca w ich życiu kazała mu odłożyć na razie flirty z żoną.

Marcus ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w złotą ozdóbkę, którą nadal ściskał w dłoni.

– Medalion dowodzi tylko, że nim Hugh ożenił się z tobą, był rozmiłowany w Roseanne, ale jeśli znajdzie się w niewłaściwych rękach, może zrodzić najprzeróżniejsze wątpliwości co do rodowodu Edmunda.

– Zwłaszcza jeśli ktoś taki jak Whitley zacznie rozpuszczać plotki – rzekła zmartwiona Isabel – że po przybyciu do Bombaju ja i moja towarzyszka zniknęłyśmy niemal natychmiast w górskiej posiadłości Hugh. – Zrobiła przerażoną minę. – W tej opowieści wszystko się zgadza, póki nie zbada się dokładnie faktów. Parę osób ze służby, które były wówczas w rezydencji Manninga w Londynie, nadal żyje. Roseanne i ja bardzo starannie ukrywałyśmy, że jest brzemienna, a były to dopiero początki, więc zapewne nikt niczego nawet nie podejrzewał – przyznała. – Ale wiedzieli o jej nieoczekiwanym przybyciu, a także, że zwolniłam panią Wesson i na jej miejsce przyjęłam Roseanne. – Westchnęła. – Nic nie wiem o pani Wesson, lekarzu, który pierwszy badał Roseanne, czy o kimkolwiek innym, kto mógłby zapamiętać nas z tamtych dni przed wypłynięciem do Bombaju, nie mam też pojęcia, gdzie obecnie przebywają. A co do służby w Indiach... Staraliśmy się trzymać ich od tego jak najdalej, ale z pewnością ktoś mógł znać prawdę albo się jej domyślać. Jeśli Whitley rozmawiał z którąś z tych osób, bądź, co gorsza, przywiózł ją do Anglii, konsekwencje mogą być straszliwe.

– Chyba nie musimy się obawiać, że ktoś z Indii pojawi się u nas na progu. Gdyby Whitley miał w odwodzie kogoś, kto był wtedy na miejscu, dysponowałby potężnym argumentem, ale, sądząc z tego, co mi powiedziałaś, zawsze dawał ci tylko do zrozumienia, że wie więcej i ci

groził. – Zerknął na medalion. – Chyba miał tylko to – i wiedział, że zamieszkałaś w odosobnieniu od momentu przybycia do Bombaju do chwili, gdy pojawiłaś się ze swoim synem, w czym w zasadzie nie ma nic niezwykłego. Kobiety o twojej pozycji zawsze usuwają się z życia towarzyskiego do czasu narodzin dziecka.

Isabel w zdenerwowaniu cofnęła się o krok. – Masz absolutną rację i nigdy, nawet w chwilach największej rozpaczy nie sądziłam – uśmiechnęła się do niego słabo – że Whitley ma coś konkretnego. Obawiałam się, że wywoła lawinę plotek i że do końca życia Edmund będzie musiał cierpieć szeptane pogłoski na temat swego urodzenia. Większość wysoko postawionego towarzystwa po pierwszym zamieszaniu machnie ręką na te sensacje, ale wątpliwości pozostaną i Edmund zawsze będzie nosił na sobie to piętno. Do tego nie mogłam dopuścić.

– Zakładając najgorsze – rzekł Marcus, patrząc na nią z namysłem – gdyby Whitley rozgłaszał swe kłamstwa, a lord Manning zapytałby ciebie prosto z mostu, co byś mu powiedziała?

Wytrzymała spokojnie jego wzrok. – Powiedziałabym mu – odparła spokojnie – że Whitley to kłamca i szubrawiec oraz że Edmund jest synem Hugh i moim. Bez najmniejszych wątpliwości.

Skinął głową, jakby się z nią zgadzał. Jego wzrok ponownie padł na medalion. – Myślę, że ten drobiażdżek musi zniknąć – rzekł cicho.

– Czy musimy go niszczyć? – zapytała strapiona. – To jego rodzice. Myślałam, że... – Westchnęła. – Nie, masz rację. Nigdy nie powiem Edmundowi prawdy.

– Chryste! Mam nadzieję – wykrzyknął Marcus. – Bo po co?

– Masz rację, wiem. – Spojrzała na niego nieszczęśliwym wzrokiem. – Czuję się winna temu wszystkiemu.

Potrząsnął głową.

– Niesłusznie. Było, minęło.

Niechętnie skinęła głową i obracając w palcach spoczywający na jego dłoni medalion, zapytała: – Więc co zrobimy?

– Chodź ze mną – powiedział i zaprowadził ją z powrotem do swojej sypialni. Tam wyrwał oba portreciki, podszedł do kominka i cisnął je w płonący na nim ogień.

Isabel stała obok niego, czując pospołu ból i ulgę na widok znikających w płomieniach miniaturek. Gdy nie zostało z nich nic, nie odrywając wzroku od ognia, zapytała:

– A co z medalionem?

Marcus długo się weń wpatrywał, po czym cisnął go w palenisko. Ze

skrzyni na drewno wyjął jeszcze parę polan, które dorzucił do ognia.

– Żar płomieni całkiem go nie stopi, ale wymaże inicjały.

Uniosła wzrok ku jego ciemnej, pełnej powagi twarzy. – Dziękuję – powiedziała cicho. – Wiedziałam, że tak trzeba zrobić, ale nie mogłam się na to zdobyć.

Przyciągnął ją do siebie i uśmiechnął się do niej.

– Od jego zniszczenia zależało całe życie Edmunda, w końcu byś się na to zebrała.

Opierając się o jego umięśnione ciało, zapytała:

– Teraz jest bezpieczny, prawda?

– Tak, jest bezpieczny – odparł Marcus. A będzie jeszcze bezpieczniejszy, gdy Whitley zejdzie z tego świata, pomyślał.

# Rozdział 14

Kiedy Isabel obudziła się następnego ranka, ze zdumieniem stwierdziła, że leży sama we własnym łóżku. Gdy wpatrując się w jedwabny baldachim nad głową, przypomniała sobie, co się działo po zniszczeniu miniaturek i medalionu, całe jej ciało spłonęło gorącem.

Żywo stanęło jej w pamięci, jak Marcus bierze ją w ramiona i zanosi do swego łoża. Z uśmiechem na ustach, od którego serce zaczęło jej walić jak młotem, a dolna połowa ciała zmieniła się w płynny miód, położył ją na pościeli, szepcząc: – A teraz, najdroższa, będę cię kochać tak, jak powinienem był za pierwszym razem. – I dotrzymał obietnicy.

Na wspomnienie scen z tej nocy rozpłomienione ciało Isabel ogarnęła jeszcze większa gorączka. Marcus pieścił ją i całował oszałamiająco czule i uwodzicielsko, a gdy wreszcie złączył z nią swe potężne ciało, zapamiętała się w rozkoszy, pragnąc aż do bólu, by jego długi, nabrzmiały członek wniknął w nią głęboko. Jeśli jej pierwszy raz był cudowny, to za drugim razem było, och, absolutnie rewelacyjnie!

Małżeństwo z Marcusem było właśnie takie, jak Isabel sobie wymarzyła. Bała się, co mąż powie, gdy zorientuje się, że jest dziewicą, i gdy wyjdą na jaw wszystkie jej kłamstwa, ale po winna była wiedzieć, że Marcus nigdy jej nie zawiedzie. Usiadła, a oczy jej się rozszerzyły. Dlaczego wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy? Nigdy przedtem jej nie zawiódł i nawet wtedy, gdy najbardziej się na niego wściekała, wiedziała w głębi duszy, że Marcus zachowuje się tak, by ją chronić, zarówno i wtedy, gdy była jego niesforną podopieczną, jak i gdy została nieznośną sąsiadką. Czując przyspieszający rytm serca, zadała sobie pytanie... czy to możliwe, że ją kocha? Czy kocha ją tak, jak mężczyzna kocha kobietę? Czy jego uczucia są silniejsze i potężniejsze niż podejrzewała? Czy wykraczają ponad powinność i sympatię?

Siedziała na łóżku, wpatrując się przed siebie niewidzącym wzrokiem, a w głowie miała mętlik. Nigdy nie wątpiła, że Marcus czuje do niej

sympatię, lecz, nie mając znajomości męskiej duszy, nie brała pod uwagę możliwości, że za jego troskliwością i opiekuńczością kryje się coś więcej. Kiedy owego dnia Whitley dręczył ją na ścieżce, Marcus zaszarżował brawurowo, oznajmiając, że są zaręczeni. A gdy tak rozpaczliwie pragnęła się dowiedzieć, czym właściwie Whitley trzyma ją w szachu, Marcus zdobył dla niej medalion. Co zaś ważniejsze i bardziej znamienne, zeszłej nocy, gdy tylko odkrył prawdę o jej małżeństwie z Hugh i prawdziwym pochodzeniu Edmunda, bez chwili wahania natychmiast pomógł jej ukryć tajemnicę. Myśl o nocy poślubnej napawała ją lękiem i przerażeniem, obawiała się, że gdy Marcus pozna fakty dotyczące tych fatalnych dni w Indiach, życie Edmunda, radość lorda Manninga i jej własna reputacja legną w gruzach. Zmarszczyła brwi. Jak coś tak niedorzecznego w ogóle mogło przyjść jej do głowy? Dlaczego choćby przez chwilę uważała, że Marcus może ją zdradzić? Czy doszło kiedyś do tego? Oczywiście, przekonywała się, może po prostu chronić własną reputację, ale czyż jego postępowania nie można tłumaczyć wykraczającym poza sympatię uczuciem do kobiety? Zachowuje się raczej jak człowiek, któremu bardzo zależy na tej kobiecie, może nawet ją kocha. Och, przynajmniej miała taką nadzieję!

Tryskając radością, zsunęła się z wielkiego łoża, chwyciła szlafrok i puściła się w pląs po pokoju. Och, czy to możliwe? Czy Marcus mógł ją pokochać? Tak namiętnie, ogromnie i mocno jak ona kochała jego, najwyraźniej przez całe życie?

– Ktoś jest dzisiaj bardzo szczęśliwy – zauważyła Peggy, wchodząc do pokoju z wielką srebrną tacą zastawioną najróżniejszymi dzbanuszkami, talerzami, filiżankami i spodeczkami. Umieściła tacę na stoliku przy jednym ze stojących w pokoju foteli, po czym uśmiechnęła się promiennie do Isabel. – Małżeństwo najwyraźniej pani służy.

Zbyt rozradowana, by się krygować, objęła Peggy w pasie i rzekła:

– Och, Peggy! Jeszcze jak! Rzeczywiście jestem bardzo szczęśliwa.

Patrząc czule na Isabel, Peggy uszczypnęła ją w policzek.

– Zasługujesz na to, złotko. Od dawna uważałam, że jesteście z panem Sherbookiem dla siebie stworzeni.

– Naprawdę? – zapytała Isabel, sięgając po grzankę. – Dlaczego?

– To, że się kochacie, było jasne jak piegi na waszej twarzy.

Isabel zmarszczyła brwi.

– Och, chyba nie masz racji. Unikaliśmy się przez całe lata.

Peggy prychnęła.

– Możliwe, ale pamiętam wyraz waszych oczu, gdy przychodził z wizytą do barona, i jak godzinami snuła się pani osowiała po jego

wyjściu.

– Może i tak – przyznała niechętnie Isabel, zmartwiona, że nie potrafi ła lepiej ukryć swoich uczuć – ale to wcale nie znaczy, że jemu na mnie choć trochę zależy.

– Nie bądźcie głupią gąską! Myślicie, że był tak miły dla Edmunda przez te wszystkie lata, bo lubił, jak się po nim wspina mały chłopczyk, którego jeszcze prowadza się na pasku? A ileż to razy widziałam, jak Marcus w eleganckim stroju na Londyn, tarza się po ziemi z Edmundem! Albo jak wodził za panią wzrokiem po pokoju, gdy przychodził na kolację albo na jakieś spotkanie we dworze w Manning.

– Naprawdę? – wyszeptała Isabel, oblana gorącym rumieńcem.

– Naprawdę – odparła z uśmiechem Peggy. – Tylko nie mieliście oczu do patrzenia.

Isabel pospiesznie zrobiła toaletę i nie mogła się doczekać, aż Peggy wreszcie ją ubierze i upnie jej lśniące loki. Choć Isabel się wierciła, Peggy spokojnie wplatała złocistozieloną wstążkę z prążkowanego jedwabiu w kok, z którego wyciągnęła parę kosmyków, by opadły na policzki. Dopiero gdy ostateczny kształt koafiury zyskał uznanie Peggy, pozwoliła Isabel się wymknąć. Zebrawszy fałdy spódnicy zdobnej wzorem gałązkowym zielonej muślinowej sukni, spłynęła ze schodów dworu w Sherbrook w poszukiwaniu męża. Mój mąż, pomyślała, czując, że te słowa przyprawiają ją o zawrót głowy. Marcus Sherbrook jest moim mężem.

Przedmiot jej myśli wychodził z małego salonu akurat, gdy przystanęła na najniższym stopniu, czując, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi i wyląduje w jego rękach. Kiedy przed nią stanął, taki wysoki, przystojny i ukochany, jej twarz rozjaśnił radosny uśmiech.

Na widok tego olśniewającego uśmiechu Marcus zachwiał się na nogach i gdy odzyskał zdolność myślenia, doszedł do wniosku, że Isabel nigdy nie wydawała mu się tak piękna ani tak droga. – Dzień dobry. Myślałem, że jeszcze jesteś w łóżku – wychrypiał w pomieszaniu.

Choć jej policzki plamił różany rumieniec, podeszła do męża i stając na palcach, musnęła wargami jego podbródek. – Bez ciebie w łóżku czułam się samotna – wyznała nieśmiało.

Marcus jęknął i instynktownie otoczył ramieniem jej szczupłą postać. Jakże trudno mu było zostawić dziś rano żonę samą w łóżku, ciepłą i nagą. Nawet gdy zaniósł ją z powrotem do jej sypialni i przykrył narzutą zachwycającą, jedwabistą skórę Isabel, poczuł przemożną chęć, by zlec obok niej i obudzić ją pocałunkiem. Wówczas odmówił sobie tej

rozkoszy, lecz teraz nie mógł. Opadł wargami na jej usta. Całowali się długo, a gdy w końcu Marcus uniósł głowę i odsunął Isabel od siebie, obojgu brakło tchu z podniecenia.

Zdumiona, że od jednego pocałunku sutki jej twardnieją, a między udami wybucha słodki spazm oczekiwania, z oszołomieniem wpatrywała się w męża.

Marcus również nad sobą nie panował. Owładnęło nim przemożne pragnienie, by wziąć ją na ręce, zanieść z powrotem na łóżko i zaspokoić to palące pożądanie, które wywołał widok Isabel i smak jej ust. Ale musi wziąć się w garść. Na miłość boską, stoją w holu wejściowym!

Chwycił ją za rękę i zaciągnął do małego salonu. Zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie szerokimi plecami i znowu wziął ją w ramiona.

Popłynęła w jego objęcia, zarzuciła mu ręce na szyję i uniosła twarz do pocałunku. Wypukłość pod spodniami z kozłowej skóry była twarda i naprężała się jeszcze pod wpływem jej bliskości, a Isabel czując, jak sztywny, potężny członek trąca jej miękkość, westchnęła z rozkoszy.

Marcus pocałował ją ponownie, tym razem bezładnie przesuwając rękami po jej ciele; ujmował pośladki, ustawiał w dogodnej pozycji. Całując ją, przyciskając do siebie jej kobiece okrągłości, czuł słodką udrękę, zwłaszcza że każdy nerw w nim krzyczał, by ją wziąć.

Marcus uniósł głowę, rozejrzał się dzikim wzrokiem po pokoju, po czym, niechętnie, lecz stanowczo odsunął żonę od siebie. – Nie mogę kochać się z tobą wśród nakryć śniadaniowych – rzekł, uśmiechając się cierpko.

Isabel z wysiłkiem powiodła wzrokiem po saloniku. Urządzono go wykwintnie. Wyfroterowaną do połysku dębową podłogę przykrywał wełniany dywan w subtelnych odcieniach kremowych, różowych i jasnoniebieskich, kremowe draperie w drobne różyczki wisiały po obu stronach rzędu okien, tu i tam rozstawione były wygodne fotele. Kredens z różanego drzewa zastawiono różnymi przykrytymi półmiskami, a owalny stół, nakryty starodawnym białym obrusem zdobiły cieplarniane lilie i paprocie. Isabel dojrzała na nim wysoką kryształową solniczkę i pieprzniczkę, dzbanuszek na śmietankę, cukiernicę, miseczki z dżemem. Na szczycie stołu rzucały się w oczy pozostałości po śniadaniu, które Marcus zdążył już spożyć: pusty talerz, fi liżanka, spodeczek i szklanka.

Marcus miał rację, a ona zachichotała na myśl o wybuchach namiętności pośród całej tej zastawy. – Rzeczywiście – powiedziała z uśmiechniętymi oczami. – A poza tym, co Thompson by powiedział?

Jakby w odpowiedzi, rozległo się stukanie do drzwi.

Marcus odsunął się i do salonu wkroczył Thompson z talerzem

gorących jajek na grzance. Ukłonił się lekko. – Pokojówka jaśnie pani powiedziała, że lubi pani jajka lekko ścięte – rzekł, uśmiechając się do Isabel.

– Dziękuję – powiedziała, choć akurat jajka były ostatnią rzeczą, jaką miała w głowie. Ale posłusznie wzięła talerz i nałożyła sobie porcję. Thompson nadskakiwał jej, nalał kawy, proponował plasterki bekonu oraz truskawki ze śmietaną.

Marcus przyglądał się temu, rozbawiony błazeństwami kamerdynera. Najwyraźniej jego żona skradła serce nie tylko jemu.

Gdy Thompson wyszedł, napomykając, by zadzwoniła, gdyby jeszcze czegoś potrzebowała, albo w ogóle czegoś potrzebowała, Marcus podszedł do kredensu. Wziął czystą fi liżankę, nalał sobie kolejną kawę, usiadł wygodnie i patrzał, jak Isabel szybko rozprawia się ze śniadaniem.

– Głodna? – zapytał z uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech.

– Jak zawsze. Nie pamiętasz, jakie ogromne ilości jedzenia pochłaniałam już jako dziecko?

Skinął głową. Pamiętał wiele uroczych, zachwycających wydarzeń z udziałem Isabel. Rozgrywały się w tym salonie, w całym domu, na terenie posiadłości. Zastanawiał się leniwie, czy ich życie potoczyłoby się inaczej, gdyby nie został jej prawnym opiekunem w tak młodym wieku. Czy gdyby ich losy nie splotły się tak ściśle, a oni nie znaleźli się na pozycjach przeciwników, zorientowałby się, że przywiązanie, które zawsze do niej czuł, to w istocie coś głębszego i potężniejszego?

Niewidzącym wzrokiem wpatrzył się w wykrochmalony, biały obrus. Dzień, w którym ujrzał ją po raz pierwszy, pamięta, jakby to zdarzyło się wczoraj. Była niemowlęciem, nie miała jeszcze chyba pół roku, ale już mogła się poszczycić płomiennymi loczkami i rwała się do życia, oboma rączkami brała z niego, co chciała. Uśmiechnął się. Aż nazbyt dobrze pamiętał chwilę, gdy te duże oczy, zamglone jeszcze błękitem dziecięctwa, spoczęły na nim, zakłopotanym dziewięciolatku. Wraz z rodzicami przybył z wizytą do dworu w Denham, a sir George z dumą pokazywał maleńką córeczkę. Nie zważając na gruchających dorosłych, Isabel nieomylnie utkwiła w nim spojrzenie, gaworząc ze śmiechem, i wyciągnęła do Marcusa obie rączki. Ulegając namowom matki, niepewnie wysunął do maleństwa palec. Isabel zagruchała wesoło, jej mała dłoń zacisnęła się na jego palcu przez długą chwilę po prostu się w siebie wpatrywali.

Wspominając ten moment, Marcus potrząsnął głową. Czyżby wówczas zadzierzgnęła się pomiędzy nimi więź? Wydaje się to

niemożliwe, był wówczas niechlujnym uczniakiem, którego nie interesowały piszczące niemowlęta, a jednak coś się wówczas między nimi zdarzyło.

– Jesteś bardzo milczący. O czym myślisz? – zapytała Isabel.

– Przypominałem sobie pierwszy raz, kiedy cię ujrzałem – odparł z uśmiechem. – Byłaś wówczas wrzeszczącym berbeciem, ale już wtedy umiałaś postawić na swoim.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Niektóre rzeczy pozostają niezmienne.

Zaśmiał się.

– W istocie. Jak zamierzasz spędzić dzień?

Z fi glarnym błyskiem w oku odparła:

– Chcę obejść twoje stajnie. Muszę przekonać się na własne oczy, czy masz odpowiednie pomieszczenia dla moich koni, zwłaszcza dla Groma, jeśli ma się tu przenieść.

I tak zrobili. Wędrowali po stajniach, a gdy Isabel oceniała sytuację, Marcus, przypatrując się jej z uśmiechem, myślał, że niewiele młodych żon chciałoby spędzać pierwsze dni małżeństwa na inspekcji budynków gospodarczych. Z niezmożoną energią ciągnęła za sobą ociągającego się Marcusa od boksu do boksu, od jednej siodlarni do drugiej, oglądała lśniące konie pełnej krwi, rozmawiała ze znajomością rzeczy z chłopcami stajennymi i parobkami, zwiedziła pobliskie wygony dla stadniny, a na koniec wdała się w dłuższą pogawędkę z koniuszym Worleyem.

Marcus niewiele się odzywał, rad, że po prostu może patrzeć na żonę, przebywać w jej towarzystwie, ale podejrzewał, że jego portfel mocno ucierpi, nim Isabel będzie w pełni zadowolona z warunków, w jakich mają być trzymane konie, jej i ich wspólne. I nie omylił się.

Gdy wracali niespiesznie do dworu, było już późne popołudnie. Isabel oparła rękę na ramieniu Marcusa i przez chwilę spacerowali w ciszy, radując się pięknym schyłkiem majowego dnia, zapachem kwitnących jabłoni i róż, który unosił się w powietrzu.

– I cóż? – zagadnął w końcu Marcus.

Zerknęła ku niemu.

– To będzie kosztowało mnóstwo pieniędzy.

Skinął głową, w jego szarych oczach czaił się uśmiech.

– Na podstawie tego, co podsłuchałem z twojej rozmowy w Worleyem, doszedłem już do podobnego wniosku.

– Ale przecież mam własny majątek – rzekła żywo. – Nie wszystko trzeba brać z twojej szkatuły.

– Isabel – rzekł ostrzegawczo Marcus.

– No dobrze. Oboje z Worleyem uważamy, że potrzebna będzie jeszcze jedna stajnia. – Skoro Marcus pozostał nieporuszony, dodała: – Albo lepiej dwie. W końcu mam kilka własnych koni. I sądzimy, że szereg krytych przejść między różnymi stajniami znacznie ułatwi poruszanie się ludzi i koni podczas niepogody.

– Znacznie ułatwi – rzekł Marcus neutralnym tonem, myśląc o grożących mu projektach budowlanych i utrudnieniach, jakie spowodują na całe miesiące zarówno dla niego, jak i dla koni oraz stajennych. Przez chwilę myślał o cichym, spokojnym, uporządkowanym życiu, jakie wiódł do owego przełomowego ranka, kiedy to spotkał Isabel i Whitleya na ścieżce prowadzącej do dworu w Manning. Niebawem dwór w Sherbrook stanie się domem dla pełnego energii dwunastolatka, którego matka już zaczęła wprowadzać zmiany mające na zawsze zburzyć panujący tu niegdyś spokój. Ale czy spokój jest tu odpowiednim słowem? – zastanawiał się Marcus. Dziwne, lecz gdy zastanawiał się nad swym życiem przed ostatnimi wydarzeniami, do głowy przyszło mu słowo nuda.

Zerknął na Isabel, która wpatrywała się weń niepewnie. Podejrzewał, że od ślubu z nią słowo nuda już nigdy nie przejdzie mu przez głowę czy usta.

Jakiś diabelski chochlik kazał mu zapytać:

– A jeśli nie poprę żadnego z tych projektów?

Ku jego zachwytowi, lecz nie zdziwieniu, jej oczy zwęziły się, wysunęła zawzięcie podbródek, zdjęła mu rękę z ramienia i rzekła gniewnie:

– Nie ośmielisz się!

Zaśmiał się, wziął ją w ramiona i okręcił dookoła.

– Oczywiście, że nie. Zamierzam być bardzo potulnym i czułym mężem.

Prychnęła. – Co za bujda! – Jej wojowniczość zgasła i już tylko z błyskiem niepokoju w oczach, dowodziła: – Wiem, że to będzie ogromne przedsięwzięcie i pochłonie niemałe koszty, ale, Marcusie, to naprawdę jest konieczne, jeśli w Sherbrook mamy prowadzić wzorową hodowlę koni.

– A mamy? – zapytał niewinnie.

Gdy się zorientowała, że się z nią droczy, uśmiechnęła się do niego i zarzucając mu ramiona na szyję, rzekła radośnie:

– Oczywiście!

Zjedli lekki obiad na świeżym powietrzu, na dziedzińcu z boku zajmującego sporą przestrzeń domu, a potem przeszli się spokojnie po rozległej posiadłości, rozciągającej się daleko we wszystkich kierunkach.

Przyjemnie im się rozmawiało, przeskakując z tematu na temat. Mieszkali w tej samej okolicy i znali się całe życie, toteż nie było między nimi obcości, która uprzykrza życie większości młodych par. Czuli się ze sobą swobodnie, a to rzadki dar. Nie znaczy to, że brakowało między nimi miłosnego napięcia, że ich oczy i ręce nie spotykały się co chwila albo że nie skrywali się w cieniu osłaniających ich drzew, gdzie wymieniali namiętne pocałunki i ciche szepty.

Kolacja upłynęła w sennym rozmarzeniu, a gdy Isabel w końcu weszła do łóżka, całe jej ciało było jednym długim spazmem oczekiwania. Najwyraźniej Marcus był w takim samym stanie, gdyż ledwo zdążyła się okryć, drzwi łączące obie sypialnie otworzyły się i mężczyzna wszedł do środka.

Przy jej łożu zrzucił z siebie czarny jedwabny szlafrok i nagi wsunął się pod przykrycie obok niej. Podparty na łokciu, wpatrzył się w nią, jego wzrok podążył do delikatnej koronki, która zdobiła skromny dekolt jej nocnej koszuli.

– Myślę – odezwał się ochryple – że ta szmatka nie jest ci potrzebna. – I niezwłocznie zdjął z niej nocną koszulę. Wyciągnąwszy się obok jej nagiego teraz ciała, westchnął: – Ach, tak jest dużo lepiej. – Obrócił głowę, by popatrzeć na Isabel. – Wiesz, że tylko o tym myślałem cały dzień?

Jego bliskość sprawiła, że przebiegł ją dreszcz. – O czym? O łóżku? – wymamrotała.

Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie. Otarł ustami jej wargi, dużymi, ciepłymi dłońmi zaczął intymne poszukiwania. – Nie – wyszeptał, mając jej usta przy swoich. – Myślałem raczej o tym... – I jego wargi ześlizgnęły się niczym ogień do jej piersi, którą smakował i drażnił sutek. – I o tym – dodał, zsuwając rękę niżej, na kędzierzawe włosy w spojeniu jej ud. Rozwarł delikatną muszelkę, głaszcząc ją i zagłębiając się w środek, aż powoli wsunął w nią głęboko palec. Uniosła biodra na przyjęcie jego pieszczot, prosząc o więcej, a on spełnił jej prośbę, wsuwając drugi palec i igrał z nią, drażniąc aż do zatracenia.

Isabel jęczała pod naporem jego rąk, przez jej ciało przebiegały spazmy podniecenia i rozkoszy. Odbiegła ją wszelka myśl, zdolna była tylko czuć i dziwić się doznaniom, jakie w niej budził. Nagląco domagała się jego ust i, ku zdumieniu i zachwycie obojga, wycałowała go równie dokładnie i głęboko, jak on ją.

Czując jej gorący języczek w swoich ustach, a biodra miotające się pod jego dłonią, Marcus pofolgował piącemu pragnieniu, z którym walczył przez cały dzień. Odnalazł jej język i połączył z nim swój,

rozepchnął jej uda i wsunął się między nie. Jednym mocnym pchnięciem ciasno wbił się w pulsujący kanał. Zatopiła palce w jego ramionach i wiła się pod nim lubieżnie, domagając się jeszcze, doprowadzając go do szaleństwa swymi cichymi okrzykami i uwodzicielskim ciałem. Zatracił się w uniesieniu, a świat zamglił mu się przed oczami...

Potem leżeli spleceni ramionami, ich oddechy stopniowo się uspokajały. Marcus niechętnie ześlizgnął się z niej i położył obok. Złożyła głowę na jego ramieniu, jej jedwabista skóra ocierała się o niego, a Marcus rozkoszował się tą chwilą. Świadomość, że Isabel należy do niego, że to tylko jedna z wielu nocy, które spędzą razem, przepełniała go niezmierną radością – nawet nie przypuszczał, że takie szczęście stanie się jego udziałem.

Lecz gdy tak leżał, jego wizję błogiej przyszłości zakryła czarna chmura, aż stężało mu ciało. Whitley.

Na pół śpiąca Isabel wyczuła jego napięcie. – Co się stało? – spytała zaniepokojona.

– Myślałem tylko o naszym przyjacielu Whitleyu – przyznał niechętnie.

– On nie jest naszym przyjacielem – zaprzeczyła ostro. – Przypomnij sobie z łaski swojej, że strzelił do ciebie ledwie zeszłej nocy i tylko szczęśliwym trafem cię nie zabił. – Usiadła, przykrycie częściowo się z niej zsunęło, odsłaniając oczom Marcusa ponętny różowy sutek. Odgarnąwszy potargane włosy, rzekła: – Właściwie uważam, że powinniśmy go zabić.

Założywszy rękę za głowę, Marcus przyglądał się jej z namysłem. Choć żadne z nich przez cały dzień nie wymieniło nazwiska Whitleya, podejrzewał, że majora i niebezpieczeństwa z nim związane mieli w głowie cały czas. To ciekawe, że Isabel głośno wyraziła wniosek, do którego doszedł zeszłej nocy.

– Zabić? – zapytał ostrożnie. – Z zimną krwią?

Wyglądała na zaskoczoną, jakby dopiero dotarł do niej sens jej propozycji. Przygryzając wargę, spojrzała na niego z zakłopotaniem. – To byłoby morderstwo z zimną krwią? – zapytała cienkim głosikiem.

Skinął głową.

– Można nawet powiedzieć, z premedytacją.

– Zabiłabym go gołymi rękami, gdyby napadł na kogoś, kogo kocham – zaczęła Isabel, po czym urwała. Po chwili potrząsnęła głową i rzekła ze znużeniem: – Ale chyba nie mogę tak tu siedzieć i spokojnie planować jego morderstwa.

– Też tak czuję – wyznał smętnie Marcus. – Tego jegomościa należy

zabić i we właściwych okolicznościach uczyniłbym to bez wahania. – Westchnął. – Ale zamordować go za to, co ewentualnie może zrobić?

Przechyliła głowę z głębokim zastanowieniem.

– Odebrałeś mu medalion. Wedle tego, co nam wiadomo, nie ma nic na poparcie swoich podejrzeń. Jak myślisz, na ile tak naprawdę jest niebezpieczny?

– Nie mam pojęcia. Jeśli zacznie opowiadać każdemu, kto nadstawi ucha, o twojej towarzyszce, która przypłynęła z tobą do Indii, jeśli piśnie choć słówko, że okoliczności narodzin Edmunda są mętne, że słyszał, jak służba coś szepcze między sobą – jakieś takie rzeczy... Mógłby twierdzić, że rozmawiał z lekarzem, który zajmował się Roseanne – jak udowodnisz, że to nieprawda? On nie potrzebuje dowodów. Wystarczy jedno jego słówko, że w narodzinach Edmunda jest coś podejrzanego, a plotka rozejdzie się lotem błyskawicy. Całe towarzystwo natychmiast zacznie o tym mówić. Po pierwszej fali podniecenia większość odrzuci ją jako haniebną potwarz. Ale zawsze coś zostanie... – Rzucił jej ponure spojrzenie. – Plotka może być równie druzgocąca jak dowód; gdy się zrodzi, będzie szła za Edmundem do końca jego dni. Powstaje pytanie – czy możemy pójść na takie ryzyko, jeśli Whitley obierze tę drogę?

– A jeśli zaczekamy, aż zacznie rozpuszczać pogłoski, na zabójstwo będzie za późno – powiedziała z nieszczęśliwą miną.

Marcus przytaknął.

– Jeżeli go wtedy zabijemy, dopiero zaczną się domysły... A więc pytanie jest następujące: czy planujemy morderstwo z zimną krwią, by zapobiec czemuś, do czego może nigdy nie dojść, czy też obstawiamy, że Whitley po prostu zniknie i nigdy już o nim nie usłyszymy?

– O Boże! Straszny wybór! – Oczy jej błysnęły. – To okropny człowiek i skręciłabym mu kark za postawienie nas w takiej sytuacji.

– Nie mogę mieć o to do ciebie pretensji. Ale nie odpowiedziałaś na pytanie.

– Wiem – warknęła. – Zrobiłabym wszystko dla Edmunda i lorda Manninga, ale nie mogę, przynajmniej dziś w nocy, rozważać popełnienia morderstwa z premedytacją.

– A może – rzekł powoli Marcus, przypominając sobie, jak przed paroma laty Julian zabił lorda Tynedale’a – wyzwę go na pojedynek i zabiję. – Spodobał mu się ten pomysł. Można dowodzić, że został wyzwany z zimną krwią, sam pojedynek dawał Whitleyowi szansę walki. Myśląc o swej własnej biegłości w posługiwaniu się szablą i pistoletem, pozwolił sobie na lodowaty uśmieszek. Ale bardzo nieznaczny.

– O tym nie ma mowy! – krzyknęła Isabel, wściekła, że w ogóle

przyszła mu do głowy myśl, by wystawić swe życie na niebezpieczeństwo.

Rzuciła się Marcusowi w ramiona i wpatrując mu się głęboko w oczy, zażądała: – Przyrzeknij mi! Przyrzeknij zaraz, że nie będziesz się z nim pojedynkował.

– Nie mogę tego zrobić – odparł spokojnie Marcus. – A jeśli sprowokuje mnie w sposób, którego nie wolno puścić płazem?

Przez chwilę wpatrywali się w siebie z napięciem. Po jego nieprzeniknionym wyrazie twarzy Isabel zorientowała się, że ona nie ma tu nic do gadania, toteż, usiłując przynajmniej zyskać, ile się da, rzekła ochryple, z nieszczęśliwą miną: – To przyrzeknij mi chociaż, że nie sprowokujesz go umyślnie.

Marcus zawahał się. Potem niechętnie się zgodził.

– Nie sprowokuję go celowo.

Na więcej nie mogła liczyć. Zapadła potem w niespokojny sen, w którym dręczyło ją widmo Whitleya stojącego nad trupem Marcusa z pistoletem w dłoni.

Whitley byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że zakłóca sen Isabel, i nieco mniej rad z tego, że postawił Marcusa i Isabel przed trudnym wyborem. On naturalnie nie miałby takich skrupułów. Gdyby to od niego zależało, Marcus już by nie żył.

Miał szczęście, że nadarzyła mu się okazja, by zabić Marcusa. Czatował koło dworu w Sherbrook, zamierzając znowu wślizgnąć się do środka tego dużego, rozległego domostwa, kiedy usłyszał czyjeś kroki. Ledwo zdążył przykucnąć za jakimś krzewem, gdy przeszli obok niego Marcus z Isabel. Założył już, że to nowożeńcy przechadzają się po ogrodzie, a w świetle księżyca zobaczył, że się nie mylił. Ukradkiem skradał się za niepomną na nic parą, a gdy pomyślał, ile od nich wycierpiał, wstrętny posmak zemsty tak silnie podszedł mu do gardła, że owładnięty wściekłością wyciągnął pistolet i wystrzelił.

Żałował, że zaryzykował ten strzał do Marcusa zeszłej nocy. Ale nie z powodów, z jakich można by przypuszczać. Żałował tylko, że spudłował, i teraz Marcus będzie się miał na baczności.

Podczas gdy Marcus i Isabel spędzili razem miły dzień, Whitley cały ten czas przesiedział w gospodzie, wlewając w siebie kufl ami piwo i rozmyślając o niesprawiedliwości losu. Gdy zapadł zmrok, z piwa przerzucił się na brandy, a im robiło się później, tym czarniejsze opadały go myśli.

Sprawy przybrały zły obrót. Nawet ten przeklęty Collard, który przed

dwoma dniami powrócił z wyprawy do Cherbourga, nie przywiózł mu pożądanych wiadomości. A może to i lepiej, pomyślał gorzko, bo w tej chwili znajduje się w niezręcznej sytuacji. Nachmurzył się. A niech to diabli! A wszystko przez Isabel i Sherbrooka...

Zapłacą za to, przyrzekł sobie ze złością. Isabel pokrzyżowała mu szyki, prócz tej pierwszej, mizernej sumki nie dała się zastraszyć i nie chciała płacić, by nie rozpowiadał o swych podejrzeniach. Potem ten przeklęty Sherbrook omal go nie utopił i zabrał jedyną rzecz, która mogła uwiarygodnić jego groźby. Sherbrook go upokorzył. Odarł nie tylko z ubrania, ale też z godności własnej i jeszcze czegoś znacznie cenniejszego niż ta licha błyskotka. To Sherbrook stanął między nim i wszelkimi jego marzeniami o zasobnej przyszłości.

Od czasu zaręczyn Sherbrooka z wdową Manning Whitley zdołał wmówić sobie, że naprawdę pragnął ożenić się z Isabel. Mniejsza z tym, że mu się nie podobała, ze względu na jej majątek zniósłby kościste ciało i wybuchowy charakter połowicy. Ale niedługo, rozmyślał, niedługo. Żony ciągle umierają. Jego małżeństwo z Isabel potrwałoby krótko, a on, chcąc nie chcąc, udawałby zbolałego wdowca i czerpał wielką pociechę z jej majątku. Uśmiechnął się z afektacją. Już nie jej. Jego.

Obrzucił kaprawymi oczami wnętrze gospody i zacisnął usta. Zamiast znosić towarzystwo tych kmiotków, siedziałby sobie wygodnie we dworze w Manning – spojrzał wściekle na swój kieliszek brandy – i rozkoszował się wybornym trunkiem, a nie tym świństwem, które karczmarz zapewne ochrzcił. Skończyłyby się jego kłopoty finansowe. Miałby piękny dom, służbę na każde skinienie, a majątek jego żony pozwoliłby mu żyć na takim poziomie, jaki nigdy nie był mu dany.

Choć myśl o zabiciu Sherbrooka sprawiała Whitleyowi przyjemność, nie chciał za to zawisnąć i wiedział, że jeżeli los nie ześle mu absolutnie bezpiecznej okazji, jest mało prawdopodobne, by w istocie go zamordował. Może to i dobrze, przyznał ponuro, że zeszłej nocy spudłował. Na razie nie zdołał uśmiercić Sherbrooka, ale spróbuje przynajmniej jakoś mu zaszkodzić...

Kiedy stosowny sposób przyszedł Whitleyowi do głowy, po jego twarzy przemknął okrutny uśmiech. Nie miał już medalionu ani dostępu do Isabel, ale gdyby tak... gdyby tak złożył wizytę lordowi Manningowi? Spodobał mu się ten pomysł. Starzec jest równie bezbronny, jak niegdyś była Isabel, i po zastanowieniu uznał, że okaże się łatwiejszym celem. Tak, najpierw powinien był z nim porozmawiać. Manning ma najwięcej do stracenia. Tak, zajrzy jutro do dworu w Manning. Złoży po prostu grzecznościową wizytę, podczas której wspomni, że jako dawny

przyjaciel Hugh, będąc przejazdem w okolicy, chciałby odwiedzić wdowę po starym przyjacielu...

Zachichotał pod nosem, wyobrażając sobie konsternację Isabel, gdy dowie się o jego wizycie. Zapłaci. Zapłaci każdą sumę, byle tylko trzymał się z dala od starca. Rad z planów na jutrzejszy ranek i myśląc, że chętnie zabawiłby się w kobiecym towarzystwie, podniósł się niepewnie i wytoczył na zewnątrz, po czym zawołał na stajennego, żeby przyprowadził konia. Przychylna mu wdowa, którą regularnie odwiedzał w czasie swego pobytu tutaj, mieszkała milę za wioską.

Whitley był tak pogrążony w swej pijackiej niedoli i mściwych myślach, że nie zauważył nikogo obcego w barze ani pary inteligentnych oczu, które leniwie śledziły każdy jego ruch. Gdyby nie był tak pijany, spostrzegłby dżentelmena, który siedział przy stoliku skrytym w mrocznym kącie, i natychmiast uświadomiłby sobie, że Collard nie powiedział całej prawdy o swej wyprawie do Cherbourga...

Nieznajomy zapłacił rachunek i wyszedł z gospody, ociągając się, by Whitley zdążył dosiąść konia i odjechać kawałek drogą. Szybko doszedł do swego wierzchowca, uwiązanego w niewidocznym miejscu z boku gospody, i wskoczywszy na siodło, dyskretnie ruszył śladem Whitleya.

Odczekał, aż wyjechali z wioski, i wtedy uderzył. Mocnymi uderzeniami obcasów zmuszając konia do galopu, runął na swego wroga.

Zamroczony trunkiem, zatopiony w myślach, Whitley wyczuł niebezpieczeństwo, kiedy było już za późno. Usłyszawszy zbliżającego się z tyłu jeźdźca, dopiero po chwili zorientował się, że tamten pędzi za szybko i że zderzy się z nim na wąskim trakcie, lecz wtedy jego głowa eksplodowała w piekielnym bólu i oślepiającym świetle.

# Rozdział 15

Gdy Whitley się obudził, myślał, że głowa zaraz mu pęknie, a w nozdrzach czuł zapach morza. Jęcząc z bólu, rozejrzał się wokół i stwierdził ze zdumieniem, że znajduje się w jednej z licznych jaskiń wyżłobionych przez potężne fale znad kanału. Usiłował podnieść się z zasypanego kamykami podłoża jaskini i gdy zorientował się, że ma skrępowane ręce i nogi, przeszył go pierwszy dreszcz strachu. A kiedy spojrzenie jego padło na jakiegoś starannie ubranego mężczyznę, który opierał się niedbale o ścianę jaskini, zdał sobie sprawę, że nie jest sam.

– *Bon!* – rzekł nieznajomy. – Nareszcie się pan obudził.

– Gdzie jestem? – wyskrzeczał Whitley.

– To nie ma znaczenia, *mon ami* – odparł nieznajomy. – Ważne są odpowiedzi, których udzielisz na moje pytania, *oui?*

Myśląc gorączkowo, Whitley usiłował połapać się w tej sytuacji, zrozumieć, co mu się przydarzyło. Pamiętał, że zeszłej nocy pił Pod Rogiem Jelenia, coś mu po głowie chodziło, że jechał konno...

Whitley obrócił się, mrużąc oczy przed słabym światłem, które wypełniało wejście jaskini. Był dzień, więc musiało już upłynąć trochę czasu. Wielki Boże! Gdybyż tylko mógł jasno myśleć. Gdybyż ucichło to bezustanne dudnienie w głowie...

Zerknął na nieznajomego, by się zorientować, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia. Nieznajomy, który przyglądał mu się z chłodnym uśmiechem, był wysoki, sylwetkę miał szczupłą i muskularną, a jego strój – od nankinowych spodni po doskonale dopasowany ciemnoniebieski surdut – świadczył o przynależności do sfer dobrze urodzonych. Rysy miał regularne, twarz przystojną, ciemne włosy i takąż karnację. Sądząc z wymowy, Whitley uznał, że jest Francuzem.

Przeszedł go dreszcz podniecenia. Z trudem podnosząc się do pozycji siedzącej, Whitley oparł się plecami o ścianę jaskini i wymamrotał:

– A więc jednak Collard przekazał moją wiadomość.

Nieznajomy skinął potwierdzająco:

– *Oui*.

Whitleyowi niewygodnie było tak siedzieć, ale poczuł się nieco pewniej i zapytał ostro:

– Ale dlaczego mnie okłamał? I kim pan jest? Dlaczego traktuje mnie pan w ten sposób? Charbonneau z pewnością usłyszy o pańskich bezwzględnych poczynaniach i zapewniam pana, nie będzie zadowolony. Jesteśmy dobrymi znajomymi.

– *Monsieur* Whitley – odparł nieznajomy – nasze stosunki ułożą się dużo lepiej, jeśli pozwoli pan, bym to *moi* zadawał pytania.

– Nie zamierzam odpowiadać na żadne pańskie przeklęte pytania, póki mi pan nie wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi – wrzasnął Whitley. – Miał pan czelność związać mnie jak pospolitego przestępcę, a to mi się bardzo nie podoba. – Marszcząc brwi, Whitley zapytał ponownie: – Kim pan jest, do diaska? – Nieznajomy uniósł brwi, słysząc ton Whitleya, ale nie odpowiedział. Czując jeszcze większą pewność siebie i sroższy gniew, Whitley oświadczył z wściekłością: – To skandal! Jestem brytyjskim poddanym, a to jest brytyjska ziemia i nie ma pan prawa traktować mnie w ten sposób. Żądam, by natychmiast mnie pan rozwiązał!

Nieznajomy, dotąd niedbale oparty o ścianę, wyprostował się, podszedł do Whitleya i beznamiętnie kopnął go w twarz. Whitley wrzasnął z bólu, z nosa i ust trysnęła mu krew.

– Po pierwsze, obawiam się, że pańskie położenie nie pozwala panu na wysuwanie jakichkolwiek żądań, a wszak powiedziałem już panu – oznajmił nieznajomy nieskazitelną angielszczyzną – że to ja zadaję pytania.

Mrugając powiekami z bólu, Whitley wpatrzył się w niego z przerażeniem.

– Pan jest Anglikiem!

Mężczyzna uśmiechnął się. – Jestem – odparł – tym, kim akurat chcę. Anglikiem, Francuzem, Hiszpanem. – Wzruszył ramionami. – Zależnie od sytuacji.

Skonsternowany i kompletnie wytrącony z równowagi, Whitley usiłował zorientować się w swoim położeniu. Ten człowiek nie mógł przybyć od Charbonneau. Co znaczy, że ubrana w przemyślne słowa wiadomość od Whitleya dostała się w niewłaściwe ręce, do czego mogło dojść jedynie... Wstrząsnął nim spazm strachu. – Collard mnie zdradził – rzekł tępo.

Dżentelmen przytaknął. – Przez całe lata oddawaliśmy sobie

z Collardem różne przysługi – rzekł. – A gdy spotkaliśmy się podczas jego ostatniej wyprawy do Cherbourga, wspomniał o panu i powiedział, że szykuje pan coś, co może mnie zainteresować. Za godziwą sumkę oddał mi pański list do Charbonneau.

Whitley sformułował list do Charbonneau bardzo ostrożnie w obawie przed konsekwencjami grożącymi autorowi, gdyby bilecik wpadł w niepowołane ręce. Pozornie było to zaledwie parę słów skreślonych przez jednego starego przyjaciela do drugiego. Szczęściem Whitley nie podawał żadnych szczegółów, wspomniał tylko o poprzednim spotkaniu, korzystnym dla obu stron, co można by uznać jedynie za nawiązanie do dawnych, przyjemnie spędzonych wspólnych chwil i zaproszenie do kolejnego, równie udanego spotkania z Charbonneau.

Poczuł nagły przypływ pewności siebie. Choć ten jegomość zapewne przeczytał jego list do Charbonneau i mógł uznać, że jest w nim coś interesującego, tak naprawdę niczego nie wie.

– Obawiam się, że nie całkiem pojmuję – rzekł Whitley. – Co mój list ma wspólnego z panem? Znam Charbonneau od lat. Często ze sobą korespondujemy.

– Za pośrednictwem przemytnika?

Twarz Whitleya oblała się szkarłatem.

– Francja i Anglia toczą wojnę. Normalne sposoby komunikowania się są niedostępne.

Ledwo Whitley zdążył wypowiedzieć te słowa, jego porywacz ponownie kopnął go w twarz. Mocniej.

Gdy Whitley zwijał się i skowyczał z bólu na ziemi, mężczyzna pochylił się i powiedział mu cicho do ucha:

– Nie marnuj mojego czasu. Powiedz, co dzieje się tak ważnego, że posyłasz rzekomo niewinny liścik do członka wąskiego grona znajomych Napoleona. I nie powtarzaj mi, że to zaledwie bilecik do starego przyjaciela.

– Idź do diabła! – prychnął Whitley, odsuwając się od mężczyzny możliwie szybko i możliwie daleko.

– Zapewne do niego trafi ę – rzekł mężczyzna, krążąc wokół Whitleya. Kopnął go ponownie, tym razem w żebra i dodał: – A jeśli nie odpowiesz na moje pytania, spotkasz się z nim wcześniej, niż ja.

Whitley usłyszał trzask żebra i w tej samej chwili poczuł ból rozszerzający się na całą pierś. Nie mógł odetchnąć, a śmiertelny strach zżerał mu trzewia. Ukradkiem zerknął na swego dręczyciela i przeraził się zimnym błyskiem w jego ciemnoniebieskich, niemal czarnych oczach, lecz chciwość wzięła górę nad lękiem. – Nie mam pojęcia, o czym

mówisz – krzyknął. – Przysięgam, że napisałem po prostu do starego przyjaciela.

– Jak sobie chcesz – rzekł nieznajomy i przez następnych parę minut złośliwie kopał butem każdą część maltretowanego ciała Whitleya, do której zdołał dosięgnąć. Gdy w końcu przestał, Whitley leżał nieruchomo, odwrócony do niego plecami i tylko drżące skomlenie, które od czasu do czasu dobywało się z jego ust, dawało poznać, że nadal żyje.

– Powiedz mi to, co chcę wiedzieć – powiedział mężczyzna tym samym spokojnym tonem, jakim mówił wcześniej. Whitley jedynie zaskomlał i wijąc się po ziemi, usiłował odepchnąć możliwie jak najdalej. Nieznajomy westchnął.

Zdjął surdut, położył go na dużym głazie, po czym z cholewy buta wyciągnął nóż. Przekręcił Whitleya, ustawiając go twarzą do siebie. Przykucnąwszy tak, że miał go tuż przed sobą, zapytał cicho:

– Naprawdę chcesz umrzeć? Twoje życie jest tego warte? Czy nie lepiej będzie po prostu powiedzieć mi... i żyć?

Rozbitymi wargami Whitley zdołał wymówić:

– A niby dlaczego? I tak mnie zabijesz.

– Nie, jeśli spodoba mi się to, co masz mi do powiedzenia.

Mężczyzna pokazał Whitleyowi nóż o cienkim ostrzu, który trzymał w dłoni. – Doskonale władam tym sprzęcikiem. Potrafi ę utrzymać cię przy życiu przez całe godziny, lecz zanim umrzesz, powiesz mi, *mon ami*, to, co chcę wiedzieć. – Uśmiechnął się. – Naturalnie możesz powiedzieć mi od razu, zaoszczędzając nam obu czasu i bólu.

– Jeśli ci powiem, nie zabijesz mnie? – zapytał ożywiony nadzieją Whitley.

– Powiedziałem ci już, że nie.

Whitley, którego ciało było jednym długim wrzaskiem cierpienia, mierzył wzrokiem nóż. Ile jeszcze wytrzyma tej udręki? Czy warto za to umierać? Uświadomił sobie z przerażeniem, że nie ma bezpiecznej drogi wyjścia. Jeśli nie powie, umrze. Jeśli powie, może będzie żył. A więc powiedział.

Gdy skończył mówić, wstrzymał oddech. Będzie żył? Umrze?

Zamyślony nieznajomy długo się nie odzywał. Nareszcie, podnosząc się zwinnie na nogi, rzekł:

– Jesteś głupcem. Niemal zbyt wielkim, by żyć.

Gdy Whitley wydał żałosny głos i skulił się, mężczyzna powiedział z niesmakiem:

– Przestań. Nie mam zamiaru cię zabijać.

Zostawiając Whitleya leżącego na ziemi, obrócił się, wsunął nóż za

cholewę buta i nałożył surdut. Spojrzawszy na Whitleya, rzekł: – Proponuję, byś emeryturę spędził na innym kontynencie. Niektóre części Ameryki bardzo przypominają Anglię. – Patrząc na niego lodowatym wzrokiem, dodał: – Jeśli jeszcze raz przetną się nasze drogi albo usłyszę, że nadal mieszasz się w nie swoje sprawy, dopadnę cię i poderżnę ci gardło – jak powinienem uczynić to teraz. Zrozumiano?

Nie wierząc własnemu szczęściu, Whitley ochoczo skinął głową.

Nieznajomy obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

– Zaczekaj – krzyknął gorączkowo Whitley, usiłując uwolnić się z więzów. – A co ze mną?

– Przyślę Collarda – odparł nieznajomy, nie zwalniając kroku ani się nie odwracając. – On cię rozwiąże. I, Whitley, opuść tę okolicę w ciągu godziny po uwolnieniu. – Zerknął na niego. – Jeśli się dowiem, że wciąż się tu kręcisz...

Whitley przełknął ślinę, skinął głową, a gdy mężczyzna zniknął, wydał westchnienie ulgi. Sam w chłodnej, mrocznej jaskini, starał się uwolnić z więzów na rękach i nogach, choć cierpienie dręczyło całe jego ciało. Czy ten człowiek kłamał? Czy zostawił go tutaj na śmierć?

Pęta były mocno zaciśnięte, a gdy przeszywający go ból stał się nie do zniesienia, Whitley po prostu położył się, wyczerpany. Ciężko dyszał i wciąż nie opuszczała go nadzieja, że nieznajomy powiedział prawdę. Zdało mu się, że czeka już całe godziny, od czasu do czasu próbując rozerwać sznury, lecz zawsze, pokonany, opadał na twarde podłoże jaskini. Gdy wreszcie usłyszał, jak ktoś wspina się po kamieniach w pobliżu wejścia, nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Collard! Collard! To ty? Tu jestem! – krzyknął.

To rzeczywiście był Collard, a wypatrzywszy jego krępą postać w słabym świetle przesączającym się do środka, Whitley ucieszył się, jak nigdy dotąd nie ucieszył się na widok żadnego człowieka. – Dzięki Bogu, że przyszedłeś – zakrzyknął z radością, zapominając, że fałszywy kompan wszak go zdradził.

Collard nie odezwał się. Podszedł do Whitleya, wyjął nóż i przyklęknął za nim na kolanie.

Whitley ochoczo wyciągnął skrępowane ręce do Collarda. Ten prychnął, chwycił Whitleya za włosy, odciągnął mu głowę do tyłu i poderżnął gardło tak gładko, jak rzeźnik zarzyna kozę.

Whitley zacharczał, jego ciało zwinęło się w śmiertelnym paroksyzmie i zamarło. Gdy Collard upewnił się, że Whitley nie żyje, podniósł się i starannie wytarł ostrze o spodnie. – Nieważne, co ten człowiek powiedział – wymamrotał do siebie, wpatrując się w zwłoki

Whitleya. – Nie opłaca się zostawiać świadka.

Nowo zaślubieni małżonkowie o zniknięciu Whitleya dowiedzieli się dopiero w sobotę po południu, gdy przyjechał z wizytą Garrett. Marcus i Isabel spędzili przyjemny ranek na obchodzeniu stajni i stodół. Isabel wymieniała zmiany, których chciała dokonać, a ponieważ Marcus uważał, że jej pomysły są wspaniałe, zgadzał się na nie w zupełności. Często uśmiechali się i wybuchali głośnym śmiechem; gdy szli, ich ręce dotykały się, a ciała ocierały o siebie. Każdy, kto by ich ujrzał, wiedziałby od razu, że są w sobie głęboko zakochani. Gdy Thompson zaanonsował Garretta, Marcus znajdował się w swoim gabinecie, usiłując nadrobić zaległości w sprawach zarządzania majątkiem, Isabel zaś zamknęła się z ochmistrzynią, zapoznając się z prowadzeniem domu i omawiając zmiany, które trzeba będzie wprowadzić, skoro zamieszka tu niesforny dwunastolatek. Gdy wszedł Garrett, Marcus z ulgą cisnął na biurko plik papierów, które służbiście dostarczył mu rano rządca, i żwawo poderwał się na nogi, wyciągając rękę do gościa.

Gdy obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i wymienili serdeczne słowa powitania, usadowili się na fotelach stojących po przeciwległej stronie gabinetu.

– Przepraszam, że tak cię znienacka nachodzę – rzekł poważnie Garrett – ale chyba powinieneś wiedzieć, że Whitley najwyraźniej zniknął.

Marcus był niezmiernie zaskoczony.

– Zniknął? Jak to? Wyjechał Spod Rogu Jelenia?

– Miałem na myśli dokładnie to, co powiedziałem: zniknął. Whitley wyjechał na swoim koniu w środę późną nocą i od tego czasu nikt go nie widział. Keating przyznaje, że gdy Whitley wyjeżdżał, był zamroczony, ale zdołał jeszcze dosiąść konia i odjechać. Najbardziej niepokojące jest to, że gdy stajenny obudził się w czwartek rano, koń Whitleya stał w swoim boksie ale po nim samym ślad zaginął.

– Rozumiem, że nikt go nie znalazł w jakimś rowie ze skręconym karkiem – rzekł Marcus, zmarszczywszy brwi.

Garrett potrząsnął głową.

– To była pierwsza rzecz, którą sprawdził Keating, kiedy stwierdził, że Whitleya nie ma u siebie. Był pewien, że znajdą go właśnie w takim stanie, ale poszukiwania nie dały rezultatu. Nie znaleziono ciała. Nie dopatrzono się niczego podejrzanego przy drodze na parę mil w obu kierunkach. Oczywiście nie można wykluczyć, że coś stało się jeszcze kawałek dalej, ale to wydaje się mało prawdopodobne. Keating jest

niemal pewien, że Whitley pojechał w odwiedziny do pani Halley, a skoro nie znaleźli jego ciała, pomyślał, że może Whitley zabawił u niej dłużej, niż się spodziewano.

Na wzmiankę o pani Halley obaj mężczyźni uśmiechnęli się lekko.

Pani Halley była przemiłą wdową w nieokreślonym wieku, która mieszkała w schludnym domku milę za wioską. Gdy się tam wprowadziła przed pięcioma laty, snuto domysły, czy miano wdowa nie jest tytułem honorowym, ale ponieważ była niezwykle sympatyczną niewiastą o dystyngowanych manierach i uprawiała swą profesję niezwykle dyskretnie, kręciły na nią nosem tylko największe świętoszki. Choć Marcus nigdy nie odwiedził wdowy, nie zdziwiło go, że Whitley się z nią zbliżył.

– Rozumiem, że go tam nie znaleziono?

– Nie. Pani Halley powiada, że nie widziała go od zeszłej niedzieli... gdy przyszedł z wizytą.

Marcus potarł podbródek.

– Ten koń w stajni nie daje mi spokoju. Ktoś go odprowadził.

– Na to wygląda. – Garrett wychylił się do przodu. – Nie podoba mi się to, Marcusie. Kiedy wczoraj wieczorem zapytałem w gospodzie o Whitleya i dowiedziałem się tego wszystkiego, nalegałem, by Keating pozwolił mi obejrzeć jego pokój. Zgodził się. Pokój wyglądał tak, jak można się było spodziewać. Ubrania, rzeczy osobiste – niczego nie brakowało. Keating ma pietra i wcale mu się nie dziwię. Whitley nie miał powodu, by znikać, a jeśli miał zamiar wyjechać, przecież mógł zapłacić rachunek, spakować rzeczy, wsiąść na konia i ruszyć w drogę. Jego zniknięcie nie ma sensu.

– Może nawiązał łączność z kimś, kto chciał kupić notatkę – rzekł ponuro Marcus. – Niewykluczone, że mają ją teraz Francuzi, a Whitleyem żywią się ryby gdzieś na dnie kanału.

Garrett skinął głową. – Też o tym pomyślałem. – Zmarszczył brwi. – Martwi mnie tylko powrót tego konia. Dlaczego ktoś go odprowadził? Nie mógł po prostu puścić go wolno? Albo ukraść? O ile pamiętam, to ładny koń, każdy koniokrad wziąłby go z pocałowaniem ręki.

– Pewnie dlatego, że nie mamy do czynienia z koniokradem, i przychodzi mi do głowy rozsądny powód, dla którego sprawca nie chciał puszczać zwierzęcia wolno. Prawdopodobnie ten, kto za tym stoi, bał się, że konia znaleziono by w okolicy, gdzie najprawdopodobniej załatwiono Whitleya.

– Uważasz, że Whitley nie żyje, co?

– Zapewne taki los go spotkał. Bo z jakiej innej przyczyny miałby

znikać tak tajemniczo, zostawiając wszystkie swoje rzeczy? A ponieważ zwrócono konia, wiemy, że maczał w tym palce ktoś jeszcze, bo założę się, że to nie Whitley wprowadził zwierzę do boksu w stajni.

– Uważasz, że poszedł spotkać się z kupcem w środę wieczorem, a oni wzięli notatkę i go zabili?

Marcus przytaknął.

– Sądzę, że tak właśnie się stało.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie ponuro. – Więc notatka zapewne jest teraz w rękach Francuzów – rzekł gorzko Garrett.

Marcus wzruszył ramionami. – Najprawdopodobniej. Ale nie będziemy mieć pewności, póki się nie dowiemy, co się stało z Whitleyem. – Marcus podniósł się i obszedł pokój dookoła. – Musimy zawiadomić Jacka i Roxbury'ego – rzekł wreszcie, patrząc na Garretta.

– Już to zrobiłem. O pierwszym brzasku wysłałem wiadomość do Jacka.

– Więc dopóki nie dostaniemy instrukcji od Jacka czy Roxbury'ego, nie możemy nic zrobić – rzekł Marcus. Zatrzymał się przed jednym z wysokich okien, które zdobiły pokój, i spojrzał niewidzącym wzrokiem na roztaczający się przed nim piękny, pagórkowaty ogród. – Całkiem możliwe, że zniknięcie Whitleya nie ma nic wspólnego z notatką – rzekł z namysłem.

– Jak to? – zapytał zdumiony Garrett.

Marcus wrócił na poprzednie miejsce i znowu usiadł.

– Nigdy nie zwróciliśmy się bezpośrednio do Whitleya między innymi dlatego, że nie wiedzieliśmy, czy aby na pewno ma notatkę. Bardzo możliwe, że jest w rękach prawdziwego szpiega, kogoś takiego jak Le Renard, o którym wspomniał Jack. Pada na niego wiele podejrzeń i okoliczności wskazują, że to Whitley wykradł dokument, ale tak naprawdę mamy tylko podejrzenia i poszlaki.

– A do tego – dopowiedział Garrett, marszcząc brwi – przeszukaliście z Jackiem jego rzeczy i żaden z was nie znalazł niczego obciążającego.

– Co nie znaczy, że Whitley nie ma notatki, a jedynie, że jej nie znaleźliśmy. – Marcus westchnął. – Żałuję, że nie poszedłem za pierwszym odruchem i nie przyłożyłem mu tak, żeby wszystko wyśpiewał.

Garrett zaśmiał się bez wesołości.

– Ty też? Mnie ta myśl nie raz przyszła do głowy.

Uśmiechnęli się cierpko do siebie.

– Powtarzam, nadal nie wiemy, czy Whitley ma notatkę i czy jego zniknięcie jest z nią związane. – Przez dłuższą chwilę zastanawiali się nad

tym w milczeniu.

– Uważasz, że to próżny trud, bo go nie ma między żywymi?

Marcus skrzywił się. – Być może. Zważywszy, jakim jest, bądź był, człowiekiem, wielu ludzi nie uroniłoby łzy, gdyby umarł czy zniknął. – Między innymi i ja, przyznał w duchu. Bez wątpienia Isabel nie była jedyną osobą, od której Whitley w ciągu tych lat usiłował wydobyć pieniądze, zapewne nie była też ostatnią, czy jest zatem możliwe, że Whitleya zamordował ktoś z jego dawnych znajomych? Marcusowi odpowiadał ten pomysł, ale nie był do końca pewien, czy jest zgodny z prawdą. Samo prawdopodobieństwo, że Whitley ma notatkę związaną z planowanym przez Wellesleya najazdem na Portugalię, stwarzało zbyt wielkie niebezpieczeństwo, mogące mieć brzemienne skutki, by je tak od ręki odrzucić.

Z zakłopotaną miną Marcus wpatrywał się w swe wyglansowane do połysku buty.

– Gdyby Whitley miał notatkę, gdzie by ją trzymał? Jak już wspomniałeś, przeszukaliśmy jego rzeczy i nie znaleźliśmy jej. Ale jeśli tej nocy, kiedy zniknął, szedł na spotkanie z chętnym na kupno notatki, chyba przywiózł ją ze sobą? A skoro tak, gdzie ją ukrył, że żaden z nas nie mógł jej znaleźć?

– Nie myślisz chyba, że zostawił ją w Londynie, co?

Marcus stanowczo potrząsnął głową.

– Nie. Gdyby miał ten dokument, wziąłby go ze sobą. A poza tym, gdyby zostawił go w Londynie i miał spotkać się z nabywcą, musiałby pojechać po niego do miasta – a wiemy, że cały czas przebywał tutaj.

– Może zakopał notatkę gdzieś w ziemi – rozważał z przygnębieniem Garrett. – Albo nosił przy sobie.

Z miną niezdradzającą żadnych uczuć Marcus rozważył te przypuszczenia. Whitley w istocie nosił przy sobie medalion. Lecz sięgnąwszy pamięcią do nocy, gdy rozebrał Whitleya do naga i wrzucił jego ubranie oraz buty do stawu, Marcus znowu potrząsnął głową.

– Wątpię w to.

– Nie będę ci już więcej zabierał czasu – rzekł Garrett, podnosząc się. – Zdaje się, że będziemy musieli poczekać na Jacka i na to, co się jeszcze wydarzy.

Jeszcze długo po wyjściu Garretta Marcus siedział w fotelu, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w przestrzeń. Gdyby miał brać pod uwagę tylko własny interes, śmierć Whitleya byłaby mu bardzo na rękę. Edmundowi nic by nie groziło, a on i Isabel mogliby zamknąć ten rozdział z przeszłości. Ale jeśli śmierć Whitleya ma związek z tą

przeklętą, nieuchwytną notatką...

Przyznał, że jest jeszcze dosyć czasu, by zmienić porę i miejsce inwazji Wellesleya na kontynent, lecz po wykluczeniu Portugalii Francuzi znacznie łatwiej mogli wytypować prawdopodobne tereny lądowania brytyjskich wojsk. A już sama ta wiedza pozbawiała Brytyjczyków elementu zaskoczenia, co mogło kosztować życie wielu dobrych Anglików.

Isabel zastała Marcusa w gabinecie jakiś czas później, a widząc jego zmartwioną minę, zamknęła za sobą drzwi i szybko do niego podeszła. – O co chodzi? – zapytała, siadając na dywanie obok jego fotela i kładąc mu rękę na kolanie.

Popatrzył na nią i od samego jej widoku zrobiło mu się lżej na sercu. Na chwilę Whitley i wszystkie związane z nim problemy zniknęły. Po prostu siedział sobie, czerpiąc radość z bliskości żony, i uśmiechał się do niej.

Isabel niecierpliwie potrząsnęła go za kolano.

– O co chodzi? I przestań się na mnie tak głupio gapić.

Roześmiał się i posadził ją sobie na kolanach. Śmiech wszakże zamarł mu na ustach, gdy zaczął się zastanawiać, co jej powiedzieć. O notatce? Nie. O zniknięciu Whitleya? Tak, o tym zaraz się dowie.

– Garrett przyszedł z wizytą – rzekł powoli. – Najwyraźniej nasz przyjaciel Whitley gdzieś przepadł.

Zmarszczywszy brwi, obróciła się na jego kolanach i spojrzała mu w twarz.

– Jak to, przepadł?

Marcus bez zwłoki opowiedział jej wszystko, co usłyszał od Garretta. Wieść, że jej prześladowca zaginął, wcale jej nie ucieszyła.

Usiadłszy prosto, rzekła stanowczo:

– Nie wierzę w to. Whitley to wąż i choć milion razy pragnęłam, by stąd odpełznął i wślizgnął się z powrotem pod kamień, pod którym się czaił, nie mieści mi się w głowie, że to zrobił.

– Nie sądzisz, że ktoś, kto go dawniej znał, dopadł go i zamordował? – zapytał Marcus, unosząc brwi. – Jeśli pamiętasz, sami zastanawialiśmy się, czy go nie usunąć na zawsze.

Zaczęła energicznie potrząsać głową, ale powoli ten ruch zaczął zamierać. – To możliwe – przyznała w końcu z namysłem. – Lecz jeśli ktoś go zabił, dlaczego nie ma ciała? Dlaczego odprowadzono jego konia? – Gdy Marcus wzruszył ramionami, powiedziała: – Właśnie! Gdybym to ja miała go zabić, posłałabym bilecik do Keatinga, w którym byłoby napisane, że ja, Whitley, zostałem niespodziewanie wezwany do Londynu

i proszę Keatinga, by spakował moje rzeczy i odesłał je pierwszą pocztą do Londynu. I załączyłabym tyle pieniędzy, żeby pokryć rachunek i przewóz – z hojnym napiwkiem. Nie trzeba nawet podawać adresu, pod który należy przesłać rzeczy, wystarczy polecenie, by kufer zostawić na stacji pocztowej, a ktoś go stamtąd zabierze. Na poczcie jest taki ruch, że minęłyby całe dnie albo nawet tygodnie, zanim ktoś zauważyłby jego kufer, a do tego czasu nikt już by nie pamiętał, kiedy go przysłano ani do kogo należy. Co do konia, zniknąłby jednocześnie z Whitleyem i wszyscy by uznali, że pojechał na nim do Londynu.

Marcus skinął głową.

– To by się mogło udać. Tylko ta notka Whitleya – czy ktoś by nie wpadł na to, że jest napisana nie jego charakterem pisma? A koń? Pozbyłabyś się go tak samo jak Whitleya?

Spojrzała na niego z niesmakiem. – Czy myślisz, że Keating kiedykolwiek widział pismo Whitleya? Że je zna? Albo że zatrzyma liścik? Oczywiście, że nie! Co Keatinga obchodzi, że Whitley wrócił do Londynu? Co do konia – dokończyła triumfująco – sprzedałabym go na najbliższym końskim targu. Whitley przecież by mi w tym nie przeszkodził.

Zastanawiając się nad scenariuszem nakreślonym przez Isabel, Marcus uznał, że zniknięcie Whitleya nie było zaplanowane. A przynajmniej zaplanowane niezbyt dobrze – gdyż jej plan by się powiódł. Whitley zniknąłby bez śladu. Brak ciała i zwrócenie konia świadczą zaś o tym, że w tej historii chodzi o coś więcej. Gdyby Whitleya zabił rozbójnik albo złodziej, zapewne zostawiłby ciało tam, gdzie upadło. A koń... Jaki rozbójnik, godny tego miana, oddałby cenne zwierzę? A jednak Marcusa nie odstępowała myśl, że w zaginięciu Whitleya maczał palce ktoś, kto go dawniej znał. Albo francuski agent...

Następnego wieczoru Isabel i Marcus właśnie wstali od kolacji, gdy pojawił się Thompson, który oznajmił, że na pana czekają w gabinecie goście. Wiedząc dobrze, kim są, Marcus wycisnął pocałunek na dłoni Isabel i nie odpowiadając na jej pytania, pospiesznie opuścił pokój.

W gabinecie zastał znużonego Jacka i ponurego Garretta. Obaj chętnie przyjęli brandy, którą poczęstował ich Marcus, a gdy już stały przed nimi napełnione kieliszki, Marcus zagadnął Jacka:

– Nie spodziewałem się ciebie tak szybko z powrotem.

– Zamurowało mnie, gdy wszedł do domu przed dwoma godzinami – stwierdził Garrett. – Musieli się minąć po drodze ze służącym, którego wysłałem z wiadomością o Whitleyu.

Na twarzy Jacka ukazał się wymuszony uśmiech. – A zniknięcie Whitleya to najgorsza wiadomość, jaką Garrett mógł mnie poczęstować. – Jack przechylił kieliszek brandy i pociągnął długi łyk. – Czas ucieka i w ciągu tygodnia plan Wellesleya trzeba będzie albo wprowadzić w życie, albo zupełnie zmienić – powiedział szczerze. – Portugalią najlepiej udałoby się zaskoczyć Francuzów, ale teraz, skoro Whitley zniknął, notatka zapewne znajduje się we francuskich rękach. – Przenosząc wzrok od jednego z towarzyszy do drugiego, dodał: – Roxbury i ja omówiliśmy sytuację i doszliśmy do wniosku, że zmarnowaliśmy dość czasu; prawdę powiedziawszy, o wiele za dużo. – Zacisnął zęby, po czym oświadczył na zakończenie: – Oraz że musimy działać szybko, by wydobyć z Whitleya prawdę wszelkimi możliwymi sposobami.

– Można go przycisnąć – rzekł spokojnie Marcus.

Oczy Jacka podchwyciły jego wzrok. – Tak. Subtelności się skończyły. Zmarnowaliśmy, ile to? Tydzień? Dziesięć dni? Więcej? – Zacisnął kształtne usta. – A niech to! Dlaczego, do diabła, musiał zniknąć właśnie teraz?

– Teraz to już nieważne, dlaczego zniknął – stwierdził Marcus. – W tej chwili musimy się zastanowić, jakie podejmiemy w związku z tym działania.

– Słusznie – odparł Jack. – A ponieważ zapadł się pod ziemię, musimy założyć, że notatka wpadła w ręce Francuzów i poczynić odpowiednie kroki. Za godzinę ruszam do Londynu, gdzie przekażę Roxbury’emu niepokojącą wiadomość, że Whitley zaginął w tajemniczych okolicznościach.

– Nie – zaoponował stanowczo Garrett. – Ledwo trzymasz się na nogach. Po przejechaniu paru mil spadniesz z konia. Nieważne, który z nas powiadomi Roxbury’ego o sytuacji.

Jack chciał się sprzeciwić, lecz Marcus powiedział spokojnie:

– Jack, on ma rację i dobrze o tym wiesz. Niech jedzie.

– No dobrze – westchnął Jack.

Trzej mężczyźni porozmawiali jeszcze chwilę, po czym podnieśli się, uścisnęli sobie dłonie, a następnie Jack z Garrettem odjechali. Nachmurzony Marcus poszedł szukać żony. Znalazł ją na górze w salonie przylegającym do jej sypialni.

Isabel, zajęta przeglądaniem magazynu kobiecego, uniosła wzrok i spojrzała na męża pytająco.

Marcus uśmiechnął się cierpko. Jak to teraz rozegrać? Isabel będzie się dopytywać, co się dzieje, a on nie może udzielić jej jasnych

odpowiedzi.

Isabel przyglądała mu się i oczy jej się zwęziły.

– Nie chcesz mi powiedzieć, o czym rozmawialiście, tak?

Przysiadł obok niej na poręczy kanapy. – Nie wszystko – przyznał. – Ale powiem ci, że Jacka i Garretta wielce zaniepokoiło zniknięcie Whitleya.

– A co ich to obchodzi? – zapytała rozsądnie.

Marcus znał ten ton z dawnych lat i wiedział, że jeśli nie powie czegoś, co trafi jej do przekonania, Isabel zadręczy go na śmierć żądaniem odpowiedzi na pytania, na które odpowiedzieć nie może. Po chwili zastanowienia rzekł:

– Pamiętasz, jak pytałem cię, jaką władzę ma nad tobą Whitley, a ty nie chciałaś mi powiedzieć?

Skinęła głową.

– Cóż, znajduję się w podobnym położeniu. Chętnie bym ci powiedział, ale, przynajmniej na razie, nie mogę.

Isabel chciała się z nim spierać, lecz choć zżerała ją ciekawość, przyznała, że co racja, to racja. Nie nalegał, gdy odmówiła mu zdradzenia swego sekretu, toteż nie może się na niego gniewać za to, że ma własne. Kusiło ją, by choć trochę go podpytać, ale z jego miny wyczytała, że niczego nie zyska. Westchnęła i, nadąsana, zapytała cichutko:

– Ale kiedyś mi powiesz?

Uśmiechnął się, jego szare oczy spojrzały na nią czule i ciepło.

– Zaraz gdy tylko będę mógł.

Musiała się tym zadowolić.

A choć Isabel mogła być zadowolona, nieznajomy, który spędził dzień ukryty wśród drzew, z dala od domu i jego najbliższego otoczenia, wcale zadowolony nie był. Dobrze przed świtem urządził sobie stanowisko obserwacyjne na jednym z wielkich dębów i o pierwszym brzasku zaczął przepatrywać zabudowania i imponujący dwór. Przez długą lunetę obserwował krzątającą się służbę, a także bacznie przyglądał się Marcusowi i Isabel, którzy korzystając z pięknej pogody, wyszli na spacer w ten niedzielny ranek. Odnotował też popołudniową wizytę Garretta i patrzał, jak gość odjeżdża, odprowadzając go zamyślonym wzrokiem. Garrett może przysporzyć mu kłopotów.

Gdy zapadła ciemność, zszedł z drzewa i przeszedł parę kroków do miejsca, w którym uwiązany był jego koń. Tu, na wyciągnięcie ręki, miał prowiant i wodę. Nieznajomy wsiadł na wierzchowca i odjechał z roztargnioną miną.

Jego dzisiejsze obserwacje potwierdziły to, co już podejrzewał – że posiadłość Sherbrooków jest rozległa, co utrudnia mu zadanie, a, jak się napomniał, czas ucieka. Musi uderzyć, i to uderzyć niezwłocznie, jeśli ma uratować cokolwiek, i szybko swój cel może niestety osiągnąć tylko w jeden sposób.

Jeśli wierzyć Whitleyowi, klucz do rozwiązania jego obecnego problemu znajduje się gdzieś na terenie ogromnej posiadłości Sherbrooków. Musi go tylko znaleźć, pomyślał, krzywiąc się. Widział tylko jedną możliwość dopięcia celu przy użyciu stosunkowo niewielkiej przemocy. Westchnął. Nie chce nikomu robić przykrości, ale jeśli w ciągu następnych paru godzin coś innego nie przyjdzie mu do głowy, właściwie nie będzie miał wielkiego wyboru.

Potrząsnął głową. Chryste! Nie ma dwóch zdań, że czasami zachowuje się jak skończony łobuz.

# Rozdział 16

W poniedziałkowy poranek Isabel obudziła się w łóżku Marcusa. Przeciągnęła się rozkosznie, radując się poczuciem zdrowego ciała, które pomysłowy kochanek wykorzystał jak należy. Z uśmiechem spojrzała w górę na jedwabny baldachim, myśląc o minionej nocy i wszystkich cudownych rzeczach, jakich dowiedziała się o ciele swoim, a także męża. Małżeństwo, uznała, jest cudowne!

Godzina była wczesna, światło poranka dopiero wsączało się zza ciężkich zasłon, a ona pamiętała mgliście, że Marcus wyszedł przed paroma minutami, przedtem wyciskając na jej ramieniu gorący pocałunek, i wspomniał coś, że wybiera się na spotkanie z rządcą, by objechać parę gospodarstw na terenie posiadłości. Wróci dopiero późnym popołudniem.

Ziewając usiadła i poszukała wzrokiem ubrania. Gdy dojrzała nocną koszulę przerzuconą przez jedno z krzeseł oraz szlafrok ciśnięty na podłogę koło łóżka, znowu się uśmiechnęła. Na wspomnienie, jak niecierpliwie Marcus zdzierał z niej nocny strój i jak jego ręce i usta ją pieściły, dreszcz przebiegł jej po krzyżu.

Wstała z łóżka, szybko umyła się, ubrała, na śniadanie, które przyniosła jej Peggy, zjadła grzankę i wypiła herbatę, po czym przemknęła przez hol i uchyliwszy potężne drzwi, wyszła na dwór. Uśmiech rozjaśnił jej twarz, gdy stanęła w majowym słońcu, szczęśliwa ponad wszelkie wyobrażenie. Powiedziała Thompsonowi, dokąd się wybiera, i niemal w podskokach pobiegła do stajni.

Ponieważ Marcusa nie było na miejscu, a prace budowlane mające wprowadzić ulepszenia w budynkach gospodarczych jeszcze się nie zaczęły, uznała, że wypadałoby odwiedzić teścia i jego żonę. Choć zamieszkała we dworze w Sherbrook i głowę miała zajętą innymi rzeczami, w tym kunsztem miłosnym Marcusa, zdrowie lorda Manninga nadal żywo ją obchodziło. A dzisiaj jest doskonała pora, by złożyć wizytę

we dworze w Manning i przekonać się na własne oczy, jak stary lord się miewa.

Gdy wchodziła przez szerokie wrota do stajni, mimo wszelkich dobrodziejstw, które ją obecnie spotykały, widziała jednak na widnokręgu maleńką chmurkę. Była tak mikroskopijna i, jak stanowczo powiedziała sobie Isabel, tak nieważna, że postanowiła o niej nie myśleć, by nie psuć sobie humoru. Ale choć próbowała udawać, że nie przyćmiewa ona jej szczęścia, wiedziała, że się okłamuje, i bezwiednie wciąż zastanawiała się, co Marcus tak naprawdę do niej czuje. Znała własne serce, wiedziała od lat, że jest szaleńczo, nieprzytomnie zakochana w Marcusie Sherbrooku, ale co on do niej czuje? Czy kocha ją tak, jak kobieta na to zasługuje, jak powinna być kochana przez mężczyznę, który zdobył jej serce?

Nawet gdy wyprowadzała konia z boksu i z roztargnieniem odrzuciła pomoc stajennego, który podbiegł, by jej usłużyć, myślała tylko o tym, czy Marcus ją kocha. Szybko i sprawnie osiodłała konia, rączą kasztankę, założyła jej uzdę i niebawem puściła się w kierunku dworu w Manning.

Klacz znała drogę, toteż Isabel mogła swobodnie pogrążyć się w myślach, gdyż koń z gracją podążał przez upstrzony plamami słońca las oddzielający posiadłości Manningów i Sherbrooków. Ranek był prześliczny, lecz Isabel prawie nie zwracała uwagi na otoczenie.

Nie wątpiła ani przez chwilę, że Marcus żywi do niej głęboką czułość. Nie wątpiła też, że jej ciało sprawia mu rozkosz w małżeńskim łożu, ale nie mogła udawać, że jest to normalne małżeństwo, poprzedzone normalnymi zalotami.

Przyznała ponuro, że do ich małżeństwa doszło nie dlatego, że Marcus naprawdę pragnął ją poślubić, lecz w wyniku szeregu skomplikowanych okoliczności. Uśmiechnęła się słabo. Jego wrodzone pragnienie, by ją chronić, kazało mu bezczelnie oznajmić Whitleyowi, że są zaręczeni, i postawiłaby swego najlepszego konia, że nigdy nie przyszło mu do głowy, iż w istocie będzie musiał się z nią ożenić. Gdy przypomniała sobie jego minę owej nocy we dworze w Manning, kiedy to uzmysłowił sobie, że nie wywikła się z tych zaręczyn, wargi wygięły się jej w podkówkę. Nie wydawał się co prawda zrozpaczony, ale z pewnością nie skakał z radości. Pomyślała ze smutkiem, że nawet ślubu nie zaplanowali sami – słabe zdrowie barona okazało się narzędziem równie skutecznym, co miecz zawieszony nad ich głowami. I znowu Marcus nie miał wyboru, lecz, pomyślała z nieco większą pogodą, poślubił ją bez najmniejszej niechęci.

Zmarszczyła brwi. Czy to jedynie silne poczucie honoru

i przywiązanie do lorda Manninga skłoniło go do takiego postępowania? Czy też coś bardziej prozaicznego – chęć posiadania syna, by zachowało się nazwisko Sherbrooków? Uśmiechnęła się na tę myśl. Marcus nigdy nie wydawał się jej człowiekiem, który troszczy się o swą spuściznę, losy majątku i posiadłości, tak że odrzuciła przypuszczenie, jakoby konieczność spłodzenia dziedzica sprawiła, iż tak łatwo przystał na ich zaręczyny i małżeństwo.

Isabel, zatopiona w rozmyślaniach, nie zdawała sobie sprawy, jak daleko ujechała, i gdy klacz nagle stanęła, uniósłszy wzrok ze zdumieniem młoda kobieta stwierdziła, że oto znalazła się na dziedzińcu przed dworem w Manning. Podbiegł do niej stajenny, by przytrzymać jej konia, drzwi rezydencji się otworzyły i Deering z szerokim uśmiechem na twarzy przez taras pospieszył jej na spotkanie.

– Och, jaśnie pani! Jak miło panią widzieć – rzekł na powitanie. – I wiem, że lord i lady Manning będą bardzo zadowoleni z pani wizyty.

Zeskoczywszy lekko z konia, Isabel wręczyła wodze stajennemu i podbiegła po schodach do Deeringa. Gdy szli ku domowi, zapytała: – Wiem, że minęło dopiero parę dni, ale jak on się miewa?

– Doskonale! – Deering rzucił jej chytre spojrzenie. – I proszę wybaczyć mi śmiałość, ale muszę powiedzieć, że małżeństwo pani służy.

Isabel roześmiała się.

– W istocie, Deering, w istocie.

Lorda i lady Manning zastała na małym kamiennym dziedzińcu na tyłach domu. Okolony był różami i peoniami, a tu i ówdzie wdzięczna wierzba rzucała smugi cienia. Pod jedną z takich wierzb lord i lady Manning siedzieli na krzesłach z kutego żelaza przykrytych poduszkami w kolorze zielono-złotym. Kilka innych krzeseł było poustawianych po jednej stronie okrągłego żelaznego stołu, na którym znajdowały się pozostałości lekkiego posiłku.

Widok Isabel wywołał radosny uśmiech na obliczu lorda Manninga, który podniósł się i powitał ją w pół drogi. Trzymając młodą kobietę za ramiona, wpatrzył się w nią i rzekł:

– Cóż za miła niespodzianka. Właśnie rozmawiałem z Clarą o tobie i Marcusie. Zastanawialiśmy się, jak ci się powodzi w nowym domu.

Stając na palcach, wycisnęła mu całusa na policzku i odparła: – Jak widzisz, wiedzie mi się dobrze. – Przyjrzała mu się uważnie, z zadowoleniem widząc, że wzrok ma jasny i uważny, a cerę zdrową. Co najważniejsze, podniósł się szparko i podszedł do niej raźnym krokiem, więc nie musi się już martwić, że z powodu choroby będzie sparaliżowany bądź zniedołężniały, a takie obawy ją dręczyły. Udar nie

minął jednak bez śladu i gdy szli do Clary, Isabel zauważyła, że stary lord kroczy trochę niepewnie, a kiedy chwycił ją za ramiona, uścisk lewej ręki wydał się jej nieco zbyt słaby, ale ogólnie w znacznym stopniu powrócił już do zdrowia.

Isabel uściskała Clarę i pocałowała jej uroczy, różany policzek, po czym usiadła na krześle obok starszych państwa.

– Napiłabyś się herbaty, kochanie? – zapytała Clara. – Zadzwonię na Deeringa. Obawiam się, że ta, która stoi na stole, już wystygła.

Isabel potrząsnęła głową. – Nie, dziękuję. Niczego mi nie trzeba. – Przenosząc wzrok od jednej uśmiechniętej twarzy do drugiej, stwierdziła: – Wygląda na to, że i wam świetnie się układa.

Lord Manning przykrył dłonią miękką, pulchną rękę Clary i odparł: – W istocie. Uznaliśmy, że moja choroba była w sumie błogosławieństwem. Bez niej ty byś jeszcze zastanawiała się nad datą ślubu, a my z Clarą usychalibyśmy z tęsknoty do siebie. Wybaczyłaś mi już, że przyspieszyłem wasze małżeństwo? – zapytał ze zmartwioną miną.

– Nigdy nie było czego wybaczać – odparła zgodnie z prawdą Isabel. – Ale gdy następnym razem będziesz się czegoś ode mnie domagał, mógłbyś postawić na swoim w sposób mniej dramatyczny?

Lord Manning wybuchł śmiechem. – Brakuje mi tego twojego ostrego języczka i psot Edmunda. – Rzucił Clarze przepraszające spojrzenie i dodał pospiesznie: – Choć bardzo dobrze jest nam ze sobą.

– To prawda – rzekła Clara, uśmiechając się do niego czule – ale będziemy bardzo radzi, kiedy wróci Edmund i trochę nas rozrusza. – Spojrzała na Isabel z fi glarnym błyskiem w oku: – W zupełnej ciszy i spokoju zmienimy się wkrótce w parę zramolałych dziwadeł. Edmund dodaje nam radości życia... i, naturalnie, mam nadzieję, że ty i Marcus niebawem obdarzycie nas parą honorowych wnuków, nieprawdaż, moja droga?

Przez chwilę Isabel czuła pustkę w głowie. Ostatnio tyle się działo, że w ogóle nie myślała o dziecku. Ale wszak, uświadomiła sobie z podnieceniem, w przyszłym roku o tej porze może trzymać w objęciach własne maleństwo, jej i Marcusa. Ogarnięta nagłym wybuchem radości, wykrzyknęła:

– Och tak, rzeczywiście, mam taką nadzieję!

Po południu Isabel wyjechała wreszcie z dworu w Manning, kierując się do Sherbrook tą samą ścieżką, którą przybyła. Nie zamierzała bawić tam aż tak długo, ale starsi państwo poprosili, by spożyła z nimi obiad na świeżym powietrzu, i nie mogła im odmówić. Spokojna i uśmiechnięta,

niespiesznie wracała do domu, radując się ciepłym popołudniem i cudownym zwrotem, który nastąpił w jej życiu.

Tajemnica otaczająca narodziny Edmunda na zawsze pozostanie nienaruszona, a gdyby Isabel nie kochała Marcusa już wcześniej, obdarzyłaby go uczuciem za to, że natychmiast wraz z nią stanął na straży przyszłości Edmunda. Zdjął z ramion Isabel brzemię, które ciążyło jej tak długo, a także, pomyślała z uśmieszkiem, zajął się też tym jej uprzykrzonym dziewictwem. Marcus tak wprawnie... och, umie radzić sobie ze wszystkim.

Przypomniała sobie wzmiankę Clary o ewentualnych dzieciach i marząc o swych przyszłych pociechach, nie zwracała uwagi na to, co się dzieje wokół niej. Pierwsza zaniepokoiła się kasztanka, która z parsknięciem stanęła na środku ścieżki.

Pogrążona w marzeniach o szarookich, ciemnowłosych chłopcach i dziewczynkach, nie od razu zorientowała się w sytuacji i gdy dopędziło ją dwóch jeźdźców, którzy wypadli z lasu po obu jej stronach, było już za późno. Ledwo zdołała zauważyć, że dolne połowy twarzy mieli przesłonięte chustami, gdy poczuła jak rzucono na nią ciężki, ciemny koc, a jeden z napastników uniósł ją lekko i przerzucił na swego konia.

Bardziej wściekła niż wystraszona, usiłowała się bronić. – Puść mnie, łotrze! – krzyczała. Niewiele więcej mogła zrobić, gdyż leżała przewieszona przez konia przed jeźdźcem. Ręce miała zaplątane w koc, jej głowa zwieszała się z jednego boku konia, stopy z drugiego, tak że nie miała żadnego punktu oparcia.

Porywacz dał jej mocnego klapsa w pośladek. – Leż spokojnie! – rzekł. – Jeśli będziesz się tak wiercić, spadniesz na głowę.

Zła, że tak bezceremonialnie sobie z nią poczyna, odwróciła głowę i ugryzła go w udo.

– Jezu Chryste! – sapnął mężczyzna. – Ugryzłaś mnie!

– I zrobię to jeszcze raz, jeśli mnie natychmiast nie uwolnisz.

Ku swemu zaskoczeniu, usłyszała cichy chichot. – Niestety, wielmożna pani, nie leży to w moim interesie. A teraz, jeśli będziesz grzeczna, to się szybko skończy i uszczerbku dozna tylko twoja duma.

Isabel zmarszczyła brwi. Sądząc z głosu porywacza, był człowiekiem wykształconym, ton i słowa nie wskazywały na zwykłego rozbójnika. Co tu się, do diabła, dzieje? Odzyskawszy dech, zapytała ostro:

– Czy Whitley za tym stoi? On cię wynajął, żebyś mnie porwał?

– Myślę – rzekł nieznajomy – że to ja powinienem zadawać pytania. A teraz bądź cicho, bo mamy jeszcze kawałek drogi. – I spiął konia do tak szybkiego galopu, że dalsza rozmowa stała się niemożliwa.

Kiedy koń szybko unosił ją coraz dalej od miejsca porwania, Isabel uzmysłowiła sobie, że może się znajdować w prawdziwym niebezpieczeństwie. Właściwie nie była przerażona, ale gdy przeszedł jej pierwszy gniew, trudno powiedzieć, by z ufnością spojrzała w przyszłość. Ponieważ mężczyźni mieli zasłonięte twarze, nie zdołała ich rozpoznać, lecz przeczucie mówiło jej, że to obcy. Lub raczej, poprawiła się, nie mogła sobie wyobrazić, by ktokolwiek z jej znajomych porwał ją w sposób tak bezczelny i zuchwały. Nasuwa to pytanie – dlaczego w ogóle ją porwano?

Jazda, zważywszy na niewygodną pozycję Isabel, nie trwała zbyt długo, lecz podróżowali bardzo szybko i przebyli, wedle jej rachuby, trzy strumienie. Jechali na przełaj? Mylili ślady? Gdy konie wreszcie stanęły, odetchnęła z ulgą. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, ale wiedziała, że nie mogli zbytnio oddalić się ani od dworu w Manning, ani w Sherbrook.

Porywacz zsunął się z siodła. Sekundę później zdjął Isabel i przerzucił sobie przez ramię jak worek kartofli.

Z nutą śmiechu w głosie rzekł:

– Proszę mi wybaczyć tak szorstkie traktowanie, ale to był najprostszy sposób, by przewieźć wielmożną panią do jej, hm, siedziby.

Przyciskając ją mocno do swego ramienia, kroczył naprzód, wspinając się nieco; Isabel słyszała ciężki oddech, a od czasu do czasu siarczyste przekleństwo z ust drugiego mężczyzny, który szedł z tyłu. Jej porywacz miał nieco ogłady, lecz jego towarzysz, sądząc z mowy, był zwykłym prostakiem.

Kiedy dotarli do celu, mężczyzna, który ją niósł, pchnięciem otworzył drzwi – nieczęsto używane, pomyślała, sądząc po skrzypieniu zawiasów i zacinaniu się przy otwieraniu. W środku postawiono brankę na ziemi, a porywacz przytrzymywał ją za ramiona, póki nie zdołała ustać o własnych siłach.

Gdy tylko zdjął Isabel ręce z ramion, chwyciła za koc i zaczęła go z siebie ściągać, gdyż uczuła nagłą potrzebę wydostania się spod duszących ją fałd.

Ten drugi zobaczył, co się dzieje, i ryknął:

– Uważaj na jej gały, do cholery! Trzymaj ją! Zaraz zrzuci z siebie koc!

Dwie pary twardych rąk chwyciły ją, powstrzymując jej ruchy, więc, w bezsilnej złości, zaczęła kopać na prawo i lewo. Udało się jej stopą trafić w czyjąś goleń i usłyszała skowyt bólu.

– Niech to diabli! Będziesz ty stała spokojnie? Nie chcę cię skrzywdzić, ale jeśli nie przestaniesz, zmusisz mnie do zrobienia czegoś

bardzo przykrego.

– Mogę jej dać w łeb – warknął jego towarzysz.

Isabel wyczuła za sobą ruch sekundę wcześniej, niż coś ciężkiego uderzyło ją w tył głowy. Ból rozsadził jej mózg, wszystko pociemniało i padła bez zmysłów na ziemię.

Klnąc pod nosem, nieznajomy skoczył przez leżące ciało i chwycił Collarda za przód bluzy. Potrząsając nim jak workiem, powiedział:

– Na miłość boską, jeśli coś jej się stało...

– To co, zabijesz mnie? – spytał szyderczo Collard. Usiłował odepchnąć swego towarzysza, lecz ten trzymał go w żelaznym uścisku. Czerwony na gębie, Collard rzucił ostro: – A kto wytrzasnął ci to miejsce? A przede wszystkim, kto powiedział ci o Whitleyu? Gdyby nie ja, w ogóle nie wiedziałbyś, co się dzieje.

– Mylisz się – warknął nieznajomy. – Wiedziałem już o notatce, głupcze, a odnalazłeś mnie w Cherbourgu, bo wiadomo było, że tam musi wypłynąć.

– Ale to ja powiedziałem ci, gdzie go znaleźć, tak? – wyjęczał płaczliwie Collard. – Przydałem ci się, nie możesz zaprzeczyć.

Nieznajomy opuścił ręce. – Przypominam ci, że nawet najbardziej pożyteczne narzędzie traci kiedyś swą przydatność. Jeszcze raz mi się sprzeciwisz i nasze drogi się rozejdą, a rozstanie będzie bardzo nieprzyjemne – oznajmił ponuro.

Collard skrzywił się. – Ciągle jesteś na mnie zły o Whitleya, tak? – Gdy nieznajomy nie odpowiadał, mierząc go tylko zimnym wzrokiem, Collard wymamrotał: – No dobra, może zrobiłem błąd. Ale uznałem, że głupio byłoby go zostawić, żeby mełł językiem.

– Milczałby. Bo co takiego mógłby powiedzieć, co nie obciążałoby jego samego? Whitley był tchórzem, ale nie głupcem i trzymałby się od nas jak najdalej.

– Może i tak, ale nadal uważam...

Nieznajomy nie słuchał go już, lecz odwrócił się i ukląkł przy nieruchomej postaci Isabel. Delikatnie zdjął z niej koc i ostrożnie obmacał tył jej głowy. Skrzywił się, gdy jego palce stały się lepkie od krwi, lecz widząc, jak regularnie faluje jej pierś, uznał, że żyje.

Była w porównaniu z jego wysoką sylwetką tak mała, że bez trudu podniósł ją i posadził na jedynym meblu, jaki znajdował się w tej starej, drewnianej chacie – rozchwierutanym krześle, równie wiekowym, co ta waląca się chałupa. Zerknął przez ramię na Collarda.

– Sznur. Opaska na oczy i knebel, jeśli łaska.

Collard szybko wydobył żądane przedmioty i parę minut później

Isabel została przywiązana do krzesła. Oczy zakryła jej czarna opaska, w usta wepchnięto knebel. Oparty na piętach, nieznajomy przyjrzał się swemu dziełu.

Podnosząc się na nogi, rzekł:

– Posiedzi tak spokojnie, póki nie wykonamy tego, co mamy wykonać.

– Zostawimy ją tu? – zapytał Collard, marszcząc brwi.

– Tak. Jak sam powiedziałeś, gdy zaproponowałeś to miejsce, nikt tędy nie będzie przechodził, a skoro jest przywiązana, zakneblowana i ma opaskę na oczach...

Collard zawahał się i w następnej chwili z szybkością błyskawicy nieznajomy przypadł doń, przyparł go do ściany chatki i zacisnął mu ręce na gardle. – Dotknij jej – zagroził cicho – wyrządź jej najmniejszą krzywdę, a będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobisz w życiu. Nie chcę mieć na sumieniu śmierci niewinnej osoby. Zrozumiano?

Collardowi oczy wyszły na wierzch od uścisku tych dłoni, próżno starał się rozewrzeć palcami stalową obręcz wokół gardła. Skinął głową.

Nieznajomy puścił go i rzekł chłodno:

– Ponieważ teraz rozumiemy się dobrze, zakończmy sprawę z panem Sherbrookiem.

Marcus wrócił do dworu późno. Choć popędzał rządcę, a niektórzy z jego dzierżawców z pewnością uznali, że podczas odwiedzin w ich gospodarstwach zachowywał się nieco obcesowo, i tak objazd posiadłości zajął mu dużo więcej czasu, niż się spodziewał. W każdym miejscu, gdzie się zatrzymali, znalazła się jakaś sprawa najwyższej wagi dla farmera, której rozpatrzenie pochłaniało całe godziny, lecz w końcu załatwił wszystko i już dojeżdżał do domu.

Myślał o Isabel i z uśmiechem skierował konia ku długiej alei prowadzącej do dworu w Sherbrook. Uśmiech Marcusa gasł w miarę jak zbliżał się do stajni, gdzie tłumek służących kłębił się wokół kasztanki, ulubionego konia Isabel. Wnętrzności zawiązały mu się w węzeł, a twarz stężała, gdy podjeżdżał do wzburzonej grupki.

Słysząc stukot kopyt jego konia, wszyscy obrócili się jak na komendę i ruszyli ku niemu. Węzeł zacisnął się jeszcze ciaśniej, gdy Marcus ujrzał, że jest wśród nich Thompson i ochmistrzyni, pani Brown.

Zsiadając z konia, spojrzał na Thompsona. – Co się dzieje? – zapytał.

Thompson wziął głęboki oddech i rzekł.

– Chodzi o jaśnie panią, panie baronie. Jej koń wrócił bez niej jakiś czas temu. Natychmiast wszczęto alarm i zaczęliśmy poszukiwania, ale

jak dotąd nikt nie natrafi ł na najmniejszy ślad.

– Wiecie, dokąd pojechała? – zapytał Marcus, zdumiony spokojem dźwięczącym w jego głosie, choć w środku mamrotał jak głupek.

Thompson skinął głową. – Tak, jaśnie panie. Gdy pani rano wychodziła z domu, wspomniała, że zamierza pojechać z wizytą do lorda i lady Manning. – Odchrząknął. – Pozwoliłem sobie wysłać George'a do dworu w Manning z notką do Deeringa. Wiem, że nie chciałby pan niepokoić starszych państwa, a Deering umie utrzymać język za zębami. George przywiózł odpowiedź od Deeringa: pani Sherbrook wyjechała z dworu w Manning dziś koło drugiej po południu.

Marcus zerknął na swój kieszonkowy zegarek. Zbliżała się szósta.

– Kiedy znaleziono jej konia?

– Jakąś godzinę temu, jaśnie panie. Od tej pory wszyscy szukają pani. Kilku chłopców stajennych przeczesało każdy ślad między naszym dworem i dworem w Manning. Sprawdzono nawet jezioro, ale niczego nie znaleziono. Tylko jej konia.

Co mi praktycznie nic nie daje, myślał z wściekłością Marcus. Coś mogło się Isabel przydarzyć zarówno godzinę temu, jak i parę minut po wyjeździe z dworu w Manning po południu. Opanowując potworny lęk, który ścisnął mu pierś, rzekł:

– Gdzie oni są? Chcę z nimi porozmawiać.

W ciągu paru minut Marcusa otoczyło kilkunastu ludzi, w tym paru wyrostków. Jednak bez względu na wiek na każdej twarzy malował się taki sam niepokój. Marcusowi z wielkim trudem udało się zachować niewzruszoną minę. Jego ludzie tego od niego oczekiwali.

Przepytywanie stajennych niewiele mu dało, toteż ukrywając własne obawy, odesłał ich do swoich obowiązków. Jeden młodzieniec ociągał się i Marcus popatrzył na niego. – Ellard, tak? – zapytał. Gdy chłopak nieśmiało skinął głową, zagadywał go dalej: – Chcesz może coś mi powiedzieć?

Chłopaczek, który wyglądał jeszcze całkiem dziecinnie, kiwnął głową i wymamrotał:

– Bardzo przepraszam, jaśnie panie, ale obok głównego szlaku jest takie miejsce... widzi mi się, że to tam napadnięto na jaśnie panią. Ślady są świeże, najwyżej sprzed paru godzin.

– Pokaż mi je.

Chwilę później Marcus i chłopiec stajenny wsiedli na konie i ruszyli galopem. Po paru minutach Ellard zatrzymał się i dając znak Marcusowi, by podążał za nim, skierował konia w bok szlaku. Przez parę następnych minut słychać było tylko tętent kopyt ich koni na polnej drodze, po czym

rozległ się podniecony głos Ellarda:

– Tu, jaśnie panie. Niech pan spojrzy! Jeden szlak skręca ku domowi, tym najpewniej klacz pani pobiegła do domu, ale dwa pozostałe prowadzą na przełaj przez las.

Marcus nie uważał się za wielkiego tropiciela, ale dość w życiu polował, by po sekundzie odnaleźć wśród innych ślady, które wskazywał Ellard. Zsiadł z konia i starannie obejrzał grunt. Rozszerzając teren poszukiwań, znaleźli miejsce, w którym musiały czekać dwa konie, każdy ukryty po jednej stronie szlaku. Ślady pochodziły sprzed paru godzin i wyglądało na to, że Ellard ma rację. Para jeźdźców czekała na powrót Isabel i pochwyciła ją.

Ten przeklęty Whitley, myślał Marcus, wpatrując się w odciśnięte ślady kopyt. Nie wiedział, o co chodzi, ale był pewien, że ma to jakiś związek z Whitleyem.

Z kamienną miną, bez słowa, Marcus ponownie wsiadł na konia i wraz z Ellardem zaczęli przepatrywać ścieżkę, którą podążyły oba konie. Było to dręcząco powolne zajęcie, gdyż ślady przejścia obu zwierząt ginęły w leśnym poszyciu, ale tu i ówdzie natrafiali na odcisk końskiej podkowy, toteż zagłębiali się dalej w las. Po przekroczeniu drugiego strumienia zgubili wszelkie ślady. Stracili godzinę, usiłując odnaleźć je na nowo, ale musieli dać za wygraną.

Gdy wrócili do dworu w Sherbrook, zapadał zmierzch. Wymęczony i przerażony jak jeszcze nigdy w życiu, Marcus wręczył wodze swego równie wymęczonego konia koniuszemu Worleyowi.

– Jaśnie pan coś znalazł? – zapytał Worley, patrząc nań z niepokojem w oczach.

Marcus potrząsnął głową. – Nic. Ale młody Ellard ma dobre oko. Nagrodź go. – Zawahał się chwilę, po czym dodał: – Uspokój swoich ludzi najlepiej jak umiesz. Utnij wszelkie domysły. Powiedz, że, hm, pani Sherbrook wybrała się z wizytą do znajomych, o czym zapomniała mi powiedzieć, a jej koń przypadkiem się oddalił.

Worley zrobił minę, jakby chciał się sprzeciwić, ale coś w oczach Marcusa sprawiło, że nawet nie odważył się otworzyć ust.

Hałas nadjeżdżającego pojazdu kazał Marcusowi obrócić głowę, lecz szalona nadzieja, która w nim zapłonęła, zgasła, gdy ujrzał, że to tylko Bartlett, jeden z jego dzierżawców. Ciężki wiejski wóz podjechał, skrzypiąc i chrzęszcząc. Bartlett zatrzymał konia. – Dzień dobry, jaśnie panie – rzekł. – Mam coś dla jaśnie pana. – Z zanadrza kurtki wyciągnął kopertę. Wręczył ją Marcusowi ze słowami: – Mocno się wystraszyłem, gdy ten jegomość zatrzymał mnie na drodze. Ale dał mi całą gwineę,

żebym ją panu dostarczył. Powiedział, że mam ją panu oddać do rąk własnych.

Mając nadzieję, że nikt nie dostrzeże, jak bardzo drżą mu palce, gdy odbierał kopertę z ręki Bartletta, Marcus skinął głową i wymamrotał: – Dziękuję. – Zerknął na kopertę, dobrze wiedząc, co zawiera. – Możecie mi opisać człowieka, który wam ją wręczył? – zapytał.

Zdziwiony Bartlett odparł:

– On się zachowywał, jakby był znajomym jaśnie pana. A nie jest?

Marcus potrząsnął głową.

– Nie. Nie jest moim znajomym. Co możecie mi o nim powiedzieć?

Bartlett pociągnął się za ucho. – Prawdę powiedziawszy, jaśnie panie, nie przyglądałem mu się, ale widzi mi się, że wyglądał na dżentelmena i tak też mówił. To dobrze zbudowany mąż, jechał na rasowym koniu, tyle że, jak sobie teraz przypominam, rondo kapelusza zasłoniło mu twarz, więc bym go nie rozpoznał. Chyba nie zrobiłem nic złego? – dodał ze zmartwioną miną.

– Nie. Nie zrobiliście nic złego. Zadaliście sobie kłopot – rzekł Marcus, zmuszając się do uśmiechu.

Bartlett odwzajemnił uśmiech.

– To żaden kłopot, jaśnie panie. Nie za całą gwineę!

Marcus machnął mu ręką na pożegnanie i ruszył do domu. W przestronnym holu powitał go zaniepokojony Thompson.

– Jakieś wieści, jaśnie panie?

– Podejrzewam, że zawartość tej koperty powie mi to, co chcę wiedzieć – odparł Marcus, machając nią przed nosem Thompsona. Patrząc na kamerdynera, ze stoickim spokojem rzekł: – Wszystkim zainteresowanym oznajmiaj, że żona zapomniała mi powiedzieć o odwiedzinach u przyjaciół, gdzie zabawi parę dni. Powiadom służbę.

Thompson przełknął ślinę.

– A jej koń, jaśnie panie? Jak mam wytłumaczyć, że wrócił bez niej?

– Prawdopodobnie dlatego, że odwiązano go od powozu, którym jechała. – Jeszcze raz popatrzył na Thompsona i uniósł kopertę. – To wszystko jest tutaj – wyjaśnił. – Nawet przeprosiny za zamieszanie, które wywołała. Rozgłoś wszędzie, że to przez niedopatrzenie i że wszystko jest w porządku. – Twardym tonem powtórzył: – Wszystko jest w porządku. Absolutnym.

Thompson skłonił się.

– Tak jest, jaśnie panie. Będzie, jak pan sobie życzy.

Sam w swoim gabinecie, Marcus zdjął surdut i rozwiązał fular, nie odrywając oczu od koperty leżącej na środku jego wielkiego biurka. Nie

musiał czytać jej zawartości, dokładnie znając ją z góry. Z chwilą gdy dowiedział się o powrocie konia Isabel bez właścicielki, był przygotowany na list z żądaniem okupu. Wypadki oczywiście się zdarzają, lecz jego żona była znakomitą amazonką, a klacz nie miała opinii narowistej. Od początku zdawał sobie sprawę, że to mało prawdopodobne, by koń zrzucił Isabel, a gdy poszukiwania nie dały rezultatu, starał się opanować panikę, która zdejmowała go coraz silniej. Ślady, które odnalazł wraz z młodym Ellardem, tylko potwierdziły podejrzenia, że w zniknięciu Isabel i nadejściu liściku nie ma nic przypadkowego.

Nalał sobie brandy i z kieliszkiem zasiadł za biurkiem. Przypatrywał się leżącej przed nim kopercie, jakby była jadowitym wężem. Muszę tylko, powiedział sobie, otworzyć ją i potwierdzić swoje najgorsze obawy.

Jeszcze przez sekundę sączył brandy, wpatrując się w cienką kopertę leżącą przed nim na biurku, starając się zebrać myśli, rozpatrzeć to, co się wydarzyło, ze wszystkich stron. Jednak pokusa, by położyć kres tym szalonym domysłom, była zbyt przemożna, toteż, klnąc pod nosem, odstawił kieliszek, wziął do ręki kopertę i rozdarł ją jednym gwałtownym ruchem.

W środku był tylko jeden arkusik papieru, a gdy przeczytał kilka słów na nim skreślonych, chłód przeszedł mu po krzyżu. O Boże, nie!

Z zesztywniałą, zaciętą twarzą zmiął arkusik w ręce, poderwał się na równe nogi i wypadł z gabinetu. Nie bacząc na nic po drodze, popędził do stajni, niemal powalając na ziemię Worleya, obok którego przemknął.

Dotarłszy do drzwi swego biura przy stajniach, gwałtownym ruchem otworzył drzwi i rozejrzał się jak szalony. Na haczyku przytwierdzonym do ściany wisiał porządnie, tam gdzie umieścił go jeden ze stajennych, przedmiot jego poszukiwań. Czterema szybkimi susami przemierzył pomieszczenie i ściągnął z haka płaszcz Whitleya.

Powinienem był się domyślić, wściekał się, kładąc ubiór na biurku. Wiedzieliśmy, że łajdak musiał przywieźć notatkę ze sobą. Wiedziałem, że musiał mieć ją gdzieś w pobliżu, ale w ogóle nie pomyślałem o płaszczu. Byłem głupcem, myślał wściekle, że na to nie wpadłem, zwłaszcza po włamaniu i innych wydarzeniach.

Zapadał zmrok więc, by lepiej widzieć, Marcus zapalił dwie świece, które ustawił po obu stronach płaszcza. Zmuszając się do spokojnego działania, w migoczącym blasku płomyków powoli oglądał tę szykowną, wełnianą sztukę garderoby. Po paru minutach jego palce wymacały w końcu kawałek, w którym coś wyczuł. Whitley doskonale zamaskował swój skarb i Marcus przyznawał, że ma do czynienia z chytrym

przeciwnikiem. Gdyby nie wiedział, że notatka wszyta jest w płaszcz, nie odnalazłby jej. Dopiero uważnie przesuwając palcami po lamów ce klap, wyczuł, że jedna jest nieco grubsza i sztywniejsza od drugiej, dzięki czemu odnalazł notatkę.

Nożem starannie rozciął wprawnie zszyty szew; jego oddech stał się szybszy, gdy palce natrafi ły na wąski wałek ceraty. Wyjął go z płaszcza, zbliżył do jednej ze świec i niemal z nabożeństwem rozwinął. W środku znajdowało się kilka ciasno zwiniętych arkusików papieru, a czytając je, uzmysłowił sobie, jak wielkie straty poniosłyby wojska brytyjskie, gdyby informacje te dostały się do rąk Francuzów.

Z ponurą miną i zaciśniętymi szczękami wpatrywał się w trzymaną w rękach notatkę. List z żądaniem okupu nic nie wspominał o zaginionym dokumencie, lecz z chwilą, gdy Marcus przeczytał, że porywacze w zamian za Isabel domagają się płaszcza Whitleya, odgadł, o co im chodzi. Jakżeż mógł się nie zorientować, że rzecz, której poszukiwał, przez cały czas była na terenie jego stajni? Sklął się za to od ostatnich.

Ze wzrokiem utkwionym w trzymanych w ręku papierach opadł na stojące za biurkiem krzesło. Strach i rozpacz przeszywały go niczym ogień artyleryjski. Czy mogę, rozmyślał tępo, nie uratować kobiety, którą kocham nad życie? Lecz iluż ludzi zginie, jeśli im to przekażę? Czyż nie będę zdrajcą, jeśli dam im to, czego żądają? Serce pękało mu z przeszywającego bólu. Nie wyobrażał sobie życia bez Isabel u jego boku, nie wyobrażał sobie, że pozwoli jej umrzeć, skoro może ją uratować, a jednak, czy mógłby żyć, wiedząc, że zapewnił jej bezpieczeństwo kosztem śmierci wielu dobrych, lojalnych Anglików?

Głęboko wciągnął powietrze w płuca. Wspomniano już o możliwości zmiany planów Wellesleya – czyż w związku z tym leżąca przed nim notatka nie staje się dla Francuzów bezużyteczna? Czy nie może z czystym sumieniem wręczyć jej porywaczom Isabel i odzyskać żonę? Zastanawiał się nad tym przez chwilę, lecz wiedział, że to nie takie proste.

Marcus nie był taktykiem wojskowym, ale rozumiał, jak żywotne znaczenie dla Wielkiej Brytanii i jej sojuszników ma lądowanie w Portugalii. Owszem, wykorzysta się inne porty, inne miejsca, lecz Portugalia może stanowić klucz rozwierający śmiertelny uścisk, w którym Napoleon trzymał kontynent, a Marcus miał w ręku dokument, który pozwoli te plany – przygotowywane przez całe tygodnie i miesiące – wcielić w życie. Gdyby plany te uległy zmianie, trudno powiedzieć, ilu ludzi poległoby z tego powodu.

Jęknął i ukrył twarz w dłoniach. Wybór był prosty. Uratować żonę. Albo zdradzić ojczyznę.

# Rozdział 17

Przez parę minut Marcus siedział nieruchomo, gdyż ten straszny wybór pogrążył go w czarnej rozpaczy, lecz nagle wyprostował się i gdy spojrzał na rozłożoną przed sobą notatkę, oczy mu się zwęziły. Przez kilka minut uważnie studiował dokument, pocierając palcami skraj papieru. Przyszedł mu do głowy desperacki pomysł, a zatem szybko zwinął notatkę, umieścił ją z powrotem w wodoodpornej ceracie i wsunął do płaszcza Whitleya.

Zdmuchnął świece, niedbale przerzucił płaszcz przez ramię i wyszedł z biura przy stajniach, kierując się w stronę domu. Miał niewiele czasu. Spotkanie było wyznaczone o północy, a musiał wykonać mnóstwo żmudnej pracy.

Pokonam szubrawców w ich własnej grze, myślał z zawziętością, i odzyskam żonę!

Zatopiony we własnych myślach, nie zwracał uwagi na otoczenie i do głowy mu nie przyszło, że ktoś może go śledzić. A gdyby nawet, jest bardzo mało prawdopodobne, by wypatrzył obserwatora, który skrył się między krzewami i drzewami, przemyślnie porozrzucanymi po okolicy, lecz obserwator widział go wyraźnie przez lunetę. Gdy Marcus kroczył szparko szeroką aleją prowadzącą do głównego budynku, obserwator dotrzymywał mu kroku, przemykając się niewidocznie przez wspaniały ogród i tereny parku, które tak pieczołowicie pielęgnował główny ogrodnik wraz ze swym personelem. Kiedy Marcus wszedł przez wielkie podwójne drzwi od frontu, obserwator prześlizgnął się bokiem, zdecydowany nie spuszczać z oka płaszcza Whitleya. Zastanawiał się, czyby teraz nie napaść na Marcusa i nie zabrać mu płaszcza, lecz widząc potężną posturę maszerującego mężczyzny, usłuchał głosu rozsądku i zrezygnował z tego pomysłu.

Gdy Marcus znalazł się w środku, udał się natychmiast do swego gabinetu i zamknął za sobą drzwi na klucz. Thompson zdążył dopilnować,

by mosiężne świeczniki po obu stronach kominka zostały zapalone, w kominku płonął też niewielki ogień, więc pokój nie był pogrążony w ciemności, ale Marcus zapalił jeszcze parę świec na swoim biurku. Położył płaszcz, ponownie wyjął notatkę ze schowanka, ostrożnie ją rozwinął i przyjrzał się jej z namysłem. Z przyjemnością stwierdził, że jego pierwsze wrażenie było słuszne. Notatka została napisana na zwykłym papierze i postawiłby sakiewkę pełną złotych gwinei, że podobny ma w szufladzie biurka.

Papier stanowił główną trudność. Marcus przekonany, że jego brawurowy plan się powiedzie, usiadł za biurkiem i pogrzebawszy w szufladach, znalazł właśnie to, czego szukał: kilka arkuszy papieru. Cienka bibułka była prawie identyczna z tą, na której wypisano plany inwazji Wellesleya na Portugalię. Sprawdziwszy pióro i inkaust w butelce, rozpoczął mozolne kopiowanie notatki, słowo po słowie – z wyjątkiem miejsc, dat, liczby okrętów i żołnierzy – te zmieniał stosownie do swego widzimisię.

Jego plan miał jedną poważną wadę, z której zdawał sobie sprawę z przeraźliwą ostrością. Jeśli okup pochodzi od Whitleya, i to z nim Marcus ma się spotkać, by wymienić notatkę na Isabel, to przecież major pozna, że papiery, które mu wręczy, są podrobione, gdyż zna ich prawdziwą treść. Ale Marcus poszedł na rozpaczliwe ryzyko, że Whitley nie ma nic wspólnego z porwaniem Isabel, a jej porywacz zupełnie nie orientuje się w treści prawdziwego dokumentu.

Z liściku od porywacza nie wyczytał najmniejszej wskazówki co do osoby autora. I znowu nie wierzył, by okazał się nim Whitley. Major był tchórzem – o czym świadczą niezdarne próby odzyskania płaszcza – a choć porwanie bezbronnej kobiety nie jest aktem odwagi, wymaga jednak pewnej energii i śmiałości, tych zaś cech Whitley nigdy nie wykazywał. I do tego zniknął. Być może miała to być tylko zasłona dymna skrywająca jego prawdziwe poczynania, lecz Marcus nie przychylał się do tego poglądu. Najprawdopodobniej Whitley przepadł bez śladu w sposób tak nagły i niewytłumaczalny z tego powodu, że nie ma go już między żywymi. Przyszłość pokaże, czy zginął w wypadku i nie znaleziono jego ciała, czy też został zamordowany przez nieznanego dotąd zabójcę. Intuicja podpowiadała Marcusowi, że człowiek, który dokonał porwania Isabel, jest nowym graczem na scenie, i to za jego sprawą zaginął Whitley. Marcus przyznawał brutalnie, że gra o wielką stawkę z nowym zestawem uczestników. Uczestników, którzy dowiedzą się, że zostali wystrychnięci na dudka, dopiero wtedy, gdy już będzie za późno.

Najnowszy rozwój wydarzeń najprościej dałoby się wyjaśnić w ten sposób, że ów nowy gracz, czy też nowi gracze, schwytali Whitleya i sposobami, o których Marcus wolał nie myśleć, zmusili go, by powiedział im o notatce. Whitley z pewnością nie żyje, Marcus nie wyobrażał sobie, by łatwo wyjawił informację o tym dokumencie. Zatrzymał się na chwilę, przypomniawszy sobie, że Whitley wszak oddał złoty medalion... Potrząsnął głową. Medalion nie był rzeczą tak niepodważalną jak notatka. Grożąc Isabel, Whitley blagował i oddając to cacko, niewiele tracił. Podczas gdy notatka...

Opuścił wzrok na leżące przed nim papiery. Francuzi zapłaciliby królewski okup za tę informację i Whitley o tym wiedział – nie oddałby jej. Marcus był przekonany, że Whitley nie żyje i że zginął z rąk osoby, która przetrzymuje Isabel. Świadomość, iż Isabel znajduje się w rękach kogoś na tyle bezwzględnego, by torturować i mordować, napełniała go przerażeniem i wściekłością. Bezwiednie zacisnął pięść i zdał sobie sprawę, że gdy idzie o bezpieczeństwo żony, sam byłby zdolny do morderstwa.

Napominając się surowo, że nim się zemści, musi jeszcze wykonać sporo pracy, zabrał się do kopiowania notatki. Gdy jakiś czas później uderzenie zegara na kominku oderwało go od tego mozołu, z niedowierzaniem spojrzał na stworzony przez siebie duplikat dokumentu. Niewprawne oko nie odróżniłoby go od prawdziwego, całe szczęście, że nie musiał się biedzić z pieczęciami czy wytłoczeniami. Dzięki temu, że sam papier był zwykły i w najmniejszym stopniu niezmieniony, mógł podjąć to rozpaczliwe ryzyko. Co do samej treści, oryginał napisał jakiś bezimienny urzędnik z Gwardii Konnej i prócz inicjałów na dole ostatniej strony, nie musiał się martwić żadnymi podpisami. I bardzo dobrze, pomyślał Marcus, gdyż dotychczas nie próbował swych sił w fałszerstwie. Lecz krytycznie porównując oba zestawy papierów, uznał, że jego pierwsza próba podrabiania dokumentów – i, daj Boże, ostatnia, nada się – pod warunkiem że Whitley nie powiedział porywaczom Isabel, co zawiera dokument, oraz że Whitley nie żyje i nie będzie mógł zdemaskować fałszywej notatki. Wiele rzeczy mogło pójść źle, ale Marcus zakładał stanowczo, że mu się powiedzie. Musi odzyskać Isabel. Inny obrót sprawy jest nie do pomyślenia.

Na dworze, skryty w ciemności, obserwator lekko zmienił pozycję za bujną kępą bzu. Widział wyraźnie wnętrze gabinetu Marcusa, a w miarę jak mrok gęstniał, światło świec rozjaśniało pokój niczym scenę. Z wielkim zainteresowaniem obserwował poczynania mężczyzny i uśmiechnął się do siebie, gdy rozszyfrował jego zamiary.

W środku zaś Marcus dokończył pracę nad dokumentem, starannie go złożył i zwinął na kształt oryginału. Rozwijał go tak i zwijał po kilkakroć, by zagięcia nie wyglądały na ostre i świeżo zrobione, lecz bardziej przypominały wyglądem prawdziwy dokument. Kiedy był już zadowolony ze swego dzieła, włożył sfałszowaną notatkę z błędnymi informacjami w ceratowy futerał, który wsunął w klapę płaszcza Whitleya.

Podniósł się z krzesła z prawdziwą notatką w dłoni, przeszedł przez pokój do przeciwległej ściany i odsunął obraz w pozłacanej ramie przedstawiający Groma. Zamówił go u George'a Stubbsa przed dziesięcioma laty, kiedy to kupił rumaka. Za portretem ogiera znajdował się sejf, który Marcus otworzył i umieścił w nim prawdziwą notatkę.

Nie wiedząc, że każdy jego ruch jest obserwowany, Marcus ze znużeniem usiadł za biurkiem. A choć stworzył znośny fałszywy dokument, diabelskie pazury nadal rozdzierały mu pierś i nawet nie pocieszała go świadomość, że przynajmniej stworzył plan ocalenia żony i popsucia szyków wrogowi, który chciał zaszkodzić Anglii. Jego żelazne opanowanie skruszyło się i schował głowę w dłoniach, targany wątpliwościami. Tyle rzeczy mogło pójść źle, a on nie miał powodu ufać osobie, która przysłała liścik z żądaniem okupu.

Uświadomił sobie ponuro, że Isabel może już nie żyć. Wezbrał w nim głuchy, pierwotny jęk niepokoju. Nie mógł nawet o tym myśleć. Nigdy jej nawet nie powiedziałem, że ją kocham. Isabel musi żyć. Musi.

Isabel była jak najbardziej żywa, a od chwili uwięzienia miotały nią na przemian furia i wszechogarniający strach. Walczyła uparcie z rozpaczą i przerażeniem, które ją opadały, lecz nie była to łatwa walka i od czasu do czasu kapitulowała. Wtedy górę brała czarna rozpacz – ale tylko na chwilę. Gniew pomagał nieco opanować strach, lecz nie zdołała stłumić nagłych ataków paniki na myśl, co się z nią stanie, gdy wrócą porywacze. Równie przerażająca była możliwość, że porywacze w ogóle nie wrócą, by ją uwolnić, i z jakichś nieznanych powodów zostawili ją tutaj na powolną śmierć.

Mimo obaw i strachu nie próżnowała i gdy nabrała pewności, że bez wątpienia jest całkiem sama, próbowała się uwolnić. Marnowała czas i energię, usiłując zrzucić więzy, którymi ją skrępowano, lecz musiała przyznać z goryczą, że porywacze związali ją zbyt mocno, by zdołała się oswobodzić. Nie dając za wygraną, spróbowała innego sposobu – zsunąwszy się z krzesła na podłogę, pocierała knebel i opaskę na oczach o szorstką, drewnianą powierzchnię krzesła w nadziei, że rozluźni bądź usunie któreś z nich, ale bezskutecznie. Powstrzymując łzy bezradności

i gniewu, zadyszana z wysiłku, położyła się w końcu na podłodze, rozważając następne posunięcie. Ręce miała skrępowane na plecach długim sznurem biegnącym aż do kostek, które również skrępowano. Nie mogła chodzić ani ruszać rękami, co uniemożliwiało jej zdjęcie opaski i knebla. Na chwilę ogarnęła ją rozpacz.

Wymęczona próbami oswobodzenia się, leżała na podłodze, odpędzając ponure myśli, które ją opadły. Nie mogła uciec, przynajmniej nie w tej chwili, i przełknąwszy tę gorzką prawdę, zaczęła się zastanawiać nad przyczynami swego obecnego położenia. Zrozumiawszy, dlaczego ją porwano, zyska jakiś oręż – jeśli jej porywacze powrócą.

Porwania, przemoc i rozboje zdarzały się w tej okolicy niezmiernie rzadko, prawie wcale, niemniej w biały dzień dwóch mężczyzn bezczelnie porwało ją z majątku lorda Manninga. Nic nie podpowiadało jej, kim mogli być napastnicy, choć ze sposobu wysławiania się jednego z nich wywnioskowała, że jest dobrze urodzony. Drugi najwyraźniej był pośledniejszego pochodzenia, lecz prócz tego nic więcej nie mogła o nich powiedzieć.

Ale dlaczego, zastanawiała się, dlaczego mnie porwali? To porwanie przypominało jej intrygę popularnego romansu, takie rzeczy nie zdarzają się damom z jej sfery. Jako szanowana niewiasta ze szlachetnego rodu, wiodła życie uregulowane i przewidywalne... dopóki nie pojawił się Whitley. Jej skryte za przepaską oczy się zwęziły. Ten szubrawiec!

Niecierpliwie trochę się uniosła i usiadła na pół oparta o ścianę chaty. Nie była to wygodna pozycja, ale czuła się mniej bezradna, niż leżąc na podłodze niczym przewiązana kura.

Zmarszczywszy brwi, doszła do wniosku, że za jej porwaniem musi stać Whitley. Czy można to jakoś powiązać z jej pobytem w Indiach? Czy ma to związek z Edmundem? Ogarnęła ją panika, oddychała głęboko, starając się opanować falę strachu. Nie. To nie może mieć nic wspólnego z Indiami czy Edmundem. Marcus już tego dopilnował. Wszelkie dowody uległy zniszczeniu. A Whitley, przypomniała sobie niechętnie, zniknął i choć nie wiedziała, kim są jej porywacze, żaden z nich na pewno nie był Whitleyem. Przygryzła wargę. Choć nie brał udziału w jej porwaniu, jakoś jest w nie uwikłany – o tym była przekonana.

Przez parę minut snuła rozmaite domysły, po czym powróciła do Whitleya. On w tym na pewno tkwi. A jeśli jej porwanie nie ma nic wspólnego z Indiami czy Edmundem, musi chodzić o coś, co zdarzyło się tu, w Anglii. I to niedawno...

Głęboko skupiona, rozważała tę kwestię. Whitley odszedł z wojska. Zdarzyło się to niedawno, lecz nie widziała związku między jego

wojskową emeryturą a swoim położeniem. Nagle pewna myśl uderzyła ją z taką siła, że aż się nieco wyprostowała. Whitley nie był jedynym nowo przybyłym w okolicy, który niedawno odszedł z wojska. Jack Landry, lord Thorne, kuzyn Marcusa również porzucił służbę nie tak dawno temu... Wstrzymała oddech. A do tego przedwczoraj wieczorem odbyło się tajemnicze spotkanie Marcusa z Jackiem i Garrettem – spotkanie, którego celu Marcus nie chciał jej wyjawić. Czy to spotkanie mogło mieć coś wspólnego z Whitleyem? Czy on stanowił wspólny mianownik?
Z namysłem skinęła głową. Z pewnością. Nic innego nie miało najmniejszego sensu. Coś wiązało Whitleya z jej porwaniem... i tym, o czym Marcus rozmawiał na spotkaniu z Jackiem i Garrettem, a o czym nie chciał jej powiedzieć.

Przyznała cierpko, że to mało konkretne, ale nie odrzuciła tego pomysłu, jak paru poprzednich, bardziej szalonych koncepcji. Lecz nawet jeśli rozumowała słusznie, a wcale nie była tego taka pewna, ani na jotę nie zmieniało to jej położenia – nadal była związana, zakneblowana, miała opaskę na oczach i więziono ją z nieznanych powodów.

Niczym żmija wyłaniająca się zza skały narastała w niej świadomość, że może znajdować się w wielkim niebezpieczeństwie, a jej życie może być zagrożone. Jeśli przetrzymują ją dla okupu, co będzie, jeśli coś pójdzie nie tak? A jeżeli porywacze wcale nie mają zamiaru oddać jej za to coś, czego tak rozpaczliwie pragną? Znowu przemknęło jej przez myśl straszliwe pytanie – czy aby nie pozostawiono jej tutaj na śmierć?
Z kamiennym spokojem rozważała możliwość, że nie przeżyje tej męki i już nigdy nie zobaczy męża ani syna.

Isabel zamrugała, wzdragając się na samą myśl, że już więcej nie zobaczy Marcusa czy Edmunda. Na chwilę owładnął nią dławiący strach, ale pokonała go, wmawiając sobie, że wszystko dobrze się skończy. Strach i beznadzieja nie złamią jej. Wyjdzie z tego cała i zdrowa. Musi! Ma po co żyć. Pomyślała o tych ciemnowłosych, szarookich chłopcach i dziewczynkach, o których marzyła przed porwaniem, o Edmundzie, a przede wszystkim o Marcusie... Tak, ma wszelkie powody, by żyć.

Utwierdziwszy się w swym postanowieniu, usiłowała obliczyć, ile godzin minęło od jej porwania. Miała wrażenie, że minęła cała wieczność, odkąd porywacze wrzucili ją tu i odjechali, a choć cała wieczność może nie minęła, Isabel wiedziała, że tkwi tu już bardzo długo. Z przepaską na oczach straciła poczucie czasu, ale powietrze robiło się coraz chłodniejsze i była pewna, że zapadł zmrok. Bez wątpienia już przed wieloma godzinami zauważono, że coś jej się przytrafiło. Jeśli porywacze puścili konia wolno, a podejrzewała, że tak, klacz w końcu pokłusuje do domu.

Niezawodnie wszczęto już alarm. Służba, Marcus będą jej szukać.

Fala ciepła rozlała się po jej ciele na myśl o mężu i wściekłości, jaka go ogarnie, gdy się dowie, że ją porwano. Będzie jej szukał do upadłego. O tak, Marcus łatwo się nie podda, przetrząśnie niebo i ziemię. Przed oczyma zamajaczyła jej znajoma twarz i mimo wszelkich wysiłków, by nie tracić nadziei, zastanawiała się ponuro, czy kiedykolwiek go zobaczy. A swego syna? Co z Edmundem? Gdyby umarła, zostałby zupełnym sierotą i zabolało ją serce o niego i jego przyszłość. Edmund będzie ją opłakiwał, ale przeżyje tę stratę. Ma kochającego dziadka, a Marcus zatroszczy się o jego przyszłość.

A co z Marcusem? Jak na nim odbije się jej śmierć? Och, wiedziała, że będzie cierpiał, nie kochałby się z nią tak, gdyby nie żywił do niej żadnych uczuć. Wygięła usta w czułym uśmiechu. Niewielu mężczyzn zachowałoby się tak jak on, gdy poznał prawdę o Edmundzie. Gdyby nie kochała go już wcześniej, w tym momencie zdobyłby jej serce. Nie wątpiła, że Marcus czuje do niej wielką słabość i miała dość rozumu, by zdawać sobie sprawę, że to nie tylko poczucie honoru, nie tylko wspólne dzieje czy bliskie sąsiedztwo związało ich ze sobą.

Co do swoich uczuć nie miała wątpliwości. Kochała go. Chyba od zawsze. Szloch wezbrał w jej piersi. Ale nigdy mu tego nie powiedziałam, rozmyślała smętnie. Ani razu nie dałam mu poznać, co dzieje się w moim sercu. Zbyt byłam zajęta ukrywaniem moich sekretów, zbyt zajęta udawaniem, że nic dla mnie nie znaczy... a znaczy wszystko!

Siedziała, pogrążona w gorzkim rozpamiętywaniu, przeklinając się za wszystkie zmarnowane okazje, by powiedzieć mężowi, jak bardzo go kocha, i przysięgając sobie, że jeśli przeżyje, w przyszłości nie będzie już taka głupia.

W żołądku bardzo brzydko jej zaburczało, co stanowiło najlepszy dowód, że godzina jest późna. Jak długo jeszcze będą ją tu trzymać?

Ledwo ta myśl zdążyła przemknąć Isabel przez głowę, gdy rozległ się tętent kopyt. Nasłuchiwała bacznie, czując po trosze ulgę, po trosze strach. Jeden koń czy dwa? Jeden, uznała zaraz. Dżentelmen czy ten drugi? Czy jeszcze ktoś zupełnie inny? Whitley? Zadrżała. Boże, byle nie Whitley.

Przybysz zbliżył się do chaty i otworzył drzwi. – Widzę, że nie traciłaś czasu i usiłowałaś uciec – rzekł ten, którego nazwała dżentelmenem. Odetchnęła z ulgą. Miała nadzieję, że to on się zjawi. Nie widziała powodu, by zaufać któremukolwiek z porywaczy, ale dżentelmen wydawał się jej mniejszym złem.

– Cóż, jeśli jest ci niewygodnie – oznajmił bez cienia współczucia – to

możesz mieć pretensje tylko do siebie.

Isabel wymamrotała coś wściekle przez knebel.

Mężczyzna zaśmiał się.

– Tak, tak. Wiem, że chętnie zatopiłabyś sztylet w mojej wątrobie, ale ponieważ jestem do niej dość przywiązany, rozumiesz chyba, że nie dam ci spełnić twojego życzenia.

Isabel rzuciła mu jeszcze jedną bełkotliwą obelgę, ale on tylko zaśmiał się ponownie i bez trudu podniósł jej szczupłe ciało. – Chodź – powiedział łagodniejszym tonem. – Twoja udręka zaraz się skończy.

Z tymi słowy zarzucił sobie Isabel na ramię i wyniósł z prowizorycznego więzienia. Gdy doszedł do swego wierzchowca, przerzucił ją przez kulę siodła i usiadł za wściekłą niewiastą. Upewniwszy się, że ułożył swą ofiarę bezpiecznie przed sobą, ścisnął boki konia kolanami, czym wprawił go w żwawy trucht.

Isabel wierciła się, usiłując znaleźć sobie wygodniejszą pozycję, lecz za swe wysiłki została nagrodzona zdrowym klapsem w pupę. – Jeśli chcesz spaść, rób tak dalej – rzekł porywacz. – Jak dotąd, nic nie poszło tak jak planowałem i tego mi tylko brakuje, żebyś spadła z konia i skręciła sobie kark. Zachowuj się przyzwoicie, a obiecuję, że wszystko dobrze się skończy. – Zachichotał. – Może nie dla wszystkich, ale mniej więcej.

Mimo pozornej pewności siebie mężczyzna był zmartwiony. Współpracował z Collardem przed laty i bardzo zaniepokoiło go, że Collard zabił Whitleya. Gdy musiał pojechać po panią Sherbrook, nie chciał zostawiać Collarda samego. Nie ufał mu już, że wykona rozkazy, a musiał wybrać – kazać Collardowi śledzić Sherbrooka czy wysłać go, żeby porwał panią Sherbrook. Skrzywił się. Żaden wariant mu nie odpowiadał, lecz w sumie postanowił nie powierzać życia pani Sherbrook niezbyt delikatnym rękom Collarda. Jeśli Collard będzie postępował zgodnie z planem, wszystko pójdzie dobrze, ale podejrzewał, że wspólnik przygotował sobie własny scenariusz, odmienny od tego, który razem omówili. Westchnął. Chryste. Chyba w końcu będzie musiał zabić Collarda.

Gryząc się tym, co Collard zrobi bądź czego nie zrobi, popędził konia do galopu. Wierzchowiec rzucił się do przodu, aż Isabel odetchnęła gwałtownie. – Tak, tak, wiem, niewygodnie ci, złotko – wymamrotał pod nosem, pochylając się nisko nad końskim karkiem – i przepraszam cię za to, ale nie mamy wyjścia, więc wytrzymaj.

Droga była bardzo wyboista, toteż Isabel straciła wszelkie poczucie kierunku. Szczęściem nie trwało to długo, akurat gdy młodej kobiecie

zdało się, że od drgań przy szybkich uderzeniach końskich kopyt odpadnie jej głowa, dżentelmen zwolnił bieg swego wierzchowca. Koń szedł spokojnie przez parę minut, po czym się zatrzymał. Jeździec zsunął się ze zwierzęcia, przywiązał go, zdjął Isabel i ponownie przerzucił ją sobie przez ramię.

Poruszał się bardzo cicho i ostrożnie, Isabel odniosła wrażenie, że zaczaja się na coś bądź kogoś. Przystanął na sekundę, po czym usłyszała otwierane drzwi i mężczyzna wszedł do jakiegoś budynku. Poruszał się szybko i zdecydowanie. Gdy ją niósł, wyczuła niespokojne poruszenie wśród zwierząt, woń obroku i siana oraz wyraźny zapach koni. Czyżby znajdowała się w stajni? Mężczyzna przystanął, po czym otworzył kolejne drzwi. W następnej chwili położył ją na ziemi, wyłożonej grubą warstwą słomy.

Koński boks? – zastanawiała się Isabel. Nie ulegało wątpliwości, że trafi ła do jakiejś stajni, nawet gdyby nie rozpoznała zwykłych zapachów, jej czujność wzbudziłyby stojące w pobliżu konie, które parskały i posapywały.

– Tego nie było w planie – rzekł cicho porywacz – ale wydaje mi się, że tu będziesz bezpieczna.

Zrobił jakiś ruch i po chwili poczuła, że opada sznur, który wiązał jej ręce z nogami. Poklepał ją lekko po policzku i wyszeptał: – Sprytna z ciebie szelmutka. – Na pewno zdołasz się oswobodzić. – Zaśmiał się cicho. – W końcu.

A potem zniknął.

Gdy Isabel nabrała pewności, że naprawdę sobie poszedł, zaczęła wić się na słomie, usiłując przełożyć ręce na przód. Choć była zwinna, trudno jej szło, spódnica do konnej jazdy utrudniała jej przełożenie rąk przez stopy. Po kilku bezowocnych próbach poniechała dalszych wysiłków. Bez tchu zległa na słomie, nasłuchując, zastanawiając się, gdzie jest i co się dzieje z Marcusem.

Gotując się na spotkanie z porywaczem, Marcus myślał przede wszystkim o Isabel i jej losie. Miejsce wymiany wyznaczono niedaleko, niespełna dwie mile od dworu. Miała się odbyć w dobrze znanym punkcie orientacyjnym – przy potężnym, spalonym od pioruna dębie rosnącym na małej polance przylegającej do traktu wiodącego do dworu w Manning.

Choć Marcus miał sfałszowaną notatkę, nadal rozważał szereg różnych możliwości uwolnienia żony podczas godzin dzielących go od spotkania z porywaczem. Przede wszystkim chciał zapewnić Isabel bezpieczny powrót, ale na myśl, że musi potulnie przekazać płaszcz

Whitleya, burzyła się w nim krew. Nie miał jak się wywiedzieć, czy porywacze Isabel dotrzymają słowa, czy ona w ogóle żyje ani czy to nie jest jakaś zasadzka.

Przechodziło mu przez myśl, czyby nie zastawić własnej pułapki i już parokrotnie sięgał po papier, by napisać do Jacka z prośbą o pomoc, lecz za każdym razem powstrzymywała go troska o bezpieczeństwo żony. A jeśli jego działania doprowadzą do tego, czego się obawiał najbardziej – śmierci Isabel?

Przez długie godziny rozpaczliwie usiłował wymyślić sposób, by popsuć szyki przeciwnikowi i odzyskać żonę – żywą. W końcu wzgląd na bezpieczeństwo Isabel wziął górę. Nie odważy się zaryzykować jej życia, by dokonać zemsty. Fałszerstwo pociągało za sobą wystarczające ryzyko i woli już więcej nie igrać z losem, gdy stawką jest życie Isabel.

Wzburzony do głębi, niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. Jego kuzyni, Julian czy Charles, wiedzieliby dokładnie, jak poradzić sobie w takiej sytuacji, i bezsprzecznie obmyśliliby jakiś śmiały plan. Przeklinał się za to, że obrał życie ciche i przyziemne. Gdybym miał więcej awanturniczego ducha, sam na siebie ciskał gromy, jednym sprytnym posunięciem uwolniłbym Isabel. Gdy opuścił wzrok na płaszcz Whitleya, przeszedł go dreszcz obrzydzenia. A co ja robię? Zamiast jechać z wyciągniętą szpadą na ratunek ukochanej kobiecie, fałszuję notatkę!

Kolejny rzut oka na zegar na gzymsie kominka powiedział mu, że nie ma już czasu, za parę minut albo odzyska żonę, albo... Wściekle potrząsnął głową, niezdolny dokończyć myśli. Pełen nadziei, zły, gotowy na wszystko i niespokojny Marcus podniósł się i wziął płaszcz Whitleya. Z płaszczem przewieszonym przez ramię, zacisnąwszy szczęki, wyszedł z gabinetu przed dom, gdzie czekał na niego osiodłany wierzchowiec.

* * *

Położywszy bezpiecznie Isabel w stajni, mężczyzna szybko wyszedł z budynku. Zgodnie z planem Collard już powinien czekać na Sherbrooka w pobliżu spalonego od pioruna dębu, a Sherbrook albo jest w drodze, albo w ciągu paru minut wyjdzie z domu na spotkanie z nim. Przystanął i potarł szczękę. Collard nie będzie zadowolony, że wspólnik nie zjawi się z Isabel, ale szczególnie go to nie martwiło. Collard jest sprytny i najprawdopodobniej wytłumaczy jej nieobecność Sherbrookowi, mydląc mu oczy jakimś wykrętem. Westchnął. Nie dało się tego uniknąć, Sherbrook przeżyje parę ciężkich chwil, nim wróci do domu i odkryje, że

nie wszystko stracone. Mężczyzna uśmiechnął się. Gdy Sherbrook znajdzie się z powrotem we dworze, zastanie tam stęsknioną żonę, całą i zdrową.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy nagle poczuł między łopatkami nacisk lufy pistoletu. Zesztywniał. Z tyłu za nim Collard odezwał się cicho: – Że też się tu spotykamy. Całe szczęście, że podejrzałem, jak skradasz się koło stajni, i zaczekałem, aż wyjdziesz. Ponieważ nie ma jej z tobą, musiałeś upakować ją gdzieś tutaj. Jakoś nie przypominam sobie, żeby to było w planie.

– Bo nie było – odparł spokojnie ten, którego Isabel uznała za dżentelmena. – Ale pozostawienie jej tu niczego nie zmienia, Sherbrook i tak dostanie ją z powrotem, tylko nie wtedy i nie tam, gdzie się spodziewa. – Opadła go fala bezsilnego gniewu. Collard wszystko zepsuje. – A ty? – zapytał chłodno. – Co ty tu robisz? Przecież miałeś czekać na Sherbrooka.

Collard zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Dlaczego mam działać zgodnie z planem? Ty robisz po swojemu.

– Zgoda, nie postępuję zgodnie z pierwotnym planem, ale czyż jeden z nas nie miał się spotkać z Sherbrookiem? – zapytał sarkastycznie tamten.

Szturchając dżentelmena mocniej pistoletem w plecy, Collard rzekł: – Spotkam się z Sherbrookiem, jak najbardziej, ale trochę sobie pokombinowałem, jak ciebie nie było, a ja zostałem, żeby mieć oko na Sherbrooka, i wymyśliłem własny plan. – Tonem, z którego przebijały chciwość i podniecenie, dodał: – Wszyscy wiedzą, że Sherbrook ma forsę, da tyle złota, ile ta kobitka waży, by mieć ją z powrotem. Nie będę gadał z żabojadami. Zabieram ci ślicznotkę i oddam ją za porządne angielskie złoto. A co ty zrobisz, to już twoja sprawa.

– Ty głupcze! – wybuchnął gniewnie dżentelmen i zaczął się odwracać, by spojrzeć Collardowi w twarz, lecz powstrzymał go nacisk pistoletu między łopatkami.

– Nie ruszaj się! – syknął Collard, szturchając go mocniej. – Jeszcze nie zdecydowałem, czy cię zastrzelić, ale jeżeli będziesz mi bruździł, załatwię cię raz-dwa.

– Tak, to byłoby sprytne posunięcie – wycedził dżentelmen. – Proszę bardzo, zastrzel mnie i postaw na nogi cały dom. Jak myślisz, ile czasu upłynie od wystrzału z tego pistoletu do chwili, gdy zaroi się tu od ludzi? Dość, żebyś zdążył zabrać kobitkę z miejsca, gdzie ją umieściłem? To duża stajnia. Naprawdę myślisz, że znajdziesz ją, dotrzesz do konia i po prostu odjedziesz, zanim cię złapią? – Zaśmiał się bez wesołości. – Coś

mi się nie widzi.

– Zamknij się!

W cichym nocnym powietrzu rozległ się czysty i wyraźny głos kobiecy; dżentelmen zorientował się, że Isabel zdołała przełożyć ręce do przodu i wyjęła knebel. Za chwilę dziedziniec przed stajniami wypełni się rozbudzonymi służącymi, nie mówiąc już o z Sherbrooku pędzącym na ich czele. Dżentelmen wiedział, że jeśli ma nie stracić wszystkiego, musi zakończyć sprawę. Natychmiast.

Collard, który wystraszył się hałasu, zwrócił się w kierunku głosu i dżentelmen wykorzystał ten moment zamieszania, by obrócić się na pięcie i zaatakować wspólnika. Wzięli się za bary, obaj pragnąc zawładnąć pistoletem. Była to walka na śmierć i życie, zwarli się w mocarnym uścisku, to jeden, to drugi prawie już miał broń w garści, ciężko dyszeli, mięśnie mając napięte do ostateczności, by pokonać przeciwnika. Obaj zdawali sobie sprawę z mijających sekund – których nie mieli do stracenia, jeśli chcieli uciec.

Pistolet, który sobie wyrywali, wypalił i jedna postać osunęła się na ziemię. Ten drugi zaklął, rzucił pistolet i umknął w noc.

Marcus właśnie dosiadał wierzchowca, gdy powietrzem wstrząsnął huk wystrzału. Drgnął gwałtownie i zwrócił wzrok w kierunku stajni. Strach, jakiego nigdy w życiu nie doznał, ścisnął mu pierś. Spiął konia do szalonego galopu i bezzwłocznie przebył owe ćwierć mili dzielące dom od stajni.

Gwałtownie ściągnął wodze i zeskoczył z siodła. Serce zaczęło walić mu jak szalone, gdy usłyszał podniesiony, rozpaczliwy głos Isabel dochodzący ze środka. Zapalono już latarnie w tej części, gdzie spali stajenni, i zaspani chłopcy wypadali na zewnątrz. Nie bacząc na ciało leżące zaledwie parę cali od kopyt jego konia, nie bacząc na nic prócz Isabel, Marcus przebiegł obok pierwszych służących, idąc za syrenim zewem żony.

Znalazł boks, gdzie leżała, nadal skrępowana, mocnym pchnięciem otworzył drzwi i jednym długim susem znalazł się u jej boku. Ukląkł obok niej, wziął ją w ramiona i obsypał pocałunkami.

– Och, moja najdroższa – krzyknął łamiącym się głosem. – Bałem się, że już nigdy cię nie zobaczę.

W jednej chwili rozciął jej więzy i choć pęta nadal zwisały z przegubów i kostek Isabel, zarzuciła Marcusowi ręce na szyję i wtopiła się w jego potężne, ciepłe ciało. Nareszcie jest bezpieczna. Marcus ją odnalazł. Gdy oparła policzek o jego ramię, zniknęły wszystkie strachy i demony nękające ją tego upiornego dnia. Jest w domu. I Marcus ją

kocha!

Tuląc Isabel do siebie, Marcus podniósł się i, nie bacząc na zdziwione spojrzenia ciekawskich służących, kroczył z nią przejściem, aż wreszcie, niczym zwycięski zdobywca, wyszedł ze stajni, mocno trzymając w ramionach swój najdroższy skarb.

# Rozdział 18

Gdy Marcus i Isabel wyszli na chłodne, nocne powietrze, powitał ich chór zdumionych głosów. Przybiegł pędem Worley z młodym Ellardem u boku.

– Jaśnie panie! Co się dzieje? – zapytał niespokojnie Worley. W świetle latarni, którą trzymał, z przerażeniem dojrzał brudną, wyczerpaną twarz Isabel, pognieciony i powalany kostium do konnej jazdy, kawałki sznura zwisające z jej kostek i przegubów oraz źdźbła słomy przyczepione do cienkiego materiału i włosów. – Jaśnie pani! Nic pani nie jest? Co się jaśnie pani stało?

Wtulona w mężowskie ramiona, Isabel uśmiechnęła się blado. – Nic mi nie jest, Worleyu – odparła. – Był to burzliwy dzień, ale wszystko dobrze się skończyło. O nic się nie martwcie.

Wyjaśnienie to nie trafiło Worleyowi do przekonania, ale wiedząc, że więcej się nie dowie, przeniósł wzrok na Marcusa. – Jaśnie panie – rzekł z godnym podziwu spokojem – tam leży trup.

Nie mogąc ani minuty dłużej powściągnąć języka, niepomny na to, gdzie jest jego miejsce, a także na dobre maniery, Ellard rzekł z podnieceniem:

– To ten przemytnik Collard, jaśnie panie. Zastrzelono go.

Marcus nie odzywał się przez chwilę, po czym, patrząc na Isabel, zapytał cicho:

– Czy mogłabyś go rozpoznać jako jednego z porywaczy?

Potrząsnęła głową. – Nie. Wiem, że było dwóch mężczyzn, ale napadli na mnie tak szybko i owinęli w koc czy coś takiego, więc żadnego z nich nie widziałam. Zanim zdjęli przykrycie, uderzyli mnie w głowę, tak że straciłam przytomność, a kiedy się ocknęłam, miałam zawiązaną przepaskę na oczach. – Westchnęła. – Rozpoznałabym ich po głosach, ale prócz głosów i ogólnego wrażenia nie mogę nic powiedzieć.

Każde jej słowo uderzało w Marcusa jak cios, ledwo zdołał

powściągnąć gniew na dwóch mężczyzn, którzy podnieśli swe brutalne łapska na jego żonę, w ogóle ośmielili się ją dotknąć. Collard miał zbyt lekką śmierć, pomyślał z wściekłością. Mocniej przytulił do siebie Isabel. Jest bezpieczna, napomniał się. Jest bezpieczna i tylko to się liczy.

Odsuwając od siebie myśli o zemście, Marcus rzekł do Worleya: – Owiń ciało w koc i ukryj je gdzieś. O pierwszym brzasku poślij kogoś z zawiadomieniem do konstabla i sędziego. – Patrząc na Ellarda, dodał: – Gdzieś tu w pobliżu błąka się mój koń. Przyprowadzisz go?

– Tak, jaśnie panie!

Chwilę później Ellard sprowadził Marcusowego konia, który z pełnym zadowoleniem skubał trawę w pobliżu jednego z wygonów. Marcus niechętnie postawił Isabel, na tyle tylko, by wskoczyć na siodło. Ochoczo wróciła w jego ramiona i usiadła przed nim, objęła go za szyję, oparła policzek o jego ramię i powoli odjechali do domu.

Teraz dwór w Sherbrook był rzęsiście oświetlony, a Thompson i paru służących krążyli w tę i we wtę przed domem, wyglądając niespokojnie w stronę stajni. Gdy Marcus i Isabel wyłonili się z mroku, służący ruszyli ku nim gromadnie.

– Jaśnie panie! – krzyknął Thompson. – Co się stało? Słyszeliśmy huk wystrzału. Czy wszystko w porządku?

Podobne okrzyki i pytania padały ze wszech stron. Peggy, z której niebieskich oczu wyzierała troska, przepchnęła się na przód gromady. – Och, moja kochana pani! Co wam zrobili? – zapytała, widząc, w jak opłakanym jest stanie.

Isabel zmusiła się do uśmiechu.

– Przeżyłam niezwykle emocjonujący dzień, szaloną przygodę, ale wszystko dobrze się skończyło, a teraz po prostu marzę o kąpieli i może kucharcia przygotowałaby mi jakąś przekąskę?

To właśnie należało powiedzieć. Peggy wyprostowała się, niczym generał gotujący się do boju, i odparła żwawo: – Natychmiast się tym zajmę. – Odwróciwszy się, wycelowała palec w kierunku dwóch młodszych pokojówek: – Chodźcie ze mną, trzeba zagrzać wodę na kąpiel dla pani.

Thompson spojrzał na lokaja George’a i rzekł:

– Idź zaraz obudzić kuchmistrzynię. Powiedz, że pani nieoczekiwanie wróciła do domu i chciałaby coś zjeść. Niech natychmiast przygotuje dla niej tacę.

Służący zniknęli w domu, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na dziedzińcu zostali tylko Thompson, Isabel i Marcus. Z miną zatroskaną i niespokojną, Thompson zapytał:

– Czy mogę pomóc jaśnie pani zsiąść?

Isabel delikatnie postawiono na ziemi, Thompson dyskretnie nie robił żadnych uwag na temat kawałków sznura oplatających jej nadgarstki i stopy. Marcus zsiadł i przypomniawszy sobie po raz pierwszy o płaszczu Whitleya, odwiązał go i przerzucił sobie przez ramię. Zniknęło ostatnie brzemię, które przytłaczało Marcusa, odkąd przeczytał liścik z żądaniem okupu. I Isabel, i notatka były bezpieczne. Nie dbał już nawet o to, że jeden z tych łajdaków umknął. Uśmiechnął się. Pobił ich. Podążył wzrokiem ku żonie. Nie, pomyślał z triumfem, oboje ich pobili.

Ale płaszcz przypomniał mu o pilnych sprawach i patrząc na Thompsona, rzekł:

– Powiedz George'owi, żeby za parę minut był gotów do wyjazdu do Holcombe. Może wziąć mojego konia. Gdy tylko pani Sherbrook dojdzie do siebie, dam mu list do lorda Thorne'a.

Thompson pospieszył wypełnić polecenie, zostawiając Marcusa, by przeprowadził żonę przez dziedziniec do domu. W środku Marcus niechętnie przekazał Isabel w ochocze ręce Peggy i przeprosił, że musi ją opuścić.

– Zajmie mi to tylko parę minut – rzekł cicho, pieszcząc wzrokiem rysy Isabel. – Muszę napisać liścik do Jacka, a potem do ciebie przyjdę.

– Jaśnie pani musi najpierw się wykąpać, a potem coś zjeść – rzekła Peggy, której, jako długoletniej służącej, wiele uchodziło na sucho. – Powinna mieć co najmniej pół godziny.

Marcus skłonił się. – Oczywiście. Skoro tak będzie lepiej dla twojej pani... – rzekł potulnie.

Peggy triumfalnie zabrała Isabel.

Choć Marcus czuł ogromne znużenie, do swego gabinetu szedł lekkim krokiem. Znalazłszy się w środku, cisnął płaszcz Whitleya na najbliższe krzesło, usiadł i napisał krótki liścik do Jacka, wzywając go do siebie jak najrychlej. Składając list, doszedł do wniosku, że to będzie bardzo długa noc.

Zadzwonił na Thompsona i wręczając mu notkę, rzekł:

– To jest dla George'a. Powiedz mu, że nie musi czekać na odpowiedź. A, i uprzedź panią Brown, żeby przygotowała pokój dla lorda Thorne'a. Wątpię, czy Jack wróci dziś wieczorem do Holcombe. Będę na górze z żoną. Gdy przybędzie Jack, wprowadź go tutaj i zawiadom mnie.

Choć Thompsonowi cisnęły się na usta pytania, skłonił się i odszedł. Chwilę później list był już w drodze do Holcombe i do Jacka.

Znalazłszy się znowu sam w pokoju, Marcus nalał sobie kieliszek brandy, leniwie wyciągnął się w fotelu i odprężył. Koszmar się skończył.

Koło Isabel skakała Peggy, niebawem wręczy notatkę Jackowi i na tym zakończy się jego udział w tej sprawie. Zacisnął usta. Śmierć Collarda nie zmartwiła go ani trochę, ale zastanawiał się, kim był jego wspólnik. Innym przemytnikiem? Francuzem? Isabel zapewne będzie mogła odpowiedzieć na te pytania. A Whitley? Czy nie żyje? Marcus tak podejrzewał, ale nie zaprzątał sobie tym głowy – liczy się tylko to, że Isabel jest w domu, nic jej się nie stało, a notatka została odnaleziona i spoczywa w jego sejfie. Niebawem znajdzie się w rękach Jacka, by trafić do Roxbury'ego i do Londynu.

Zerknąwszy na zegar, uznał, że zwlekał już dość długo, toteż odstawił kieliszek i wyszedł z gabinetu. Przeskakując po dwa stopnie naraz, dotarł na górne piętro i pospieszył szerokim holem do pokojów żony. Znalazł ją starannie otuloną w łóżku; oparta o górę poduszek trzymała na kolanach tacę. Większa taca, na której znajdowało się kilka przykrytych naczyń, stała na pobliskim stoliku. Po Peggy nie było śladu.

Na jego widok Isabel odstawiła fi liżankę i uśmiechnęła się nieśmiało. Gdy ujrzał ten uśmiech, serce zabiło mu jak szalone. Nie bacząc na nic prócz niej, przebiegł odległość, która ich dzieliła. Potrącając tacę, chwycił Isabel w ramiona i mocno ucałował.

– Kocham cię – powiedział drżącym głosem. – Jesteś dla mnie wszystkim. Gdyby coś ci się stało... – Głos uwiązł mu w gardle i Marcus znowu ją pocałował. – Kocham cię. – Trzęsącymi się palcami odgarnął kosmyk jej płomienistych włosów. – Wiem, że nie pobraliśmy się z miłości, ale uwierz mi, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś była szczęśliwa. Przysięgam.

Wyciskając słodkie całuski na jego ustach i policzkach, wykrzyknęła:

– Och, Marcusie, ja też cię kocham – zawsze cię kochałam!

Zdumiony, lekko ją odepchnął. – Kochasz mnie? Naprawdę? – zapytał z nadzieją.

Uśmiechnęła się do niego czule.

– Zawsze cię kochałam, nawet gdy byłeś moim upartym jak osioł opiekunem.

Zmarszczył brwi.

– Skoro mnie kochałaś, dlaczego uciekłaś z Hugh?

Westchnęła. – Bo byłam młoda, głupia i bardzo nieszczęśliwa, a nie miałam żadnego innego pomysłu. W domu czułam się okropnie, ciotka Agatha ciągle mi dogadywała, a ty... ty uważałeś mnie wyłącznie za kłopotliwą podopieczną, więc chciałam, żebyś zobaczył we mnie kobietę. – Bawiła się guzikiem jego surduta. – Obawiałam się, że to nigdy nie nastąpi, że zawsze będziesz mnie traktował jak nieznośnego bachora!

Tego popołudnia, po naszej kłótni o Groma, pogrążyłam się w najgłębszej rozpaczy i po prostu chciałam uciec od wszystkiego. Hugh napatoczył się akurat w niewłaściwym momencie.

Marcus usadowił się na jej łóżku, a Isabel umościła się wygodnie, półleżąc w poprzek piersi męża.

– W jednym się mylisz – doskonale zdawałem sobie sprawę, na jaką ponętną dzierlatkę wyrastasz.

Wyprostowała się i zrobiła wielkie oczy. – Nigdy w najmniejszej mierze nie dałeś mi tego poznać! – rzekła oskarżycielskim tonem.

Westchnął.

– Skarbie, jakżebym mógł? Byłem twoim opiekunem prawnym. Jakakolwiek wzmianka o uczuciach byłaby niegodna z mojej strony.

Rzuciła mu chmurne spojrzenie.

– Ale mogłeś chociaż czasem coś napomknąć. Gdybym miała choć cień nadziei... Wiesz, ile czasu zmarnowaliśmy? Gdybym tylko wiedziała!

– Czekałem, aż skończy się moje opiekuństwo – tłumaczył cierpliwie. – Zamierzałem zacząć się do ciebie zalecać z chwilą, gdy przestanę ponosić za ciebie odpowiedzialność.

– A gdyby wpadł mi w oko ktoś inny, kiedy ty się ociągałeś?

Na ustach Marcusa pojawił się tygrysi uśmiech, na wspomnienie o tym, jak omal nie utopił Whitleya.

– Z pewnością znalazłbym sposób, by zniechęcić każdego głupca zalecającego się do kobiety, którą uznałem za swoją.

– Och, Marcusie – wyszeptała. – Jakież to romantyczne wyznanie!

Przyciągnął ją do siebie i wycałował tak, że zaszumiało jej w głowie i zabrakło tchu. – Przez resztę naszego życia – rzekł ochryple – będę mówił ci i robił wszystko, co najbardziej romantyczne.

– Ileż czasu zmarnowaliśmy – jęknęła żałośliwie, ocierając się głową o jego pierś jak kociak.

– W najmniejszej mierze mnie nie zachęcałaś po swoim powrocie z Indii – rzekł sucho.

Uniosła ku niemu wzrok. – A jak to sobie wyobrażasz? Wiesz, dlaczego nie mogłam za nikogo wyjść. – Oczy jej się zwęziły. – A poza tym zawsze miałam wrażenie, że cię denerwuję i jestem dla ciebie tylko utrapieniem.

Skrzywił się.

– A czego się spodziewałaś? Złamałaś mi serce. Nie mogłem złożyć ci go u stóp i czekać, aż znowu je podepczesz.

– Ależ byliśmy głupi – rzekła cicho.

– To już przeszłość – wyszeptał. – Teraz będziemy tworzyć przyszłość

i nowe wspomnienia. – Pocałował ją. – Kocham cię, Isabel. Nigdy w to w nie wątp. Chyba zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia – kiedy byłaś piszczącym berbeciem w ramionach niańki.

Zrobiła uszczęśliwioną minę.

– Och, Marcusie, naprawdę?

– Och, Isabel – drażnił się z nią, a z jego szarych oczu biły czułość i ciepło. – Tak, naprawdę.

Były to radosne chwile dnia tak okropnego, najeżonego niebezpieczeństwami, a oni radowali się, wiedząc, że kochają i są kochani. Wezbrała w nich namiętność i, jakżeby inaczej, kochali się, a ich zespolenie było tym słodsze i znaczące, że każdą pieszczotą, każdym dotykiem kierowała miłość.

Pomny, że Jack niebawem przybędzie, Marcus w końcu podniósł się z łoża i poszedł do swojego pokoju, by się przygotować na spotkanie z kuzynem. Gdy się ogarnął, obecność żony znowu go znęciła, toteż wrócił do niej, wziął ją w ramiona i usadowił się na wygodnym fotelu koło łóżka. Wtuleni w siebie, rozmawiali o rzeczach, o których zwykle rozmawiają zakochani, lecz, wcześniej, niżby pragnęli, Thompson zapukał do drzwi z wieścią, że lord Thorne oczekuje Marcusa w jego gabinecie.

Marcus niechętnie zaniósł Isabel z powrotem do łóżka.

– Muszę z nim porozmawiać. To ważne.

Poszukała oczyma jego wzroku.

– Czy w tej sprawie spotkałeś się z Jackiem i Garrettem przedwczorajszej nocy, kiedy to nic mi nie chciałeś powiedzieć?

Skinął tylko głową.

Chwyciła go za rękę.

– Ja też jestem w to wplątana. Nie powiesz mi, że moje dzisiejsze... wczorajsze porwanie nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Ja też chcę przy tym być.

Zawahał się. – Starczy ci sił? – zapytał. – Mam do ciebie parę pytań, ale nie chciałem cię już dzisiaj męczyć.

Uśmiechnęła się do niego.

– Bardziej się zmęczę zgadywaniem, o czym też z Jackiem rozmawiacie, niż odpowiadaniem na pytania.

– No dobrze – odparł ze słabym uśmiechem. – Przyjdź do nas do gabinetu, gdy się ubierzesz.

Kiedy Marcus się pojawił, Jack niecierpliwie przemierzał pokój. Odmówił wszelkich przekąsek i zapytał ostro:

– Co takiego się stało, do licha, że wyciągasz mnie z łóżka o tej

porze?

– Mam dokument – odparł po prostu Marcus.

– Co takiego? – wykrzyknął Jack, robiąc wielkie oczy.

Marcus skinął głową. – Tak, wiem, to zadziwiające. Whitley cały czas miał przy sobie notatkę ukrytą w płaszczu. – Machnął ręką w stronę płaszcza, który leżał tam, gdzie Marcus go przedtem cisnął. – Jeśli go przepatrzysz, zobaczysz, gdzie ją schował.

Jednym długim susem Jack doskoczył do płaszcza, podniósł go i znalazł szew, który rozpruł Marcus. Wyciągnął pakiecik owinięty w ceratę i patrząc na Marcusa, zakrzyknął:

– Wielkie nieba! To cudownie! Nie trzeba będzie zmieniać planów Wellesleya. Natychmiast wyjeżdżam do Londynu. Roxbury będzie szczęśliwy, mając to w ręku.

Marcus pociągnął się za ucho. – Ach, nie tę notatkę. Długo by opowiadać, ale to, co trzymasz w ręku, to podróbka, którą sam sporządziłem. Oryginał jest tam, w moim sejfi e. – Marcus z uśmiechem odwrócił się, by wskazać miejsce na przeciwległej ścianie, i zamarł.

Sejf i maskujący go portret w złotych ramach nie znajdowały się w jego polu widzenia, gdy wchodził do gabinetu, skupił się bowiem wtedy na Jacku i jego zachowaniu. Marcus nawet nie spojrzał w tamtą stronę. Ale teraz, jak oniemiały, wpatrywał się w ten punkt przerażonym wzrokiem.

Portret znajdował się na podłodze, oparty porządnie o zastawioną książkami ścianę, a drzwiczki do sejfu stały otworem. Tłumiąc przekleństwo, Marcus paroma susami przeskoczył przez pokój i zaczął gorączkowo grzebać w zawartości skrytki. Niczego nie brakowało... z wyjątkiem notatki.

Jack stanął za nim, uświadamiając sobie znaczenie otwartego sejfu jednocześnie z Marcusem. Marcus odwrócił się i spojrzał nań błędnym wzrokiem.

– Zniknął!

– Ale jakim sposobem? Kto wiedział, że sfałszowałeś oryginał i gdzie go schowałeś?

– Nikt – odparł Marcus. – Absolutnie nikt. – Zerknął poza Jacka na wysokie okna. Jego wzrok napotkał ciemność, ale wiedział, że człowiekowi znajdującemu się na zewnątrz pokój wydałby się oświetlony jak scena w teatrze. – Ktoś musiał mnie obserwować i zorientował się, co robię – rzekł ochrypłym głosem.

Odpychając Jacka, wziął świecznik i ruszył do drzwi. Można się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób. – Weź ten – rzekł, wskazując świecznik

bliźniaczy względem tego, który trzymał w dłoni. – Chodź ze mną.

Otworzywszy gwałtownie drzwi, niemal wpadł na Isabel, ubraną schludnie w prostą, muślinową suknię. Żona właśnie zamierzała wejść do pokoju.

Rzuciwszy jedno spojrzenie na twarz Marcusa, dotknęła jego ramienia.

– O co chodzi? Co się stało?

Marcus potrząsnął głową.

– Jedną chwilkę. Muszę potwierdzić swoje podejrzenia. Zaczekaj na nas w gabinecie, zaraz wrócimy.

Z ręką na biodrze odczekała, aż odejdą kawałek holem, po czym poszła za nimi, biorąc zapalony świecznik, który Thompson zostawił na stole przy wejściu. Wyszedłszy z domu chwilę po obu mężczyznach, podążyła za nimi pospiesznie, kierując się niesionym przez nich światłem. Gdy Marcus zorientował się, że za nimi idzie, warknął gniewnie:

– Powiedziałem ci, żebyś została w środku.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Doprawdy? Musiałam cię źle zrozumieć. Ale skoro już tu jestem...

Marcus prychnął i kroczył dalej. Gdy dotarli do boku domu, do terenu tuż przed jego gabinetem, Marcus zerknął na nią i rzekł:

– Szukamy śladów kogoś, kto ukrył się tu i śledził mnie w gabinecie.

Migotliwe świece przeszywały ciemność, a choć za dnia zadanie tropicieli byłoby łatwiejsze, po paru minutach Isabel odezwała się:

– Marcusie, znalazłam coś.

I tak było w istocie. W miękkiej ziemi, na skraju jednego z licznych kwietników otaczających dom, widniało kilka śladów stóp. Sądząc z głębokości odcisków, które zachodziły na siebie, najwyraźniej ktoś stał tam przez dłuższą chwilę. Przy bliższym przyjrzeniu się stwierdzili, że to ślady butów dwóch różnych rozmiarów.

Gdy Marcus i Jack potwierdzili znalezisko Isabel, Marcus stanął na śladach i spojrzał w stronę okna. Cały jego gabinet był widoczny jak na dłoni i ktoś stojący tutaj widziałby doskonale całe wnętrze – i wszystko, co robi Marcus. Idąc po śladach na kwietniku, doszedł do okna, które uniósł bez trudu. Wsunąwszy głowę do środka, dostrzegł słabe smugi błota na dywanie. Z ponurą miną zamknął okno i obrócił się do pozostałych.

– To jasne, że wszedł tędy. W domu jest więcej śladów.

Cała trójka w milczeniu powróciła do środka i do gabinetu Marcusa. Teraz bez trudu odnaleźli ślady błota, które zostawił intruz, kiedy przechodził od okna do sejfu. Gdy tym razem Marcus zaproponował

Jackowi brandy, ten nie odmówił. Isabel wzięła kieliszek ratafii, rozkoszując się morelowym aromatem unoszącym się z kieliszka, zanim upiła mały łyk.

Jack uniósł brwi, dając wyraz niezadowoleniu z powodu obecności Isabel, lecz Marcus rzekł krótko:

– Nie chowam sekretów przed żoną. A po tym, co się dzisiaj stało, ma wszelkie prawo tu być.

Jack pociągnął łyk brandy. – No dobrze – rzekł z znużeniem. – Powiedz mi, co tu się, do diabła, dzieje. I zacznij od tego, dlaczego podrobiłeś notatkę.

Marcus opowiedział mu wszystkie wydarzenia tego dnia, poczynając od momentu, gdy się dowiedział, że porwano Isabel. Na koniec opisał, jak znalazł ją w stajni, tej samej, obok której natrafi ono na zwłoki znanego miejscowego przemytnika Collarda.

– Collard i jego kompan chcieli, byś zdradził Anglię, narażając dla mnie życie tych wszystkich ludzi? – zapytała gniewnie Isabel, gdy skończył. – Co za łotrostwo! Cieszę się, że Collard nie żyje. – Z płonącą twarzą dodała: – Marcusie, jakiś ty mądry, że wymyśliłeś tę podróbkę!

– Nie mogłem pozwolić, by stało ci się coś złego – rzekł ochryple, zatapiając spojrzenie w jej oczach – ale też nie mogłem przekazać im notatki.

– Oczywiście, że nie mogłeś – wykrzyknęła. – I ja też bym cię do tego nie namawiała. – Uśmiechnęła się do niego czule. – Lecz bardzo się cieszę, że znalazłeś sposób, by pomieszać im szyki.

– Ale wychodzi na to, że w sumie mu się nie udało – przypomniał im ostro Jack.

– Nie – przyznał z goryczą Marcus. – Wychodzi na to, że nie. – Patrząc na bursztynowy płyn, powiedział pod nosem: – I pomyśleć, że miałem te cholerne papiery w rękach...

– Ale nie miałeś pojęcia, że cię obserwują – pocieszała go Isabel. – Nie mogłeś wiedzieć. To nie twoja wina.

– Ma rację – rzekł cicho Jack. – Szkoda, że mnie nie zawiadomiłeś zaraz, gdy znalazłeś notatkę.

– Nie mogłem – warknął Marcus. – W grę wchodziło życie mojej żony. Tobie zależałoby tylko na tym, żeby zwrócić dokumenty Roxbury'emu!

Jack zaczerwienił się. – Pomógłbym ci – rzekł surowo. – Nie przeczę, że przede wszystkim chciałbym dostarczyć notatkę Roxbury'emu, ale nie zostawiłbym cię, nie wyrwał ci notatki i nie pognałbym na łeb na szyję do Londynu.

Marcus przesunął ręką po włosach i uśmiechnął się do Jacka przepraszająco.

– Obraziłem cię. Przepraszam. Nie pomyślałem. A raczej myślałem tylko o bezpieczeństwie Isabel.

Jack skinął energicznie głową. – Nie gniewam się. – Szybko pociągnął łyk brandy i patrząc na Isabel, zapytał: – Czy mogłabyś powiedzieć nam coś o tych dwóch, którzy cię porwali?

Isabel się skrzywiła. – Niewiele. Jak wiecie, nie widziałam ich twarzy i nie znam ich głosów. Wiem na pewno, że było ich dwóch. Podejrzewam teraz, że jeden to Collard. Drugi... – Zawahała się i rzekła z namysłem: – Odniosłam wrażenie, że rządził tam ten drugi, który pochodzi z wyższej sfery niż Collard. To on podejmował decyzje. Mówił jak dżentelmen. W istocie myślałam o nim jako o dżentelmenie, a o Collardzie jako o „tym drugim". – Niepewnie przenosiła wzrok z jednej męskiej twarzy na drugą, po czym dodała: – Trudno to wytłumaczyć, ale dżentelmen właściwie był dla mnie uprzejmy.

– I tylko tyle możesz nam powiedzieć? – zapytał rozczarowany Jack.

Isabel zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie każde słowo, które padło z ust dżentelmena. – Martwił się – powiedziała nagle. – Mówił coś o zmianie planów, że nic nie idzie tak, jak zaplanowano. Chyba nie ufał Collardowi.

– Czy wspominali coś o Whitleyu? – zapytał Marcus.

Isabel potrząsnęła głową.

– Nie. Przy mnie odzywali się bardzo niewiele i ani razu nie wymienili nazwiska Whitleya.

Gabinet Marcusa okupowało bardzo przygnębione trio. Cieszono się, że Isabel wróciła bez szwanku, lecz wszyscy mieli świadomość, że fatalna notatka jest w rękach „dżentelmena" i teraz bez wątpienia znajduje się w drodze do Francuzów. Zawiedli, co może kosztować życie wielu ludzi.

Jack otrząsnął się, dopił brandy i rzekł:

– Muszę teraz jechać do Londynu. Im szybciej Roxbury dowie się o ostatnim wydarzeniu, tym prędzej zacznie działania w kierunku zmiany planów Wellesleya.

Mimo późnej godziny Marcus nie odwodził go od tego zamiaru.

– Masz wszystko, co ci potrzeba?

Jack uśmiechnął się cierpko.

– Tak, nawet księżyc w pełni, żeby oświetlał mi drogę.

Pożegnał się i wielkimi krokami wyszedł z pokoju.

Marcus pamiętał, że sędzia i konstabl mają przybyć o pierwszym

brzasku i choć bardzo chciał pozostać w łożu, wtulony w miękkie, ciepłe ciało żony, wstał godzinę przed świtem, ubrał się i przygotował na to, co przyniesie dzień. Sędzia i konstabl byli należycie wstrząśnięci śmiercią Collarda, ale mogli tylko pokiwać głowami. Tożsamość jego zabójcy pozostała nieznana i wszyscy zgodzili się, że najprawdopodobniej był to kamrat przemytnika. Marcus nie widział powodu, by podsuwać jakąś inną możliwość. Nikt ani słowem nie napomknął o dziwnych okolicznościach ani że do morderstwa doszło na terenie dworu Sherbrook.

– Nigdy nie lubiłem tego człowieka i zawsze uważałem, że źle skończy – stwierdził sędzia, dosiadając wierzchowca i szykując się do drogi powrotnej.

– W istocie – przytaknął konstabl, szczery, rubaszny jegomość, znany z tego, że często bywał ślepy na sprawki szmuglerskiej braci. – Bez dwóch zdań, Collard był skończonym szelmą. – Uchylił kapelusza przed Marcusem i dodał: – Przyślę kogoś, żeby zabrał ciało. Wyrazy uszanowania dla pana i małżonki.

Wypełniwszy w ten sposób ofi cjalne obowiązki, Marcus wolnym krokiem ruszył ku domowi. Nie będzie dalszego dochodzenia w sprawie śmierci Collarda, a choć służba wiedziała, że pani była w coś zamieszana, wszystko skończyło się dobrze, i to raz na zawsze. Jack zajechał już daleko na drodze do Londynu, wkrótce zostaną podjęte kroki, by Wellesley i jego żołnierze nie doznali uszczerbku. Marcusa dręczyła wprawdzie ucieczka dżentelmena od Isabel, lecz uznał, że może pozwolić sobie na wielkoduszność – Isabel jest bezpieczna, a to liczy się dla niego najbardziej.

Marcus i Isabel spędzili razem uroczy dzień – spacerowali po ogrodach, trzymając się za ręce, a od czasu do czasu przystawali w licznych mrocznych zakątkach i zakamarkach, by wymienić pocałunki przyprawiające o zawrót głowy. Wieczorem, gdy zapadał zmierzch, skończyli właśnie lekki posiłek, który spożyli tylko we dwoje na bocznym dziedzińcu, gdy ich uwagę zwrócił tętent kopyt galopującego konia oraz skrzypienie i turkot szybko nadjeżdżającego pojazdu. Z Isabel u boku Marcus wyszedł przed front domu.

Elegancki powóz podróżny, który ciągnęły cztery dobrane gniadosze, zakręcił na szerokim podjeździe. W gęstniejącym mroku mrugały latarnie na rogach powozu, a po obu jego stronach jechała para forysiów.

Woźnica zatrzymał konie, a dwóch forysiów ściągnęło wodze wierzchowcom i zsiadło. Gdyby Marcus nawet nie dostrzegł herbu na środku drzwi powozu, i tak domyśliłby się, kim są niespodziewani goście.

Z szerokim uśmiechem na twarzy rzekł do Isabel:

– Julian i Charles przyjechali z żonami.

Gdy służący z tyłu powozu zeskoczyli, by pomóc wysiąść damom, dwaj panowie podeszli do Marcusa i Isabel. Isabel poznała Juliana, lorda Wyndham, już jako dziecko, ale nie widziała jeszcze Charlesa Westona, jednego z licznych kuzynów Marcusa. Nikt nie uprzedził jej, że Julian i Charles mogliby uchodzić za bliźniaków, toteż gdy ujrzała ich obu po raz pierwszy, dech jej zaparło ze zdziwienia, że są tak podobni, aż po bystre zielone oczy. Jak jej mąż, obaj kuzyni byli wysokimi, barczystymi brunetami i choć między nimi i Marcusem zachodziło mniejsze podobieństwo, nie ulegało wątpliwości, że są spokrewnieni.

Charles uśmiechnął się i rzekł: – Widzę, że mąż nic ci jeszcze nie wspominał o swych przystojnych kuzynach. – Rzucił Marcusowi spojrzenie. – Wstyd! – Odwróciwszy się z powrotem do Isabel, skłonił się i rzekł: – Nazywam się Charles Weston i jestem bardzo szczęśliwy mogąc poznać kobietę, która go wreszcie okiełznała.

Isabel zachichotała, oczarowana jego śmiałymi manierami.

Julian uśmiechnął się i rzekł: – To prawdziwa przyjemność widzieć panią ponownie, madame. Proszę przyjąć moje gratulacje z okazji ślubu. Życzę wam wiele szczęścia. – Rzucił spojrzenie na Charlesa i dodał: – Musi mu pani wybaczyć. Z natury jest niepoprawny. Na szczęście jest też ogromnie zabawny, toteż jakoś go znosimy.

Choć Marcus był zachwycony ich przybyciem, nie mógł się powstrzymać od pytania:

– Wiecie, że zawsze jesteście mile widziani w moim domu, ale co was sprowadza tak niespodziewanie?

– Nell. Miała sen – odparł Julian cierpko.

Było oczywiste, że Marcus i Charles rozumieli, co się kryje za tym zagadkowym stwierdzeniem, lecz zdziwiona Isabel przenosiła wzrok z jednej szczupłej twarzy do drugiej. Zanim zdążyła poprosić o wyjaśnienie, przybiegła sama Nell, a za nią Daphne, żona Charlesa zaledwie od kilku miesięcy. Obie kobiety krańcowo różniły się wyglądem. Nell miała miękkie, złotobrązowe loki, lazurowe oczy i choć Nell była wysoka, Daphne przewyższała ją o pół głowy. Orzechowe oczy Daphne ciepło spojrzały na Isabel, gdy się witały; jej gęste, czarne włosy były porządnie upięte w kok. Isabel, tonąc w objęciach uperfumowanych dam, dziwiła się losowi. Te piękne kobiety i przystojni mężczyźni to jej powinowaci!

Nastąpiło małe zamieszanie, gdy cała grupa powędrowała do domu, skąd wysłano gromadę służących, by pomogli rozładować powóz, wydano też polecenie, aby przygotować sypialnie. W końcu wszyscy

usadowili się w bibliotece, gdzie Thompson, będący w swoim żywiole, nadzorował podawanie przekąsek. Gdy wszystkich obsłużono, Thompson gestem nakazał lokajom, by opuścili pokój, po czym skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą wielkie podwójne drzwi.

Przez kilka minut rozmawiano na tematy ogólne, panie sączyły herbatę, panowie rozkoszowali się brandy, po czym Isabel zapytała Nell:

– Co twój mąż miał na myśli, mówiąc, że miałaś sen?

– Marcus nie wspominał ci... o strasznym bracie przyrodnim Raoulu i koszmarach, które mi się w związku z nim śnią? – wyszeptała Nell, mierząc Isabel ponurym wzrokiem.

– Nie, nic – odparła zapytana, spoglądając na męża z wyrzutem.

Daphne pochyliła się do przodu i ciągnęła cicho:

– I nie powiedział ci o duchach, które spotkaliśmy w domu mojego brata w Kornwalii? To zdarzyło się zaledwie przed paroma miesiącami.

– Dopiero co wzięliśmy ślub. Nie widziałem potrzeby, by opowiadać jej o jakichś... – rzekł szybko Marcus z miną winowajcy, po czym nagle urwał.

– Bzdurach? – dokończył sucho Charles.

– Ale co to ma wspólnego ze snem Nell? – uratowała sytuację Isabel.

Uznając, że to nie pora, by wywlekać historie z przeszłości, Nell odparła po prostu: – Śniło mi się, że znalazłaś się w wielkim niebezpieczeństwie. Widziałam wyraźnie, że byłaś skrępowana, zakneblowana i miałaś przepaskę na oczach. – Spojrzała ze współczuciem na Marcusa. – Wiedziałam, że Marcus się niepokoił.

– Obudziła mnie – rzekł Julian – i nalegała, byśmy natychmiast ruszyli do dworu w Sherbrook, bo jesteśmy tam potrzebni.

Opowieść podjął Charles.

– Daphne i ja byliśmy u nich z wizytą, a gdy Julian obudził mnie, by mi powiedzieć, co się dzieje, postanowiliśmy jechać z nimi.

– Wiedziałaś, że byłam w niebezpieczeństwie? – spytała piskliwie Isabel. – Ale skąd?

Nell wykrzywiła się.

– Trudno to wytłumaczyć, ale czasami, gdy śnię, widzę... prawdziwe wydarzenia. Ujrzałam ciebie i wiedziałam, że muszę przyjechać.

Oczy Isabel zrobiły się wielkie i okrągłe. – Och, jakie to fascynujące! – wykrzyknęła. – Spojrzała z zaciekawieniem na Daphne. – A duchy? Naprawdę widziałaś duchy?

Daphne uśmiechnęła się.

– Owszem, widzieliśmy. Wtedy to było przerażające, ale teraz duchy się uspokoiły.

– Mieliście takie przygody! Chciałabym zobaczyć duchy, mnie się nic ciekawego nie przydarza – rzekła smętnie Isabel.

– Przecież ledwie wczoraj zostałaś porwana! Przetrzymywano cię dla okupu. Mogłaś była umrzeć! Czy to dla ciebie jest mało ciekawe? Bo mnie absolutnie wystarczy! – zaprotestował, zapominając się, Marcus.

Charles wybuchnął śmiechem.

– A nie mówiłem, że żona wyrwie cię z tego monotonnego życia?

Niewiarygodnie czuły uśmiech rozjaśnił twarz Marcusa, gdy spojrzał na Isabel i nie bacząc, kto go widzi i słyszy, rzekł:

– To prawda. Po prostu nie przypuszczałem, że dzięki niej będę najszczęśliwszym z ludzi. Udało mi się jak nikomu.

Ale nie udało mu się oderwać uwagi Isabel od interesującego ją tematu i z kolei Marcus wybuchnął śmiechem, gdy rozejrzawszy się po pokoju, rzekła podekscytowana:

– A czy teraz ktoś może opowiedzieć mi o duchach?

# Epilog

Była już trzecia rano, gdy książę Roxbury zajechał do swej wspaniałej londyńskiej rezydencji. Dla zachowania pozorów grał w karty przez dwie godziny w klubie, ale nie bawił się dobrze, myślał więcej o notatce i dalekosiężnych konsekwencjach jej zaginięcia niż o trzymanych w rękach kartach. Lord Thorne przybył niespodziewanie przed północą, przywożąc druzgocące wieści. A dałbym sobie głowę ściąć, że odzyskamy notatkę, myślał Roxbury, z roztargnieniem podając kamerdynerowi kapelusz i rękawiczki. Dałbym głowę. Niestety, pomyliłem się. Miałem rację, napomniał się, podejrzewając Whitleya, ale myliłem się, sądząc, że inni, tacy jak Le Renard, osławiony Lis, nie pójdą tym tropem. Ale porwanie i kradzież notatki z sejfu Sherbrooka nie wyglądały na Lisa. Nie, biorą w tym udział inni gracze, gracze, których przeoczył.

Zaraz po tym, jak lord Thorne pojawił się na jego progu, mimo późnej pory Roxbury zawiadomił o sprawie najważniejszych generałów. Zapewne w tej właśnie chwili rozważają możliwości innej lokalizacji lądowań. Wiedział, że jeszcze przez parę godzin niczego naprawdę ważnego się nie osiągnie. Dopiero gdy w Gwardii Konnej zbierze się cały sztab, rozpocznie się prawdziwa praca.

Jego myśli podążyły do lorda Thorne’a, który właśnie spał na górze. Jack był blady z wyczerpania po szaleńczej jeździe do Londynu i niemal chwiał się na nogach, gdy wprowadzono go do biblioteki Roxbury’ego, toteż po zdaniu przezeń relacji Roxbury nalegał, by u niego przenocował. Jack z wdzięcznością skorzystał z tej propozycji, by uniknąć zamieszania, jakie musiałoby powstać w jego londyńskim domu, gdyby przybył tam o tak późnej porze. Roxbury westchnął. Młody człowiek zrobił wszystko, co w jego mocy, toteż rozumiał żal swego agenta z powodu katastrofalnej porażki i współczuł mu. O fiasku planów trzeba jeszcze zawiadomić Garretta, a także generałów, co Roxbury’ego napawało równą niechęcią.

Ciężkim krokiem i z ciężkim sercem książę przeszedł szerokim holem do prywatnego gabinetu znajdującego się na tyłach domu. Idąc, czuł się bardzo stary i zmęczony. Zastanawiał się, czy czas jego użyteczności publicznej, świadczonej w sposób tak niezwykły, dobiega końca. Zawiodłem. Ciężko mu było przełknąć tę gorzką pigułkę.

Wszedłszy do swego gabinetu, rozejrzał się niewidzącym wzrokiem po tym dużym, oświetlonym światłem świec pokoju. Był to elegancki, męski pokój, jak przystało na człowieka o jego zamożności i tytule. Brązowy jedwab w bursztynowe wzory zdobił te części ścian, które nie były zajęte przez sięgające sufi tu szafki biblioteczne zapełnione oprawnymi w skórę woluminami, w licznych oknach wisiały zasłony z bursztynowego aksamitu. Balkonowe drzwi wychodziły na cichy taras, a przeciwległą ścianę zajmował kominek, marmurowy ze złotymi żyłkami.

Roxbury przerzucił kilka tomów swego ogromnego zbioru, ale żaden nie przykuł jego uwagi. Odwrócił się zatem, otworzył balkonowe drzwi, wyszedł na taras i wpatrzył się w czarne niebo, jakby na nim szukał odpowiedzi. Westchnął i wróciwszy do środka, podszedł do swego biurka, przy którym przesiedział parę minut. Bębniąc bezwiednie palcami w obity skórą blat, wpatrywał się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Po chwili podniósł się, podszedł do szeregu kryształowych karafek, błyszczących szklaneczek i kieliszków starannie poustawianych na marmurowym blacie stolika. Wpatrywał się przez parę sekund w karafki, po czym nalał sobie kieliszek mocnego, aromatycznego porto. Z kieliszkiem w ręce usadowił się na długiej, skórzanej kanapie naprzeciwko kominka i wpatrzył się w puste palenisko.

Z tej klapy może zaczerpnąć przynajmniej taką pociechę, że od początku o kradzież notatki słusznie podejrzewał przede wszystkim Whitleya. Oczywiście brał też pod uwagę innych i nakazał względem nich dochodzenie, które jednak nie dało żadnych rezultatów. Ale przynajmniej wiedzą, napomniał się ponuro, że notatka znajduje się w rękach wroga – Bogu dzięki, chociaż ta kwestia nie ulega wątpliwości – i to jest jedyny plus tej całej historii.

Pogrążony w tych nieprzyjemnych rozmyślaniach, nie zorientował się, że prócz niego w pokoju jest ktoś jeszcze, póki nie poczuł zimnego dotknięcia pistoletu na karku, a męski głos nie powiedział:

– Jeśli ceni pan swoje życie, wasza miłość, proszę nie krzyczeć ani się nie odwracać.

Roxbury westchnął głęboko. Tego tylko potrzebował na zakończenie owego fatalnego wieczoru – bezczelnego włamywacza!

– Bierz, co chcesz – rzekł obojętnie i pociągnął łyk porto. – Jednak nie znajdziesz w tym pokoju wielu rzeczy, które łatwo można byłoby spieniężyć – dodał usłużnie. – Idź do pokoju kredensowego, tam jest mnóstwo zastawy, na którą na pewno połakomi się taki zwykły złodziej jak ty.

– Zwykły? – powtórzył szyderczo mężczyzna. – Żywię miłe przekonanie, że nie ma we mnie nic zwykłego, a choć doceniam uprzejmą propozycję waszej miłości, nie interesują mnie złote świeczniki ani sprzęty. Pragnę złota – ale w wielkiej ilości.

Udało mu się wzbudzić zainteresowanie Roxbury'ego, który zapytał:

– A dlaczegóż to miałbym ci dawać wielką ilość złota?

Mężczyzna zaśmiał się.

– Dlaczego? Dlatego, że mam coś, czego niezmiernie pan pożąda... pewną notatkę.

Roxbury zesztywniał i zaczął się odwracać, ale mężczyzna mocniej przycisnął mu pistolet do karku i rzekł cicho:

– Nie, proszę się nie odwracać. Jeszcze nie wiem, czy ubijemy interes, i póki nie mam pewności, niech wszystko zostanie tak jak jest.

Poirytowany, ale też niewątpliwie zaciekawiony słowami nieznajomego, Roxbury odparł:

– Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia, ale absolutnie odmawiam ubijania interesów z kimś, kogo nie widzę.

Po chwili wahania mężczyzna westchnął i rzekł:

– Spodziewałem się, że pan to powie.

Intruz odsunął pistolet od karku Roxbury'ego, obszedł kraniec kanapy, na którym siedział książę, i usadowił się w fotelu ustawionym bokiem do niego. Pokój oświetlało tylko kilka świeczników i nieznajomy celowo usiadł w fotelu w połowie znajdującym się w mroku.

Roxbury przyglądał mu się, odnotowując w pamięci wysoką, barczystą sylwetkę, gibkie ciało, grzywę czarnych włosów, krój i jakość ubrania, które nosił jego nieproszony gość. Granatowy surdut wyglądał, jakby wyszedł spod ręki najlepszego krawca, koszulę miał nieskazitelnie czystą, węzeł wykrochmalonego fulara zyskałby uznanie największego dandysa, a buty z cholewami lśniły w świetle świec.

Roxbury uśmiechnął się do czarnej, jedwabnej maski, która zakrywała twarz nieznajomego. Unosząc kieliszek, wskazał na maskę i zapytał:

– Myśli pan, że to się przyjmie?

Mężczyzna odpowiedział uśmiechem, w mroku zalśniły białe zęby.

– Może nie, ale mnie to dobrze służy.

Ale ta chwila beztroski szybko minęła, Roxbury pochylił się do

przodu i zapytał:

– Ma pan notatkę ze sobą?

Nieznajomy skinął głową i sięgając do wewnętrznej kieszeni surdutu, wyciągnął kilka zwiniętych arkusików papieru, po czym podał je Roxbury'emu.

Roxbury podniósł się i zaniósł je do świecznika stojącego na samym skraju kominka. Szybko przebiegł dokument wzrokiem, serce zabiło mu szybciej, nabrał otuchy. To była ta notatka.

Spojrzał na intruza zwężonymi oczyma.

– Jak pan wszedł w jej posiadanie?

Mężczyzna opuścił wzrok na pistolet, który nadal trzymał w dłoni. – Nie było łatwo. Doszło do rozlewu krwi. Wątpię, czy znajdziecie ciało Whitleya – dodał z ciężkim westchnieniem – ale musicie wiedzieć, że nie żyje. – Jego oczy, widoczne w wycięciu maski, napotkały wzrok Roxbury'ego. – Ja go nie zabiłem, ale to przeze mnie zginął. Co do kartek, które pan trzyma, wie pan, jak je zdobyłem. Lord Thorne na pewno wszystko panu opowiedział, kiedy tu przybył tuż po północy.

– Obserwował pan mój dom. – Było to stwierdzenie, nie pytanie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Przy moim zajęciu muszę być bardzo ostrożny.

Roxbury opuścił wzrok na notatkę, już układając w myśli pismo, które każe dostarczyć do Gwardii Konnej z chwilą, gdy załatwi sprawę ze swym... gościem. W kamizelce wszak zawsze ma mały pistolet. Czy odważy się go użyć? Spojrzawszy na intruza, spostrzegł, że trzyma pistolet wymierzony prosto w jego serce.

– Żadnych sztuczek – uprzedził cicho nieznajomy. – Może łatwiej byłoby panu rozpatrywać tę sprawę w kategoriach wzajemnie korzystnej wymiany. Pan otrzyma notatkę, a ja swoje złoto.

Roxbury przypatrywał mu się długą chwilę. Jak mężczyzna sam oświadczył, nie jest zwykłym włamywaczem. Ma obejście i strój dżentelmena. Głowę trzyma wyniośle, a jego postawa świadczy o pewności siebie. A nawet gdyby ubranie i maniery nie świadczyły o dobrym urodzeniu intruza, przesądza o tym jego sposób wysławiania się. I było w nim coś znajomego...

– Kim pan jest? – zapytał Roxbury. – Czy my się znamy?

– Chyba nie powinien się pan tym zajmować – odparł chłodno nieproszony gość. – Mamy załatwić sprawę tych arkusików, które trzyma pan w dłoni.

– Ile?

Mężczyzna uśmiechnął się, znowu błyskając w mroku bielą zębów.

– Wezmę tę skórzaną sakwę złota, którą trzyma pan w sejfi e dla takich facetów jak ja, a w zamian może pan zatrzymać notatkę z pozdrowieniami ode mnie.

A niech go! – Roxbury zagotował się ze złości. Czy jest coś, o czym ten szelma nie wie? To prawda, że trzyma pod ręką sporo złota dla... Jego wargi wygięły się w półuśmiechu. Ten nicpoń ma rację. Przeznaczone było właśnie dla takich bezczelnych zuchwalców.

Skoro Roxbury milczał, intruz poruszył się niespokojnie i rzekł:

– Wiem, że pan je ma, więc proszę nie mydlić mi oczu opowieściami, że dopiero będzie pan musiał je przynieść.

– Zdaje się, że obserwował mnie pan bardzo uważnie.

– Jak już wspomniałem, przy moim zajęciu muszę przedsiębrać wszelkie środki ostrożności. Wszelkie.

Roxbury skinął głową i podszedł do ściany zastawionej książkami, za którymi znajdował się sejf. Stary baron nie widział powodu, by ukrywać jego lokalizację, podejrzewał zresztą, że ten osobnik wie dokładnie, gdzie została umieszczona skrytka. Otworzywszy sejf, wyciągnął dużą, skórzaną sakwę wypełnioną złotymi gwineami.

Włożył notatkę do sejfu, zamknął go, zaniósł sakwę intruzowi, cisnął mu ją i rzekł:

– Może pan przeliczyć, by się przekonać, czy tyle wystarczy.

Mężczyzna zręcznie chwycił sakwę, jej ciężar i brzęk złota powiedziały mu, że nocne trudy się opłaciły. Znowu przesłał Roxbury'emu uśmiech. – Wystarczy, wasza miłość. – Podnosząc się, wykonał ukłon i rzekł: – Ubijanie z panem interesu to prawdziwa przyjemność.

Odwrócił się do wyjścia, gdy Roxbury zakomenderował: – Zaczekaj pan! – Kiedy mężczyzna odwrócił się, baron zapytał: – Mógł pan sprzedać notatkę Francuzom za kwotę znacznie przewyższającą zawartość tej sakwy. Dlaczego pan tego nie zrobił?

Kształtne usta wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

– Może mam krew na rękach, może jestem złodziejem, rozbójnikiem i prowadzę awanturniczy żywot, lecz nie jestem zdrajcą Anglii.

Roxbury skinął głową. Przypatrując się stojącemu przed nim mężczyźnie, cedząc przez zęby powiedział:

– Jest pan bardzo sprytny i śmiały, mógłbym wykorzystać człowieka o pańskich talentach. Czy interesowałaby pana praca dla mnie?

Intruz zaśmiał się krótko, potrząsając głową.

– Nie pracuję dla żadnego pana, wasza miłość. Niebawem stwierdziłby pan, że trudno mnie okiełznać.

– A uważa pan, że takich ludzi jak lord Thorne jest łatwo okiełznać? – zapytał z zaciekawieniem Roxbury.

Intruz zawahał się, po czym stanowczo potrząsnął głową. – Przykro mi odmawiać waszej miłości – rzekł z nutką żalu w głosie – ale lord Thorne i jemu podobni mają coś, czego ja nigdy nie posiądę. Na nic bym się panu nie przydał. – I już go nie było.

Roxbury wpatrywał się w otwarte drzwi balkonowe, za którymi zniknął nieznajomy. W ogóle nie przyszło mu do głowy, by wszcząć alarm i myśląc o cennej notatce spoczywającej w jego sejfi e, uznał, że w sumie była to uczciwa transakcja. Roxbury podziwiał śmiałość mężczyzny i, o dziwo, dobrze mu życzył. Uznał, że nikt nie powinien się dowiedzieć o wymianie złota na notatkę. Pomyślał cierpko, że to będzie ich mała tajemnica.

Usadowiwszy się za biurkiem, zadzwonił na kamerdynera. Trzeba napisać i wysłać zawiadomienia, toteż sięgnął po pióro i inkaust.

Dopiero po paru dniach Jack i Garrett przybyli do dworu w Sherbrook, by opowiedzieć o zadziwiających wydarzeniach w Londynie. Gdy przyjechali z wizytą w pewne piękne, majowe popołudnie, zastali Marcusa i Isabel na tarasie, gdzie podejmowali gości: hrabiego i hrabinę Wyndham oraz państwo Charlesostwo Weston. Garrett znał trochę lorda Wyndhama i jego małżonkę, a z Charlesem spotykał się nie raz. Daphne, którą widział po raz pierwszy, ujęła go swym przyjaznym usposobieniem.

Jack już wcześniej poznał obu kuzynów, lecz, podobnie jak z Marcusem, praktycznie byli sobie obcy, nie znał też ich żon. Wszystkich sobie przedstawiono, pogratulowano mu spadku, podano przekąski i niebawem całe towarzystwo poczuło się swobodnie, gawędząc jak starzy znajomi.

Isabel zauważyła natychmiast, że obaj mężczyźni sprawiają wrażenie spokojniejszych i bardziej beztroskich, zastanawiała się zatem, co takiego zaszło w Londynie, że spowodowało taką zmianę. Gdy wypowiedziano już wszystkie grzecznościowe formułki, Isabel, nie mogąc dłużej powstrzymać ciekawości, zażądała stanowczo:

– Jack, opowiedz nam, co się stało. Co Roxbury powiedział o kradzieży notatki?

– Tak, opowiedz – domagał się Charles. – Isabel i Marcus zapoznali nas z sytuacją i wszyscy zastanawialiśmy się, jak kradzież notatki wpłynie na bieg wojny.

Jack zawahał się – wszak nieznajomy powiedział Roxbury’emu

o śmierci Whitleya. Z zakłopotaniem spojrzał na wyczekujące twarze pań. – Może mógłbym porozmawiać na osobności z panami – wybąkał wreszcie. – To nie jest temat dla uszu dam.

– Coś podobnego! – wybuchnęła Isabel. – Wiemy już o tym wszystko, więc nie ma powodu uważać, że coś nadaje się wyłącznie dla uszu panów. Zostałam porwana, Jack! Mam takie samo prawo wiedzieć, co się dzieje, jak Marcus. – Niecierpliwie klepnęła go w ramię. – A teraz opowiedz nam. Co się stało?

Marcus uśmiechnął się do niego.

– Przekonasz się, że niewiele da się ukryć przed inteligentymi niewiastami. Możesz śmiało powiedzieć, i tak to z nas z czasem wydobędą.

Jack skapitulował. – Na Boga! To niesamowita historia! W noc mojego przyjazdu Roxbury miał gościa – rzekł pełen podniecenia. Zerknął na Isabel. – Uważamy, że to twój „dżentelmen". – Oczy mu rozbłysły. – Dacie wiarę? Ten jegomość oddał mu notatkę! Powiedział, że może być złodziejem, ale nie zdrajcą! Więc Francuzi w końcu nie dostali notatki w swoje łapska. – Patrząc na zdumione twarze, Jack roześmiał się. – Tak, możecie wybałuszać oczy. Ja też wybałuszyłem, gdy obudziłem się rano i Roxbury oznajmił mi, że wszystko jest w porządku. Nie wiedziałem, czy to jawa, czy sen.

– A kto by to mógł wiedzieć! – wybuchnął z niedowierzaniem Marcus. – Skoro od początku zamierzał przekazać notatkę Roxbury'emu, dlaczego w ogóle zadał sobie tyle trudu, by porwać Isabel i ukraść ją nam? Przecież oddalibyśmy ją Roxbury'emu.

Jack potrząsnął głową. – Nie mam pojęcia. – Nachmurzył się nieco. – Przyznał się, że wie o śmierci Whitleya. Znając Roxbury'ego, jestem pewien, że w tej sprawie kryje się coś więcej, niż zechciał mi powiedzieć, ale najważniejszą, kluczową rzeczą jest to, że notatka wróciła do Gwardii Konnej, gdzie jest jej miejsce, a plany Wellesleya wprowadzane są w życie.

Gdy późnym wieczorem znaleźli się sami w swych prywatnych apartamentach, Isabel odezwała się do Marcusa:

– Pewnie uznasz, że jestem bez serca, ale wcale mi nie jest żal Whitleya. To był zły człowiek.

Siedzieli na balkonie tuż obok sypialni Marcusa, rozkoszując się ciepłym, wiosennym powietrzem. Isabel popijała ciepłe mleko, Marcus sączył kieliszek koniaku.

Marcus przytaknął.

– Ale chyba nie aż tak, żeby go zamordowano.

– Jak możesz tak mówić? – zapytała gniewnie. – Marcusie, usiłował zniszczyć życie Edmunda i zamierzał sprzedać tę notatkę Francuzom! Zasługiwał na to, żeby go zamordowano! – Zastanowiła się chwilkę. – Albo powieszono.

Marcus nie mógł podważyć jej sposobu rozumowania, toteż przyznał:

– Masz rację. Whitleya spotkało dokładnie to, na co zasługiwał.

Rada, że Marcus ma właściwe odczucia, dodała:

– A co sądzisz o wieści, którą przywiózł Jack?

Wzruszył ramionami.

– To jakieś duby smalone. Ten osobnik zadał sobie zbyt wiele trudu, by tak potulnie wręczyć notatkę. Myślę, że Jack ma rację, Roxbury nie powiedział nam wszystkiego.

Na chwilę zapadło milczenie, gdyż oboje zastanawiali się, co Roxbury może ukrywać. – To bardzo dziwne, prawda? – odezwała się w końcu Isabel.

Marcus, mając dość Jacka, Whitleya i całej tej sprawy, powiedział:

– Ale na dzisiaj już tego wystarczy... Czy mówiłem ci, jak bardzo cię kocham?

Zachichotała.

– Przez ostatnich piętnaście minut nie wspomniałeś o tym ani słowem.

– Cóż to za zaniedbanie z mojej strony! – Podniósł się i wziął ją w ramiona. – Kocham cię, Isabel! – rzekł ochryple.

– Och, Marcusie! Ja też cię kocham!

Obsypując Isabel pocałunkami, zaniósł ją do swego łóżka. – A teraz – powiedział chrapliwie – pokażę ci dokładnie, jak bardzo cię kocham. – I uczynił to.

Marcus obudził się parę godzin później. Isabel, cieplutka, spała skulona obok niego i przez chwilę rozkoszował się jej bliskością. Zastanawiał się, czyby nie obudzić jej pocałunkiem i znowu się z nią nie złączyć w miłosnych zmaganiach, lecz mimo największych wysiłków jego myśli wciąż umykały do Roxbury’ego i nieznajomego, który zwrócił notatkę.

Uznając, że nie ma teraz szans na sen, Marcus wyślizgnął się z łóżka i nałożył szlafrok. Wyszedł na balkon i wpatrzył się w ciemność.

Ciekawe, gdzie jest porywacz Isabel? Jakie niebezpieczne szelmostwo planuje w tej chwili? Długo wpatrywał się w noc, rozmyślając o nieznajomym, o tym, co go skłoniło do takiego czynu i czym się powodował. Ziewnął. Dość tych czczych deliberacji. Wszystko skończyło się dobrze, napomniał się, dżentelmen, można by rzec, zachował się jak

dżentelmen. I to by było tyle. Człowiek ten, niczym spadająca gwiazda, zaiskrzył w ich życiu, a teraz zniknął i nigdy więcej go nie zobaczą. Lecz odwracając się, by wrócić do żony, Marcus miał niepokojące przeczucie, że o „dżentelmenie” Isabel jeszcze usłyszą...